NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

ALEX

KAVA

ZŁO KONIECZNE

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alex Kava

Zło konieczne

Tłumaczyła
Katarzyna Ciążyńska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Piątek, 2 lipca
Lotnisko Eppley
Omaha, Nebraska

Wielebny William O'Sullivan był przekonany, że nikt go nie rozpoznał. Skąd więc te krople potu na jego czole? Nie przeszedł jeszcze przez kontrolę bezpieczeństwa, postanowił z tym zaczekać, aż zbliży się godzina odlotu, na wypadek, gdyby jednak ktoś go poznał. Siedząc z tej strony hali, mógł udawać, że na kogoś czeka i wcale nie wybiera się w drogę.

Wiercił się na plastikowym krześle, przyciskając do piersi skórzaną aktówkę. Robił to tak mocno, że mało brakowało, a zgniótłby sobie żebra; i znowu poczuł ten ból, który mógłby uznać za zgagę i zlekceważyć. Zresztą to była przecież zgaga, nic innego. Nie przywykł do tak obfitego lunchu. Wiedział jednak, że podczas lotu do Nowego Jorku, a później do Rzymu, podadzą mu byle jaki posiłek, który przyniósłby jego nadzwyczaj wrażliwemu żołądkowi o wiele więcej szkody niż klops i ziemniaczana papka, które zostały Sophii z poprzedniego dnia.

Tak, to przez te resztki z obiadu rozbolał go żołądek, powiedział sobie, rozglądając się po zatłoczonej hali lotniska w poszukiwaniu toalety. Kiedy już ją znalazł, nie

ruszył się z miejsca, tylko najpierw dokładnie wszystko obejrzał. Przesunął na czoło okulary w drucianych oprawkach, kciukiem i palcem wskazującym przetarł zmęczone oczy, a następnie znowu zlustrował teren.

Wykluczył najkrótszą drogę, bo chciał uniknąć spotkania z czarnoskórą kobietą, która wręczała „materiały do czytania” – jak to nazwała na własny użytek – każdemu, kto był zbyt grzeczny, żeby jej odmówić.

Włosy kobiety zdobiły barwne koraliki. Wystroiła się w swoją zapewne najlepszą suknię w purpurowe ciapki, która dodawała jej centymetrów w biodrach. Za to jej buty były całkiem w porządku. Mówiła niskim łagodnym głosem, a kiedy pytała: „Czy mogę panu zaproponować materiały do czytania?”, brzmiało to niemal jak piosenka. Każdego też, włączając w to tych, którzy w odpowiedzi niecierpliwie burczeli pod nosem i odchodzili w pośpiechu, pozdrawiała śpiewnym zwrotem: „Życzę bardzo miłego dnia”.

Wielebny O'Sullivan zgadywał bez trudu, co kobieta miała do zaproponowania. Przypuszczał, że była jedną z owych nawiedzonych misjonarek. Czy poczułaby, że coś ich łączy, gdyby minął ją z bliska? Oboje byli kaznodziejami, głosili słowo Boże. Ona w praktycznym obuwiu, on z teczką pełną tajemnic.

Lepiej jej unikać, pomyślał.

Spojrzał w stronę lady z pączkami. Długa kolejka wygłodniałych zombi cierpliwie stała po nową porcję energii, niczym narkomani, którzy muszą wstrzyknąć sobie jeszcze jedną dawkę przed odlotem. Na prawo znajdowało

się wejście do księgarni. O'Sullivan poczuł na sobie wzrok młodego mężczyzny w czapce bejsbolówce i szybko odwrócił głowę. Czy tamten go rozpoznał? Pomimo cywilnego sportowego ubrania? Poczuł ucisk w żołądku i wbił wzrok w buty. Bawełniana koszulka polo, prezent od siostry, przykleiła mu się do pleców. Z głośników płynęło powtarzane w kółko przypomnienie, żeby pasażerowie nie zostawiali bagażu bez opieki. Przycisnął mocniej teczkę, dłonie miał śliskie od potu. Jak mógł się łudzić, że zdoła wyjechać, nie zwracając na siebie uwagi? Że tak po prostu wsiądzie na pokład samolotu i będzie wolny, rozgrzeszony ze wszystkich swoich występków.

Kiedy jednak wielebny O'Sullivan odważył się znów podnieść wzrok, młody mężczyzna zniknął. Podróżni śpieszyli przed siebie w skupieniu. Nawet ta czarnoskóra kobieta, która nadal pozdrawiała przechodzących obok niej ludzi i życzyła im dobrego dnia, zdawała się kompletnie nieświadoma jego obecności.

Paranoja. Po prostu dopadła go paranoja. Trzydzieści siedem lat oddania Kościołowi i co z tego ma? Oskarżenia i wytykanie palcami, a zasłużył na najwyższy szacunek i wdzięczność. Kiedy usiłował wyjaśnić siostrze swoją trudną sytuację, wpadł w złość i w końcu, podczas krótkiej rozmowy, zdołał jedynie przekazać jej, żeby przepisała na siebie tytuł własności rodzinnego majątku.

– Nie dopuszczę do tego, żeby ci dranie zabrali nam dom.

Chętnie siedziałby teraz w domu. Nie była to wielka posiadłość, ot, drewniany piętrowy budynek na jednym

hektarze ziemi w Connecticut, otoczony drogami ciągnącymi się w szpalerach drzew, górami i niebem. Tam czuł się najbliżej Boga. Ironia tego stwierdzenia kazała mu się uśmiechnąć. Bo jak na ironię okazałe katedry i wielkie kongregacje coraz bardziej oddalały go od Boga.

Pisk, który rozległ się w pobliżu ruchomych schodów, wyrwał go z zamyślenia. Brzmiał jak głos jakiegoś egzotycznego ptaka, a tak naprawdę protestowało nieumiejące jeszcze chodzić dziecko, które ciągnęła za sobą niczym niezrażona matka, jakby nie docierał do niej opór malucha. Ten skrzekliwy głos grał O'Sullivanowi na nerwach i ponownie wprawił w stan tak wielkiego napięcia, że wielebny bał się, iż zacznie zgrzytać zębami. Naprawdę miał już dość tego wszystkiego. Poderwał się na nogi i ruszył do toalety, nie bacząc nawet, czy nie trąca kogoś po drodze, nie depcze.

Dzięki Bogu toaleta była pusta, mimo to na wszelki wypadek sprawdził wszystkie kabiny. Postawił teczkę na podłodze, opierając o lewą nogę, jakby bał się stracić z nią kontakt. Zdjął okulary i położył w rogu umywalki. Nie patrząc na swoje rozmazane odbicie w lustrze, poruszał dłońmi pod kranem. Kiedy woda nie zaczęła lecieć, jego frustracja jeszcze wzrosła. Ponownie poruszył rękami i w końcu z kranu wypłynął cienki strumień wody, którym ledwie zmoczył sobie palce. Pomachał raz jeszcze. Woda trysnęła na moment. Zamknął znużone oczy i spryskał sobie twarz. Zimne krople łagodziły nudności, uciszały gwałtowne tętnienie w skroniach.

Sięgnął do pojemnika z papierowymi ręcznikami, urwał więcej papieru, niż potrzebował, i lekko osuszył twarz i dłonie, wielce zniesmaczony, bo papier z recyklingu był szorstki i nieprzyjemnie pachniał. Nie słyszał, jak otworzyły się za nim drzwi toalety. Kiedy znów zerknął w lustro, przestraszony ujrzał za plecami niewyraźną postać.

– Już prawie skończyłem – oznajmił, sądząc, że zajmuje komuś miejsce, chociaż w toalecie było kilka umywalek. Dlaczego korzystał akurat z tej? Poczuł słaby metaliczny zapach. Może to sprzątaczka? I to bardzo niecierpliwa. Wyciągnął rękę po okulary i niechcący zrzucił je na podłogę. Zanim pochylił się, by je podnieść, ktoś chwycił go w pasie. Dojrzał jedynie srebrny błysk. Potem coś go zapiekło, poczuł okropny ból, który błyskawicznie rozszedł się po klatce piersiowej.

Łagodnie i miękko ktoś szepnął mu do ucha:

– To twój koniec, wielebny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Nie ma dobrego sposobu na podniesienie z ziemi ludzkiej głowy.

Do takiego wniosku doszła agentka specjalna Maggie O'Dell. Obserwowała z góry miejsce zbrodni, bardzo przy tym współczując młodemu technikowi kryminalnemu. Była ciekawa, czy myślał to samo co ona, kucając w błocie i patrząc pod coraz to innym kątem. Nawet detektyw Julia Racine milczała. Stała tylko nad nim i nie była w stanie wykrztusić słowa, choć zwykle nie brakowało jej dobrych rad. Maggie nigdy dotąd nie widziała, by zachowywała się tak cicho.

Stan Wenhoff, główny lekarz sądowy okręgu, który tkwił obok Maggie na nabrzeżu, krzyknął coś, ale nawet nie próbował zejść na dół. Swoją drogą Maggie była zdziwiona, że pojawił się w piątkowe popołudnie, zwłaszcza że zaczynał się świąteczny weekend. W podobnej sytuacji wysyłał zwykle któregoś ze swoich zastępców, choć z drugiej strony nie wybaczyłby sobie, gdyby jego nazwisko pominięto w wiadomościach. A ta sprawa niewątpliwie miała szansę stać się pożywką dla mediów.

Maggie spojrzała na wodę i miasto na drugim brzegu. Pomimo stanu pogotowia związanego z zagrożeniem

terrorystycznym ludzie szykowali się do świątecznej zabawy, oczekując przy tym słońca i nieco niższej temperatury. Maggie nie miała żadnych planów na weekend poza wylegiwaniem się z Harveyem w ogrodzie. Zamierzała upiec steki na grillu i poczytać najnowszą powieść Jeffreya Deavera.

Założyła włosy za ucho, a wiatr natychmiast porwał kolejny kosmyk. Tak, mieliby doprawdy piękny letni dzień, gdyby nie ta ucięta głowa, którą ktoś porzucił na błotnistym brzegu. Jak bardzo zły musi być człowiek, żeby odciąć bliźniemu głowę i rzucić ją gdzieś jak śmieci? Przyjaciółka Maggie, Gwen Patterson, twierdziła, że Maggie ma obsesję na punkcie zła. Maggie nie uważała tego za obsesję, tylko za szukanie odpowiedzi na odwieczne pytanie. Dawno temu uznała, że wykorzenienie zła należy do jej służbowych obowiązków.

– Skończ już przeczesywanie wierzchniej warstwy – zawołał Stan do młodego technika. – Zgarnij to do worka.

Maggie zerknęła na niego. Zgarnąć „to”? Łatwo powiedzieć, kiedy stoi się w miejscu, gdzie buty nadal lśnią od pasty, a zapach śmierci jeszcze nie doleciał. Ale nawet z tej wysokości widziała, że to beznadziejne zadanie. Brzeg zaśmiecały puszki, tekturowe opakowania po jedzeniu na wynos i rozmaite papierzyska. Znała ten teren – ten pas ziemi pod estakadą – na tyle dobrze, by wiedzieć, że pełno tu również petów, kondomów, a znajdzie się też i strzykawka. Zabójca ryzykował, porzucając głowę w tak ruchliwym miejscu.

Maggie zazwyczaj tłumaczyła podobną brawurę tym, że morderca działał zbyt chaotycznie, był za mało zorganizowany. Ale mogła ona również oznaczać panikę. Skoro jednak mieli do czynienia z trzecią głową w ciągu trzech tygodni, o panice nie mogło być mowy, w grę wchodziła tylko jakaś pokrętna zbrodnicza taktyka.

– Mogę przyjrzeć się z bliska? – zawołała.

– Jak sobie chcesz. – Racine wzruszyła ramionami, potem wyciągnęła do niej rękę.

Maggie nie przyjęła pomocnej dłoni, tylko rozglądała się za czymkolwiek – gałęzią, kamieniem, korzeniem – czego mogłaby się chwycić. Jednak nie było nic prócz błota i wysokiej trawy. Nie miała wyboru, musiała ześliznąć się, zjechać o własnych siłach. Jak narciarz bez nart próbowała utrzymać równowagę. Przemknęła obok Racine, trzymając się na nogach, ale niewiele brakowało, żeby wylądowała w Potomacu.

Racine pokręciła głową, na jej wargi wypłynął krzywy uśmiech. Szczęśliwie nic nie powiedziała. Maggie nie życzyła sobie, by jej przypominano, że grubo przesadza, jeśli chodzi o Racine. Nie chciała przyjąć od niej żadnej pomocy, a tym bardziej żyć z poczuciem, że ma Julii Racine coś do zawdzięczenia. W ciągu kilku minionych lat obie stawały przed różnymi wyzwaniami i pokonywały mnóstwo przeszkód. I co ważniejsze, były kwita. Maggie pragnęła, żeby tak zostało.

Wytarła buty o wysokie źdźbła trawy, żeby jeszcze bardziej nie zanieczyścić miejsca zbrodni. Po tej eskapadzie

skórzane pantofle będą się nadawały do wyrzucenia. Maggie nie dbała o buty, często zapominała zabierać z sobą obuwie ochronne. Gwen nieustannie powtarzała, że sposób, w jaki Maggie traktuje swoje buty, graniczy z dezynwolturą czy wręcz skandaliczną abnegacją. Maggie wciąż miała przed oczami błyszczące, wypastowane trzewiki Stana. Zerknęła za siebie i spostrzegła, że Stan cofnął się z występu nabrzeża. Czyżby się zdenerwował ślizgiem Maggie po błocie? A może chciał mieć pewność, że nikt nie każe mu pójść w jej ślady? Jakkolwiek było, wiedziała, że Stan nie zejdzie do nich.

Julia Racine przyłapała ją na tych spojrzeniach.

– Niech Bóg broni, żeby sobie zapaskudził buty – mruknęła pod nosem, jakby czytała w myślach Maggie, lecz zaraz potem wróciła wzrokiem do uciętej głowy. – To na pewno ten sam bandyta, ale może tym razem szczęście nam dopisze.

Maggie dopiero co przeglądała dokumenty w sprawie dwóch poprzednich głów. Po raz pierwszy zaproszono ją na miejsce zbrodni, gdyż Racine i jej szef, Henderson, podejrzewali, że mają do czynienia z seryjnym mordercą.

– Niby jak? – spytała, kiedy stało się jasne, że Racine czeka na to pytanie. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, na przykład fakt, że detektyw Racine przed ogłoszeniem swoich genialnych teorii domaga się od wszystkich uwagi.

– Dzięki temu, że dostaliśmy cynk, zdążyliśmy, zanim robaki zakończyły przekąskę. Tamte dwie były ogryzione do

kości. Do tej pory nie udało nam się ich zidentyfikować.

Maggie jeszcze raz wytarła buty o trawę i podeszła bliżej. Smród uderzył ją jak podmuch gorącego powietrza. Nie potrafiłaby opisać mieszanki zapachów, które towarzyszą śmierci, zawsze były takie same, a jednak zawsze inne, zależnie od otoczenia. Słaby metaliczny zapach krwi tym razem został zdominowany przez gnijące ciało i woń rzecznego błota. Zawahała się na moment, potem skupiła uwagę na makabrycznym widoku.

Stojąc na górze, sądziła, że to trawa i splątane glony trzymają głowę w miejscu. Teraz zobaczyła, że to dzięki skręconym z tyłu długim włosom ofiary, jej twarz patrzyła prosto w czysty błękit nieba. Zbliżywszy się jeszcze trochę, Maggie stwierdziła, że „patrzyła" nie było odpowiednim słowem. Zdawało się, że powieki trzepoczą, a tak naprawdę dziesiątki białych czerwi przepychały się do gałek ocznych. Nawet wargi sprawiały wrażenie, jakby się poruszały, jakby szeptały coś po raz ostatni, ale i tym razem był to tylko pochód czerwi. Robactwo wylewało się strumieniami także przez nozdrza ofiary, niezrażone, zdeterminowane i skoncentrowane na swoim zadaniu – pożarciu zdobyczy. Maggie odgoniła wiszące nad głową muchy plujki i przykucnęła obok technika. Znalazłszy się tak blisko, poza brzęczeniem much słyszała czerwie, które brnęły naprzód i przeciskały się jeden przed drugim, upychały się w rozmaitych otworach. Temu wszystkiemu towarzyszył odgłos przypominający ssanie.

Boże, jak ona nienawidziła czerwi.

Na początku kariery w FBI, kiedy niczego się nie bała i wiele musiała udowodnić, na prośbę – a raczej wyzwanie – koronera, włożyła rękę do pełnej czerwi jamy ustnej ofiary, gdzie znalazła jej prawo jazdy. To był, zresztą niezbyt oryginalny, znak firmowy tamtego mordercy. Zależało mu, by dzięki przedmiotom, które wpychał do gardeł swoich ofiar, policja mogła je zidentyfikować. Od tamtej pory, ilekroć Maggie widziała czerwie z tak bliska, czuła lepką maź, którą pozostawiły wówczas na jej dłoniach i przedramionach, kiedy w pośpiechu ratowały swoje życie, czepiając się jej ciała.

Teraz, siedząc na zabłoconych piętach, zrozumiała, co Racine miała na myśli, mówiąc, że tym razem szczęście im dopisało. Pomimo nieustającego ruchu czerwi widziała grudki biało-żółtych jajeczek w uszach ofiary i w kącikach jej oczu i warg. Nie wszystkie czerwie zdążyły się wylęgnąć, a te, które się wylęgły, znajdowały się w swoim pierwszym stadium, co znaczyło, że głowa nie leżała tu dłużej niż dzień czy dwa, bowiem w lipcowym upale proces lęgu zachodzi szybko.

Mimo wszystko Maggie czuła też pewien szacunek do tych stworzeń. Dorosłe muchy plujki wyczuwają krew z odległości około pięciu kilometrów. Zlatują się w parę godzin po śmierci ofiary, i choć wyglądają makabrycznie na martwym ciele, nie pożerają tak wiele. Bardziej interesuje je składanie jajeczek w ciemnych wilgotnych miejscach. Dla nich ludzkie ciało, jeszcze niedawno pełne życia, ciepłe,

chłonące tlen, to przede wszystkim karmiciel dla młodych, dla następnego pokolenia much plujek.

Czerwie wykluwają się z jajeczek w ciągu jednego, dwóch dni, i natychmiast zaczynają pożerać wszystko aż do kości. Kiedy Maggie pracowała w Connecticut, profesor Adam Bonzado powiedział jej, że trzy muchy mogą złożyć wystarczająco dużo jajeczek, i tym samym wyprodukować wystarczająco dużo czerwi, żeby pożreć ludzkie ciało tak szybko jak dorosły lew. Zdumiewające, pomyślała, jak efektywne i zorganizowane są te małe i pozornie bezmyślne organizmy.

Tak, Racine miała rację. Tym razem szczęście im dopisało. Zostało dostatecznie dużo tkanki, żeby wykonać badanie DNA, a co ważniejsze, być może zachowały się charakterystyczne obrażenia, które zdradzą, jak wyglądały ostatnie godziny nieszczęsnej kobiety.

Niestety, największym wyzwaniem dla technika było zabranie głowy razem z czerwiami. O ileż łatwiej byłoby je zmieść, spryskać, odkazić głowę, lecz wtedy straciliby cenne dowody.

Maggie szukała wzrokiem śladów stóp, w ogóle jakichkolwiek śladów.

– Jak pan myśli, jak ona się tu dostała? – zapytała, pamiętając, że należy mówić o ofierze w formie osobowej, nie tak jak Stan, który widział jedynie coś, co można ot tak, zgarnąć do worka. Wiedziała przy tym, że z jego strony nie był to brak wrażliwości, tylko mechanizm obronny.

Jak się okazało, również technik wybrał taktykę Stana.

– Nie rzucono tu tego z estakady ani z nabrzeża, bo wtedy zostałyby jakieś ślady. Wygląda na to, że ktoś to tutaj położył.

– Czyli morderca sam ją tu zniósł? – Maggie odwróciła głowę i spojrzała na stromy brzeg, na którym widniał jedynie tor jej ślizgu.

– Moim zdaniem, tak. – Technik wstał i rozprostował nogi, wdzięczny za przerwę. – Tu są ślady stóp, zrobię odcisk z gipsu.

– Taa, ślady stóp – rzekła Racine. – Musisz je zobaczyć. – Szła ostrożnie, pokazując zagłębienia w błocie.

Maggie podniosła się i spojrzała tam, gdzie wskazywała Racine. Od głowy do tego miejsca było jakieś cztery i pół metra.

– Skąd macie pewność, że należą do mordercy?

– Innych nie znaleźliśmy – odparł technik, wzruszając ramionami. – Dwie noce wstecz solidnie padało, musiał tu przyjść już po deszczu.

– Te ślady pojawiają się ni stąd, ni zowąd – dodała Racine. – I zwróć uwagę, że prowadzą prosto do rzeki.

– Może do łodzi – zasugerowała Maggie.

– Tutaj? I nikt by go nie zauważył? Odpada.

– Wspomniałaś, że dostaliście cynk. – Maggie przyglądała się sporym śladom. Podeszwy odbiły się wyraźnie, ale bez czytelnego logo.

– No – rzuciła Racine i skrzyżowała ramiona, jakby w końcu zaczęła panować nad sytuacją. – Jakaś kobieta zadzwoniła anonimowo na 911. Pojęcia nie mam, skąd

o tym wiedziała. Może od mordercy. Może wkurzył się, że tak długo szukaliśmy tamtych dwóch.

– A może chciał, żebyśmy poznali tożsamość tej ofiary – stwierdziła Maggie.

Racine skinęła głową, nie wyskakując z przeciwną teorią.

– Jak myślicie, co on robi z resztą ciała? – spytał technik.

– Nie wiem. – Racine ruszyła przed siebie. – Może powiedziałaby nam to anonimowa informatorka. Do naszego powrotu powinni już namierzyć jej numer.

ROZDZIAŁ TRZECI

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Doktor Gwen Patterson wytężała wzrok, żeby zobaczyć miejsce zbrodni z okna swojego gabinetu, niestety znajdowała się po drugiej stronie Potomacu. Nawet kiedy patrzyła przez lornetkę, estakada zasłaniała jej widok. Zdołała dostrzec tylko czerwoną toyotę Maggie zaparkowaną obok samochodu technicznego.

Przeczesała włosy palcami, jej ręka niepokojąco zadrżała. Czy to podniecenie? A może nerwy? Nieistotne. Stres dawał się jej we znaki. To zresztą zrozumiałe. Trzy ofiary w ciągu trzech tygodni. A jednak tego dnia spodziewała się, że dozna ulgi. Miała nadzieję, że jej napięcie zacznie opadać, tymczasem żadnej ulgi nie czuła. Węzeł pomiędzy jej łopatkami zacisnął się jeszcze mocniej. Może głupio myślała, że skoro Maggie zajęła się sprawą, to na pewno szybko opanuje sytuację. Jak mogła pozwolić, żeby to zaszło tak daleko?

Była umówiona z Maggie na kolację w Old Ebbitt's Grill, ich ulubionej knajpce. Zamówi kurczaka w chrupiącej orzechowej panierce, natomiast Maggie zje stek. Niewykluczone, że wypiją butelkę wina, zależnie od nastroju Maggie, który wyniknie z tego, co właśnie teraz ogląda nad rzeką, pod estakadą. Zresztą nieważne.

Przyjaciółka na pewno powie jej, jakie dowody zastała na miejscu zbrodni. Maggie będzie jej oczami i uszami. Gwen wystąpi w roli adwokata diabła, przepyta Maggie, jak zazwyczaj to się działo. Przy odrobinie szczęścia przyjaciółka nie zorientuje się, że Gwen zna już niektóre odpowiedzi. Tak, to się da zrobić.

Zresztą doktor Patterson nie miała wyboru, musiała tak postępować.

Co za ironia, że doszło do tego właśnie teraz, gdy zrezygnowała z pacjentów i zleceń, które miały jakikolwiek związek ze sprawami kryminalnymi.

Gwen zamknęła okno i potoczyła wzrokiem po ścianach gabinetu. Słońce odbijało się od oprawionych w ramki dyplomów. Cała ściana zawieszona była zaświadczeniami o jej kwalifikacjach i stopniach naukowych. Lecz w obecnej sytuacji jaką miały one wartość?

Gwen przetarła oczy. Brak snu zaczynał jej doskwierać, mimo to uśmiechnęła się. Tak, to także ironia losu, że im była starsza, mądrzejsza i więcej warta w świecie nauki, tym mniej liczyły się te wszystkie tak ładnie oprawione dyplomy.

Dotarła do samego szczytu zawodowej kariery. Tak przynajmniej twierdzili jej koledzy, cytując artykuły i książki Gwen w swoich pracach naukowych. Wszystkie te z trudem zdobyte honory otworzyły jej drogę do Quantico, do Białego Domu oraz Pentagonu. Poznała senatorów, członków kongresu, ambasadorów i innych dyplomatów, wielu z nich zostało jej pacjentami. Jedna z par miała nawet zapisany jej

numer w funkcji „szybkie wybieranie”. Nieźle jak na dziewczynkę z Bronksu. A jednak w tej chwili wszystkie te znajomości i zasługi nie miały znaczenia.

Listy były krótkie, instrukcje proste, ale pogróżki nie brzmiały poważnie, przynajmniej aż do tego dnia. Jeśli jednak dotąd Gwen nie traktowała ich serio, teraz wiedziała już, że ów ktoś bez wahania spełniłby swoją groźbę. Na szczęście wreszcie spotka się z Maggie, która miała wstęp tam, gdzie dla niej drzwi były zamknięte. Przyjaciółka opisze jej miejsce zbrodni, przygotuje profil mordercy i pomoże odgadnąć, kim jest ten niegodziwiec. Już kiedyś robiły coś podobnego, wiele razy zbierały dowody, porównywały ofiary, rozważały wszelkie okoliczności, a potem trafiały na ślad, który prowadził je do sprawcy. Teraz Gwen będzie po prostu przewodnikiem Maggie, jak dawniej, kiedy młodziutka wówczas i nieopierzona przyjaciółka po raz pierwszy zjawiła się w Quantico.

Mój Boże, wydaje się, że to całe wieki temu. Ile czasu minęło od tamtej chwili? Dziesięć lat? Jedenaście?

Gwen pełniła wówczas funkcję najważniejszego niezależnego konsultanta Cunninghama, zastępcy dyrektora FBI. Jako zaprawiony w boju mentor wzięła Maggie pod swoje skrzydła, delikatnie popychała ją i zachęcała. Pomimo różnicy wieku zostały serdecznymi przyjaciółkami, zarazem jednak, właśnie z powodu owych piętnastu lat, które je dzieliły, Gwen często odgrywała inne role w stosunku do swojej najlepszej przyjaciółki – nauczyciela, psychologa, czasami nawet matki. Prawdę

mówiąc, to ostatnie wcielenie ją samą bardzo zaskoczyło. Gwen wierzyła głęboko, że nie posiada instynktu macierzyńskiego, a tymczasem Maggie go w niej obudziła. Może właśnie dlatego uważała, że poradzi sobie bez wiedzy i kryminalnego doświadczenia przyjaciółki, że sama, nic nikomu nie mówiąc, rozwiąże ten problem. Pragnęła tylko tak pokierować Maggie, żeby w jej zastępstwie poszła tam, gdzie Gwen nie mogła pójść, i śledziła mordercę, a może nawet go schwytała. Musiała jedynie doprowadzić do niego przyjaciółkę. Wygra z nim w tę grę, którą sam wymyślił.

Czy to rzeczywiście takie proste? Czy to się uda? Musi się udać.

Gwen włożyła dokumenty do teczki, nawet na nie nie patrząc. Kolejny znak, że była zmęczona. Jej nieskazitelne zwykle biurko wyglądało, jakby wiatr przeleciał przez pokój, rozrzucając sterty papierów.

Wzięła telefon komórkowy, który zabójca podrzucił jej tego ranka w zwykłej szarej kopercie, wsuwając ją przez otwór na listy w drzwiach wejściowych. Ostrożnie wytarła telefon, cały czas trzymając go przez papierowy ręcznik, i schowała do brązowej papierowej torby. Jadąc do domu, poszuka jakiegoś pojemnika na śmieci i tam, zgodnie z instrukcją, go wyrzuci.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Omaha, Nebraska

Gibson McCutty stwierdził, że drzwi na tyłach domu są nadal otwarte, tak jak je zostawił. Wszedł niepewnym krokiem do kuchni, wpadł na pojemnik z warzywami i przeklął pod nosem. W tej samej chwili coś upadło na podłogę. Zawahał się, nadstawiając uszu, ale tak głośno sapał, łapiąc oddech, że prawie nic nie słyszał.

Dlaczego nie może oddychać?

Całą drogę z lotniska pędził, nawet nie przysiadając, pedałował ma rowerze górskim przez skrzyżowania ze światłami, lekceważąc klaksony i zwalniając tylko po to, żeby pokonać ostatnią pochyłość. Nic zatem dziwnego, że tak się zadyszał. Musi chwilkę odpocząć. Oparł się o lodówkę, czekając, aż oddech się wyrówna. Ku jego zdumieniu znajome pomrukiwanie lodówki natychmiast go uspokoiło. Był w domu. Był bezpieczny. Przynajmniej w tej chwili.

Idiotyczne magnesy wciskały mu się w plecy, wkurzające małe plastikowe zwierzęta, którymi mama przyczepiała na drzwiach lodówki „dzieła sztuki” jego brata. Żeby chociaż uprawiała ogród! Nigdy jednak nie pozwoliłaby sobie na to, żeby mieć ziemię pod paznokciami. Uśmiechnął się na tę myśl i usiłował sobie przypomnieć, co przedstawiały

poszczególne magnesy, z nadzieją, że dzięki temu wymaże z pamięci obraz krwi. Zacisnął powieki – zając, wiewiórka, szop pracz, jeż. Czy jeż żyje w ogrodzie? Czy ktoś w ogóle widział kiedyś jeża?

To na nic.

Przed oczami miał wciąż tamten widok, tamtą twarz wykrzywioną bólem. Krew płynącą z ust. I te oczy, które patrzyły bez jednego mrugnięcia. Czy rozpoznał swego zabójcę? Czy był w stanie go zobaczyć? Oczywiście, że nie. Przecież nie żył. Ale czy na pewno?

Gibson potrząsnął głową i odsunął się od lodówki. Pokuśtykał do salonu i potknął się o kosz z praniem stojący u stóp schodów. Następnie powoli ruszył do góry, licząc w myślach stopnie, i przystanął, policzywszy do ośmiu. Podciągnął się za pomocą poręczy i przeskoczył skrzypiący dziewiąty stopień. Kiedy minie drzwi pokoju matki, będzie wreszcie wolny. Przebierając się po pracy, matka czasami oglądała wiadomości o piątej. Nie mógł ryzykować, żeby go usłyszała. Jak by jej wytłumaczył swoją nieobecność? Z pewnością zapytałaby, gdzie się podziewał, zwłaszcza że był mokry i śmierdział. Włosy przykleiły mu się do spoconej głowy pod czapką bejsbolówką.

Zbliżywszy się do drzwi pokoju matki, nie usłyszał za nimi żadnego dźwięku. Może więc jeszcze nie wróciła. Był piątek. Następny dzień miała wolny, a tego dnia jego młodszy brat zostawał na noc u kolegi. Matka wspominała, że prawdopodobnie wyskoczy z koleżankami z biura na drinka. Czy jednak mówiła właśnie o tym wieczorze? Tak,

przecież był piątek. Z całą pewnością. Co za szczęście. Może nie było aż tak źle, jak mu się wydawało.

Mimo to pośpieszył do swojego pokoju i zamknął drzwi, ostrożnie, delikatnie, żeby nie hałasować. Rzucił plecak na łóżko, potem oparł się całym ciałem o drzwi, jakby ta dodatkowa siła była niezbędna do przekręcenia klucza. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał, nie wierząc w szczęśliwy los w dniu, kiedy zabrakło mu szczęścia. A jednak wokół panowała cisza. Był w domu sam. Pomimo to trząsł się, nie drżał, a właśnie dygotał jak jakiś idiota w konwulsjach.

Objął się ramionami, ale gdy poczuł, że jego koszulka była mokra na piersi, gwałtownie opuścił ręce. Naprawdę był spocony jak mysz. Omal się nie wykończył, kiedy pokonywał krawężniki i pędził na oślep przez zatłoczone skrzyżowania. Zdjął czapkę z daszkiem i cisnął ją na łóżko, a kiedy zdejmował koszulkę, zaplątał się w nią. Niewiele brakowało, a popękałaby w szwach. Tak bardzo chciał jak najszybciej uwolnić się od smrodu potu, benzyny i wymiocin. Zwymiotował jedzenie z fast foodu, tuż za wyjazdem z garażu przy lotnisku.

W końcu włączył niedużą lampkę. Natychmiast spostrzegł krew pod paznokciami. Próbował ją wyskrobać, wytrzeć koszulką. Potem otworzył szafę, zwinął koszulkę i wcisnął ją do pustej reklamówki, którą upchnął w kąt szafy, z dala od innych rzeczy. Wiedział, że mama nigdy jej nie znajdzie. Kiedy odkryła spleśniałą zjedzoną do połowy kanapkę w szufladzie ze skarpetkami, zagroziła, że nie będzie dłużej zajmować się jego ubraniami, poza tym, co znajdzie

w koszu z rzeczami do prania. Przypuszczał, że chciała w ten sposób obudzić w nim poczucie odpowiedzialności, choć zastanawiał się też, czy może raczej wolała nie wiedzieć, że działo się z nim coś złego.

Nie rozwiązując sznurówek, zrzucił buty i zostawił je na środku pokoju. Wtedy właśnie ujrzał ikonę migającą na ekranie komputera. Patrząc na ekran, szedł ku niemu powoli. Nie planował żadnej gry, a wiadomości dostawał zwykle za pośrednictwem czatu.

Usiadł na krześle przy biurku, wciąż wpatrzony w ikonę z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, która mrugała na niego z rogu ekranu. Kiedy indziej byłby tym podniecony i gotowy do gry. Teraz czuł tylko ścisk w żołądku. Po chwili wahania kliknął dwa razy ikonę. Ekran obudził się do życia, wypełniły go słowa:

Złamałeś zasady.

Gibson zacisnął dłonie na podłokietnikach krzesła. Co to jest, do diabła? Zanim odgadł, na ekranie pojawiła się kolejna wiadomość:

Widziałem, co zrobiłeś.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Old Ebbitt's Grill
Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Maggie gestem podziękowała za pomoc zabieganej hostessie. Szła przez zatłoczoną restaurację, usiłując nie zwracać uwagi na niebiańskie zapachy wołowiny z grilla i czosnku. Umierała z głodu.

Gwen czekała na nią w tym samym co zwykle boksie. Na stoliku stał nietknięty duży kieliszek, prawdopodobnie z jej ulubionym shiraz.

– Nie chciałaś beze mnie zacząć? – spytała Maggie, wskazując na kieliszek i siadając naprzeciw przyjaciółki.

– Wybacz, ale wręcz przeciwnie. To już drugi.

Maggie zerknęła na zegarek. Spóźniła się najwyżej dziesięć minut. Zanim cokolwiek powiedziała, podszedł Marco.

– Dobry wieczór, pani O'Dell. Czy mogę pani podać koktajl przed kolacją?

Maggie nie mogła się nadziwić, jak on to robił, że czuły się zawsze jedynymi gośćmi w tej tłocznej, gwarnej restauracji. W kącikach oczu kelnera widniały już kurze łapki, a jednak wciąż wyglądał jak młody, opalony i dobrze opłacany chłopak, który obsługuje kabiny plażowe. Widać było, jak bardzo jest dumny, że zna swoją klientelę.

Faktycznie dobrze znał Gwen i Maggie, i gdy tylko rezerwowały stolik, dbał, by zawsze dostały to samo miejsce.

A zatem gdy Maggie powiedziała:

– To co zwykle…

Marco bez wahania czy konsternacji odparł:

– Oczywiście. Zaraz podam dietetyczną pepsi z cienkim plasterkiem cytryny.

Tak po prostu. Bez żadnych dodatkowych pytań. Bez wykładów, czy, co gorsza, współczujących spojrzeń. Podobało jej się to.

Podał Maggie menu.

– Proponowałbym paniom świeże ślimaki na przystawkę.

– Nie – rzuciła szybko. – Nie dla mnie – dodała z nadzieją, że nie zauważył, iż ten pomysł wzbudził w niej wstręt. Spędziwszy popołudnie w towarzystwie czerwi, nie była pewna, czy jej żołądek strawiłby talerz ślimaków.

– Ja też dziękuję – wtrąciła Gwen.

– Może na początek zamówimy nadziewane grzyby – zasugerowała Maggie. Woń czosnku przygotowała ją na smakowitą przekąskę.

– Doskonały wybór – pochwalił Marco i nagrodził ją uśmiechem. – Zaraz podam.

Kiedy Maggie zerknęła na Gwen, ta sączyła wino, znacząco unosząc kąciki warg.

– Co? – zapytała Maggie. – Umieram z głodu, ale się podzielę.

– Szkoda, że nie widziałaś swojej miny, kiedy proponował ślimaki. Rozumiem, że masz za sobą jedno z tych miłych popołudni.

– Czerwie. Zbyt dużo czerwi. – Gdy odsunęła z czoła kosmyki, ze zdumieniem stwierdziła, że były wilgotne. Wpadła po drodze do domu, żeby wziąć prysznic i przy okazji zmyć z siebie wspomnienie robaków, chociaż tym razem ich nie dotykała. – Policja w końcu nas wezwała w sprawie głów niezidentyfikowanych kobiet.

– Czy to oznacza, że, ich zdaniem, obie są ofiarami tego samego mordercy?

– Wygląda, że to ten sam. Poza tym… – Maggie urwała, gdyż Marco właśnie postawił przed nią dietetyczną pepsi z cytryną.

– Zaraz będzie przekąska. Czy mogę coś jeszcze podać?

– Nie, dziękujemy – odparła Gwen. Potem zwróciła się do Maggie i nie bacząc, że Marco jeszcze nie odszedł, rzuciła niecierpliwie: – Mów dalej.

Maggie zaczekała, aż kelner znajdzie się poza zasięgiem jej wzroku. Zdumiało ją zachowanie Gwen. Zazwyczaj była opanowana, zawsze potrafiła zachować dyskrecję. Prawdę mówiąc, ostatnio zdawała się jedynie słuchać, od czasu do czasu co najwyżej okazując znudzenie czy zmęczenie ponurymi szczegółami. Dlaczego teraz było jej tak śpieszno? Przesadnie śpieszno. Maggie pochyliła się do przodu, objęła szklaneczkę i powiedziała cicho:

– Znaleźli dzisiaj trzecią głowę.

– Jezu… – Gwen cofnęła się, jakby te słowa pchnęły ją na oparcie boksu.

– Aha, i sprawę prowadzi Racine – dodała Maggie, kręcąc głową i popijając pepsi. – Chyba ją to przerasta. – Wypiła duszkiem pół szklanki. Kiedy wbiegła do domu wziąć prysznic i przebrać się, Harvey przekonał ją, że zdążą jeszcze odbyć szybki spacer. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo była spragniona.

– Na pewno jesteś sprawiedliwa? – spytała Gwen. – W końcu nie należysz do największych fanów Racine.

Nie po raz pierwszy Gwen przypominała przyjaciółce, że nie była całkiem obiektywna w stosunku do detektyw Julii Racine. Z kostką lodu w ustach Maggie pomyślała o tym przez chwilkę. Nabrała nerwowego nawyku ssania lodu, żeby nie napełniać pustej szklanki po pepsi szkocką. Czy jej się to podobało, czy nie, Gwen miała rację. Już wiele lat temu nie darzyła Julii Racine zbyt wielkim szacunkiem. Pani detektyw robiła karierę, korzystając z rozmaitych dróg na skróty, a jedynym powodem, dla którego jej na to pozwalano, była płeć poparta urodą, bo przecież nie kwalifikacje. Maggie z kolei zawsze walczyła o to, żeby traktowano ją na równi z kolegami z FBI. Racine bywała też nie dość ostrożna, często wręcz nierozważna. Na domiar złego przed kilku laty podrywała Maggie, kiedy wspólnie rozpracowywały jakąś sprawę. Trzeba jeszcze dodać, że Racine uratowała matkę Maggie przed samobójczą śmiercią. Maggie odwdzięczyła się Julii, chroniąc jej ojca przed seryjnym mordercą. Ich relacja była doprawdy

skomplikowana. No tak, więc może Maggie nie była do końca obiektywna, oceniając Julię Racine, a już zwłaszcza jej zawodowe kompetencje.

– Do tej pory nie zidentyfikowała dwóch poprzednich ofiar – oznajmiła jednak.

– To należy do niej czy do koronera? Może to on się ociąga? Chyba powinnaś zostawić ją w spokoju.

Maggie uniosła ramiona. Nie rozumiała, dlaczego przyjaciółka ni stąd, ni zowąd wymaga, żeby była miła dla Racine. Jak Gwen mogła bronić kobiety, której nigdy nawet nie spotkała?

– Ona nie przestrzega zasad – zaczęła się bronić. Widząc uśmiech Gwen, uświadomiła sobie, że kiepsko zagrała.

– A ty co?

– Czasami je naginam. Czy to nie ty powtarzałaś mi przed laty, że w walce ze złem nie obowiązują żadne reguły?

– Zawsze obowiązują jakieś reguły – stwierdziła Gwen z powagą. – Dobro je honoruje, zło nie. To od samego początku daje mu niesprawiedliwą przewagę.

W tej samej chwili Marco podał półmisek parujących, pachnących czosnkiem grzybów i talerze.

– Życzę paniom smacznego. Wrócę za kilka minut.

Wlepiły wzrok w przekąskę. Maggie wprost umierała z głodu.

– A co ze Stanem? – zaczęła znów Gwen i wrzuciła kilka grzybów na talerz przyjaciółki. Sobie nałożyła dwa, ale nie zaczęła od razu jeść. – Dlaczego tak zwleka?

– Jak rozumiem, nie mieli wystarczająco dużo tkanki. – Maggie rozejrzała się po sali. Wprawdzie wysokie drewniane boksy zapewniały prywatność, ale ta restauracja była ulubionym miejscem spotkań polityków wysokiej rangi. Co za tym idzie, nie brakowało tu ciekawskich. Zadowolona, że nikt ich nie podsłuchiwał, Maggie ciągnęła: – Ani odcisków zębów do porównania. Stan twierdzi, że nie mógł zrobić autopsji, lecz mimo to nie wysłał materiału do antropologa.

– A ty znasz antropologa, do którego mógłby to wysłać. – Gwen uśmiechnęła się znacząco.

Maggie robiła co w jej mocy, żeby nie spłonąć rumieńcem.

– Niezupełnie.

Wiedziała, że Gwen miała na myśli Adama Bonzado, cenionego profesora z West Haven w Connecticut, z którym Maggie pracowała w minionym roku. Ów profesor antropologii kryminalnej dał jasno do rozumienia, że jeśli chodzi o Maggie, interesują go nie tylko znalezione przez nią kości.

– Mówiąc poważnie... – Gwen zrezygnowała z kazania, jakie zwykle prawiła przyjaciółce na temat jej kontaktów z mężczyznami, a raczej braku takich kontaktów. – Jakie są szanse na wykorzystanie eksperta z zewnątrz, na przykład Bonzado? Czy Stan nie poczułby się urażony?

– Mam nadzieję, że by się ucieszył. – Maggie zaczęła kroić kapelusz grzyba. – Już zresztą podrzuciłam Racine pomysł, że dwie poprzednie głowy powinien obejrzeć ekspert, bo do niej należą służbowe kontakty ze Stanem. Zresztą, jak tylko

dziś tam przyjechałam, przypomniał mi, że to nie jest jego sprawa. – Maggie przełknęła resztkę dietetycznej pepsi i zaczęła szukać wzrokiem kelnera.

– Co przez to rozumiał?

– Kiedy ciało jest poćwiartowane albo, jak w tym wypadku, zostaje odcięta głowa, sprawa podlega kompetencji tego, kto ma serce.

– To idiotyczne – stwierdziła Gwen tak stanowczo, że Maggie przestała szukać kelnera i wróciła do niej wzrokiem. Gwen uprzytomniła sobie, że przesadziła. Odsunęła się i o wiele spokojniejszym, opanowanym tonem dodała: – To głupie, może nie? Nie pamiętam takiego archaicznego prawa. W takim razie możesz mi wyjaśnić, co się dzieje, kiedy reszty ciała nie udało się odnaleźć?

– Po pierwsze, Racine musi raz jeszcze sprawdzić, czy nie trafiono gdzieś na jakiś tułów. Morderca mógł pojechać dalej i pozbyć się go po drodze. – Maggie zerkała na przyjaciółkę kątem oka, udając, że czyta menu. Co tak bardzo wyprowadziło Gwen z równowagi? W przyćmionym świetle gazowego oświetlenia restauracji usiłowała przyjrzeć się Gwen, i właśnie dostrzegła, że jej jasne włosy były lekko potargane, zwykle starannie wymanikiurowane paznokcie zaniedbane, a pod oczami pojawiły się cienie.

– To by znaczyło, że zajmuje się czymś, co wymaga podróżowania, a w każdym razie pozwala na pewną mobilność. – Gwen mówiła już normalnym tonem, ale Maggie zauważyła, że nerwowo zwijała serwetkę.

– Niewykluczone. Cokolwiek jednak morderca robi z tułowiem ofiar, Stan nie może tak po prostu zrzucić z siebie odpowiedzialności. Ostatnią rzeczą, jaką należy się teraz martwić, to kwestia uprawnień poszczególnych członków zespołu.

Gwen sączyła wino. Tym razem Maggie spostrzegła, że lekko drżała jej ręka. Nie wiedziała, czy przyjaciółka była po prostu zmęczona, czy zdenerwował ją jakiś pacjent. Może to nic ważnego. Może Maggie szukała dziury w całym. Tak czy owak, zapytała:

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście. – Odpowiedź padła zbyt szybko. Zresztą Gwen zauważyła zatroskaną minę Maggie. – Nic mi nie jest – dodała, jakby poczuła się zaatakowana, po czym oświadczyła spokojniej: – Jestem trochę zmęczona.

Uśmiechnęła się do Maggie, na pozór zainteresowana menu, i zamknęła temat, uciekając spojrzeniem. Maggie zastanowiła się, czy zrobiła tak z obawy, że jej oczy mogły odkryć coś więcej niż zmęczenie.

Poszła śladem Gwen i otworzyła znów swoje menu, jednak trzymała je lekko pochylone, żeby widzieć twarz przyjaciółki. Na Boga, co takiego Gwen przed nią ukrywa?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lotnisko Eppley
Omaha, Nebraska

Detektyw Tommy Pakula nienawidził takich scen. Krew w zasadzie mu nie przeszkadzała; przez prawie dwadzieścia lat służby widział już chyba wszystko co możliwe. Rozbryzgany mózg czy odpiłowane części ciała nie robiły na nim wrażenia. Ale po prostu nienawidził, jak ktoś mu zanieczyścił miejsce zbrodni.

Przejechał ręką po ogolonej głowie. Pod koniec długiego dnia z tyłu pojawiła się szczecinka. Wpadł do domu tylko po to, żeby zmienić koszulę i skarpetki, te drugie na stanowczą prośbę swojej żony Clare. Ich staż małżeński równał się jego stażowi w policji, a jej nadal przeszkadzały śmierdzące skarpety. Uśmiechnął się pod nosem. Clare miała dużo poważniejsze powody do narzekań, było ich całkiem sporo. Powinien dziękować losowi za taką żonę. Dzwonili do niego, na przykład tak jak teraz, w samym środku obiadu, więc musiał zostawić na talerzu domowe lasagne i gorące bułeczki i zająć się jakimś umarlakiem w klopie na lotnisku.

Stanąwszy w drzwiach, od razu wiedział, co go najbardziej wkurza w takich sytuacjach: były tam co najmniej trzy różne ślady stóp. Jedne rozniosły krew z toalety do holu i prowadziły wokół wózka sprzątaczki

zaparkowanego przed drzwiami, który blokował wejście. Właściciel tych śladów zignorował żółty plastikowy znak z napisem: „Nieczynne”. Jak poinformowano Pakulę, wózek postawiono już po znalezieniu sztywniaka. Więc te ślady należały do kogoś ciekawskiego. To jeszcze nic, bo sztywniak okazał się księdzem, w każdym razie tak wynikało z jego prawa jazdy.

– Kurna – rzucił Pakula w przestrzeń. – Mojej osiemdziesięcioletniej matki nie przepuszczą przez punkt kontrolny, jak nie zdejmie płaszcza i dokładnie jej nie obszukają, ale każdy inny dupek może tu wpaść, wysikać się i obejrzeć sobie umarlaka na podłodze.

– Mężczyzna, który znalazł ciało, mówi, że poprosił sprzątaczkę, żeby postawiła swój wózek przed drzwiami, a on wezwie pomoc. – Pete Kasab zajrzał do notesu i zrobił naprędce jakieś notatki.

Pakula bardzo się starał, żeby nie przewrócić oczami, kiedy patrzył na młodego niedoświadczonego detektywa. Przeniósł wzrok na młodą czarnoskórą kobietę z laboratorium kryminalnego okręgu Douglas. W żaden sposób nie reagowała na ich pogaduszki. Zakończyła filmowanie miejsca zbrodni kamerą wideo, i teraz właśnie rękami w rękawiczkach, na kolanach, napełniała torebki i butelki dowodami, które zbierała specjalnymi szczypcami, a które z miejsca, gdzie stał Pakula, były zupełnie niewidoczne. Nigdy dotąd z nią nie pracował, ale dużo słyszał o Teresie Medinie. Wiedział, że jeśli morderca

zostawił cokolwiek, Medina to znajdzie. Żałował, że nie może zamienić Pete'a Kasaba na Medinę.

– Ten mężczyzna mówił, że być może zderzył się z mordercą – ciągnął Kasab, sprawiając wrażenie, że czyta z notatek.

– Co powiedział?

– Zdaje mu się, że wpadł na tego typa w drodze do toalety.

Pakula skrzywił się na słowo „typ”. Co za kretyn z tego gówniarza.

– Ten gość ma jakieś nazwisko?

– Ten, na którego wpadł?

– Nie. – Pakula potrząsnął głową. Miał na końcu języka epitet „idiota”, ale w porę ugryzł się w język – Świadek. Ten, który znalazł ciało.

– O, jasne. – Kasab znów zaczął kartkować notes. – Scott… – Zmrużył oczy, z trudem odczytując własne pismo. – Linquist. Mam jego telefon do pracy, domowy, komórkę i adres. – Postukał w notes z uśmiechem. Naprawdę chciał zadowolić szefa.

– Masz przypadkiem rysopis?

– Linquista?

– Nie, kurna. Przypuszczalnego mordercy.

Kasab był zdruzgotany. Przerzucił kilka stron, wreszcie wymamrotał:

– Oczywiście, że mam.

Teraz Pakula poczuł się jak dupek. Jakby nadepnął na szczeniaka. Przetarł oczy, próbował pozbyć się zmęczenia

i zniecierpliwienia. Ilekroć przedawkował kofeinę, robił się zrzędliwy.

– Linquist mówił, że wyglądał młodo, był od niego niższy. Linquist ma jakiś metr siedemdziesiąt. Mówił, że młody mężczyzna był ubrany w dżinsy i czapkę bejsbolówkę. Wpadł na niego, no wie pan, w pośpiechu wybiegał z toalety, kiedy Linquist tam wchodził. Linquist mówił, że zobaczył ciało i krew, odwrócił się i pobiegł po pomoc, ale po tamtym już nie było śladu.

– Ile lat miał ten młodziak? – Pakula wątpił, żeby to był morderca. Pewnie dzieciak przeżył szok, zgłupiał i nie chciał być w to zamieszany. Może nawet bał się, że to jego oskarżą.

– Linquist nie potrafił powiedzieć – odparł Kasab, nadal sprawdzając notatki. – O, mam. Oświadczył, że nie widział jego twarzy.

– To skąd wie, że to młodziak?

Kasab podniósł wzrok na szefa, jakby chciał się przekonać, czy to zwyczajne pytanie, czy jakiś test.

– Chyba na podstawie jego budowy albo zachowania.

No super, pomyślał Pakula. Smarkacz zgaduje. Fantastyczna policyjna robota. Najchętniej jęknąłby głośno, lecz zamiast tego spojrzał na Teresę Medinę, która skrupulatnie oglądała ciało. Uniosła szczypcami tył sztywnej koszulki polo. Może los im będzie sprzyjał i znajdą coś interesującego. To by była świetna policyjna robota, pomyślał Pakula. W tym samym momencie Medina podniosła coś koniuszkiem szczypców.

– Dziwne – powiedziała, obracając to coś i przyglądając się dokładnie. Pakuli przypominało to biały puszek, nie większy niż dziesięciocentówka.

– Co to jest? – Podszedł bliżej, a Medina wsunęła zdobycz do foliowej torebki i zebrała kolejny skarb z koszulki księdza.

– Jeszcze nie wiem – odparła, podnosząc szczypce na wysokość nosa – ale wygląda mi to na okruchy.

– Okruchy?

– Tak, okruchy chleba.

Zanim Pakula odpowiedział, dźwiękiem miliona maleńkich dzwoneczków odezwał się jego telefon komórkowy. Nie powinien był pozwolić, żeby jego córka – fanka techno – zaprogramowała mu telefon. Nie miał pojęcia, jak to teraz zmienić. Wyciągnął komórkę z kieszeni i rzucił:

– Pakula. – Po drugiej stronie panowała cisza. – Chwileczkę. – Odwrócił się i poszedł przed siebie holem, mając nadzieję, że tam będzie lepsza słyszalność. – Tak, proszę mówić.

– Pakula, tu Carmichael.

– Gdzie jesteś, kurna, Carmichael? Przydałabyś mi się na lotnisku.

– Jestem wciąż na komendzie.

– Mam tu zadźganego księżula na podłodze w kiblu i jakichś durni, którzy łażą wokół niego, żeby się wysikać, a może nawet zjeść sobie kanapkę nad jego ciałem.

– Co?

– Nieważne.

– Chyba nieźle się bawisz, ale pomyślałam, że zainteresuje cię telefon, jaki właśnie odebrałam. Brat Sebastian z biura archidiecezji Omaha chce wiedzieć, w jakim stanie jest ciało wielebnego Williama O'Sullivana.

– Kpisz czy o drogę pytasz? Skąd miałby wiedzieć, że jest jakieś ciało? Dopiero co zidentyfikowaliśmy ojczulka, niecałą godzinę temu.

– Mówi, że dostał anonimowy telefon.

– Serio?

Detektyw Kim Carmichael jak zwykle coś przeżuwała. Ten nerwowy nawyk sprawiał, że wciąż przybywało jej centymetrów w pasie, a jej współpracownicy musieli za to płacić, wysłuchując gorzkich żalów składających się z koreańskich przekleństw. Ale Pakula z miejsca zamieniłby Kasaba na nią, skoro nie mógł marzyć, by na stałe przydzielono mu Medinę.

– Jest pewna rzecz, Pakula, a może nawet dwie, które cię zainteresują. Brat Sebastian wydawał się bardzo zatroskany o rzeczy osobiste wielebnego, zwłaszcza skórzaną teczkę. Po drugie, chciał, żebyśmy wiedzieli, że arcybiskup Armstrong pomoże nam, więc z całą pewnością zbędna będzie pomoc FBI.

– FBI? – Pakula parsknął śmiechem. – Okej, Carmichael. Bardzo zabawne. Ale to był długi dzień i naprawdę nie jestem w nastroju...

– Ja nie żartuję, Tommy. Tak właśnie powiedział. Nawet to zapisałam.

– Czemu, kurna, mielibyśmy wzywać FBI do zwykłego morderstwa?

– Brat starał się mówić jakby od niechcenia – odparła Carmichael – ale wiesz, że słyszę nawet to, czego nie mówią. Był zdenerwowany i ostrożnie dobierał słowa. Tylko udawał, że to nic wielkiego.

Pakula przystanął, oparł się o ścianę, z dala od barku z kawą i pączkami. Nie przypominał sobie, żeby widział w toalecie skórzaną teczkę. Od początku uznał, że to przypadkowe morderstwo, może nieudany rabunek, bo nabity banknotami euro portfel ojczulka został w toalecie. Zresztą dla miejscowego złodziejaszka euro nie miały wartości. A jeśli morderca nie szukał kasy? Jeżeli dobrze wiedział, za kim wszedł do toalety? Czy to możliwe, że zamierzał zabić dobrego ojczulka? To byłaby kompletnie inna sprawa.

– Hej, Pakula, śpisz czy co?

– Zrób mi przysługę, Carmichael. Dryndnij do Boba Westona i opowiedz mu wszystko ze szczegółami.

– Jesteś pewny?

– Arcybiskup mówi, że nie chce FBI. Taa, może lepiej sprawdzić, dlaczego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Newburgh Heights
Obrzeża Waszyngtonu, Dystrykt Kolumbii

Maggie właśnie dotarła do domu, kiedy zadzwoniła jej komórka. Akurat była w połowie rytualnego powitania z Harveyem, chociaż widzieli się ledwie parę godzin temu. Od chwili gdy uratowała pięknego białego labradora, traktował każdy jej powrót do domu jak miłą niespodziankę, a jego brązowe oczy patrzyły pełne wdzięczności, że nie porzuciła go jak poprzedni właściciel. Maggie nie przerwała czułego powitania, tylko usiadła na podłodze w holu i wyjęła telefon.

– O'Dell – powiedziała, usiłując przekonać psa, żeby lizał jej drugą rękę. Mając teraz twarz Maggie na wysokości swojej mordy, Harvey uznał, że i ona warta jest serdecznego liźnięcia.

– O'Dell, tu Racine. Nie przeszkadzam?

Maggie zastanowiła się, czy Racine usłyszała słodkie psie całusy i właśnie je miała na myśli, czy może chodziło jej o to, że było już późno.

– W tej chwili przyjechałam. Co się dzieje?

– Wiem, że jest późno. Na pewno nie przeszkadzam?

Maggie uśmiechnęła się. A więc Racine słyszała mokre całusy.

Poklepała Harveya po łbie, ale go nie odepchnęła. Może pora, żeby rozeszły się w świat jakieś skandaliczne plotki na temat jej nieistniejącego życia seksualnego?

– Nie, w porządku. Mów.

– Okazało się, że telefon komórkowy to ślepa uliczka.

– Ukradziony?

– No. Na lotnisku Reagan National. W zeszłym tygodniu. Tam ostatnio miał go z sobą właściciel. Wydaje się uczciwy. Zgłosił zaginięcie telefonu w Sprincie. Nie korzystano z niego aż do dzisiejszego ranka.

– Udało się wyśledzić, skąd dzwoniła anonimowa informatorka?

– Tylko tyle, że z Waszyngtonu. Teraz pewnie komórka leży w jakimś śmietniku.

Maggie nie rozumiała, dlaczego Racine dzwoni do niej po północy, żeby powiedzieć coś, co obie i tak podejrzewały. Chyba nie oczekiwała, że przed autopsją otrzyma profil mordercy? Nagłe milczenie Julii wskazywało na to, że chodzi jej o coś więcej. Maggie przetrzymała ją, o nic nie pytając.

– Rozmawiałam z Hendersonem o tamtych dwóch. Zgadza się ze Stanem, że potrzebujemy antropologa kryminalnego.

Więc o to chodzi. Racine wzięła sobie do serca jej radę.

– To z pewnością pomoże – stwierdziła Maggie. A jednak coś w głosie Racine sugerowało, że to nie koniec.

– Stan mówił, że może mieć kogoś pod koniec przyszłego tygodnia, ale ja w niedzielę jadę do ojca. Wybieramy się na ryby. Ruszę chyba przed wschodem słońca, pewnie koło

piątej. Och, przy okazji, Stan powiedział, że zrobi autopsję jutro z samego rana.

Urwała, jakby czekała, że agentka specjalna O'Dell wyrazi niezadowolenie z powodu mitrężenia czasu, lecz Maggie właśnie próbowała sobie wyobrazić, jak Julii udaje się zachować spokój i milczenie podczas łowienia ryb. Ten obraz zupełnie do niej nie pasował.

– W każdym razie – podjęła Racine – zaproponowałam, że zawiozę tamte dwie głowy do profesora Bonzado. Zostali z ojcem dobrymi kumplami od czasu, no wiesz... – Nie dokończyła, nie musiała tego robić. Maggie znała dalszy ciąg: od czasu, gdy profesor Bonzado i Luc Racine uratowali ją z zamrażarki, w której zamknął ją pewien szaleniec. Nie był to tradycyjny sposób na zawieranie męskich przyjaźni, ale Maggie wcale się nie zdziwiła, że akurat ci dwaj nawiązali bliższy kontakt.

– Na pewno nie ma w okręgu kogoś, kogo Stan mógłby zarekomendować? – zapytała, choć dopiero co chciała zasugerować Racine, żeby zwróciła się do profesora z Connecticut. Nie powinna jednak dawać jej do zrozumienia, że sama chętnie znowu by go zobaczyła.

– Zapewne jest, ale nie w świąteczny weekend. – Racine zrobiła przerwę. – Słuchaj, O'Dell. Będę z tobą szczera. Dziennikarze depczą mi po piętach, odkąd pojawiła się trzecia ofiara. Muszę mieć jakąś odpowiedź, i to szybko. Rozmawiałam już z Bonzado. Obiecał, że w niedzielę po południu obejrzy głowy, a ponieważ i tak się tam wybieram, wezmę je z sobą. Wiem, że to nie jest idealny sposób

transportu dowodów, ale Stan nie sprzeciwił się, żeby jego cenny towar miał osobistą ochronę. Poza tym zwykle jeżdżę do ojca samochodem. Mogę tam być w cztery godziny.

Racine coś kręciła. Dlaczego uważała, że Maggie należy się to całe wyjaśnienie?

Wstała i znowu usiadła na pierwszym stopniu schodów. Harvey położył się obok niej, kładąc łeb na jej stopach.

– W świąteczny weekend nie sposób dostać biletu na samolot – mówiła dalej Racine. – Poza tym wyobrażasz sobie, że ochrona lotniska pozwoliłaby mi wziąć na pokład dwie ucięte głowy? – Śmiech Racine zabrzmiał nerwowo.

Z całą pewnością nie powiedziała jeszcze wszystkiego. Maggie chciała ją poprosić, żeby wreszcie to z siebie wyrzuciła, a jednak czekała w milczeniu.

– No i pomyślałam sobie, czy byś tam ze mną nie pojechała.

A więc w tym rzecz. Racine nagadała się tyle, żeby w końcu wystosować zaproszenie.

– Adam wspomniał, że może zdoła ustalić coś do naszego wyjazdu. To tylko jeden dzień. Wiem, że to będzie długi dzień.

Maggie nie omieszkała zauważyć, że Julia nie mówiła już „profesor Bonzado”, tylko „Adam”.

– Tata bardzo się ucieszy, jak cię zobaczy. Ciągle o ciebie pyta. No wiesz, wtedy, kiedy pamięta. Ostatnio ma całkiem niezły okres. Chociaż lekarze uprzedzają, żeby nie liczyć na to, że utrzyma się tak na dłuższą metę.

– Miło byłoby zobaczyć znowu twojego ojca. – Maggie pomyślała, że ma teraz więcej znajomych w Connecticut, niż się spodziewała. Prawdę mówiąc, poważnie rozważała, czy nie skontaktować się ze swoim przyrodnim bratem, Patrickiem, i zaproponować, żeby spędzili razem świąteczny weekend. Potem natychmiast udzieliła sobie reprymendy. Prawdopodobnie Patrick miał własne plany, w których nie przewidział miejsca dla siostry poznanej zaledwie przed rokiem. Maggie uznała, że jej brat potrzebuje czasu. Kiedy będzie gotowy, zaprosi go do siebie.

Po co się oszukiwać? Patrick nie był jedynym powodem, dla którego miała ochotę wybrać się do Connecticut. Pragnęła znowu zobaczyć Adama Bonzado. Racine podawała jej na tacy idealny pretekst. Zarazem jednak Maggie dręczyła myśl, że cztery, nie, osiem godzin w samochodzie z Julią, to o osiem godzin za dużo.

ROZDZIAŁ ÓSMY

23.50
Wenezuela

Włączył Vivaldiego na swoim tanim dużym radiomagnetofonie tranzystorowym i pacnął kolejnego moskita. Nieźle go ugryzł. Na ręce miał teraz krew, swoją krew, i kolejną spuchniętą gulę. Jego nadwrażliwa skóra zaczęła przypominać pełną bąbli skórę trędowatego. Ojciec Michael Keller już dawno nauczył się ignorować swędzenie po ukąszeniu, tak samo jak nauczył się żyć zlany potem, nawet po wieczornym prysznicu. Skupił się na prostych rzeczach, niewielu przyjemnościach, na które mógł liczyć, jak choćby Vivaldi. Zamknął oczy, a smyczki pieściły go i uspokajały. Umysł pokonywał materię. Odkrył, że jego umysł zdolny był przezwyciężyć wszystko, jeśli tylko mu na to pozwolił.

Kontynuował swój wieczorny rytuał. Zapalił kilka świeczek o zapachu cytrynowym i sprawdził czajnik z wodą na rozgrzanej płycie kuchenki. Jego biała koszula, świeżo wyprana i wyprasowana przez jedną z kobiet z wioski, już lepiła się do pleców. Pot spływał mu po piersi, ale on i tak nie mógł się doczekać wieczornej filiżanki gorącej herbaty. Tego wieczoru z paczki otrzymanej od przyjaciela z sieci wybrał herbatę rumiankową. Jakaż to rozkosz dostać

przesyłkę z rozmaitymi gatunkami liściastej herbaty, ciastkami z galaretką i kruchymi herbatnikami. Oszczędzał je, wydzielał sobie, pragnął się nimi cieszyć, podobnie jak myślą, że ktoś, kogo nigdy nie pozna osobiście, przysyła mu takie wspaniałe prezenty, takie cudowne dary.

Wsypał odpowiednią ilość herbaty do zaparzaczki z metalowej siatki i zanurzył ją w gorącej wodzie, potem przykrył kubek i czekał, aż herbata odpowiednio naciągnie. Po chwili uniósł przykrywkę, para buchnęła mu w twarz, wdychał cudowny aromat. Wyjął zaparzaczkę, postukał nią o kubek, żeby nie zmarnować ani kropli esencji.

Samotny moskit zignorował cytrynowy zapach świec i bzyczał nad jego głową. Na zewnątrz wieczorny prysznic deszczu sprawiał jedynie, że upał był jeszcze wilgotniejszy. Ale on siedział z kubkiem herbaty i swoją muzyką, i przez krótki moment czuł, jakby naprawdę był w niebie.

Nie skończył jeszcze pierwszego kubka herbaty, kiedy przestraszył go jakiś hałas za drzwiami. Siadł prosto i czekał, aż rozlegnie się pukanie, ale nikt nie zapukał. Dziwne. Nie zdarzało się, żeby wzywano go o tej porze, nikt też nie zjawiał się u niego bez zaproszenia. Szanowali jego prywatność i nawet przychodząc z pilną sprawą, przepraszali za najście.

Może to wiatr. Oparł się znów wygodnie i słuchał deszczu. Tego wieczoru krople stukały cicho i delikatnie w blaszany dach.

Zasłuchany, nagle zdał sobie sprawę, że wcale nie było wiatru.

Ciekawość kazała mu odstawić kubek. Wstał, ale nie zrobił kroku, gdyż zakręciło mu się w głowie. Kiedy odzyskał równowagę, powoli podszedł do drzwi, cicho, wciąż nasłuchując, czy ktoś był po drugiej stronie. To głupie wpadać w taką paranoję. Nie, nie paranoję – to tylko ostrożność, rozwaga. Coś, czego nauczył się z konieczności.

Przekręcił klucz i otworzył drzwi tak energicznie, że przestraszył małego chłopca. Omal nie przewrócił go na ziemię.

– Arturo? – Wyciągnął ku niemu rękę.

Poznał jednego ze swoich wiernych ministrantów. Drobniejszy niż jego rówieśnicy, chudy i delikatny, miał smutne ciemne oczy. Zawsze był gotów przypodobać się księdzu. Stojąc w deszczu, wyglądał jeszcze bardziej bezbronnie. W rękach trzymał brązowe kartonowe pudełko.

– Co tu robisz? – Widząc zmieszaną minę chłopca, powtórzył: – Arturo, qu?é hace usted aqu?

– Si, para usted, padre. – Arturo z uśmiechem pokazał paczkę, najwyraźniej dumny, że zaufano mu i wysłano z taką misją.

– Paczka dla mnie? Ale od kogo? Quién lo mandó? – Gdy wziął pudełko z rąk chłopca, stwierdził, że prawie nic nie waży.

– Yo no sé. Un viejo… stary mężczyzna.

Ojciec Keller zmrużył oczy w ciemności, żeby popatrzyć na ścieżkę prowadzącą do kościoła. Nikogo tam nie było. Ktokolwiek dał chłopcu paczkę, już sobie poszedł.

– Gracias, Arturo. – Ojciec Keller poklepał malca po głowie. Cieszył się z jego uśmiechu, bo Arturo nie miał wiele radości w życiu. Przypominał mu jego własne dzieciństwo. Dziecko, które pragnęło, żeby ktoś je zauważył i żeby komuś na nim zależało. – Hasta domingo. – Pogłaskał chłopca po policzku.

– Si, padre.

Z uśmiechem na ustach Arturo pobiegł ścieżką i zniknął w czarnej mgle.

Zaniepokojony Keller ostrożnie trzymał pudełko. Może to kolejna paczka od jego przyjaciela z sieci, który mieszka w Stanach. Herbata i ciastka. Arturo powiedział, że dał mu ją jakiś stary mężczyzna. Może ktoś zastępuje listonosza, ktoś, kogo Arturo nie zna? Dla takich dzieciaków każdy po trzydziestce to starzec. Tyle że na paczce nie było żadnej naklejki. Żadnych znaczków, w ogóle nic.

Wniósł paczkę do domu i znów zwrócił uwagę na to, jaka jest lekka, zbyt lekka, żeby zrobić mu krzywdę. Mimo to położył ją na małym drewnianym stoliku i zaczął oglądać ze wszystkich stron. Nie było na niej znaczków, żadnych pieczątek. Nie wyglądało nawet na to, żeby jakaś przylepiona wcześniej naklejka odleciała. Czasami docierały do niego paczki zniszczone w czasie transportu. W końcu mieszkał w dżungli.

Wreszcie Keller z westchnieniem sięgnął po nóż do filetowania. Przeciął taśmę i zawahał się, po czym powoli pociągnął. Nie skończył jeszcze zdejmować papieru

pakunkowego, kiedy to zobaczył. Cofnął gwałtownie rękę, jakby się oparzył.

Co za głupi żart! To musi być żart. Bo kto by wiedział? I jak by się dowiedział?

Ręce mu drżały, kiedy wyjmował plastikową maskę, podobiznę Richarda Nixona, maskę, jaką zakłada się podczas Halloween.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Omaha, Nebraska

Gibson zachodził w głowę, skąd ten hałas. Było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć, brzmiało to w każdym razie jak strumień wody. Może to z toalety, która znajdowała się między jego sypialnią i sypialnią jego młodszego brata. Wystarczyło szarpnąć rączkę, ale Tyler wiecznie o tym zapominał.

Wiercił się, aż w końcu położył się na boku. Naciągnął koc na głowę i próbował zignorować hałas, wciskając twarz w poduszkę. Wszystko na nic. Woda nadal bulgotała. Jeszcze głośniej.

Cholera, czy tak trudno szarpnąć tę pieprzoną rączkę?

Wyczołgał się z łóżka i po omacku ruszył do drzwi, jak zwykle, gdy wstawał w środku nocy do łazienki. Gdyby zapalił światło, mama wpadłaby w histerię i chciałaby wiedzieć, co się dzieje. Poza tym zwykle zostawiała na noc lampkę w przedpokoju, takie sterowane automatycznie badziewie, które włącza się samo, kiedy zapada wieczór. Tej nocy jednak było ciemno. Pewnie to cholerstwo się przepaliło. Zwyczajne gówno.

Szedł, trzymając się ściany. Gulgotanie nie ustawało. Nie mylił się, dźwięk płynął z łazienki między sypialniami. Miał chęć obudzić Tylera i pokazać mu, co powinien zrobić. Ale

zaraz, czy Tyler nie został tej nocy u kolegi? Chyba że gnojek zmienił zdanie.

Spod drzwi łazienki sączyło się światło. Mało, że Tyler nie zakręcił wody, to jeszcze zostawił światło. Jezu, co za dupek. Gibson otworzył drzwi i zamarł. Na podłodze łazienki, na boku, leżał wielebny O'Sullivan. Gulgotanie, które słyszał Gibson, to była krew, która wypływała z nosa i ust oraz piersi księdza. Oczy patrzyły nieruchomo prosto na niego.

Gibson cofnął się i uderzył w ścianę. Potrząsnął głową i rozejrzał się po małej łazience. Wszystko było na swoim miejscu. Nawet zwinięty ręcznik, który zostawił na podłodze. Zamknął oczy i znowu je otworzył.

Wtedy ksiądz zamrugał.

Chryste! Gibson rzucił się do ucieczki, ale drzwi zamknęły mu się przed nosem. Nie mógł znaleźć klamki. Co, do diabła, z tą klamką?

Zerknął przez ramię. Wielebny drgnął i obrócił się, a następnie zaczął się podnosić. Gibson stał przyklejony do ściany, zbyt osłupiały, żeby zrobić choć krok. Stał jak sparaliżowany, serce waliło mu w uszach, a pot spływał po plecach. Kiedy Gibson widział księdza po raz ostatni, ten leżał w toalecie na lotnisku. Była krew, dużo krwi. Jak się tutaj dostał?!

Wielebny O'Sullivan spojrzał na niego z uśmiechem, otrzepując spodnie.

– Nie sądziłeś chyba, że to takie proste, co, Gibson? Zostawiłeś mnie tam, na podłodze. – Starł krew płynącą po

koszuli, jego palce zrobiły się czerwone, krew skapywała na kafle. Żył, a w jego oczach płonęła złość. Złość na Gibsona. – Bo myślałeś, że nie żyję? – dodał wielebny, jakby czytał w jego myślach. – Naprawdę sądziłeś, że tak łatwo się mnie pozbędziesz? Gibson, Gibson, Gibson. Właśnie ty, spośród wszystkich chłopców, powinieneś był wiedzieć lepiej.

Wielebny O'Sullivan ruszył w jego stronę.

– Moja mama jest na korytarzu – uprzedził Gibson, niczego innego nie mając na swoją obronę.

– Nie, nie ma jej, sprawdziłem.

Wielebny szedł dalej, grożąc drżącym palcem, z którego kapała krew. Na jego ustach widniał uśmiech, ten znaczący uśmiech, na widok którego Gibsonowi ściskał się żołądek. Nie słyszał, żeby mama wróciła do domu, nawet Tyler nocował u kolegi. Nikt go nie usłyszy, choćby wrzeszczał co sił w płucach.

– Na kolana, synu. Wiesz, co masz robić – powiedział wielebny O'Sullivan, zbliżywszy się do niego.

Gibson czuł już śmierdzący alkoholem oddech księdza.

Obudził się, zrzucił z siebie koc. Trząsł się, mokry od potu, ale gdy wreszcie zdał sobie sprawę, że to był tylko sen, ogarnęła go wielka ulga. Wtedy właśnie uświadomił sobie, że nadal pełnym paniki szeptem powtarza „Ojcze nasz”.

Zamilkł siłą woli. Próbował leżeć spokojnie i słuchać.

Nie było żadnego gulgotania. Kompletnie nic.

Gapił się w sufit, widząc znajome cienie gałęzi drzewa, które rosło za oknem. Patrzył i słuchał. W końcu panika go opuściła i wówczas poczuł ten zapach. Wzdrygnął się

i westchnął zniesmaczony, po czym wygramolił się z łóżka. W ciemności zaczął zdejmować prześcieradło. Może powinien założyć czyste, a to wrzucić do pralki, żeby mama nic nie zauważyła. Nie powinien jej denerwować. Nie chciał, żeby się o tym dowiedziała. Za bardzo się wstydził, że już od roku moczył się w nocy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sobota, 3 lipca
Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen Patterson siedziała po turecku na podłodze na środku swojego salonu, ubrana jedynie w szlafrok. Włosy miała wciąż mokre po prysznicu. Choć zazwyczaj piła tylko jedną filiżankę kawy, teraz kończyła już trzecią. Odsunęła na bok mały stolik i porozkładała artykuły z gazet oraz teczki z dokumentami. Na prawo miała ręcznie pisane na skrawkach papieru listy mordercy, każdy w plastikowym woreczku, ułożone w jednym szeregu. Traktowała je jak dowody, obchodziła się z nimi ostrożnie, jakby chciała zrekompensować sobie fakt, że nie przekazała ich właściwym osobom. Właściwe osoby to była detektyw Julia Racine i spółka, do której teraz należała również Maggie.

Za oknem cichła poranna burza, już tylko lekki deszcz stukał w szyby i pogrzmiewało w oddali. Gwen nie zamknęła okien w salonie, licząc, że chłodny wiatr i świeży zapach deszczu ożywi ją po nieprzespanej nocy.

Potoczyła wzrokiem po rozłożonych papierach, nie wiedząc, czego właściwie szuka. I czy rozpozna, że nareszcie trafiła, gdy to coś wpadnie jej w ręce? Czy to możliwe, żeby morderca był zupełnie obcym jej człowiekiem? Może widział ją tylko na zdjęciu w gazecie

albo na ekranie telewizora. Mógł też słyszeć jej wywiad w radiu albo pojawił się, gdy podpisywała swoją książkę. Czy to prawdopodobne, że tylko przypadkiem wybrał ją na swój kontakt? Że usłyszawszy gdzieś o niej, uznał ją za eksperta, i stąd ta decyzja? Przecież wystarczyło przeszukać Lexus-Nexus, żeby znaleźć mnóstwo informacji na temat jej zawodowej kariery. Dość, by mógł udawać, że ją zna, nawet gdyby nigdy jej nie spotkał.

Skupiła się na jednej z notatek w foliowym woreczku, czytała napisane drukowanymi literami starannie dobrane słowa składające się w prostą instrukcję, do której, jakby po namyśle, zostało dopisane subtelne ostrzeżenie. Przypominało jej to zdania, jakie znajduje się w chińskich ciasteczkach z wróżbami: „Rób, co ci kazano, albo ucierpi osoba, którą kochasz”. Dopiero po otrzymaniu trzeciego listu uznała, że morderca to ktoś jej znany. Ale na jakiej podstawie? Ostrzeżenie brzmiało: „Jeśli kochasz swojego ojca, nie piśniesz ani słowa”.

Gwen zastanawiała się, czy ta groźba nie była jedynie zwykłym pustosłowiem. Każdy bez trudu mógł się dowiedzieć, kim był jej ojciec, a dowiedziawszy się, że chodzi o znanego psychologa, łatwo było się domyślić, w jak bliskim kontakcie z nim pozostawała. Do tego doktor John Patterson mieszkał w Nowym Jorku, ponad osiemset kilometrów stąd, w doskonale strzeżonym apartamentowcu, i pracował w centrum naukowo-badawczym, gdzie wymagano rządowych przepustek. Prawdę mówiąc, gdyby

mu wspomniała o tej groźbie, wyśmiałby ją i uznał, że jego mała córeczka przesadza.

„Jego córeczka”. To określenie w dalszym ciągu doprowadzało ją do furii. Tyle dokonań, prestiżowe stopnie naukowe i dyplomy, książkowy bestseller i dziesiątki publikacji, a ojciec nadal nie traktował jej poważnie. Jego zdaniem marnowała swój błyskotliwy umysł przez tę, jak to nazywał, obsesję, czyli fascynację przestępczą osobowością, zachowaniami ludzi, którzy tę osobowość reprezentowali. Uważał, że to zwykła strata czasu.

Wzięła do ręki jeden z artykułów wycięty z „Washington Post”, z góry wiedząc, że nie znajdzie w nim nic nowego. Tyle razy już go czytała, że mogłaby wyrecytować z pamięci wszystkich dwanaście akapitów. Artykuł niczego nie wnosił, podawał wyłącznie podstawowe informacje. Gwen rzuciła go na bok i sięgnęła po stertę teczek z dokumentami pacjentów, które przywiozła z gabinetu. Szybko wybrała jedną z nich i zaczęła kartkować swoje notatki. Czy coś w nich znajdzie? Jakąś ciekawą obserwację zanotowaną podczas jednej z sesji z Rubinem Nashem?

Zazwyczaj jej notatki były zwięzłe; posługiwała się w nich pojedynczymi wyrazami i skrótami, własną wersją stenografii. Gdyby robiła inaczej, pacjent mógłby się zaniepokoić. Gwen nauczyła się notować podczas sesji tak niezauważalnie, że nawet zapisanie informacji w rodzaju „nieobliczalny”, „11” czy „ojciec odszedł”, nie wzbudzało uwagi ani obaw. Oczywiście osobie postronnej te luźne gryzmoły nic by nie powiedziały, jednak Gwen wystarczyło

jedno spojrzenie i od razu przypomniała sobie, że Rubin Nash zachowywał się nieobliczalnie, ilekroć rozmawiali o pewnym lecie, kiedy obchodził jedenaste urodziny, a jego ojciec odszedł z domu. Nie z własnej jednak woli, bo został wyrzucony przez matkę Rubina.

Notatki zawierały niepokojące słowa i wyrażenia, których użył pacjent podczas pięćdziesięciominutowej sesji. Zresztą nie musiała wcale odwoływać się do swoich zapisków. Pamiętała, jak wyjaśniał, a raczej mówił – bo zbyt jej ufał, żeby miał potrzebę się tłumaczyć – że odczuwał silną chęć, by kogoś udusić, jakąś kobietę, jakąkolwiek kobietę. Nieważne, czy ją znał, zadowoliłby się całkiem obcą. Kobiety tyle mu odebrały, że pragnął, by poniosły za to karę. To byłby symboliczny gest, jak później stwierdził ze śmiechem, kiedy już się uspokoił. Jednocześnie dodał, a ona zapisała co do słowa, że był ciekaw, „jakie to uczucie łamać komuś kark i słyszeć, jak trzeszczy”.

Takie słowa, o czym Gwen doskonale wiedziała, wcale nie znaczyły, że Rubin Nash byłby zdolny wprowadzić je w czyn. Słyszała mnóstwo kuriozalnych opowieści od swoich pacjentów. W większości wypadków ich pogróżki stanowiły jedynie część procesu terapeutycznego, słowne ćwiczenie, służące odblokowaniu emocji. Kiedy pacjenci dzielili się z nią swoimi najbardziej ponurymi sekretami, pragnieniami czy nawet chęcią zemsty, nie zawsze świadczyło to, że byli groźni. Częściej oznaczało po prostu, że jej zaufali i czuli się z nią bezpiecznie. Jednakże Gwen zbyt wiele lat pracowała nad portretami psychologicznymi

przestępców, żeby całkiem zlekceważyć podobne uwagi, zwłaszcza podane tak spokojnie, jak robił to Rubin Nash. I zapewne dlatego jeszcze pilniej niż zazwyczaj wsłuchiwała się w jego wypowiedzi i baczniej go obserwowała, chociaż był tylko pacjentem, a nie podejrzanym o zbrodnię, którego FBI podesłała jej do psychoanalizy.

Może jej ojciec miał rację. Może to obsesja. Kiedyś spędzała tak dużo czasu jako konsultant w Quantico, że zastępca dyrektora Cunningham żartował, iż powinna dostać tam własne biurko. Jednak ostatnimi laty, kiedy prywatna praktyka ruszyła na dobre, Gwen niemal ze zdziwieniem stwierdziła, że z ulgą zamieniła analizowanie gwałcicieli i morderców na wysłuchiwanie sfrustrowanych żon senatorów i nerwowej paplaniny przesadnie ambitnych kongresmanów. Prawdę mówiąc, niedawno przechwalała się Maggie, że od dwóch lat, kiedy to Eric Pratt groził, że wbije jej ostro zatemperowany ołówek w gardło, nie przebywała w jednym pokoju z mordercą.

Też mi powód do chwały, wyśmiałby ją ojciec, gdyby tylko to słyszał. Zawsze starała się ukrywać przed nim i przed matką zagrożenia związane z jej tak zwaną obsesją. Czy ojciec potraktowałby ją poważnie, gdyby o tym wiedział, czy uznałby, że jest nierozsądna?

Zresztą jakie to ma znaczenie. FBI, zgodnie z jej życzeniem, rzadziej zwracało się teraz do Gwen z prośbą o ekspertyzę. Wolała pisać książki i artykuły na temat zachowań kryminalnych. To jej odpowiadało. Nie miałaby nic przeciw temu, żeby już nigdy nie zasiąść naprzeciw

mordercy i łagodną perswazją zdobywać jego zaufanie. A jednak, niezależnie od tego, jak bardzo się starała, została wciągnięta w świat kolejnego zbrodniarza. Ten drań postanowił nakłonić ją do współpracy. Tym razem nie posłużył się nożem ani ołówkiem przytkniętym do jej gardła, ani lufą skierowaną w jej głowę. Chyba nawet wolałaby któryś z tych sposobów zamiast gróźb, jakie wybrał. Swoją drogą dokonał mądrego wyboru. Nie mogła zaryzykować i powiedzieć o tej sprawie policji, nie śmiała wspomnieć o niczym ojcu. Dlatego była pewna, że zna tego człowieka. Zastanawiała się, czy to ktoś, kto co tydzień siadał naprzeciw niej, przyglądał się jej i obserwował, choć płacił za to, żeby to ona mu się przyglądała.

Spojrzała na zegar na półce nad kominkiem. Za dwie godziny musi jechać do gabinetu, na sobotnie sesje z pacjentami. Podczas pierwszej z nich mieli z Nashem ustalić nowy plan jego podróży. Nagle Gwen przypomniała sobie, co Maggie powiedziała o ciałach trzech niezidentyfikowanych ofiar, które przypuszczalnie zostały gdzieś wrzucone do śmietnika, być może za granicami miasta. Czy to zbieg okoliczności, że Rubin Nash zaczął nagle częściej podróżować w interesach?

Dzwonek komórki przerwał jej rozważania. Wyjęła telefon z teczki.

– Doktor Patterson.

– Cześć, kochanie, mówi tata.

Tak ją to zmroziło, że skoczyła na równe nogi, i niemal natychmiast zdała sobie sprawę, że zachowuje się

idiotycznie. Ojciec mówił normalnym, niemal radosnym tonem. Był świąteczny weekend. Ojciec zawsze dzwonił do niej w świąteczne weekendy.

– Jak się macie?

– Dobrze. Świetnie. Mama gra w brydża. Ale gdzie jesteś, kochanie? Czekam w Regis już prawie pół godziny.

– Słucham?

– Napisałaś, że spotkamy się o ósmej na śniadaniu w Regis. Dlaczego mnie wcześniej nie uprzedziłaś, że będziesz dziś w mieście?

Gwen cudem dotarła do sofy i opadła na miękkie siedzenie. Więc morderca wiedział, że będzie miała złe przeczucia, znał ją aż tak dobrze. Zapewne chciał jej w ten sposób pokazać, jak łatwo mógłby spełnić swoją groźbę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Departament Policji w Omaha

Detektyw Tommy Pakula przełknął kolejny łyk zimnej kawy. Wychowany w rodzinie katolickiej, nigdy nie wątpił w istnienie Boga, zbyt często jednak nie potrafił docenić boskiego poczucia humoru. Właśnie teraz był taki moment. Siedząc na twardym krześle i słuchając potoku słów agenta specjalnego Boba Westona, Pakula doszedł do wniosku, że Bóg chciał go chyba ukarać. Po dwudziestu minutach wykładu i biadolenia tego małego człowieczka Pakula stwierdził, że Bóg zapewne ukarał go Bobem Westonem nie bez powodu.

– Niech pan przestanie mówić choć na minutę czy dwie – odezwał się wreszcie Pakula, unosząc ręce. Weston był tak zaszokowany, że ktoś śmiał mu przerwać, iż zamilkł w jednej chwili. – Gada pan co najmniej pół godziny, a ja dalej ani w ząb nie widzę, kurna, związku między faktem, że ten jakiś Ellison został zasztyletowany podczas festiwalu sztuki w Minneapolis i tym księżulem zabitym w kiblu na lotnisku.

– Mam zacząć od początku?

– Nie! – krzyknęli zgodnie Pakula i Carmichael.

– Może przejdzie pan do puenty – powiedział Pakula niemal błagalnym tonem. Pewnie gościu jest

przepracowany, pomyślał. – No, co ich łączy?

Weston wyszczerzył zęby w uśmiechu, jak ktoś, kto jako jedyny zna rozwiązanie zagadki.

– Większość osób nie dostrzegłaby tego związku, bo z pozoru jest niejasny, ale tak się składa, że pochodzę z Minneapolis, więc na ogół zwracam uwagę na to, co tam się dzieje. Mój brat nadal tam mieszka. Z rodziną.

Pakula jęknął i przetarł oczy. Weston to zauważył. Uśmiech zastąpiły uniesione brwi. Pakula zastanawiał się, czy poirytowany Weston jest jeszcze gorszy od pewnego siebie Westona. Uznał, że nic go to nie obchodzi. Usiadł wygodniej na krześle i wlepił wzrok w agenta.

– No dalej, Weston – przerwała ciszę Carmichael. – Wiemy, że jest pan bardzo inteligentny. Tylko niech pan nam wreszcie powie, na czym polega ten pieprzony związek.

– Właśnie się staram. Mój brat z rodziną chodził do kościoła Świętego Patryka, kiedy Daniel Ellison przez krótki czas służył w tamtejszej parafii. Ellison porzucił sutannę, ożenił się i pracował w reklamie. – Skończył i rozejrzał się zadowolony, po czym przysiadł na skraju biurka, burząc stos raportów tyłkiem odzianym w modne spodnie. Nawet tego nie zauważył. Zdawało się, że czeka na wyrazy uznania.

– To wszystko? – zapytała Carmichael. – To pański sekretny związek? Że Ellison był kiedyś księdzem?

– I że został zabity ciosem noża w piersi, i to w publicznym miejscu. W samym środku dnia, podczas festiwalu, w tłumie ludzi. – Weston znów wstał. – Nikt nie

widział, jak do tego doszło. Żona Ellisona przypomina sobie, że się z kimś zderzył, a potem padł na ziemię. – Podał Pakuli teczkę, którą z sobą przyniósł. – Jak już będziecie mieć raport z autopsji, przejrzyjcie te dwie sprawy.

– Czego mamy szukać?

– Nie wiem, ale założę się, że znajdziecie jakieś podobieństwa.

– A jeśli znajdziemy, to myśli pan, że w okolicy grasuje morderca księży? – Pakula pokręcił głową bez przekonania. – Jeden martwy księżulo i facet, który był księdzem… dla mnie to brzmi jak zbieg okoliczności.

– Przecież sami dzwoniliście po mnie. – Teraz Weston uniósł ręce. – Pytaliście, dlaczego arcybiskup Armstrong nie chce, żeby FBI zaangażowało się w sprawę.

Pakula dostrzegł w drzwiach Kasaba, który na niego machał. W innej sytuacji wrzasnąłby na smarkacza, żeby się zabierał, teraz jednak zobaczył w tym pretekst do ucieczki.

– Zaraz wracam – rzucił do Carmichael i skinął głową Westonowi. Zanim dotarł do drzwi, pomyślał, że Kasab wygląda, jakby przyszedł z jakąś własną tajemnicą. Chciał mu powiedzieć, żeby nigdy nie grał w pokera, ale po zatargu z Westonem nie miał już sił na dalsze scysje.

– Co jest?

– Mam dobrą i złą wiadomość.

– Okej – odparł Pakula. Minęło kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, że Kasab czeka na polecenie, od czego ma zacząć. – Okej, najpierw dobra.

– Udało mi się zdobyć billing domowego telefonu wielebnego O'Sullivana. Dzwonił tylko na plebanię kościoła Matki Boskiej Bolesnej, rozmowa trwała jakąś minutę, i do ojca Tony'ego Gallaghera na komórkę. Rozmowa trwała ponad siedem minut. Odbyła się tuż przed godziną wylotu.

– Więc pewnie to była ostatnia osoba, z jaką rozmawiał wielebny.

– Najprawdopodobniej. Jeśli chodzi o osoby spoza lotniska.

– No to chyba musimy pogadać z tym ojcem Gallagherem. Możesz to załatwić?

– Jasne.

– A zła wiadomość?

– Pojechałem na lotnisko odebrać bagaż wielebnego O'Sullivana. Pamięta pan, powiedzieli, że przechwycą go w Nowym Jorku i rano będzie z powrotem w Omaha?

– Popraw mnie, jeśli się mylę – przerwał mu Pakula. – Jest w Rzymie.

– Nie, wrócił do Omaha, ale ktoś go odebrał przede mną.

– Żartujesz sobie? Jaki dureń oddałby to bez pozwolenia?

– Kiedy temu urzędnikowi powiedziano właśnie, że jest pozwolenie.

– Kto mu to, kurna, powiedział?

Kasab przekartkował swoje notatki, żeby się nie pomylić.

– Niejaki brat Sebastian. Powiedział, że jest z biura archidiecezji Omaha. No a jak kogoś przysyła arcybiskup, to jak mu nie wierzyć? Tak mi powiedział ten gość.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

W takie właśnie ranki jak ten Maggie O'Dell zastanawiała się, czy wszystko jest z nią w porządku. Dzień był piękny, po deszczu powietrze było przejrzyste, zaczynał się świąteczny weekend, a ona nie musiała niczego odwoływać ani zmieniać żadnych planów. Nie miała przyjaciół, rodziny ani kochanka, których mogłaby zawieść. Nawet Harvey, który wodził za nią wzrokiem, nie podnosząc łba z poduszki, zbyt łatwo jej odpuścił i nie popędzał, by wyszli już do ogrodu. Co gorsza, naprawdę nie mogła się doczekać tej autopsji. No, może nie czekała na nią tak jak na jakieś miłe chwile, ale jej umysł podjął już pracę nad kolejną układanką, dopasowywał fragmenty, porządkował je – i potrzebował do tego więcej szczegółów. Tak bardzo już się zaangażowała, że obudziła się o drugiej w nocy i wyjęła kopie dokumentów sprawy.

Przypadki ćwiartowania ciał nie dawały spokoju nawet najbardziej wytrawnym weteranom – Maggie również była na nie wyjątkowo uczulona. Morderstwa z ćwiartowaniem ciał i zabójstwa dzieci zwykle spędzały jej sen z powiek jeszcze długo po aresztowaniu sprawcy, po sprawie sądowej i wyroku. Czasami dręczyły ją w nocy koszmary, widziała części ludzkiego ciała wepchnięte do pojemników na

jedzenie na wynos. Zawdzięczała to Albertowi Stucky'emu. W innych występowali mali martwi chłopcy, nadzy, chudzi i sini, pozostawieni w błocie i wysokiej trawie nad brzegiem Platte River. Albert Stucky nie żył już, został pochowany. Widziała to na własne oczy. Za to ojciec Michael Keller wymknął się i mieszkał gdzieś w Południowej Ameryce, i nawet Kościół katolicki nie znał miejsca jego pobytu.

Maggie przystanęła w drzwiach pomieszczenia, gdzie dokonywano autopsji, żeby zebrać myśli i wypić do końca dietetyczną pepsi. Stan Wenhoff wyrzucał za drzwi każdego, kto choćby odwinął z papierka batonik podczas autopsji. Nie było to wcale głupie, chociaż twierdzenie Stana, że takie zachowanie świadczy o braku szacunku dla zmarłego, zakrawało na obłudę. W końcu mówił to ten sam facet, który, wskazując ciało denata, potrafił wrzasnąć:

– Zgarnij to!

Wchodziło się tam jak do lodówki. Maggie wzięła ze sterty dwa fartuchy i przywitała się ze Stanem, który burknął coś w odpowiedzi. Julia Racine była w nie lepszym humorze. Jak zwykle bezradnie szukała fartucha w rozmiarze mniejszym niż XL, bo tylko takie Stan przygotowywał dla swoich gości.

– Czemu tu tak cholernie zimno? – narzekała Racine.

– Mamy wybór, pani detektyw. Albo wytrzymamy zimno, albo oblezą nas czerwie.

Maggie nie pamiętała, żeby Stan kiedykolwiek wcześniej włączał klimatyzację. Pomieszczenia do autopsji położone w piwnicach zostały niedawno wyremontowane, ale stare

przewody nie. Włączenie ogrzewania albo chłodzenia groziło zanieczyszczeniem i zniszczeniem dowodów, dlatego Stan przez godzinę czy dwie trwania autopsji niczego nie włączał. Teraz jednak widocznie musiał uznać, że lepsze ryzyko niż czerwie.

Racine nie odpowiedziała. Zerknęła na Maggie, która wkładała właśnie drugą parę rękawiczek. Racine postanowiła pójść jej śladem. Musiała owinąć się szerokimi fartuchami, wyglądała teraz jak mumia. Maggie zauważyła, że dobrze zbudowana Racine schudła od ich ostatniego spotkania. Doszły ją słuchy, że często krąży między Waszyngtonem i Connecticut, odwiedza ojca, którego stan się pogarszał. Maggie w dramatycznych okolicznościach poznała Luca Racine'a i poczuła do niego sympatię. Luc miał początki Alzheimera, a mimo to pomagał Maggie, można nawet powiedzieć, że wzajemnie przychodzili sobie na ratunek. Czułość i troska, jakimi Maggie obdarzyła starego Racine'a, zbliżyła ją, wbrew jej woli, z Julią. Czasami zastanawiała się, co by było, gdyby spotkały się w innych okolicznościach, bez sprawy, która o mały włos nie została sknocona, no i bez zalotów ze strony Racine. Czy zostałyby wtedy przyjaciółkami?

Patrzyła, jak Racine przygląda się swojej sterczącej jasnej fryzurze odbitej w błyszczącej metalowej tacy. Maggie wiedziała, że pod dufnością i brawurą kryje się wrażliwa i niepewna siebie kobieta, która balansuje na cienkiej linie. Wciąż stara się niczego nie zepsuć, skrywa choćby cień strachu i wątpliwości. Maggie dostrzegała je nieraz

w przebłysku, i w tych ulotnych momentach uświadamiała sobie, że to właśnie łączy ją z Julią. Obydwie świetnie ukrywały swoje prawdziwe ja.

Maggie podała jej parę lateksowych rękawiczek. Racine zdumiała się ich okropnym fioletowym kolorem.

– Muszę ci to przyznać, Stan – rzekła, wciągając oryginalne rękawiczki. – Zawsze masz najnowsze, najfajniejsze gadżety.

Warknął na nią przez ramię, wyjmując z lodówki zapakowaną w worek głowę i kładąc ją na tacy. Maggie uświadomiła sobie, że uznał słowa Racine, która próbowała żartować, za insynuację, iż wyrzuca państwowe pieniądze na jakieś dyrdymały. Czyżby jeszcze nie wiedział, że zachowanie Racine, jej czasami naprawdę głupie uwagi, to tylko sposób na zamaskowanie onieśmielenia, w jakie wprawia ją autopsja? Być może tak bardzo przywykł już do pracy z ciałami zmarłych, że nie dostrzegał czegoś tak normalnego jak ludzkie emocje.

– Pomóc ci? – spytała Maggie, podwijając rękawy. Chciała zmniejszyć napięcie panujące w sali. Stan jednak znowu coś burknął, tym razem w jej stronę, i natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd. Powinna wiedzieć lepiej. Odsunęła się, zeszła mu z drogi. Biedny Stan. Maggie często myślała, że najchętniej powiesiłby na swoich drzwiach tabliczkę z napisem: „Wejście wzbronione”.

– Ostatnim razem musiałem sobie sklecić narzędzie pracy. – Zlekceważył jej ofertę pomocy i wskazał na coś, co leżało na stole do autopsji, a wyglądało na zacisk zrobiony z rury

PCV i aluminium. – Nie przypuszczałem, że znowu będę musiał tego użyć – utyskiwał.

Otwierał worek z grubej folii, mniejszą wersję worka na zwłoki. Maggie w ostatniej chwili powstrzymała się przed wyciągnięciem ręki. Suwak otwierał się z jej strony. Miała przygotowanie medyczne, które pozwalało jej na czynny udział w autopsji, ale intuicja zwykle jej podpowiadała, czy dany koroner ucieszy się z jej pomocy, czy też poczuje się urażony. Stan należał do tej drugiej kategorii, ale jego powolne ruchy i pozorna niezdarność stanowiły nie lada wyzwanie dla cierpliwości Maggie.

Zerknęła na Racine, spodziewając się, że i ona będzie zniecierpliwiona. Racine tymczasem toczyła wzrokiem po półkach ze słoikami wypełnionymi rozmaitymi okazami. Ściągnęła mocniej pasek fartucha i zerknęła na swoje obuwie ochronne, po czym znów wróciła wzrokiem do wyposażenia sali. Jej spojrzenie wędrowało wokół, byle nie spocząć na głowie, którą Stan nareszcie wydobył z worka i postawił za pomocą narzędzia własnej roboty.

Czerwie schowały się głęboko, tłoczyły się w ciepłych miejscach. Oczy denatki były zatem czyste, patrzyły prosto przed siebie, jej potargane włosy były przyklejone do jednego boku głowy. Nagle z otwartych ust wypłynął obłok pary. Napakowana pełznącym robactwem, kobieta wyglądała, jakby wydała właśnie ostatni oddech.

– Jezu. – Racine spostrzegła to, choć bardzo nie chciała nic widzieć. – Co to, do diabła?

– Te małe dranie zachowują temperaturę dziesięć do piętnastu stopni wyższą niż ich otoczenie – wyjaśnił Stan. – To jakby wyjść na spacer w lekki przymrozek i zobaczyć swój oddech, zetknięcie ciepłego i zimnego powietrza.

– Dość upiorne – stwierdziła Racine.

Tym razem nie spuściła wzroku z twarzy denatki, jakby bała się, że ominie ją kolejne makabryczne odkrycie. Maggie czekała tylko, kiedy Julia ponownie sprawdzi swoje buty. Czy to w chwili wyjęcia gałek ocznych, czy słysząc ssanie, towarzyszące wyjmowaniu mózgu, po odpiłowaniu górnej części czaszki. Zaczęła współczuć Racine. Chciała jej poradzić, żeby myślała o falach oceanu i wyobrażała sobie, jak uderzają o biały piaszczysty brzeg. Żeby myślała o czymkolwiek, co ukoiłoby jej nerwy i uspokoiło żołądek. Maggie pomogło to podczas pierwszej autopsji, w której uczestniczyła. Na stole leżał wówczas mężczyzna z przestrzeloną głową, z twarzą, z której została krwawa miazga. Kiedy lekarz skończył pracę, fale nadal tłukły się w jej głowie.

– Zaczynajmy – powiedział Stan, podnosząc z tacy szczypce i skalpel. – Zanim te dranie zaczną nam łazić po rękach.

Gdy Maggie zobaczyła, że Julia pobladła, zdała sobie sprawę, w czym tkwił jej problem. Wyglądało na to, że łączy je coś jeszcze. Racine nie obawiała się autopsji. Racine bała się czerwi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Omaha, Nebraska

Gibson McCutty siedział przed ekranem monitora i patrzył na zegar w dolnym prawym rogu. Patrzył i patrzył. Był bardzo zmęczony i próbował czymkolwiek odwrócić myśli od poprzedniego wieczoru. Do rozpoczęcia gry zostało dwadzieścia minut, ale niektórzy gracze wcześniej się logowali.

Do gry można było wejść, jedynie gdy się zostało zaproszonym. Wciąż pamiętał dzień, kiedy otrzymał tamtego maila. Był zły i przygnębiony, surfował po sieci, kiedy znienacka przyszedł mail z adresem, którego nie znał. Już chciał go wykasować, bo myślał, że to spam, ale jego uwagę przyciągnął podpis: Pożeracz Grzechów. Imię to brzmiało, jakby było wzięte z gry Dungeons and Dragons, a kryjąca się za nim postać zdawała się obiecywać, czy raczej tylko sugerować, że weźmie na siebie jego grzechy.

Czy to może być takie proste? Zagra i poczuje się lepiej? – pomyślał. Jakby wyspowiadał się w cyberprzestrzeni. A sama wiadomość była prosta i kusząca:

Czy chcesz wziąć udział w grze?

Zasady były ściśle określone i bardzo rygorystyczne. Uczestnikom zakazano wymieniać między sobą jakiekolwiek prywatne informacje, mogli posługiwać się wyłącznie

przyznanymi im kryptonimami. Przed rozpoczęciem każdej gry wolno im było podyskutować na temat strategii oraz postaci, czasami między wierszami przekazywali też coś o sobie, na pozór informując o postaciach z gry.

Nie wszyscy brali udział w tych czatach, niektórzy znów się rozgadywali, inni tylko czasami rzucali jakiś komentarz, jeszcze inni czekali i patrzyli. Gibson należał do tych ostatnich. Nauczył się dużo więcej, obserwując i robiąc notatki, śledząc, co każdy z uczestników mówi poza grą, kiedy tak bardzo się nie pilnuje.

Za pierwszym razem miał wyrzuty sumienia, że podgląda, a nie bierze udziału w rozmowie. Żeby się do niej przyłączyć, należało się zalogować. A dokładniej, trzeba było się zalogować, żeby uzyskać dostęp do toczonych na czacie rozmów. Jednak Gibson odkrył, jak obserwować czat, samemu się nie logując. Nikt zatem nie wiedział, że podgląda graczy. Nie zorientowali się, że w ogóle tam wchodził, dopóki się nie zalogował, żeby rozpocząć grę.

Tego dnia było tak samo.

Patrzył i czekał, aż zaczną rozmawiać, ciekawy, w jakim kierunku tym razem pójdzie dyskusja. Był gotowy do robienia notatek. W świetle dnia, w swojej wygodnej kryjówce, znów czuł się prawie bezpieczny. Dopóki ktoś nie zapukał do drzwi jego sypialni.

– Gibson, co tam robisz? Jest taka piękna pogoda.

Natychmiast przymknął laptop, choć mama nie mogła niczego zobaczyć zza drzwi.

– Gram na komputerze. – Pozbawiony klawiatury, zaczął dotykać twarzy, szukając nowej krosty do wyciśnięcia. Był to nerwowy nawyk, nad którym nie panował.

– Nie masz ochoty iść na basen albo pograć w piłkę z kolegami?

Znalazł nową krostkę na czole pod równo obciętą grzywką. Wiedział, że mama się o niego troszczy i musiał ją za to docenić, ale nadal traktowała go jak wówczas, gdy miał dziesięć czy jedenaście lat, a on skończył już piętnaście. Pograć w piłkę z kolegami? Z jakimi kolegami? Czy nie zauważyła, że nie miał kolegów, w każdym razie poza światem wirtualnym? Wydawało jej się, że jakimś cudem Gibson zostanie gwiazdą sportu, jak niegdyś jego ojciec. Czasami zastanawiał się, czy jego rodzice uważali, że wystarczy dać dziecku imię ojca, żeby odziedziczyło po nim sportowe talenty. Jakież to absolutnie beznadziejne.

– Może później – odparł, dając matce złudną nadzieję, której zawsze potrzebowała.

Na dłuższą metę prościej było jej przytakiwać, by wierzyła, że wszystko jest w porządku. Gdyby znała prawdę, za wszelką cenę starałaby się go zastąpić, ale wiedział, że dużo lepiej niż ona poradzi sobie z kłopotami. Nie chciał, żeby się o niego martwiła.

– Okej, później. Ale postaraj się. To niedobrze, że tyle czasu spędzasz w czterech ścianach.

– Później wyjdę – zawołał przez ramię, wiedząc, że nigdzie się nie ruszy.

Matka nadal stała za drzwiami. Nigdy nie odchodziła od razu. Wolałby, żeby mu tak łatwo nie odpuszczała, żeby mu czymś zagroziła, jak miał w zwyczaju ojciec. Ale ona nigdy tego nie zrobiła.

Słuchał jej kroków, aż ucichły w końcu korytarza. Czekał jeszcze na skrzypnięcie dziewiątego stopnia. Potem wytarł zakrwawione koniuszki palców w spodnie i otworzył laptop.

Na ekranie, w górnym lewym rogu widniała nowa wiadomość, czekała na niego, gapiła się wyzywająco czerwonym drukiem. Gibsonem wstrząsnęły dreszcze. Chciał ją skasować, ale stracił władzę nad dłońmi. Siedział ze wzrokiem wlepionym w ekran.

Wiem, że tam jesteś, Gibson. Widziałem, co zrobiłeś.

Przygryzł dolną wargę i zacisnął pięści, żeby powstrzymać drżenie rąk, czekał, aż panika osłabnie. W końcu wziął głęboki oddech i zaczął stukać w klawisze, nie sprawdzając nawet, czy pisze bez błędów, potem szybko kliknął „Wyślij”, żeby nie zmienić zdania.

Kim jesteś?

I znowu czekał.

Wydawało się, że czekał całą wieczność. Może tamten człowiek się wyłączył? Może nie oczekiwał odpowiedzi? Może blefował? Albo zabrakło mu odwagi...

Jestem Mistrzem Gry. A ty złamałeś zasady.

Dreszcz przebiegł po plecach Gibsona. Wbił wzrok w te słowa, jakby spodziewał się wyjaśnienia. A przecież go nie potrzebował. Dobrze wiedział, o co chodzi. Co gorsza, zdał

sobie sprawę, że nawet we własnym domu nie był bezpieczny, nawet w swojej sypialni.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Platte City, Nebraska

Nick Morrelli popił mrożoną herbatą sałatkę z pomidorów swojej matki, żałując, że nie ma nic mocniejszego od herbaty. Nie minęło jeszcze południe, więc taka myśl nie świadczyła o nim dobrze. Nie mógł uwierzyć, że wziął sobie cały tydzień urlopu, przekazując innemu prokuratorowi sprawę Carlucciego i narkotyków. Zrezygnował nawet z biletów na mecz Red Soksów. Okej, może te bilety to nie było zbyt wielkie poświęcenie. A jednak w imię czego? Żeby pojechać do Nebraski, zamieszkać w domu siostry i cały tydzień uczestniczyć w tym zamieszaniu?

– Czemu się tu ukrywasz?

Starsza siostra, Christine, przestraszyła Nicka, gdy tak nagle stanęła za jego plecami w kącie podwórka na tyłach domu. Nie ukrywał się. Wiekowy ratanowy fotel okazał się całkiem wygodny, chociaż przydałyby mu się nowe poduszki i świeża warstwa farby.

– Nie ukrywam się. Ktoś musi pilnować, żeby Ralphie siedział cicho. – Poklepał kudłaty psi łeb, trzymając papierowy talerzyk poza jego zasięgiem, chociaż pies spał mocno.

– Taa, wygląda, że mu z tobą dobrze. – Christine usiadła na drugim ratanowym fotelu, który lekko się zachwiał.

– Mama mówi, że w dawnych dobrych czasach mężczyźni nigdy nie brali udziału w takich... – Nick krytycznie rozejrzał się po dużym podwórzu rodziców, pełnym ludzi, z których tylko niewielu rozpoznał.

– W dawnych dobrych czasach? Chyba w średniowieczu – odparła siostra. – A ja sądziłam, że to oznaka twojej nowej osobowości. Pamiętasz chyba, że postanowiłeś zostać dojrzałym, odpowiedzialnym człowiekiem.

Poczęstowała go nietkniętym ciastkiem czekoladowym z orzechami, co było o tyle niezwykłe, że w dzieciństwie zawsze proponowała mu nadgryzione przez siebie smakołyki. Jak zatem mógł odmówić? Odłamał sobie kawałek.

– Dojrzałość i odpowiedzialność wcale nie są zabawne – stwierdził z pełnymi ustami, jakby pragnął podkreślić, że nie nadaje się na dojrzałego, odpowiedzialnego mężczyznę. To nie dla niego rola. – Prawie nikogo tu nie znam. – Zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to dość żałośnie. Czekał tylko, aż siostra powie: „A kiedy ci to przeszkadzało?”.

Lecz Christine uznała, że trzeba zniżyć się do poziomu młodszego braciszka.

– Chciałyśmy z mamą ograniczyć listę gości do... powiedzmy, że do tych, z którymi nie spałeś. No wiesz, ze względu na Jill. Przykro mi, że w ten sposób został nam tylko Hal, Tommy i ojciec Tony.

– Au! – Nick najlepiej jak potrafił udał frajera, który dostał w szczękę. Szczerze mówiąc, należało mu się. Sporą część kawalerskiego życia spędził, doskonaląc się w sztuce

podrywania dziewczyn na jedną noc, więc zasłużył, żeby mu to od czasu do czasu wypomnieć.

– Poważnie, Nick. Nie rozumiem cię. – Tym razem Christine czekała, aż na nią spojrzy, a on wiedział, że to koniec żartów. – Twierdzisz, że tego właśnie chcesz. Że Jill Campbell to najlepsze, co mogło ci się zdarzyć, a teraz na własnym przyjęciu zaręczynowym tkwisz w kącie podwórza ze starym, śpiącym psem.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Oczywiście, że cieszył się swym przyszłym małżeńskim szczęściem. Poszukał wzrokiem Jill, która przemieszczała się między grupkami gości. Właściwie nie szła, a sunęła. W żółtej sukni przypominała bardziej modelkę niż panią adwokat. Tego dnia rozpuściła jasne włosy, które muskały jej ramiona. W sądzie zwykle upinała je z tyłu albo do góry, żeby dodać lat i powagi gładkiej młodej twarzy.

Powtarzał jej wiele razy, że uratowała go przed nim samym, lecz nigdy nie wytłumaczył, co to znaczy. Zakładał, że Jill wiedziała, iż w jego życiu był ktoś, o kim próbował zapomnieć. Nie wypytywała go o szczegóły, jakby wzięła na swoje barki zadanie, by w cichości, krok po kroku, w końcu zastąpić tę nieznaną kobietę.

– Znowu to samo – zauważyła Christine, a Nick natychmiast pojął, że czegoś mu brak. Zanim odpowiedział, dodała: – Wciąż to samo, Nicky. Wciąż jesteś nieobecny.

Przewrócił oczami, jakby nie słyszał nic bardziej idiotycznego i bezsensownego, choć świetnie wiedział, co siostra miała na myśli. Od miesięcy nie był w stanie na

niczym się skupić. Will Finley, jego przyjaciel i współpracownik, twierdził, że to zaczęło się w dniu, kiedy ustalił z Jill datę ślubu. Innymi słowy, kiedy uległ Jill.

Nick z humorem przyznawał, że faktycznie był rozkojarzony.

– To przecież normalka, jak człowiek jest zakochany i zamierza skoczyć na głęboką wodę.

Przyjaciel miał to już za sobą, bo przed paroma miesiącami poślubił Tess McGowen, miłość swojego życia. Zrozumiałe więc, że Nick oczekiwał od niego zrozumienia. Zwłaszcza po Willu spodziewał się zrozumienia i solidarności. Tymczasem reakcja przyjaciela zabolała jak cios.

– Skok na głęboką wodę? – zaśmiał się Will. – Nazywasz małżeństwo skokiem na głęboką wodę, a potem dziwi cię, że masz z tym problem?

Nick wypił kolejny łyk mrożonej herbaty, jakby musiał oczyścić się ze wspomnień. Co on tam wie, ten Will? Szczęśliwi szybko zapominają, jak smakuje nieszczęście.

Nieszczęście?

Co z nim jest, do cholery? Przecież nie był nieszczęśliwy. Jill go uratowała. Nagle sobie uświadomił, że znowu postąpił tak jak zawsze, znowu zabłądził. Zerknął na Christine. Sądził, że zobaczy jej zniecierpliwioną minę, ale ona wcale na niego nie patrzyła. Poszedł za jej wzrokiem i dojrzał samochód na podjeździe.

– Jeśli będzie striptiz dla narzeczonych, wiem, że to twój pomysł, nie mamy.

Christine odparła z powagą:

– Nie mam pojęcia, co się tam dzieje.

Dwaj mundurowi rozmawiali z ojcem Tonym. Nick pomyślał najpierw, że zdarzyła się jakaś kraksa i ktoś potrzebował księdza oraz ostatniego namaszczenia. Tony kiwał głową, potem rozejrzał się wokół i w końcu dostrzegł Nicka. Nick pomachał mu, dając do zrozumienia, że nie weźmie mu za złe, jeśli opuści przyjęcie, ale Tony ruszył przez zatłoczone podwórze, a goście rozstępowali się przed nim.

– O co chodzi? – zapytała Christine.

Tony wzruszył ramionami, patrząc w oczy Nicka.

– Policja z Omaha chce, żebym pojechał z nimi na komendę i odpowiedział na kilka pytań.

Nick był zaskoczony.

– Kilka pytań? A na jaki temat?

Gdy Tony znowu uniósł ramiona, Nickowi przypomniało się ich wspólne dzieciństwo. Tony zawsze tak samo wzruszał ramionami, ilekroć wpadał w kłopoty, a ktoś dorosły żądał wyjaśnienia.

– Wielebny O'Sullivan został znaleziony zeszłej nocy w toalecie na lotnisku. Martwy.

– O mój Boże – westchnęła Christine. – To nie był atak serca, bo o nic by cię nie pytali.

Nick rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Widział, jak w siostrze budzi się dziennikarka, jak już w myślach robi notatki.

– Muszę cię zabrać z twojego przyjęcia zaręczynowego, Nick. Pojedziesz ze mną?

– Jasne – odparł bez wahania. Przyjaźnił się z Tonym Gallagherem od przedszkola, kiedy to zatruli się niemal na śmierć po zjedzeniu słoika kleju. Uważał, że świetnie zna swojego kumpla. Tony nie sprawiał wrażenia zdziwionego śmiercią O'Sullivana.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Najczęściej używanym narzędziem do ćwiartowania ciała była piła do metalu, jednak z tego, co widziała Maggie, ten morderca nie miał jej pod ręką.

Stan Wenhoff wrzucił kilka kosmyków włosów ofiary do butelki z rozpuszczalnikiem, zamieszał, zamknął i odstawił ją na bok. Kiedy pobierał próbki włosów i tkanki, Maggie nie mogła oderwać wzroku od miejsca cięcia. Piła do metalu zwykle dość gładko prześlizgiwała się po skórze, chrząstkach i kościach. Czasami jakaś kość była trochę uszkodzona, ale zazwyczaj laubzega sprawdzała się idealnie. Jednak narzędzie, którym posłużył się ten morderca, zostawiło po sobie poharatane kości. Kiedy Stan oczyścił głowę z zaschniętej krwi i błota, pokazała się ziejąca rana ze śladami szarpania, a nawet jakby rąbania kości i tkanek miękkich.

Maggie wykluczyła mordercę niezorganizowanego, bo porzucenie głów w określonym miejscu i trzykrotne powtórzenie tego samego rodzaju morderstwa wymagało jednak planu i dyscypliny. Nie wspominając już o tym, że zbrodniarz musiał gdzieś ukryć pozostałe części ciała, i to tak, żeby nikt go nie przyłapał. Ćwiartowanie ciała wymaga czasu i odludnego miejsca. Nieważne, gdzie dokonywał

zabójstwa, musiał potem przenieść ofiary do jakiejś bezpiecznej kryjówki, gdzie nikt mu nie przeszkadzał, gdzie mógł napaskudzić, a potem w spokoju posprzątać.

Coś jednak wciąż nie dawało Maggie spokoju. Jeżeli faktycznie morderca był człowiekiem zorganizowanym i dokładnie planował każdą zbrodnię, dlaczego nie kupił laubzegi albo innego narzędzia do cięcia twardych przedmiotów? Przecież w ten sposób bardzo by sobie ułatwił zadanie.

Dźwięk elektrycznej maszynki do włosów przerwał jej myśli. Stan zaczął właśnie golić długie włosy ofiary. Wyglądała teraz młodziej, niż Maggie sądziła na początku. Kiedy zniknęły potargane kołtuny, zabłysły maleńkie brylanty w uszach. Nie było kolczyków w innych miejscach, na brwiach, w nosie, na wardze czy brodzie. Maggie zapisała sobie w pamięci, żeby poprosić Stana o sprawdzenie języka denatki.

– Szybko się z tym uwiniemy – stwierdził, jakby czytał w jej myślach. Skończywszy golenie, wskazał na okrągłą ranę z lewej górnej strony czaszki. – Podejrzewam, że to młotek. – Przesunął po ranie palcem wskazującym.

– Czy to był bezpośredni powód zgonu? – spytała Racine. Zrzuciła na podłogę parę czerwi, zanim dokładniej przyjrzała się ranie.

– Jeszcze nie wiem, w każdym razie nieźle ją walnął – stwierdził Stan. – Włosy powinny nam powiedzieć, czy brała wówczas jakieś leki.

Maggie kiwnęła głową. Wiedziała, że z włosa można odczytać nawet porę brania leków, gdyż substancje odkładają się na nim kolejno podczas wzrostu.

– A jeśli dał jej coś, co ją zwaliło z nóg? – podsunęła Racine. – Czy dowiemy się tego?

– Tak, oczywiście – przytaknął Stan. – Analiza włosa pozwala zidentyfikować takie ciężkie narkotyki jak heroina czy kokaina, ale również środki uspokajające. Powinniśmy też zorientować się, czy paliła papierosy albo brała prozac. Ludzie myślą, że z samej głowy niewiele można się dowiedzieć. Z tamtych dwóch faktycznie mało wyciągnęliśmy.

– A właśnie – wtrąciła Racine. – Jestem umówiona z antropologiem kryminalnym w Connecticut, pokażę mu je.

– Świetnie, świetnie. Ja nic więcej już z nimi nie zrobię, za duży stopień rozkładu. Ale ta ma nam wiele do powiedzenia.

Dzięki Bogu chciał się tym dzielić. Odchylił głowę denatki do tyłu, poprawiając podtrzymujące ją urządzenie, tak by patrzyła teraz w sufit. Na metalowy stół wypadły kolejne czerwie, z lekkim pluskiem, jak krople spadające na blaszany dach.

– Wątpię, żeby to rana na głowie ją zabiła. Przyjrzyjcie się – strzepnął czerwie z policzków – skórze wokół oczu. – Wziął szczypce i zadziwił Maggie, która uważała go za powolnego i niezdarnego, fachowo chwytając i unosząc prawą powiekę. – Widzicie, o czym mówię?

– Krwotok punkcikowaty – rzekła Maggie.

– Jaki krwotok? – spytała Racine.

– Popękane naczynia włoskowate – wyjaśnił Stan, przesuwając palce w dół twarzy ofiary.

Racine nadal miała skonfundowaną minę.

– Została uduszona – oznajmiła Maggie.

– Jesteście pewni?

– Tak. – Stan nawet nie podniósł wzroku. – Krwotok punkcikowaty występuje, kiedy odcina się dopływ powietrza. Nie musimy widzieć jej szyi, żeby poznać, że została uduszona.

– Chwileczkę. – Racine wsparła ręce na biodrach. Nie podobały jej się wnioski Stana. – Mówisz, że on coś jej podał...

– Nie. Co do tego nie mam pewności, ale wszystkiego się dowiemy z pobranego materiału.

– Okej, więc może ją czymś otruł – uściśliła Racine. – Potem uderzył ją młotkiem, a dopiero na końcu udusił. A później dla zabawy odciął głowę.

– W zasadzie została raczej oderwana – stwierdziła Maggie, dołączając swoje trzy grosze do tych spekulacji.

– Co takiego? – Racine podeszła bliżej stołu.

Stan obrócił swoje urządzenie, żeby miała lepszy widok.

– Agentka O'Dell ma rację – potwierdził.

– Jezu – jęknęła Racine. – Co za pieprzony potwór.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Doktor Gwen Patterson starała się nie patrzeć na ręce Rubina Nasha. Popił wodę ze szklanki, którą mu podała, po czym odstawił ją na bok, żeby nie przeszkadzała w opowiadaniu, jak to za sprawą najlepszej przyjaciółki matki stracił dziewictwo, kiedy miał piętnaście lat. Była to kolejna rzecz, której pozbawiły go kobiety. Najpierw matka odebrała mu ojca, a potem jej przyjaciółka pozbawiła go niewinności. Jednak wyglądało na to, że te fakty, same w sobie, miały dla niego znaczenie drugorzędne, istotniejsze było to, jak mógł je w tej chwili wykorzystać. Przede wszystkim pragnął dzielić się sekretnymi szczegółami, usiłował przedstawiać wszystko jak najbardziej obrazowo. Być może chciał zaszokować swoją terapeutkę, a przynajmniej doczekać się jakiejś reakcji z jej strony. Ale niewiele, jeśli w ogóle było to możliwe, dewiacji seksualnych i perwersji, nie wspominając już o opowieściach o nich, były w stanie zaszokować Gwen. Do tego wszystkiego Nash z przesadną dumą mówił o swojej młodzieńczej jurności. Gdzie tu więc ta bolesna trauma? Oczywiście, nie wszystko było jak należy. Spotkanie z przyjaciółką matki niewątpliwie wywarło na niego duży i bardzo pogmatwany psychologicznie wpływ, ukształtowało stosunek do seksu i kobiet, ale czy mogło doprowadzić do morderstwa?

Miał duże dłonie z krótkimi palcami. Jakiej siły potrzeba, żeby wycisnąć z kogoś życie? Gwen żałowała, że nie wyłączyła klimatyzacji, może wówczas Nash podwinąłby rękawy koszuli. Czy ma podrapane ręce? Co innego skłoniłoby go do włożenia koszuli z długimi rękawami w upalny lipcowy dzień?

Obserwowała jego twarz. Draśnięcie na brodzie to pewnie skutek golenia. Rozpięta pod szyją koszula pozwalała zobaczyć szyję. Zaatakowana i duszona kobieta walczyłaby o życie. Drapałaby i wbijała paznokcie aż do momentu utraty przytomności. Rubin zastanawiał się kiedyś, jak to jest skręcić komuś kark i słyszeć, jak trzeszczy.

Musi wyciągnąć od Maggie, w jaki sposób zginęły ofiary. Może grubo się myli, podejrzewając jednego ze swoich pacjentów o to, że jest mordercą.

– Czy to w porządku, doktor Patterson? – zapytał Rubin, a ona uświadomiła sobie, że za daleko odpłynęła myślami.

– Przepraszam. O co pan pyta?

– Dlaczego starsze kobiety pieprzą młodych chłopców? Nie chodzi tylko o kontrolę nad drugą osobą. One chcą być podziwiane. Czy nie tego właśnie pragną?

– A ty ją podziwiałeś?

Odwrócił wzrok, zanim dostrzegła odpowiedź w jego oczach. Nie był gotów przekazać jej pałeczki. Próbował ukryć zażenowanie, a może poczucie winy? Jej słowa wyraźnie go zaskoczyły.

– To dobre pytanie na początek kolejnej sesji – odparł, odwracając znów role i zerkając na zegarek. – Następnym

razem postaram się nie być tak ordynarny. – Wcale jednak nie przepraszał, bo naznaczony poczuciem wyższości uśmieszek wskazywał, jak bardzo Nash jest dumny z dzisiejszego wystąpienia.

– To twój wybór. – Gwen również wstała. Nigdy nie pozwalała, żeby pacjent nad nią górował. – Pamiętaj, Rubin, że wszystko, co robisz, to twój własny wybór.

Tym razem spotkali się wzrokiem. Ciemnoszare oczy Nasha przypominały Gwen oczy wilka. Po chwili spuścił wzrok na jej bluzkę i znów się uśmiechnął. Już znała ten jego zwyczaj, ten sposób upokarzania jej, kiedy za bardzo zbliżyła się do celu. Przypominał jej, że dla niego każda kobieta to – jak mawiał – potencjalna seksualna zdobycz.

– Do zobaczenia. – Odwrócił się do wyjścia.

Gwen czekała, aż drzwi się za nim zamkną, a następnie zaczęła robić pośpieszne notatki, zapisując wszystko, co zaobserwowała, niezależnie od tego, czy w danej chwili uznała to za ważne. W końcu znajdzie jakąś wskazówkę. Być może Maggie odkryła podczas autopsji coś, co rzuci nowe światło na jej obserwacje. Rozpoczęła szóstą stronę notatek, kiedy asystentka zadzwoniła z informacją, że przyszedł kolejny pacjent.

Gwen wyrwała kartki z notesu i schowała je do teczki, ale w dalszym ciągu miała gonitwę myśli. Kiedy wszedł James Campion, nadal myślała o Rubinie Nashu.

– Dzień dobry, doktor Patterson.

– Witam. – Wskazała fotel, wiedząc już, że James nie usiądzie pierwszy. Zawsze był nadzwyczaj układny.

Uderzające przeciwieństwo Nasha. Już podczas pierwszej sesji oznajmił, że zakonnice z Najświętszego Sakramentu nauczyły go dobrych manier i szacunku dla bliźnich, choć w wielu innych punktach ich starania nie odniosły sukcesu.

Gwen usiadła i skinęła głową, żeby i on zajął miejsce. James wyciągnął długie nogi i skrzyżował stopy. Nie pozwalał sobie na bardziej swobodną pozę.

Tego dnia – prawdopodobnie dlatego, że skupiła się bardziej na cechach fizycznych Nasha – Gwen zauważyła ostry kontrast między obydwoma pacjentami. Nigdy dotąd nie przyjmowała ich jednego po drugim, lecz stało się tak z powodu nowego planu podróży Rubina Nasha. Nash był pyszałkowaty i pewny siebie, dumny z tego, jakim stworzyła go natura, James wręcz przeciwnie, introwertyczny, skrywający się przed innymi. Ot, na przykład jego koszulę z długimi rękawami można było łatwo wytłumaczyć tym, że chciał zamaskować ślady na nadgarstkach. Zauważyła je podczas pierwszej sesji, długo przed wyznaniem Jamesa, że czasami myśli o samobójstwie.

James nie plótł o swoich seksualnych eskapadach czy raczej dysfunkcjach, nie roztrząsał, jak to molestowano go w dzieciństwie, sprawiał wrażenie nieśmiałego i pełnego skruchy, zwłaszcza wtedy, gdy mówił, że był wykorzystywany seksualnie przez katolickiego księdza, którego podziwiał i któremu ufał. Zarówno Nash, jak i Campion zostali wykorzystani przez dorosłych, których darzyli zaufaniem, ale na tym kończyły się podobieństwa.

Dopiero kiedy Gwen usiadła wygodnie i rozluźniła ramiona, zdała sobie sprawę, w jak wielkie napięcie wprawiła ją sesja z Nashem. Patrzyła na splecione ręce Jamesa, który chował dłonie pod pachami, zanim uznał, że może je znowu położyć na kolanach. Jego przystojna, chłopięca twarz naznaczona była smutkiem. Patrzył czujnie i cierpliwie, jakby czekał, aż Gwen pozwoli mu zacząć.

Nieważne, jak długo to potrwa, jednak Gwen była przekonana, że zdoła mu pomóc. Jeśli chodzi o Rubina Nasha, nie miała tej pewności.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Śródmiejski Posterunek Policji
Omaha, Nebraska

– To śmieszne – powiedział Nick Morrelli do detektywów, którzy przedstawili się jako Carmichael i Pakula. Była to dość dziwaczna para: niska, pucołowata Azjatka i ogolony na łyso barczysty facet w średnim wieku. W niczym nie przypominali dobrego i złego gliniarza z hollywoodzkich produkcji. – Traktujecie go jak podejrzanego.

– A pan kim właściwie jest? – zapytała Carmichael.

– Nick Morrelli, przyjaciel.

– Który jest prokuratorem – dodał Tony.

Nick widział, że jego funkcja nie wywarła na nich specjalnego wrażenia. Detektyw Carmichael zrobiła minę pod tytułem „gówno mnie to obchodzi”. Jemu także zdarzało się przybierać taki wyraz twarzy, gdy jako zastępca prokuratora okręgowego musiał przekonać jakiegoś łobuza, żeby przedstawił mu ostateczną wersję porozumienia.

– Morrelli? – Pakula podrapał się po łysej głowie. – Czy ja pana znam?

– Nie sądzę. – Nick zaczął tracić cierpliwość.

Carmichael musiała to zauważyć, bo powiedziała do Tony'ego Gallaghera:

– Przepraszam, jeśli policjanci potraktowali księdza jako osobę podejrzaną i że ściągnęli tutaj. Chcemy tylko zadać parę pytań. Czy istnieje jakiś powód, dla którego ksiądz zamierza odmówić nam odpowiedzi? – Jej głos, z początku ostry i nieprzyjemny, nagle złagodniał. Nick pomyślał, że najpewniej detektyw Carmichael najczęściej odgrywała rolę złego policjanta lub też, w trakcie wypowiedzi, postanowiła zmienić taktykę.

Tony spojrzał na przyjaciela, jakby oczekiwał, że ten znowu za niego odpowie. Nick skinął głową, dając mu znak, żeby sam mówił. Nie podobało mu się, że Tony jest zdenerwowany. Czyżby coś ukrywał?

– Proszę pytać – powiedział w końcu Tony. – Oczywiście, że mogę odpowiedzieć na wasze pytania.

– Jak rozumiemy, wielebny O'Sullivan dzwonił do księdza z lotniska – zaczął Pakula, przemierzając długość pokoju. Carmichael siedziała na krześle i, jak zauważył Nick, wystukiwała nerwowo rytm pod stołem.

– Tak, to prawda.

– Być może jest ksiądz ostatnią osobą, z którą rozmawiał wielebny O'Sullivan. To znaczy spośród jego znajomych. Czy może ksiądz podzielić się z nami treścią tamtej rozmowy?

– Wcześniej tego samego dnia omawialiśmy plan zajęć. Miałem go zastępować w czasie jego nieobecności. Nie pamiętał, czy poinformował mnie o spotkaniu Rady Kościoła, a także gdzie przechowuje swoje notatki. – Tony założył nogę na nogę. Wyglądał całkiem spokojnie i naturalnie, jak stwierdził Nick. Niemal zbyt spokojnie.

– Gdzie ksiądz był, kiedy zadzwonił wielebny O'Sullivan?

– Na plebanii – odparł Tony bez wahania. Nick pomyślał, że wszystko pójdzie gładko, bez komplikacji.

– Naprawdę? – zapytał Pakula.

Nick znał to spojrzenie. Sam czasem patrzył takim wzrokiem, na pograniczu zdziwienia i sarkazmu. Tony siedział z kamienną twarzą.

– Na pewno był ksiądz na plebanii?

– Tak, oczywiście. W piątki zwykle zajmuję się robotą papierkową.

– Aha. Więc wielebny O'Sullivan wiedział o tym, czy tak? – Pakula pokiwał głową, nie przerywając spaceru.

– Nie mam pojęcia – rzekł Tony.

Przypominało to nieco tenisową rozgrywkę, tyle że Nick nie miał pojęcia, co Pakula zrobi z tą kiepską piłką.

– Zaraz, zaraz. – Detektyw okręcił się na pięcie i spojrzał na Nicka, zaskakując wszystkich obecnych: – Morrelli. Nick Morrelli. Teraz pamiętam. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim i trzecim był pan rozgrywającym Huskersów.

Nick potrzebował chwili, żeby zareagować na nagłą zmianę tematu. Kiedy detektyw wspomniał wcześniej, że skądś go zna, sądził, że chodzi o czas, kiedy był szeryfem w Platte City, w Nebrasce, kilka lat wcześniej. Media narobiły wówczas tyle szumu, że trudno było zapomnieć o morderstwie dwóch chłopców i o śledztwie, którego Nick omal nie spaprał. Dwaj mężczyźni odsiadywali dożywocie, a jednak Nick nie był przekonany, że schwytali zabójcę.

Teraz odetchnął z ulgą, że detektyw Pakula pamięta go z innej, bardziej udanej epoki w jego życiu.

– Taa, byłem.

– Wiedziałem, że znam to nazwisko – oznajmił detektyw, po czym równie szybko powrócił do swojego pytania: – A więc, ojcze Gallagher, jak długo pracował ksiądz z wielebnym O'Sullivanem w szkole pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej?

– Od prawie trzech lat.

– Lubił go ksiądz?

– Słucham?

– Czy ksiądz go lubił? Czy się dogadywaliście? Czy byliście kumplami?

– Określenie „kumple” nie jest właściwe. Byliśmy kolegami.

Nick zauważył, że Tony trzymał teraz nogi złączone razem i ręce na kolanach. I nie wyglądał już na tak spokojnego jak wcześniej.

– Czy wielebny O'Sullivan dużo podróżował?

– Zależy, co konkretnie ma pan na myśli, mówiąc „dużo”.

– W jakim celu jechał do Rzymu?

– O ile wiem, na prośbę arcybiskupa. Wielebny nie był dotąd w Watykanie.

– Więc pewnie bardzo to przeżywał?

– To chyba oczywiste.

– Czy miał dostarczyć coś ważnego arcybiskupowi?

– Na przykład? – zapytał Tony.

Nick miał chęć złapać go za kołnierz i krzyknąć, żeby po prostu odpowiadał na te cholerne pytania. Zamiast tego poprawił się na krześle i próbował ostrzec przyjaciela wzrokiem.

Widział, jak Pakula i Carmichael wymienili spojrzenia. Udawali, że badają okoliczności sprawy, ale w rzeczywistości próbowali wyciągnąć jakieś informacje. Co naprawdę wiedzieli i co, ich zdaniem, ukrywał przed nimi Tony?

– Zastanawialiśmy się właśnie – przejęła inicjatywę Carmichael, Pakula zaś stanął pod ścianą, jakby zrobił sobie przerwę. Carmichael oparła łokcie na stole, ale i ona była spokojna, nawet odrobinę zbyt nonszalancka. Nicka dręczyło pytanie, czego tych dwoje detektywów próbuje się dowiedzieć. – Arcybiskup prosił wielebnego O'Sullivana, żeby pojechał do Watykanu. Czy należy rozumieć, że chciał jak najlepiej wykorzystać tę podróż?

– Tak, przypuszczam, że tak.

Tony był w tym dobry. Nick nie wiedział, dlaczego tak go to dziwi.

– Czy wielebny O'Sullivan miał brązową skórzaną teczkę? – pytała dalej Carmichael.

Może jednak szukają na ślepo, pomyślał Nick.

– Tak, przypominam sobie taką aktówkę – odparł w końcu Tony.

– Czy wczoraj miał ją z sobą?

– Nie widziałem go, jak wyjeżdżał na lotnisko.

– Ale widział go ksiądz chwilę wcześniej?

– Tak.

Carmichael nie spuszczała wzroku z Tony'ego, czekała na dalszy ciąg odpowiedzi. Nick także patrzył na przyjaciela i czekał na jakąś istotną informację. Jednak Tony wzruszył ramionami i powiedział tylko:

– Skoro nie widziałem go, jak wyjeżdżał na lotnisko, skąd mam wiedzieć, co wziął z sobą?

Carmichael westchnęła. Pakula jedynie przesunął się trochę.

– Ostatnie pytanie... na dzisiaj – podkreśliła. – Ma ksiądz jakiś pomysł, dlaczego ktoś chciał zamordować wielebnego O'Sullivana?

– Życie jest najwyższym darem od Boga. Nawet sobie nie wyobrażam, kto chciałby zrobić coś tak strasznego – rzekł Tony przesadnie nabożnym szeptem.

Nick czekał na reakcję Carmichael. Był ciekaw, czy zauważyła, że Tony zgrabnie się wykręcił od odpowiedzi na kolejne pytanie.

Carmichael pokiwała głową, nie podnosząc wzroku znad kartki papieru, na której coś zapisywała. Potem obejrzała się na Pakulę, a następnie popatrzyła na Nicka i powiedział:

– Skontaktujemy się, jak będziemy mieli dodatkowe pytania.

Nick natychmiast zrozumiał, że detektywi wiedzieli coś więcej. Do tej chwili nie interesowała ich obecność Nicka, ale teraz zwrócili się do niego, do przyjaciela Tony'ego... a zarazem prokuratora.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen Patterson kończyła swoje notatki. Powinna już jechać do domu. Po drodze zamierzała wstąpić do sklepu pana Lee po świeżą mozzarellę, czosnek i włoskie kiełbaski, a potem zrobić na kolację nadziewany makaron cannelloni z sosem bolońskim. Gotowanie uspokajało ją, koiło nerwy. A kiedy gotowała dla gości, ta metoda sprawdzała się jeszcze lepiej.

Pomyślała, że miło byłoby zaprosić Maggie, ale właśnie poprzedniego wieczoru jadły razem kolację. Najbardziej bała się okazać, że zależy jej na towarzystwie, ukrywała to zwłaszcza przed Maggie, a już szczególnie od pewnego czasu. Pomyślała o R.J. Tullym, zawodowym partnerze Maggie, ale on wyjechał i miał wrócić dopiero za tydzień. Nie chciała za nim tęsknić. Spędzał dwa tygodnie wakacji z córką, Emmą, gdzieś na Florydzie, a ona już... tak, do cholery, niechętnie się do tego przyznawała, ale tęskniła za nim. Niedobrze, ponieważ postanowili, że nie będą się śpieszyć, że muszą poznać się lepiej poza pracą, z dala od stresujących dokumentów FBI, które kiedyś ich połączyły.

Zabawne. Wciąż powtarzała Maggie, żeby korzystała z okazji, odrzuciła zbytnią rezerwę, zabawiła się, zakochała

i romansowała, a sama nie potrafiła posłuchać tej rady. Nie potrafiła? Czy nie chciała?

Wzdrygnęła się, słysząc ciche stukanie.

– Proszę.

Asystentka Gwen, Dena, zajrzała do gabinetu.

– Właśnie skończyłam. Wychodzę. Mogę jeszcze w czymś pomóc? Coś przynieść?

– Nie, dzięki, że dzisiaj przyszłaś, zwłaszcza że mamy święto.

– Nic takiego, i tak musiałam nadrobić kilka spraw.

Gwen powstrzymała się, by nie powiedzieć, że to wszystko z powodu ciągłego wiszenia na telefonie i bałaganu, nie byłaby bowiem całkiem sprawiedliwa. Dena dobrze pracowała, pacjenci ją lubili, świetnie się z nią czuli, więc nieporządek w dokumentach czy godzina stracona na wyciąganie bransoletki z kopiarki nie miały znaczenia.

– Masz jakieś plany na jutro? – zapytała Gwen.

– Rano zadzwoniła do mnie przyjaciółka i zaproponowała, żebyśmy wpadły do nowego nocnego klubu. A pani?

– Mam nadzieję, że uda mi się trochę odpocząć.

– To dobry pomysł. Wygląda pani jakoś... no, nie tak jak zwykle. Nic pani nie dolega?

– Nie, skąd. To tylko zmęczenie. Wolny dzień dobrze mi zrobi.

– Okej. No to życzę miłego odpoczynku.

– Dzięki, Dena.

– Do poniedziałku. Aha, byłabym zapomniała. – Zostawiła otwarte drzwi. Gwen słyszała, że Dena wraca do recepcji,

zapewne do swojego biurka. W chwilę później wróciła z szarą kopertą. – To do pani.

Nie było na niej adresu nadawcy, ale Gwen od razu wiedziała, od kogo ten list, i natychmiast zabrakło jej powietrza.

– Widziałaś, kto to przyniósł?

– Nie, pewnie robiłam wtedy kawę albo kserowałam.

– Kiedy to było?

– Słucham?

– O której to zauważyłaś?

Gwen usiłowała mówić spokojnie, ale chyba jej nie wyszło, gdyż Dena popatrzyła na nią zatroskana.

– Ojejku, dokładnie nie pamiętam. Między wizytami Nasha i Campiona.

Gwen starała się nie gapić na kopertę. Oczywiście, przyniósł ją z sobą. Ale czy to nie nazbyt ryzykowne? A może „zuchwałe” byłoby lepszym określeniem? Czy faktycznie mógłby przynieść to z sobą i tak po prostu położyć na biurku asystentki? A jeśli tym razem zostawił odciski palców? Przecież nie chodził w rękawiczkach w upalny lipcowy dzień.

– Czy to coś ważnego?

Gwen na moment zapomniała o obecności Deny. Zrobiła co w jej mocy, żeby tego po sobie nie pokazać. Uniosła ramiona, jakby nie było sprawy.

– Wątpię. Gdyby było ważne, człowiek, który to przyniósł, nie zostawiłby tego na twoim biurku bez słowa, prawda?

– Tak przypuszczam. Ten nowy ekspres do kawy wymaga trochę więcej czasu, ale znowu nie aż tak wiele. – Uśmiechnęła się, aby Gwen wiedziała, że tylko żartuje o nowym superekspresie, który Gwen dopiero co kupiła. – No to do poniedziałku. – Wciąż stała w drzwiach, a ponieważ Gwen nie powiedziała ani słowa, dodała: – Może powinna już pani iść do domu i

dobrze odpocząć?

Gwen podniosła wzrok i odpowiedziała uśmiechem. Dena była pierwszą zatrudnioną przez nią osobą, która szczerze się o nią martwiła. Inne były nadzwyczaj skrupulatne – co nie należało akurat do zalet Deny – ale brakowało im otwartości i ciepła, cechy tak ważnej u osoby, która siedzi za drzwiami jej gabinetu i wita wrażliwych, rozchwianych emocjonalnie pacjentów.

– Rozważę to z należną powagą. A teraz zmykaj stąd i korzystaj z reszty weekendu.

– Tak jest, proszę pani.

Dena wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Gwen na moment zapomniała o kopercie.

Wreszcie podniosła ją ostrożnie za róg palcem wskazującym i kciukiem, by nie zniszczyć ewentualnych odcisków palców. Nie zauważyła, że koperta jest lekko wybrzuszona na dole. Drugą ręką rozcięła ją nożem do listów, wzięła głęboki oddech i odwróciła. Zawartość wypadła na biurko. Nie było żadnego listu. Zajrzała do środka, żeby upewnić się, że nic tam nie utkwiło. Przed nią

na biurku leżała foliowa przezroczysta torebka. W środku znajdował się jeden złoty kolczyk.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nick wiedział, że powinien zaczekać.

Trochę za mocno ściskał kierownicę, skręcił w lewo zbyt szerokim łukiem. Nie był nawet pewien, czy to złość, ale z pewnością powinien zaczekać, aż się uspokoi. Lepiej, żeby usiedli z Tonym naprzeciw siebie przy stole, z filiżanką kawy, a może nawet piwem.

Zerknął na Tony'ego, który wyglądał przez boczne okno wynajętego samochodu. To właśnie był jeden z minusów jego powrotu do Nebraski. Tęsknił za swoim dżipem. W takim dżipie, jadąc do domu, człowiek może sobie myśleć o różnych sprawach. Może zjechać z utartego szlaku i rozładować stresy, ryjąc ziemię, czując pod kołami kamienie i błoto. Ale w starym wynajętym oldsmobile'u alero takie rzeczy nie wchodziły w grę.

Zresztą tęsknił nie tylko za dżipem. W ciągu kilku minionych lat wydarzyło się mnóstwo rzeczy, przez które czuł się rozdarty między dwoma domami, a nawet dwoma światami. Kiedyś przeprowadzka do Bostonu wydawała się właściwym posunięciem, najlepszą rzeczą, jaka mogła go spotkać. Dawała mu szansę wyjścia z cienia ojca. Poza tym lubił swoją pracę, był zastępcą prokuratora okręgowego. Poznał fantastycznych ludzi, między innymi Jill. Ale w dni takie jak ten odnosił wrażenie, jakby nigdy nie wyjechał z Nebraski, w dalszym ciągu było tam tyle bliskich osób,

i zostawił tam tak wiele z siebie. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał wprowadzić zmiany w swoim życiu i patrzeć w przyszłość, przeszłość wciąż wypływała na powierzchnię. Niecierpliwość – był pewny, że jego siostra Christine zgodziłaby się z nim – należała właśnie do jego starych wad.

– Co się dzieje, do diabła? – rzucił w końcu, doszedłszy do wniosku, że dłużej nie jest w stanie czekać.

– Dziwne, co? Że doszło do czegoś takiego.

– Nie, dziwne jest co innego. Naprawdę ci się wydaje, że coś przede mną ukryjesz?

– Co takiego?

Tony odwrócił się wreszcie od mijanych za oknem widoków.

– Detektywi Carmichael i Pakula pozwolili ci kręcić, bo cię nie znają, ale ja cię znam, Tony. Mnie nie oszukasz. I wiesz co, tych detektywów też nie oszukasz. Wezwą cię na kolejne przesłuchanie.

– O czym ty gadasz? Już im wszystko powiedziałem.

– Taa, odpowiedziałeś na ich pytania. Wiesz, co mi to przypominało? – Nick starał się choć trochę uspokoić. – Pamiętasz, jak w szóstej klasie zabraliśmy wazon pani Wilkes z jej biurka, bo zawsze kazała nam pisać jakieś durne wiersze na jego temat?

– To miały być haiku.

– Taa, te bzdurne japońskie wierszydła przerobione na jankeską modłę... To jak, pamiętasz aferę z tym wazonem?

– Pamiętam – odparł Tony.

Patrząc na jego minę, Nick zrozumiał, że przyjaciel pamięta to inaczej, że to zdarzenie nie budzi w nim wstydu ani poczucia winy.

– Tony, nienawidziliśmy tego paskudnego wazonu i chcieliśmy się go pozbyć. Tak naprawdę jednak zamierzaliśmy go tylko schować na jakiś czas do szafy, żeby pani Wilkes zdenerwowała się jak diabli, bo to nie był zwykły wazon, tylko zabytkowy i bardzo cenny. A potem mieliśmy go niby znaleźć i zostać bohaterami.

– To nadal brzmi jak świetny pomysł – zaśmiał się Tony.

– Taa, wspaniały. Tyle że rozbiłeś ten wazon.

– Wyśliznął mi się z rąk.

– I rozbił na tysiąc kawałków.

– To był wypadek.

– Dyrektor Kramer wezwał nas do swojego gabinetu – mówił dalej Nick, zadowolony, że Tony nie był już tak rozbawiony wspomnieniem, tylko przyjął pozycję obronną, skrzyżował ramiona na piersi, a jego zainteresowanie mijanym krajobrazem było wyraźnie udawane. – Pytał, czy ukradliśmy wazon pani Wilkes. Powiedziałeś, że nie. Nie skłamałeś, bo my nazywaliśmy to porwaniem. Zapytał, czy to z perfidnej złośliwości go rozbiliśmy. Powiedziałeś, że nie. To także nie było kłamstwo, bo stłukłeś go niechcący. Przed chwilą miałem wrażenie, jakbym znowu znalazł się w gabinecie Kramera. Na wszystkie pytania detektywów odpowiadałeś ogródkami. – Objął przyjaciela spojrzeniem, na krótki moment ich oczy spotkały się. – Muszę o to zapytać, Tony. Co ty, do diabła, ukrywasz?

Nick oczekiwał znów jakichś wykrętów lub że Tony wpadnie w złość. Ten jednak odparł po prostu:

– Nie mogę ci powiedzieć, Nick,

I odwrócił wzrok, żeby znowu patrzeć przez okno. Zamknął temat, pozostawiając przyjaciela w kompletnej niewiedzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Gibson nie zdawał sobie sprawy, że od kilku już godzin siedział wpatrzony w ekran komputera. Gra dobiegła końca, a on wciąż patrzył. Nie brał w niej udziału, nawet nie bardzo ją śledził. Po raz pierwszy w niej nie uczestniczył.

Słyszał trzaśnięcie drzwi frontowych. Spojrzał w dolny prawy róg ekranu, sprawdzając, która godzina. Siedemnasta dwadzieścia pięć. Mama będzie wściekła. Znowu będzie gadać, jak to się zamartwia, że on siedzi zamknięty w swoim pokoju. Że zostanie odludkiem jak Emily Dickinson i umrze nieznany. W tym tygodniu na tapecie była dobra stara Emily, gdyż koleżanka mamy z wakacyjnego kursu w college'u akurat opowiadała o zmarłych poetkach. Wcześniej mama porównała go do jakiegoś czternastoletniego palestyńskiego terrorysty, o którym rodzice mówili ze łzami w oczach, że zawsze był taki spokojny i mądry, no i często przesiadywał samotnie, dopóki nie wszedł do jakiejś kawiarni w Izraelu opasany ładunkiem, który zabił piętnaście niewinnych osób. Każdy tydzień przynosił nowe porównanie.

Mama nie była taka, kiedy jeszcze żył tata. W każdym razie Gibson nie pamiętał, żeby tak się zachowywała, by bez przerwy brała sobie do serca każdy drobiazg, każde głupstwo. Była teraz taka spięta i nerwowa, że nie potrafiła podjąć decyzji czy choćby odpysknąć opryskliwemu

sprzedawcy w spożywczym, który nie chciał dać jej rabatu. I cały czas płakała. Przynajmniej na początku. Potem już trochę mniej, to znaczy od chwili, gdy zaczęła łykać zoloft.

Nie pamiętał, żeby płakała, kiedy żył tata, ale przy tacie wszyscy czuli się bezpieczni. Nie musieli się o nic kłopotać, dopóki był z nimi. O wszystko się troszczył. Był najsilniejszy i najbardziej pewny siebie... Gibson nie znał lepszego człowieka.

Dla Gibsona liczyło się nie tylko to, że tata potrafił naprawić rower albo że nie bał się powiedzieć panu Fitzowi, temu naziście, nauczycielowi angielskiego, że Gibson i cała reszta klasy potrzebują więcej czasu na przygotowanie lekcji. Ojciec dawał mu dużo więcej. Poczucie, że wszystko będzie dobrze. Zwyczajne szczęście. Coś, czego Gibson nie doświadczył od tamtej pory.

Ale tata musiał gdzieś pojechać i go zabili, wpadł pod koła jakiegoś pieprzonego pijanego kierowcy. Wtedy wielebny O'Sullivan zaczął wzywać Gibsona do swojego gabinetu w szkole, twierdząc, że chce się przekonać, czy osierocony uczeń dobrze się czuje. Kazał mu modlić się razem z nim. Odmawiali „Ojcze nasz”, wielebny powtarzał, jaki z niego wyjątkowy chłopak. Stawał za Gibsonem i opierał się o niego. Czasami Gibson czuł zapach alkoholu w oddechu księdza. Wielebny gładził Gibsona po ramionach i karku, a potem nie tylko po ramionach i karku. Kiedy doszło do tego po raz pierwszy, Gibson był w szoku.

Potrząsnął głową i odsunął się od komputera. Nie chciał o tym myśleć. To nie było dobre, niezależnie od tego, co ten

gnój mówił. To nie było w porządku. Tamten też o tym wiedział. Bo czemu kazał Gibsonowi trzymać gębę na kłódkę? Nikt by mu i tak nie uwierzył, nikt poza Pożeraczem Grzechów.

Usłyszał z oddali huk fajerwerków, gdzieś na końcu kwartału ulic. Może to Tyler i jego kolesie. Nie do wiary, prawie wyleciało mu z głowy, że jutro czwarty lipca. Kiedyś było to jego ulubione święto. Teraz tylko irytujący hałas.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Omaha, Nebraska

Nick uśmiechnął się i pomachał, nie okazując ulgi. Rozpromieniona Jill najwyraźniej niczego nie zauważyła. Wsiadła z powrotem do bmw, w którym czekały już jej cztery koleżanki z college'u. Wciąż była równie podekscytowana jak podczas przyjęcia zaręczynowego. Nie znał jej takiej beztroskiej. Może sprawiło to towarzystwo dawnych znajomych. Tak czy owak, Nick szybko zrozumiał, że gra mało znaczącą rolę w zdarzeniach tego tygodnia.

– Wygląda na to, że w ten wieczór skazany jesteś na mnie – stwierdziła Christine, wyszedłszy na ganek wiejskiego domu rodziców. Drzwi z siatką przeciw owadom zatrzasnęły się za nią. Trzymała dwie butelki piwa, jedną podała Nickowi.

Zrobił jej miejsce na starej drewnianej huśtawce, która zaskrzypiała pod dodatkowym ciężarem. Piwo było zimne, skroplona para zmoczyła mu palce. Tego właśnie potrzebował. Wyżłopał pół butelki, kiedy przerwał mu nagły śmiech Christine.

– Czy perspektywa wieczoru z siostrą jest taka straszna?

– To był koszmarny dzień. – Patrzył na kołyszący się bursztynowy płyn. – Co byś powiedziała, gdybym zaprosił cię z Timmym na pizzę? Mamę też.

– Możesz ją spytać, ale chyba już padła. A Timmy poszedł z kolegami do kina.

– Na co?

– Nie wiem. Nic mnie to nie obchodzi. Musiałam go przekupić, żeby w ogóle poszedł. Ostatnio za dużo czasu siedzi sam w pokoju przy komputerze.

Nick zerknął na siostrę. Była zdenerwowana. Wiedział, jak trudno samotnej kobiecie wychować nastolatka. Christine narzekała na różne rzeczy, ale rzadko na Timmy'ego. Kiedy jej mąż, Bruce, oszukał ją po raz drugi, Christine po raz drugi go wyrzuciła, choć tym razem odbyło się prawie bez fanfar czy emocji, które towarzyszyły jej za pierwszym razem, jakby na ponowną zdradę małżonka była przygotowana.

Czasami Nick zastanawiał się, czy tamte emocje nie powrócą, nie wytrącą jej znowu z równowagi, na długo nie zetną z nóg. Christine reagowała impulsywnie, nie myśląc o konsekwencjach. Nick miał nadzieję, że w przypadku Bruce'a postąpiła inaczej, zwłaszcza że był jeszcze Timmy, którego należało wziąć pod uwagę. Ale jakie w ogóle miał prawo sądzić innych? Nie był ekspertem, jeśli chodzi o związki. Właśnie się zaręczył, a oto siedział na ganku rodzinnego domu i zapraszał siostrę na pizzę w sobotni wieczór.

– Jak poszło z ojcem Tonym?

– Pytasz jako znajoma Tony'ego czy jako dziennikarka?

– Odczep się – sarknęła Christine. Nick znał tę jej urażoną minę. Odwróciła wzrok i nagle zaczęła wycierać kurz

z huśtawki. – Słyszałam, że wielebny O'Sullivan prawdopodobnie został zamordowany. Na podłodze było dużo krwi, nie wyglądało to na atak serca.

– Skąd ty już to wiesz?

Spojrzała na niego, przewracając oczami.

– Pracuję dla największej gazety w tym stanie, a ty jeszcze się dziwisz.

– No to muszę wrócić do mojego pierwszego pytania. Interesuje cię to jako koleżankę Tony'ego czy jako dziennikarkę?

– Jako koleżankę, głupku. Mam inne sposoby, żeby dowiedzieć się czegoś o sprawie. Daj już spokój. Minęły prawie cztery lata.

Nick wypił kolejny łyk piwa, kątem oka patrząc na siostrę. Dał jej do zrozumienia, że trudno zapomnieć, trudno powiedzieć sobie: „co było, to było”. Prawie cztery lata wcześniej, kiedy pełnił funkcję szeryfa Platte City, Christine wykorzystała go, czy też jego śledztwo w sprawie morderstwa, dla własnej korzyści, żeby artykuł podpisany jej nazwiskiem ukazał się na pierwszej stronie.

– Zadali mu kilka prostych pytań – odparł, nie zdradzając istoty rzeczy.

– Prostych pytań? Na przykład, kto pragnął śmierci O'Sullivana?

– Taa. Na przykład takich.

Christine pokręciła głową z uśmiechem, świadoma, że nic więcej nie wyciągnie od brata. Nick odpowiedział uśmiechem i wypił łyk piwa. Znali się jak łyse konie.

W jakim momencie zaczęła się między nimi ta gra? Dwa kroki naprzód, trzy kroki do tyłu. Tak mawiał ich ojciec, chociaż Nick nie pamiętał, co konkretnie miał na myśli. Antonio Morrelli był szarą eminencją, przez długie lata rozdawał karty, lecz teraz nie był w stanie już w nic grać. Leżał w łóżku niemy i sparaliżowany, potężny wylew pozwalał mu komunikować się z otoczeniem wyłącznie za pomocą ruchu gałek ocznych.

– Nie powinnam ci w ogóle tego mówić – oznajmiła Christine. – Przygotowujemy materiał dla gazety, w którym jest mowa o archidiecezji Omaha. A także o wielebnym O'Sullivanie.

Natychmiast pilnie nadstawił uszu. Ciekawe, pomyślał, czy dziennikarze odkryli tajemnicę, której nie chciał wyjawić mu Tony.

– Czego dokładnie dotyczy, jeśli chodzi o archidiecezję? – Starał się udawać, że nie bardzo go to obchodzi.

– A jak sądzisz? Tego samego, co od dobrych kilku lat jest plagą Kościoła katolickiego w całym kraju.

– Mam rozumieć, że wielebny O'Sullivan molestował chłopców?

– Ciszej – szepnęła Christine. Wstała z huśtawki i zajrzała do domu. – Gdyby mama wiedziała, że pracuję nad sprawą, w której oskarża się Kościół, przez długie tygodnie paliłaby świece w intencji mojego zbawienia. – Na szczęście matka nie podsłuchiwała pod drzwiami, więc Christine spokojnie oparła się o balustradę i wypiła łyk piwa. – Wiele z tego, co już mamy, uważa się za spekulacje, pomówienia i plotki,

ponieważ żaden z informatorów nie chce ujawnić swojego nazwiska.

– Może dlatego, że to spekulacje, pomówienia i plotki. – Nick nie potrafił ukryć pogardy dla mediów, mimo że jego siostra należała do tego szalonego świata. Bardzo mu się nie podobało postępowanie Christine. Otóż dążyła do tego, by uznać śmierć O'Sullivana za dowód, że plotki są prawdziwe. Czyżby wydarzenia sprzed czterech lat niczego jej nie nauczyły?

– Czasem nawet najbardziej nieprawdopodobne plotki mają w sobie ziarno prawdy.

– A czasem rozpuszczają je zgorzkniali i żądni zemsty ludzie.

– Okej, a co z plotką, że O'Sullivan wziął z sobą do Rzymu tajne dokumenty, które nagle zniknęły?

Za późno. Jego twarz z pewnością zdradzała zdziwienie, gdyż Christine kiwała głową z miną: „Mam cię”.

– Jakie dokumenty? – spytał.

– Więc policja pytała o nie? – Christine usiadła obok brata na huśtawce, nachylając się do niego, jakby mieli podzielić się jakąś tajemnicą.

– Pytali Tony'ego, czy wielebny O'Sullivan miał dostarczyć coś od arcybiskupa Armstronga do Watykanu. I o brązową skórzaną aktówkę.

– Naprawdę? Więc jednak jakieś dokumenty zginęły.

– Być może, Christine. Tylko czego miałyby dotyczyć?

Zawahała się, jakby musiała pomyśleć, co może mu powiedzieć. W innych okolicznościach bawiłoby go takie

odwrócenie sytuacji. Tym razem nie on podejmował decyzję, jaką częścią śledztwa czy oskarżenia może się z nią podzielić, lecz Christine rozważała, ile z tajnych informacji mogłaby mu przekazać.

– To nie były tylko plotki. Wpłynęły skargi na wielebnego O'Sullivana, ale nie na policję, tylko do arcybiskupa – powiedziała niemal szeptem. Zerknęła nerwowo na drzwi, wciąż zaniepokojona faktem, że matka może ją słyszeć. – Zostały złożone pisemne oświadczenia pod przysięgą, w ruch poszły pieniądze. Wszystko dzieje się w wielkiej tajemnicy.

– Jeśli to taka tajemnica, skąd o tym wiesz?

– Ludzie nie czują się zobowiązani do zachowania dyskrecji, kiedy ktoś łamie dane im obietnice. Powiedzmy, że Armstrong nie dotrzymał słowa.

– Dlaczego zatem nie podarł tych dokumentów? W jakim celu miały być dostarczone do Watykanu? – Nick nie bardzo w to wszystko wierzył. Za dużo było w tym sensacji i naiwnej konspiracji.

– Nicky, zadziwiasz mnie. Zniszczenie dokumentów to działanie niezgodne z prawem – oznajmiła z uśmiechem, po czym znów spoważniała. – Kiedy „Boston Globe” prowadził śledztwo w sprawie kardynała Lawa i archidiecezji bostońskiej, odkryli, że biskupom kazano przesyłać wszelkie tego rodzaju dokumenty do Watykanu, do tamtejszego archiwum. Dzięki temu są bezpieczne, niedostępne dla naszych sądów i prokuratury. Przecież

Watykan jest suwerennym państwem i amerykańska jurysdykcja tam nie sięga.

– Twoim zdaniem tak samo dzieje się teraz? W Omaha?

Znowu się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami, a następnie wypiła łyk piwa.

Może to jednak nie jest tylko pogoń za sensacją. Tony nigdy nie ujawniłby takich spraw, bo był lojalny wobec Kościoła. Czasami bywał zbyt lojalny. Nick wiedział jednak również, że przyjaciel nie czekałby bezradnie, gdyby oskarżenia okazały się prawdziwe. Tony nie pozwoliłby, żeby jakiś pedofil uniknął kary, choćby był księdzem i jego szefem.

– Myślisz, że Tony coś wie? – zapytał Nick. Miał nadzieję, że tak, ale na twarzy siostry zobaczył powątpiewanie.

– Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ktoś ją śledził. Gwen zerknęła w tylne lusterko, parkując na małym parkingu dla czterech samochodów za sklepem pana Lee. Trzy razy okrążyła ten kwartał, to samo zrobił czarny suv. Teraz go nie widziała. Czy to możliwe, że wpadła w paranoję?

Przyciemniona szyba suva nie pozwalała zobaczyć kierowcy, choć podczas ostatniego zakrętu w lewo na ostatnim skrzyżowaniu Gwen ujrzała dość, by domyślić się, że to mężczyzna. W sobotni wieczór ruch był szalony, na dodatek mieli właśnie świąteczny weekend. Czasami trzeba było objechać cały kwartał budynków trzy albo i cztery razy, żeby znaleźć miejsce postoju w tej okolicy, gdzie pomiędzy budynkami mieszkalnymi wciśniętych było kilka małych sklepów. I pewnie kierowca suva próbował tylko gdzieś zaparkować. A jednak Gwen została z samochodzie, czekała, zerkała w lusterka i na ulicę, dając nieznajomemu czas, żeby ją dogonił.

Zabójca nie miał żadnego powodu, by ją śledzić. Musiał już przecież wiedzieć, że jego groźba – choć zawoalowana – trzymała ją w ryzach. Robiła wszystko, co jej kazał, przystała na jego brudną grę. Skąd więc przyszłoby mu nagle do głowy, że pobiegnie na policję z ostatnim przedmiotem z zestawu? Co prawda, różnił się od poprzednich. Wcześniej przysyłał jej instrukcje, mapy,

informacje – nawet telefon komórkowy – wszystko po to, żeby ją ukierunkować, doprowadzić do swoich ofiar. Sądziła, że chciał jej pokazać swoje dzieło, udowodnić, do czego jest zdolny. Ale po co wysłał pojedynczy kolczyk? Pomyślała, że być może najnowsza ofiara wciąż żyje. Jeśli tak, czyż to nie okrutne szyderstwo? A może dawał jej szansę, żeby go powstrzymała?

Gwen spojrzała w boczne uliczki po jednej i drugiej stronie. Ani śladu czarnego auta z przyciemnionymi szybami. To śmieszne. Umysł płata jej figle. Pozwalała się oszukiwać, a suva nawet tam nie było.

Zerknęła na brązową kopertę, która leżała na siedzeniu obok, zamknięta teraz w folii. Stała też tam zapakowana szklanka, w której Gwen podała wodę Rubinowi Nashowi. Przed wyjściem z gabinetu zadzwoniła do Benny'ego Hasserta, właściciela Niezależnego Laboratorium Hasserta. Postanowiła, że podrzuci mu dowody w drodze do domu. Benny bez pytania zgodził zająć się nimi w pierwszej kolejności. W końcu od dawna była jego klientką i nie raz mu coś podrzucała, począwszy od ludzkiej śliny do zbadania DNA, a skończywszy na próbkach ziemi. Nie był ciekaw, czy miało to służyć jakiejś sprawie prowadzonej przez FBI, do której Gwen została zatrudniona jako niezależny konsultant. Nie zadawał żadnych pytań. Nic go to nie obchodziło. Oznajmił, że wyniki będą na poniedziałek. Wtedy Gwen dowie się, czy odciski palców na kopercie z kolczykiem są identyczne jak te na szklance, a więc czy Rubin Nash jest mordercą.

Jeśli tak, będzie dysponowała poważnym dowodem, że Nash stanowi dla niej zagrożenie, i będzie mogła przekazać wszystko Maggie, nie zważając na tajemnicę zawodową obowiązującą w kontaktach z pacjentem. Policja otrzyma dość dowodów, żeby zaaresztować Nasha, a on nie skrzywdzi jej ojca ani żadnej więcej kobiety. Zostanie aresztowany jako główny podejrzany.

Może była zbyt arogancka, sądząc, że tak łatwo złapie Rubina Nasha. Gdyby wcześniej zaczęła go podejrzewać, szybciej położyłaby kres jego szałowi zabijania. I być może, jeśli właścicielka kolczyka nie została od razu zamordowana, zdołałaby ją uratować.

Raz jeszcze rozejrzała się po ulicy i w końcu doszła do wniosku, że suv znalazł gdzie indziej miejsce do parkowania. Zapewne myliła się co do niego. Powiedziała sobie, że musi odpocząć. Przede wszystkim porządnie się wyspać. Wszedłszy do sklepu, zaczęła od alejki z winami, szukając najlepszego chardonneya.

Zapach imbiru, czosnku i świeżego chleba sprawiał cuda, koił stargane nerwy. Każda alejka oferowała inny rodzaj aromatoterapii. Nie musiała być dyplomowanym psychologiem, by wiedzieć, że szuka w jedzeniu pociechy, że nie chodzi jej o zaspokojenie głodu, ale o proces przygotowywania posiłku i dzielenie się nim z kimś. Zawdzięczała to swojej matce, która była Włoszką i zawsze powtarzała, że posiłek to czas radości i odpoczynku. Przy stole nie wolno było się kłócić. Wszyscy, w tym goście, uczestniczyli w przygotowaniu posiłku. Właśnie w takich

okolicznościach Gwen odbyła z rodzicami większość najważniejszych rozmów. Pakując nadzienie do makaronu cannelloni, przekonała ojca, że powinna wyjechać do college'u poza Nowy Jork. Matka była jej cichym adwokatem, bo nie uświadamiała sobie wówczas, że Gwen nigdy nie wróci do domu, żeby mieszkać i pracować z ojcem.

Dopiero po obronie doktoratu Gwen zdała sobie sprawę, jaką wspaniałą lekcją mediacji i negocjacji były posiłki jej matki. Od czasu do czasu zalecała swoim pacjentom – zwłaszcza tym, którzy szanowali rytuały – żeby próbowali zbliżyć się właśnie podczas wspólnego posiłku z osobą, z którą w innych sytuacjach rozmowa kompletnie się nie układała.

– Witam, pani doktor, co słychać? – Pan Lee kiwał głową i machał do niej zza lady z mięsem i serem. Kroił coś, co wyglądało na kawał peklowanej wołowiny.

– Pilnie potrzebuję mozzarelli.

– Tak tak, mam jej dużo. Dam pani trochę masła czosnkowego. Właśnie je zrobiłem, jest świeżutkie. Dużo czosnku, tak jak pani lubi.

– Fantastycznie. – Gwen posłała mu uśmiech, myśląc, że to naprawdę fantastycznie znać mężczyznę, który wie dokładnie, czego jej potrzeba. Nieważne, że miał osiemdziesiąt jeden lat, był dużo niższy od Gwen, a jego zazdrosna żona oskarżała go, że flirtuje ze wszystkimi rudowłosymi klientkami.

Pan Lee podreptał, jak zawsze, na zaplecze, jakby mozzarella i masło czosnkowe dla Gwen były inne niż te, które trzymał w sklepie. A przecież wystawiony towar wyglądał równie smakowicie i świeżo, ale to, co pan Lee przynosił z zaplecza, pakował w sztywne plastikowe pojemniki. Człowiek miał wrażenie, że niesie do domu jedzenie od krewnego albo przyjaciela i czuł się w obowiązku oddać potem pojemnik.

Gwen, czekając na pana Lee, jeszcze raz rozejrzała się po sklepie, szukając czegoś, co poprawiłoby jej humor i uwolniło od napięcia. Wtedy zobaczyła jakąś kobietę, która szybko odwróciła się i pochyliła w sąsiedniej alejce.

– Dena? – zawołała, nie ruszając się z miejsca, żeby nie wprawiać w zakłopotanie młodej kobiety albo siebie, jeżeli się pomyliła.

Dena jakoś długo nie wychodziła z alejki, a gdy w końcu wyszła zza rogu, jej blade zwykle policzki były zarumienione, jakby została przyłapana w jakimś zakazanym miejscu.

– Witam, doktor Patterson. Właśnie myślałam, że to chyba pani. – Odsunęła z oczu niesforne ciemne włosy, jakby to one przeszkadzały w rozpoznaniu szefowej.

– Nie wiedziałam, że robisz tu zakupy – powiedziała Gwen. Zauważyła, że Dena miała w koszyku rozmaite gatunki serów, butelkę wina oraz bawarskie czekoladki, które wybiera się na romantyczny wieczór we dwoje. A przecież, o ile Gwen się nie myliła, Dena była samotna. A może nie?

Asystentka nieznacznie zerknęła przez ramię i powiedziała:

– Pamiętałam, że pani wychwalała ten sklep. – Potem, jakby czuła, że musi się wytłumaczyć, dodała niemal szeptem: – Właśnie zaczęłam się z kimś spotykać.

– No to przyszłaś do właściwego sklepu. – Gwen potoczyła wzrokiem dokoła, myślała, że choć przelotnie ujrzy partnera swojej asystentki.

Dziewczyna się wzdrygnęła.

– Tak, wiem. Supermiejsce. Trochę się śpieszę. – Ruszyła do wyjścia.

– Do poniedziałku. Miłego weekendu – zawołała za nią Gwen, ale Dena zniknęła już za regałami.

Czy aż tak bardzo nie miała ochoty dzielić się z szefową swoim prywatnym życiem? Gwen zauważyła jej konsternację. Świadomie nie wchodziła w bliższe kontakty ze swoją asystentką, nie mówiła jej o swoich ulubionych miejscach, zwyczajach, a nawet gdzie mieszka.

Dena mogła, oczywiście, robić zakupy, gdzie jej się żywnie podobało. Dlaczego więc skłamała, twierdząc, że Gwen wspomniała jej o sklepie pana Lee?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sobotni wieczór
Columbia, Missouri

Ojciec Gerald Kincaid przeprosił grupkę rozgadanych kobiet i zostawił je same. Gdyby poświęcały swoim mężom i dzieciom choć połowę tej uwagi, jaką poświęcały jemu, miałyby o wiele mniej problemów. Doprawdy, błędne koło.

A jednak cieszyło go to zainteresowanie. Dobrze było czuć się znów potrzebnym. Z bezradności, słabości, z grzechów tych kobiet czerpał siłę i energię. Być może był im niezbędny tak jak one jemu.

Tym razem, choć oficjalnie obchodzili srebrny jubileusz katolickiej parafii pod wezwaniem Wszystkich Świętych oraz Dzień Czwartego Lipca, mieli też inną, specjalną okazję. Tego dnia minęło pół roku od jego przyjazdu, od zakończenia przymusowego urlopu. Powietrze Nowego Meksyku wysuszyło mu skórę, ale spędzony tam czas wspominał dobrze. Słudzy Parakleta, owi kapłani-pocieszyciele przesiąknięci mocą Ducha Świętego, byli mili i szlachetni. Teraz był gotów – więcej niż gotów – wrócić do pracy.

Szedł przez zatłoczony parking, witając wszystkich po imieniu. Zdziwienie na twarzach zebranych, że tak dobrze ich zapamiętał, wynagrodziło mu wysiłek włożony

w ćwiczenie pamięci. Parafianie poświęcili dwa dni, żeby urządzić festyn na parkingu i placu zabaw dla dzieci. Rozstawili ręczne wózki z rozmaitymi towarami, ciasteczkami, watą cukrową, słodkimi rożkami i popcornem. Stragany z grami stały wzdłuż ogrodzenia, a pracownicy pobliskiego sklepu żelaznego zbudowali nawet beczkę śmiechu. Balony i serpentyny powiewały na lekkim wietrze, kilka balonów uwolniło się i poszybowało w stronę bezchmurnego nieba. Męski kwartet wokalny a cappella, w skład którego wchodziło dwóch członków Rady Kościoła, diakon i jego syn, nie narzekał na brak słuchaczy, choć ojciec Gerald pomyślał, że zawdzięczali swoją popularność także i temu, że ustawili się tuż obok stoiska z wypiekami, które przygotowały panie z kółka różańcowego.

Rodziny rozkładały koce na trawie, wypakowywały piknikowe kosze, wybierały najlepsze miejsca do oglądania pokazu sztucznych ogni, który miał się odbyć po zmierzchu. Dzieci przygotowywały się do swojego występu. Część nastolatków rozsiadła się na maskach samochodów, które stały na końcu parkingu.

Grupa chłopców zebrała się, żeby pograć w piłkę. Ojciec Gerald powinien dopilnować dziesiątków spraw, a tymczasem szedł właśnie na boisko. Tam czuł się najlepiej. Działo się tak dlatego – a przynajmniej wciąż w to wierzył – że jego dzieciństwo zostało gwałtownie skrócone. Gdyby matka pozwoliła mu skończyć szkołę średnią, gdyby

nie naciskała, żeby poszedł do seminarium dwa lata wcześniej. Gdyby...

W towarzystwie chłopców znów stawał się jak oni, nadrabiał to, co stracił w dzieciństwie. To była lepsza kuracja odmładzająca niż pobyt w ośrodku odnowy biologicznej w Nowym Meksyku. Próbował wytłumaczyć to doktorowi Marikowi, ale stary lekarz nie bardzo go rozumiał. I nie chciał zrozumieć. Bardziej zależało mu na tym, żeby jego entuzjastyczne raporty zadowoliły kardynała Rose'a.

Dwaj chłopcy pomachali do ojca Geralda, resztę drogi na boisko przebył biegiem. Ktoś rzucił mu piłkę. Po kilku rundkach i podaniach ojciec znalazł się pod ciałami roześmianych i rozwrzeszczanych chłopców. Sean Harris leżał na nim rozciągnięty, pupą na jego kroczu. Ojciec Gerald podniecił się, chociaż ktoś wbił mu łokieć w bok, a stopa Jacoba Raine'a trafiła na jego twarz. Był tak bardzo podniecony, że poczuł erekcję.

Poprosił Seana Harrisa, żeby pomógł mu posprzątać po pokazie sztucznych ogni. Wiedział, że ojciec chłopca stracił niedawno pracę. Rodzina potrzebowała pieniędzy, był więc pewien, że dwadzieścia dolarów, które zaproponował Seanowi za godzinę pracy, uznają za wielką hojność. Matka chłopca zgodzi się pewnie, żeby odwiózł Seana do domu.

Tak, robiło się naprawdę ciekawie. Brnął przez tłum, wpadał na ludzi z podziwem podnoszących głowy i oglądających świetlne widowisko, które właśnie się zaczęło. Poza fajerwerkami nie było innego światła,

wygaszono nawet lampy na parkingu. Muzyka ryczała z czterech potężnych głośników, zsynchronizowana z wybuchami sztucznych ogni.

Przestępował rogi rozłożonych koców, żeby nikogo nie nadepnąć. Błyski fajerwerków oślepiały na chwilę i ojciec Gerald omal nie stracił równowagi, próbując przyzwyczaić do nich oczy. Potknął się o turystyczną lodówkę, machnął ręką na ciche przeprosiny jej właściciela i zderzył się z grupką chłopców, którzy przepychali się do przodu, żeby lepiej widzieć.

– Przepraszam, ojcze – krzyknął jeden z nich.

Sztuczne ognie wybuchały coraz głośniej, ojciec Gerald czuł wibracje, jakie powodował potężny dźwięk. W końcu znalazł się prawie poza tłumem. Wówczas ktoś na niego wpadł, nie przystając ani nie przepraszając. Uderzenie było mocne, ojciec Gerald nie mógł oddychać. Położył rękę na klatce piersiowej i rozpaczliwie łapał powietrze. Jego palce zrobiły się mokre i lepkie. W ciemności nic nie widział.

Niebo rozjaśnił kolejny wybuch, a on dostrzegł w końcu plamę na koszuli, która się powiększała. Przeszył go ostry ból. Padł na kolana. Wciąż słyszał głuche odgłosy wybuchów, ale i one cichły, zanikały w tle.

Pokaz ogni sztucznych nie dobiegł jeszcze końca, kiedy wszystko zalała ciemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Niedziela, 4 lipca
Droga międzystanowa numer 95

Jechały już dwie godziny, kiedy Maggie uprzytomniła sobie, że rozmawiają z Racine o sprawie spokojnie, nie przerzucają się argumentami ani sprzecznymi teoriami. Racine pozwoliła nawet, żeby Maggie wzięła Harveya i oddała mu całe tylne siedzenie w swoim infiniti G35 bez gadania o jego pazurach i nowej skórzanej tapicerce.

Z początku Maggie myślała, że Racine robi tak tylko na pokaz, by zrobić na niej wrażenie, zdobyć przychylność, przeciągnąć na swoją stronę. Kłopot w tym, że na Maggie trudno było zrobić wrażenie, Racine z kolei brakowało cierpliwości i uprzejmości, aby ignorować coś, co jej się nie podobało. No i w ogóle trudno zignorować labradora retrievera – nawet kiedy śpi – w wozie wartym czterdzieści tysięcy dolarów.

Racine wyrwała Maggie z zamyślenia:

– Gdzie umieściłabyś tego faceta na swojej skali czubków?

– Na mojej skali czubków?

– Wiem przecież, że wytropiłaś gorszych popieprzeńców, pardon za wyrażenie. Podczas wizyt u ojca próbuję stonować moją niewyparzoną gębę, jak on to nazywa. – Racine wypiła łyk dietetycznej pepsi, jakby chciała

przepłukać gardło z przekleństw. – Wiesz, o czym mówię. Do jakiej kategorii zaliczysz tego gościa? Czy to kolejny Simon Shelby czy raczej nowy Albert Stucky?

Racine wymieniła dwóch seryjnych morderców, działających w zupełnie odmienny sposób, z którymi Maggie miała do czynienia w ciągu kilku ostatnich lat. Simon Shelby zabijał, żeby zdobyć chore organy swoich ofiar. Potem wsadzał do butelek i słoików guzy mózgu i niedomagające serca, a wszystko po to, żeby zrekompensować sobie choroby własnego dzieciństwa. Shelby miał chory umysł, dlatego jego straszne czyny wymykały się klasycznemu osądowi w kategoriach dobra i zła, natomiast Albert Stucky był uosobieniem czystego, świadomego siebie zła. Tak w każdym razie postrzegała to Maggie. Co bowiem innego mogło skłonić Stucky'ego do pakowania organów swoich ofiar w pojemniki na jedzenie i podrzucania ich w publicznych miejscach, żeby ktoś je znalazł?

Przygotowanie portretu psychologicznego mordercy nie jest takie proste, jak sądzi wiele osób. Nie polega na przypisaniu zabójcy do pewnej kategorii i przewidywaniu na tej podstawie jego następnego ruchu. To wymaga wglądu w umysł zbrodniarza, zajrzenia w najciemniejsze zakamarki, i to tak, żeby nie dać się wciągnąć w tę piekielną otchłań.

– Tu nie chodzi tylko o przynależność do konkretnego typu – odparła w końcu Maggie.

– Och, wiem. Ale spróbuj mi wyjaśnić, jaki bezmózgowiec dusi kobietę, a potem odrąbuje jej głowę? Mamy do czynienia ze zdrowo kopniętą szują, co? Tej kanalii nie chodzi przecież tylko o zaspokojenie swojego chorego popędu.

– Myślę, że kieruje nim raczej wściekłość, nie żądza.

– Wściekłość? Więc myślisz, że nie zatrzymuje tułowia, żeby sobie pobzykać?

– Pobzykać?

– Taa, no wiesz, jedni kupują dmuchane lalki, a on ma to.

Maggie uśmiechnęła się, słysząc język Racine i jej uproszczoną charakterystykę sprawcy. Zerknęła na Julię. Prezentowała się świetnie w modnych okularach Ray-Ban, ze sterczącymi jasnymi włosami, w różowym topie Key West i spodniach Ralpha Laurena. Maggie chyba nigdy nie wyglądała tak młodo, modnie i beztrosko, a na pewno nigdy się tak nie czuła. Dopiero niedawno zaczęła wydawać pieniądze na designerskie ciuchy. Sprawiła sobie drogie skórzane buty na płaskim obcasie firmowane przez Cole'a Hanha, na które zresztą namówiła ją Gwen. Umeblowanie i wystrój jej domu w stylu Tudorów, który znajdował się w Newburgh Heights, na przedmieściach Waszyngtonu, domu kupionego za pieniądze z funduszu powierniczego zostawionego jej przez ojca, można by co najwyżej uprzejmie podciągnąć pod kategorię: tradycja i praktyczność.

Maggie kierowała się w życiu logiką i dyscypliną, była uparta i stanowcza. Przypisywała to temu, że musiała zbyt

szybko dorosnąć. W wieku lat dwunastu straciła ojca i została jedyną opiekunką matki alkoholiczki o skłonnościach samobójczych.

W owych ponurych czasach zagubiła beztroskę młodości. Była zmuszona odpierać ataki pijanych facetów matki, dbać, żeby rachunki były zapłacone i żeby miała coś do jedzenia przed wyjściem do szkoły. Uczyła się w college'u i równocześnie pracowała, nawet jej były mąż, Greg, zainteresował się nią właśnie dlatego, że była taka dojrzała i odpowiedzialna. Swoją drogą te właśnie cechy odepchnęły go w końcu od niej, kiedy oddała je bez reszty pracy w FBI.

Racine z kolei wcześnie straciła matkę. To także je łączyło; dzieciństwo Julii nie było bowiem całkiem beztroskie i radosne. Tyle że Luc Racine, kochający i zapobiegliwy ojciec, robił wszystko, żeby jego ukochana córeczka miała prawdziwe dzieciństwo. O ironio, Julia Racine starała się ze wszystkich sił zaimponować i naśladować Maggie, a okazało się, że ta jej zazdrości.

Zabawne, pomyślała Maggie, jak życie potrafi zaskakiwać, kiedy człowiek myśli już, że wszystko sobie poukładał. Kiedy uważa, że może ufać własnej ocenie ludzi.

– Hej, wracaj na ziemię. Gdzie byłaś? Chcesz wysiąść i rozprostować nogi?

Maggie uświadomiła sobie, że wyłączyła się na zbyt długo.

– Nie, dzięki. – Odwróciła głowę, żeby sprawdzić, co robi Harvey. Pies leżał na siedzeniu i mocno spał.

– Na pewno?

– Chyba trochę jestem zmęczona.

– Kolejna ciężka noc, co?

Racine spojrzała na nią przez okulary przeciwsłoneczne i w tej samej chwili Maggie przypomniała sobie powitanie z Harveyem, które Racine słyszała przez telefon w piątek wieczorem. Wybuchnęła śmiechem.

– Nie mój interes. – Racine machnęła ręką. – Nie musisz mi nic mówić.

Maggie nie mogła się uspokoić. Zaśmiewała się do łez, aż wreszcie z trudem wydusiła:

– To był Harvey.

– Co?

– To Harveya słyszałaś zeszłego wieczoru.

Racine nie od razu zrozumiała. Maggie wydawało się, że zobaczyła na jej twarzy rumieniec. Trudno było stwierdzić to na pewno, patrząc przez ciemne szkła okularów. Znowu zaczęła się śmiać, a po chwili dołączyła do niej Racine.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Omaha, Nebraska

Tommy Pakula wiedział, że będzie za to płacił miesiącami. Nieważne, że mieli akurat świąteczny dzień. Jego żona, Clare, przywykła, że mąż często pracuje w święta. Uzgodnili jednak dawno temu, że niedzielne poranki to czas dla rodziny. Tommy zgłosił się nawet do pomocy w parafii Świętego Stana, żeby udowodnić żonie, jak poważnie traktuje ich umowę. Mieli iść na poranną mszę, a potem zjeść razem brunch. Zresztą czekał na to niecierpliwie każdego tygodnia.

W ciągu kilku minionych lat, od czasu umowy z żoną, tylko trzy razy wzywano go w niedzielne ranki, i zawsze, ponieważ chodziło o pracę, było mu to wybaczone. Jednak tym razem nie spodziewał się łatwego rozgrzeszenia. Próbował wyjaśnić Clare, że sprawa jest pilna. Na darmo. Próbował zatem zażartować, że zamienił mszę na prywatne konsultacje z wielebnym.

Teraz, patrząc na sine ciało Williama O'Sullivana, leżące na stole z nierdzewnej stali, Pakula zdał sobie sprawę, że dowcip był kiepski. Podczas tej „prywatnej konsultacji” miał nadzieję, że wielebny powie mu, co stało się w toalecie na lotnisku.

Martha Stofko, główny lekarz sądowy okręgu Douglas, zrobiła już pomiary i wzięła próbki. Zanim wykonała nacięcie w kształcie litery Y, obejrzała klatkę piersiową księdza, sfotografowała ją, a potem włożyła palec zakryty rękawiczką do rany.

– Proszę mi powtórzyć, dlaczego robimy to w niedzielny ranek? – Przeniosła wzrok na Pakulę.

– Zawdzięczamy to arcybiskupowi Armstrongowi. Z jakiegoś powodu przekonał szefa, że pośpiech jest w jego interesie. – Pakula nie był pewien, czy Stofko zrozumiała. Przeniesiono ją tu z Kalifornii, nie była miejscowa, a tylko miejscowi znali lokalne układy i władzę arcybiskupa.

– Więc komendant Ramsey jest katolikiem?

Chyba Pakula jednak jej nie docenił.

– Prawdopodobnie siostra wielebnego chce, żeby jak najszybciej przewieziono jego ciało do domu do Connecticut. – Pakula powtórzył słowo w słowo prośbę czy raczej polecenie, które usłyszał przez telefon od niejakiego brata Sebastiana.

Tym razem Martha Stofko spojrzała na niego przez połówkowe okulary, oparte na czubku nosa.

Pakula tylko wzruszył ramionami.

– Zna mnie pani. Robię, co mi każą.

– Taa, to prawda. W takim razie niech pan tu podejdzie i rzuci okiem.

Pakula patrzył, jak Stofko rozdziela płaty skóry.

– Widzi pan to cięcie?

– Wygląda jak litera X.

– Albo krzyż. Można je zrobić, przekręcając nóż, kiedy się go wyciąga. To był nóż z podwójnym ostrzem, w środkowej części grubszy, ale węższy niż dwa i pół centymetra. Kiedy skończę, powiem panu, jaką miał długość. – Znów włożyła do rany palec wskazujący, który niemal tam zniknął. – Cięto raczej od dołu do góry. Będę tego pewna, kiedy obejrzę cały obszar.

– Zabójca był prawo czy leworęczny? – spytał Pakula.

– Nie jestem pewna. – Zajęła się rękami wielebnego, podnosiła je i oglądała. – Nie widać żadnych śladów, żeby się bronił.

– Zauważyłem – rzekł Pakula. – Znaleźliśmy go obok umywalki. Zabójca musiał wejść za nim do toalety. Pewnie go zaskoczył.

– Jeśli tak, to, moim zdaniem, zabójca jest praworęczny. Mógł podejść od tyłu z prawej strony, przechylić się i zadać cios w klatkę piersiową.

– Skąd wiedział, czy nie trafi w kość? Po prostu mu się udało?

– Miał pięćdziesiąt procent szans. Uderzył mocno, a to zwiększało prawdopodobieństwo, że mu się uda. Proszę spojrzeć na ślad pod raną. – Znajdowała się tam prosta, czerwona, mniej więcej pięciocentymetrowa linia. – Rękojeść zostawiła ślad, czyli cios zadano z dużą siłą.

– Czy to mówi nam coś na temat postury zabójcy?

– Niekoniecznie. To raczej świadczy, że jest szybki, a nie potężny. Cały ten obszar – mówiła Stofko, machając dłonią w rękawiczce nad brzuchem księdza – jest dość wrażliwy.

Skóra stanowi najbardziej odporną tkankę. Kiedy się ją naruszy, nie potrzeba dodatkowej siły, żeby dostać się do organów wewnętrznych, zwłaszcza jeśli nóż nie trafi na kość. Skoro rękojeść została odciśnięta, będę mogła lepiej określić długość ostrza, chociaż przy tak silnym ciosie głębokość rany przekracza zwykle jego długość. Wezmę to pod uwagę.

– Można już ustalić rodzaj noża?

– Ma szeroką rękojeść, jak na tak długie i wąskie ostrze. Nie spotkałam się z czymś takim. Początkowo sądziłam, że to jakiś rodzaj sztyletu. Widzi pan to ciemniejsze podłużne miejsce w środku odcisku rękojeści? – Pokazała palcem, a Pakula stwierdził ze zdumieniem, że wcześniej tego nie dostrzegł.

– Co to, kurna, jest?

– Znowu mogę tylko zgadywać, ale przypuszczam, że rękojeść była ozdobna, rzeźbiona. To miałoby sens, jeśli byłby to sztylet albo nóż do otwierania listów.

Stofko zrobiła na klatce piersiowej księdza nacięcie w kształcie litery Y i odciągnęła płaty skóry i tłuszcz.

Pakula nie znosił tego chrupania chrząstek, ale nie odwrócił wzroku, kiedy Stofko wzięła do ręki narzędzie przypominające ogrodowy sekator i zaczęła nim przecinać żebra. Dostał już potrzebną mu informację, a mimo to postanowił jeszcze przez kilka minut dotrzymać jej towarzystwa przed wizytą w laboratorium kryminalnym okręgu Douglas. Miał nadzieję, że coś tam znaleźli, cokolwiek, co pomogłoby odnaleźć sprawcę. W sprawie tej,

wobec zakulisowych działań Kościoła, czas miał bowiem zasadnicze znaczenie.

Brat Sebastian i arcybiskup z satysfakcją przyjęli wiadomość, że wielebny został przypadkową ofiarą przemocy. Bardziej martwił ich los teczki. Coś jednak mówiło Pakuli, że to wcale nie było przypadkowe morderstwo. W takim razie kryłoby się za tym więcej tajemnic, niż zawierała zaginiona aktówka.

– Ciekawe. – Martha Stofko wyjęła z klatki piersiowej księdza żółtawą kulę i położyła ją na tacy.

– Co to jest? – spytał Pakula, podchodząc bliżej. Pomimo starań widział tylko jakąś dziwną tkankę.

Stofko sięgnęła po nóż, który wyglądał jak zwyczajny nóż do smarowania, i zaczęła kroić kulę, przypominającą tłuszcz kurczaka.

– Zdrowa wątroba ma zwykle kolor i konsystencję wątroby cielęcej. Na pewno widział ją pan w supermarkecie.

– Ta z pewnością nie wygląda na zdrową. – Pakula skrzywił się z obrzydzeniem, patrząc na żółtawą ohydną papkę. – Na co chorował wielebny O'Sullivan?

– Powiedziałabym, że dobry ojczulek nie lubił wylewać za kołnierz. Prawdę mówiąc, musiał pić sporo, i to od dłuższego czasu.

– O kurna, księżulo alkoholik. – Pakula potarł swoją ogoloną głowę. Jeszcze jedna tajemnica, jakby było mało kłopotów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wenezuela

Ojciec Keller złożył szatę liturgiczną i schował ją w specjalnym drewnianym pudle, obok wycinków z prasy. Był z siebie całkiem zadowolony. Poranna niedzielna msza, mimo dręczących go mdłości, poszła lepiej, niż się spodziewał. Chciał tylko wiedzieć, dlaczego tak źle się czuł.

Przywykł już do upału i wilgoci. Zapanował nad insektami, niemal całkowicie pozbył się ich z domu. I choć moskity nie dawały mu spokoju, uodpornił się na ich jad, chyba że... chyba że jednak zaraził się malarią albo zaatakował go jakiś tutejszy wirus. Czy to możliwe?

Dotknął skroni, starł krople potu i położył dłoń na rozpalonym czole. Z pewnością miał gorączkę. Może powinien zaparzyć sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty. Pomogła mu już wcześniej, pozwoliła przetrwać mszę i podziękować wiernym za przybycie.

Nienawidził tego dziękowania i uścisków dłoni, uśmiechów i potakiwania, udawania, że rozumie ich kiepską angielszczyznę. Wymyślił idealną odpowiedź, która wszystkich zadowalała. Usłyszawszy ją, odchodzili z uśmiechniętymi twarzami. Mówił: „Będę się za was modlił”. To zawsze zdawało egzamin. Biedacy pragnęli gorąco, żeby ktoś się za nich modlił. W końcu przyjechał tu,

żeby im pomóc i dzielić beznadziejne życie tej małej społeczności.

Miał już dość nerwowych przeprowadzek w środku nocy i lądowania w coraz to gorszych miejscach. Tutaj miało być inaczej, było jednak tak samo jak gdzie indziej. Wszystkie te wioski nawet wyglądały podobnie, identyczne zrujnowane chaty, które trzymały się chyba tylko dzięki łasce boskiej. Mieszkańcy też byli tacy sami, usatysfakcjonowani swoimi łachmanami i kleikiem rano, w południe i wieczorem, za to ogromnie spragnieni uwagi i pochwał, zwłaszcza od Boga, a zatem zwłaszcza od niego, księdza. Uważali go bowiem za drugiego po Bogu. Zaś dla niektórych – umierających starych kobiet i niewinnych dzieci – stawał się samym Bogiem.

Tak, zmęczyły go te ciągłe przeprowadzki. Podjął decyzję, że tu zostanie, mimo paniki z powodu maski na Halloween, tej maski śmierci z przeszłości. Przekonał sam siebie, że ktoś z niego głupio zażartował. Tak było z całą pewnością. Nikt nie mógł go przecież wyśledzić. Wykluczone. Poza tym nie pozwoli, żeby ktoś go znowu śmiertelnie przeraził i zmusił do ucieczki.

Woda w czajniku zabulgotała, za oknem padał deszcz. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział słońce. Bardzo mu to ciążyło. W skroniach znów zaczęło pulsować. Może po prostu miał chore zatoki, a przez tę wilgoć nie czuł żadnej poprawy. Czy zatoki mogły wywołać gorączkę? Nudności? Cholerne pulsowanie w skroniach?

Nalał sobie herbaty, przez chwilę wdychał terapeutyczny aromat i od razu poczuł się lepiej. W takich momentach czuł się odrobinę bezbronny, tracił nieco pewność siebie. Herbata przypominała mu o matce, jego drogiej świątobliwej matce. Gorąca herbata i ciasteczka stanowiły jej jedyną słabość, którą ukrywała przed mężem, żeby i tego jej nie pozbawił. W dniu, kiedy po raz pierwszy podzieliła się herbatą z synem i wprowadziła go w rytuał – w tajemniczy, skrywany przed światem rytuał – poczuł dozgonną więź z matką. To był ich wyjątkowy czas, który spędzali razem, ich czułe, intymne święto. Pewnie dlatego ów rytuał wciąż przynosił mu ukojenie. Dzięki niemu przywoływał w pamięci tych kilka dobrych chwil z przeszłości.

Zerknął na zegarek i usiadł przy drewnianym stole, na którym leżał laptop. Komputer był wielkim szaleństwem, większym niż pełna poczucia winy przyjemność, ale także darem od Boga. Dzięki niemu kontaktował się ze światem, z cywilizacją, włączając go, przywracał sobie jasność umysłu. Zawsze też był w wiosce ktoś, kto – bez względu na koszty, niedogodności czy umiejętności, potrafił podłączyć go do Internetu, jeśli tylko w pobliżu znajdowała się linia telefoniczna. Łączył się jednak powoli, a czasowe ograniczenie dostępu było denerwujące.

Czekał cierpliwie, aż komputer się załaduje, a potem niemrawo spróbuje połączyć się z Internetem. Popijał herbatę, słuchając deszczu. Następnie wpisał swoje hasło i znowu oparł wygodnie plecy, spodziewał się, że będzie

czekał dłuższą chwilę. Tymczasem połączenie zostało zrealizowane natychmiast.

– Masz wiadomość – powiedział głos z komputera, przynosząc Kellerowi niemal tyle samo przyjemności co herbata. To na pewno jego przyjaciel ze Stanów. Nikomu innemu nie podał swojego adresu mailowego. Nie pisali wiele o prywatnych sprawach, za to prowadzili głębokie dyskusje na temat bieżących wydarzeń oraz dylematów moralnych. Od lat nie miał tak bliskiego przyjaciela, a może nawet nigdy.

Kliknął na „Nową Pocztę”. Tak, to list od przyjaciela, ten adres zawsze wywoływał uśmiech na jego twarzy: pozeraczgrzechowol.com.

Ich listy nigdy nie zawierały pozdrowień. Doceniał to, nie chciał tracić czasu na uprzejmości, które nie były już konieczne. Wiadomość miała dwa załączniki, prawdopodobnie artykuły z prasy. Często w ten sposób zwracali nawzajem swoją uwagę na pewne wydarzenia i zaczynali dyskusję. Na końcu listu przyjaciel napisał:

Możesz być następny.

Pewnie znowu jakiś żart, pomyślał Keller. Lubił ironiczne poczucie humoru przyjaciela, ich sporadyczną wymianę żartobliwych przytyków.

Kliknął na pierwszy załącznik i czekał, aż się otworzy. Kiedy zobaczył tytuł artykułu, skoczył na równe nogi, omal nie wylewając herbaty:

Ksiądz z Omaha zasztyletowany w toalecie na lotnisku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Uniwersytet New Haven
New Haven, Connecticut

Maggie odsunęła się i patrzyła, jak profesor Adam Bonzado obracał w dłoniach pozbawioną skóry głowę, wyciągał ją przed siebie i oglądał niczym drogocenny kamień. Nie zwróciła dotąd uwagi, jakie miał silne ręce. Długimi palcami ostrożnie badał resztki tkanki, dociekliwie, bez wahania czy obrzydzenia. Gwen, jak to ona, zamęczała Maggie, twierdząc, że Bonzado to dla niej idealna partia, w końcu on także miał obsesję na punkcie zła.

– Zdaję sobie sprawę, że to niewiele – zaczęła Racine i również się odsunęła. Postawiła metalową chłodziarkę na jednym z laboratoryjnych stołów, żeby Bonzado sam ją otworzył. Maggie zastanawiała się, czy zrobiła tak z uprzejmości, czy raczej nie miała ochoty brać do rąk ludzkich szczątków, z czerwiami czy bez.

– Trafiają do nas głowy w o wiele gorszym stanie – rzekł Bonzado, uniósł znów pierwszą głowę i zaczął przyglądać się jej z różnych stron. – Lubię uczyć, ale żyję tylko dla takich chwil. Trzyma mnie to w karbach. Poza tym idę na lunch z dwiema atrakcyjnymi kobietami.

Maggie wydawało się, że spostrzegła rumieniec na policzkach Racine, ale ta szybko się odwróciła. Udawała, że

z zaciekawieniem ogląda laboratorium. Czyżby interesowała się Bonzado? Na długo przedtem, zanim Julia Racine próbowała ją poderwać, do Maggie dotarły słuchy, że pani detektyw jest biseksualna. Mimo wszystko zaskoczyło ją to. Maggie była wtedy zamężna, pracowała od świtu do nocy i nie zwracała uwagi na żadne próby podrywu czy to ze strony mężczyzn, czy kobiet. Kiedy teraz o tym myślała, stwierdziła, że od tamtej pory niewiele się zmieniło. Poza tym, że przeprowadziła rozwód. Nadal jednak nie interesowały jej żadne związki.

– Maggie, obiecuję, że dostaniesz na lunch coś o wiele lepszego niż zupa, którą gotowałem na palnikach Bunsena.

Bonzado zerknął na nią, jakby chciał sprawdzić, czy pamiętała tamten incydent albo zobaczyć, czy zrozumiała, że próbuje nawiązać z nią flirt. Czyżby potrafił czytać w jej myślach? Maggie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Oczywiście, że pamiętała. Kiedy poprzednio odwiedziła uniwersyteckie laboratorium, obok garnka z ludzkimi kośćmi gotował się gar zupy. Bonzado nieźle ją wystraszył, kiedy podniósł łyżkę zupy do ust. Nie od razu pojęła, że to tylko jego lunch, a nie wywar z ludzkich szczątków.

Bonzado delikatnie położył głowę na stole, wziął małą latarkę, pochylił się i z wielką uwagą zajrzał do środka czaszki. Tylko dwa stoły w tym pomieszczeniu były wolne, pozostałe zapełniały kości i szkielety. Wielu z nich brakowało podstawowych fragmentów.

Ostatnio Maggie widziała tu więcej garnków stojących na palnikach, napełniających laboratorium zapachem

gotowanego ludzkiego mięsa. Dzięki Bogu tym razem nic się nie gotowało. Może dlatego, że mieli właśnie świąteczny weekend. Nawet suszarki i zlewy w odległym kącie świeciły pustkami, żadne kości stamtąd nie straszyły.

Za to półki na ścianach wyglądały jak wówczas: słoiki, butelki, misy i kartonowe pudła, wszystko to wypełnione fragmentami kości i innych tkanek. Niektóre z nich były opisane, inne zapewne nigdy nie doczekają się identyfikacji.

Promień słońca wpadł do sali przez podwójne okna, żółtopomarańczowa plama światła nadała pomieszczeniu niesamowitą aurę. Maggie pomyślała, że nie potrzeba im wcale dodatkowych atrakcji. Bonzado już wyglądał jak Hamlet z czaszką Jorika i smętnym wzrokiem. O ile, oczywiście, można sobie wyobrazić Hamleta w fioletowo-żółtej hawajskiej koszuli, szortach i sportowych butach.

– Tę, którą znaleźliśmy w piątek, można bez trudu zidentyfikować. Prosiłam już kogoś, żeby sprawdził listę osób zaginionych. Miała też nienaruszone zęby. Była w o wiele lepszym stanie – wyjaśniała Racine, a Maggie podejrzewała, że próbuje tylko wypełnić przejmującą ciszę. Bonzado chyba jej nie słuchał. – W lepszym stanie, jeśli nie brać pod uwagę tych cholernych czerwi. Jezu! Dawno już nie widziałam ich aż tyle naraz.

– Upał wam nie sprzyja. Dranie pracują szybko – rzekł Bonzado. A zatem jednak słuchał. – Gdzie znaleziono tę głowę? Blisko wody?

– Czy to A, czy B? – zapytała Racine, szukając dołączonych przez Stana Wenhoffa identyfikatorów, bez których trudno

było odróżnić głowy. – A – odpowiedziała sobie w końcu, wyjmując identyfikator z chłodziarki. – Znaleziona w Rock Creek Park, na terenie zalesionym, z dala od ścieżek do biegania. Znalazła ją kobieta z psem. Zadzwoniła na policję i powiedziała, gdzie mamy szukać. Powiedziała, że pies ją znalazł.

– Wyjątkowo dobrze zachowana, jeśli leżała w lesie.

– Była przykryta ziemią i liśćmi – przeczytała z kartki Racine.

– Jakaś kobieta zadzwoniła? – Maggie nie przypominała sobie, żeby widziała w dokumentach nazwisko informatorki, ale kobieta mogła się nie przedstawić. – Nie zaprowadziła was na miejsce, nie było jej tam?

– Nie, nie przyszła nawet podpisać raportu – odparła Racine. – Zadzwoniła na 911, operator odebrał od niej informację.

– Podała swoje nazwisko?

– Nie. – Racine podniosła wzrok znad notatek i spojrzała w oczy Maggie.

Ich myśli pobiegły podobnym tropem. Czy to ta sama kobieta, która w piątek skierowała policję na brzeg Potomacu? Do kolejnej głowy porzuconej przez mordercę?

– Czy poprzednio także dzwoniła kobieta?

Racine wyjęła teczkę z dokumentami i zaczęła je przeglądać.

– Niezidentyfikowana ofiara płci żeńskiej została znaleziona w pobliżu placu budowy, gdzie powstaje nowy garaż. Właściciel, pan Bradford Zahn, powiadomił policję.

Hm... nie ma tu telefonu od tajemniczej kobiety. – Niezadowolona wzruszyła ramionami i popatrzyła na Maggie. – Nasza teoria się nie sprawdziła.

Bonzado nie zwracał na nie uwagi. Położył badaną głowę na boku i oglądał ślady u podstawy czaszki.

– Nie jestem pewny, jakiego narzędzia użył morderca, ale wygląda raczej na to, że odrąbał głowę, a nie odciął.

– Rąbał i oderwał – dodała Maggie. – Widać to na głowie ostatniej ofiary.

– To mi przypomina sprawę, którą zajmowałem się kilka miesięcy temu – oznajmił Bonzado. – Znaleziono tylko lewą nogę, zresztą w fatalnym stanie. Ktoś ją wyłowił z Connecticut River. Ślady po rąbaniu były bardzo podobne do tych. Próbowałem je powiązać z jakimś narzędziem, w końcu uznałem, że najbardziej pasuje mały toporek, używa się takie na polu namiotowym.

– A więc to był topór? Ależ toporna robota. – Racine zaśmiała się z własnego dowcipu.

Bonzado milczał. W końcu się uśmiechnął, nadal pokazując ślady na tym, co zostało z kręgosłupa szyjnego ofiary.

– Zwykle, gdy ktoś ćwiartuje ciało, przecina albo przepiłowuje stawy i kości. Ostry przedmiot, taki jak topór czy siekiera... mogła być to również maczeta... zostawia charakterystyczne ślady w miejscach, gdzie napotyka na opór. To by wyjaśniało, dlaczego tkanki miękkie zostały tak poszarpane.

– Jedno mi nie daje spokoju – wtrąciła Maggie, patrząc, jak Bonzado przemywa kości jakimś roztworem, który podkreślał ślady rąbania. – Morderca musiał być dość zdyscyplinowany i zorganizowany, żeby wszystko zaplanować, nie tylko samą zbrodnię, ale także co potem zrobić z ciałem. Tymczasem wygląda na to, że po zabójstwie stracił głowę. Ostatnia ofiara została uduszona i uderzona w głowę młotkiem. Użycie topora czy maczety potwierdza tylko teorię, że morderca stracił kontrolę.

– Taa, i co z tego? Dlaczego nie użył piły albo noża? – spytała Racine. – Źle to zaplanował? Czyżby posługiwał się tym, co ma akurat pod ręką? – Kierowała to pytanie do Maggie, psychologa FBI, nie do Bonzado.

– Wywozi ofiary w jakieś bezpieczne miejsce i tam je ćwiartuje – odparła Maggie. – A gdzie znalazłby topór lub maczetę?

– Mój ojciec trzyma maczetę w szopie w ogrodzie – rzekł Bonzado. – Ścina nią gałęzie i mlecze. Jeśli chodzi o topór, ktoś, kto często wyjeżdża pod namiot, może wozić toporek w bagażniku.

– Nawet jeśli stale ma go w samochodzie, to gdzie, do diabła, zabiera ofiary? – pytała Racine. – Odcięcie głowy to mokra robota, a w mieście nie ma tak dużo ogrodowych szop.

– Nie zakładajmy, że robi to w mieście – powiedziała Maggie. – To, że podrzuca tu głowy, wcale tego nie dowodzi.

– Racja – przyznała Racine, a Maggie pomyślała, że Julia tym razem była nadzwyczaj zgodna. – Więc mógł mieć dostęp do jakiego domku czy schowka na narzędzia za miastem, ale mieszka prawdopodobnie w Waszyngtonie, tak? O ile wiem, seryjni mordercy zwykle nie popisują się swoimi zdolnościami z dala od miejsca zamieszkania.

– Wybaczcie, drogie panie. – Bonzado trzymał w ręku szczypce i odrywał z czaszki fragment skóry. – Chyba coś tu mam. Pozwolicie, że to skubnę?

– Co tylko zechcesz.

Maggie podeszła i spojrzała zza pleców profesora, nie zorientowała się jednak, co przyciągnęło jego uwagę. Tkanka była mocno zniszczona, sinoczarna. Nie pomógł nawet czarodziejski płyn.

– Co to jest? – zapytała w końcu, domyślając się, że coś tkwi w tkance.

Bonzado ostrożnie oderwał fragment tkanki średnicy jakichś pięciu centymetrów. Podniósł ją do światła, które wpadało przez okno, ale Maggie nadal nie rozumiała, co go tak zaintrygowało.

– Naskórka już nie ma, więc muszę to oczyścić. – Przez ten swój uśmiech przypominał Maggie ucznia dumnego ze swojego projektu. – Jeśli się nie mylę, to tatuaż z karku. Zabójca mógł sądzić, że się go pozbył, kiedy odrąbywał głowę, ale tatuaże zazwyczaj są widoczne nie tylko na zewnętrznej warstwie skóry. Dobrze widać je głębiej, gdzie osiada barwnik.

– Będziemy wiedzieć, jak wyglądał tatuaż?

– Trudno powiedzieć. – Bonzado trzymał teraz tkankę pod fluorescencyjną lampą na biurku. – Jeśli tak, pamiętajcie, że tatuaże są dość unikalne. Wiele razy na ich podstawie identyfikowaliśmy ofiary.

– Więc może mordercy faktycznie powinęła się noga – stwierdziła z nadzieją Racine.

– O tak. Powiedziałbym, że zrobił wielkie głupstwo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Omaha, Nebraska

Tommy Pakula zostawił Clare i dziewczynki za domem, pod ogrodowym namiotem. Chętnie mu wybaczyły, bo pod jego nieobecność mogły spokojnie przedyskutować plany na wielki jubel z okazji Czwartego Lipca, organizowany w Memorial Park. Przynajmniej nie zaczął fałszywie naśladować Beach Boysów, jednej z wyblakłych gwiazd, które miały uświetnić imprezę.

Pakula był zadowolony. Miał dla siebie cały duży pokój, a co ważniejsze, telewizyjnego pilota. Włączył odbiornik, skakał po kanałach, w końcu zostawił Fox News i wyjął teczki z dokumentami, które z sobą przyniósł. Zazwyczaj nie pracował w domu, ale ta sprawa nie dawała mu spokoju, a drwiny tego federalsa Westona tylko zwiększyły jego ciekawość.

Wyjął zdjęcia z miejsca zbrodni i z autopsji oraz raporty, które pobrał z serwera Departamentu Policji w Minneapolis. Ucieszyło ich jego zainteresowanie, gdyż sami nie posiadali żadnych tropów. Na razie uznali, że było to przypadkowe morderstwo, ale Pakula wciąż się zastanawiał, czy morderca wiedział, że zabija księdza.

Laboratorium kryminalne okręgu Douglas nie miało dla niego na razie żadnych informacji. Za wcześnie,

powiedzieli. Co prawda, Medina zebrała i opisała kilka dowodów. Dawniej często miał do czynienia z Zasadą Locarda. Niezależnie od tego, jak bardzo uważny był morderca, musiało dojść do jakiejś wymiany między nim i ofiarą, to nieuniknione. Jeśli tylko morderca nie miał na sobie sterylnego ubrania, musiał zostawić coś na miejscu zbrodni: błoto z podeszew, włókno z koszuli, a przy odrobinie szczęścia nawet włos.

Pakula spojrzał na foliowe torebki z dowodami, które dała mu Medina. W pierwszym znajdowały się chyba okruchy chleba. Podniósł torebkę i przeczytał opis Mediny:

Miejsce: Przód koszuli.

Wynik testu laboratoryjnego: biały przaśny chleb.

Pakula podrapał się po głowie. Nie rozumiał tego. Skąd wzięły się okruchy na koszuli ofiary? Przecież nie z podłogi. Może któryś z gapiów, który wszedł na miejsce zbrodni, miał z sobą kanapkę? Nie znaleźli nic prócz okruchów, wielebny nie zostawił sobie przekąski na później. A jeśli jednak zostawił, czy jest możliwe, że jakiś dupek, który wszedł tam, żeby się odlać, poczęstował się napoczętą kanapką księdza? Idiotyczny pomysł, ale Pakula widział już dziwniejsze rzeczy.

Podniósł drugą torebkę. Tym razem dostrzegł krótkie pasma włosów. Czyżby to było to? Oczywiście wiedział, że nie zawsze udaje się z włosów wyodrębnić DNA. Potrzeba do tego cebulki albo przynajmniej jej części. Nawet dwa kosmyki tej samej osoby nie rozstrzygają o identyfikacji. Nie posiadając żadnych dowodów, Pakula wziąłby choćby

pojedynczy włos z nosa, gdyby mógł na tej podstawie ustalić sprawcę. Przeczytał opis Mediny i westchnął rozczarowany. Miał chęć cisnąć torebkę w kąt.

Miejsce: Włosy zdjęte z tyłu koszuli ofiary.

Wynik testu laboratoryjnego: sierść psa. Rasa jeszcze nierozpoznana.

Tyle się nacieszył, a to jakiś pieprzony kundel, nie zabójca.

Zerknął przez okno. Clare z dziewczynkami wciąż stała pod namiotem. Śmiały się, jeszcze się nie pokłóciły i żadna nie przybiegła do niego na skargę, więc na razie miał spokój. Wybrał kilka zdjęć i rozłożył na stoliku.

Jedno z nich, z miejsca zbrodni, przedstawiało wielebnego O'Sullivana na podłodze. Leżał na boku ze skręconymi nogami, a obok niego stłuczone okulary. Pakula szukał zbliżenia okularów i szybko je znalazł. Nie mogły się tak stłuc, upadając. Ktoś na nie nadepnął. Może morderca. Prawdopodobnie celowo. Zapisał sobie w pamięci, żeby sprawdzić, czy Medinie udało się znaleźć odcisk buta na okularach lub na podłodze.

Przekartkował jej notatki na temat pozostałych dowodów: pojedynczej frytki, miętowej gumy, kilku włókien, z których część była w glinie, oraz dwu źdźbeł jakiegoś zielska. To wszystko mogło znajdować się na podłodze toalety i pewnie nie miało żadnego związku ze zbrodnią. Czego się spodziewał? Wyglądało na to, że morderca wszedł do toalety, zasztyletował O'Sullivana i wyszedł, nie myjąc nawet rąk. W koszu na śmieci nie znaleźli zakrwawionego

ręcznika papierowego. A więc wyszedł z zakrwawionym nożem i nikt – nawet gość, który sądził, że zderzył się z mordercą – nie widział tego noża. Jak to możliwe?

Pakula zostawił fotografie na stole, ale odłożył dokumenty. Zabrał się do raportów policyjnych z Minneapolis. Było dokładnie tak, jak mówił Weston – festyn na powietrzu podczas świątecznego weekendu. Ofiara dostała cios nożem w klatkę piersiową, w samym środku tłumu. Nikt niczego nie zauważył. Nikt nie widział nic poza tym, że ksiądz Daniel Ellison upadł na kolana, trzymając się za serce. Może to było przypadkowe morderstwo.

Pakula rzucił na stolik kilka zeskanowanych zdjęć z Minneapolis obok fotografii z Omaha. Ale i tam było niewiele. Usiadł wygodnie, oparł głowę o miękką skórzaną kanapę i patrzył nieobecnym wzrokiem na najświeższe wiadomości stacji Fox. Był tak skupiony na szczątkowym materiale dowodowym, że właściwie niczego nie słyszał.

Był zmęczony i sfrustrowany, a najbardziej bał się powiedzieć swojemu szefowi, Ramseyowi, że nie ma zielonego pojęcia, w czym rzecz. Zastanawiał się, czy arcybiskupowi Armstrongowi chodziło tylko o to, by utrzymać w tajemnicy alkoholizm wielebnego O'Sullivana. Może arcybiskup nawet nie wiedział, co zawierała zaginiona skórzana aktówka. A może znajdowało się tam coś wstydliwego, ale nieobciążającego.

Pakula przypomniał sobie, że parę miesięcy wcześniej Armstrong wyrzucił dwóch uczniów z jednej ze szkół parafialnych za to, że oglądali na szkolnym komputerze

strony pornograficzne, a dzieciaki twierdziły z uporem, że to ich nauczyciel teologii – ksiądz, którego nazwiska Pakula w tej chwili nie pamiętał – pokazał im te strony poprzedniego dnia.

Pakula uważał wówczas, że Armstrong postąpił rutynowo. Skutecznie tłumił najmniejsze choćby sugestie, że w jego diecezji dzieje się coś niestosownego, bo taki fakt, w obliczu skandali związanych z molestowaniem seksualnym, które wstrząsnęły innymi diecezjami w kraju, mógłby odbić się groźnym echem w mediach. Armstrong zdołał doprowadzić do tego, że nikt nie wytaczał mu spraw kryminalnych ani nie wnosił powództwa z prawa cywilnego.

Nagle Pakula zauważył zdjęcie księdza, pokazywane w wiadomościach Fox News – czarna koszula i biała koloratka przyciągnęły jego uwagę, zanim przeczytał podpis. Chwycił pilota, wzmocnił głos i zdążył usłyszeć:

– ... w tajemniczy sposób zasztyletowany w czasie pokazu ogni sztucznych. Na razie brak jakichkolwiek innych informacji. Ojciec Gerald Kincaid był proboszczem w kościele katolickim pod wezwaniem Wszystkich Świętych w Columbii, w stanie Missouri. Miał pięćdziesiąt dwa lata.

Pakula poczuł ciarki na plecach i skurcz w żołądku. Sięgnął natychmiast po telefon komórkowy i bez wahania wybrał domowy numer Ramseya. Bardzo niechętnie zaczął przyznawać rację Bobowi Westonowi.

Ktoś zabijał księży.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Meriden, Connecticut

Maggie O'Dell obserwowała, jak Harvey z zapałem ścigał się z o wiele mniejszym od niego terierem. Nigdy nie widziała, żeby jej duży pies tak się bawił. Przysięgłaby, że Harvey nie tylko się uśmiechał, wręcz śmiał się równie głośno jak Luc Racine. Luc też pojęcia nie miał, że Scrapple lubi bawić się z innymi psami. Powiedział to Maggie już trzy czy cztery razy. Nie powtarzał tego dlatego, że zapomniał, iż już to mówił, po prostu był szczerze zaskoczony, a także zadowolony. Maggie wiedziała, że ucieszy to jego córkę, Julię. W Hubbard Park Luc wyraźnie poczuł się lepiej, zwłaszcza w porównaniu z dość niepokojącą chwilą powitania w drzwiach jego domu.

Racine dzwoniła do ojca z samochodu, rozmawiała z nim kilka razy w ciągu godziny, jaką zabrała im podróż z West Haven do Wallingford. Bardzo ucieszył się gośćmi, zasugerował nawet, że jeśli Bonzado chce przywieźć coś na lunch, powinien zatrzymać się w delikatesach Vinny. Sprawiał wrażenie, że jest w świetnej formie, ale już kilka minut później, kiedy otworzył drzwi, nie odróżniał swojej córki od Maggie. Nie wiedział, kim były te dwie kobiety na jego ganku i czego od niego chciały.

Maggie wciąż pamiętała, jak Luc spojrzał jej w oczy, a ona zobaczyła w nich zagubienie i zakłopotanie, które powiedziały jej, że nie wszystkie jego komórki pracują, niezależnie od tego, jak bardzo się starał. Dopiero Harvey, którego Luc widział po raz pierwszy, wyrwał go z otchłani niepamięci. Pies okrążył Maggie, żeby przywitać się z Lukiem, i wywąchał Scrapple'a. A teraz psy zostały najlepszymi przyjaciółmi.

Luc siedział z gośćmi, brał udział w rozmowie przegryzanej kanapkami, wymieniał zabójcze dowcipy z Bonzado i zadawał pytania, kiedy Racine zaczęła mówić o sprawach zawodowych. Nawet kiedy odszedł pobawić się z psami, wyglądało na to, że cały czas wiedział, gdzie się znajduje. Nieźle, pomyślała Maggie, jak na człowieka zaatakowanego Alzheimerem.

– Musicie zobaczyć, jak Scrapple łapie piłkę – powiedziała Julia. Wzięła do ręki brudną żółtą tenisową piłeczkę, którą przyniósł Luc, i wstała, wykorzystując to, zdaniem Maggie, jako pretekst, żeby być bliżej ojca.

– On się o nią martwi – oznajmił Bonzado, kiedy ojciec i córka nie mogli ich słyszeć. – No wiesz, jak sobie poradzi, kiedy go zabraknie. Są blisko z sobą związani. Nie wiem, czy Julia by się do tego przyznała.

– Nie, pewnie nie – odparła Maggie. – Naprawdę nie znam jej tak dobrze.

– Nie znasz? – zdziwił się Bonzado. – A ona często o tobie mówi. Myślałem, że jesteście dobrymi koleżankami.

Maggie milczała. Zastanawiała się, czy Racine w ogóle ma przyjaciół, skoro uważa ją za przyjaciółkę. To wszystko wina ich pracy i tego szalonego tempa. Z kim, jak nie z innym gliną, można pójść na drinka i opowiadać o swoim dniu, kiedy to na brzegu Potomacu oglądało się wypełnione czerwiami ludzkie głowy? Znów uderzyło Maggie, że Racine nie różni się od niej tak bardzo. Poza Gwen i Tullym, ona też nie miała przyjaciół. Poczuła na sobie wzrok Adama.

– Co? Mam na twarzy majonez?

– Nie, nie. Wyglądasz w porządku. Prawdę mówiąc, twoja twarz jest doskonała.

Dopiero kiedy się uśmiechnął, uprzytomniła sobie, że Bonzado z nią flirtuje.

– Jak sądzisz, dlaczego on zostawia te głowy? – Wolała trzymać się spraw zawodowych. Nie była pewna, czy jeszcze pamiętała, na czym polega flirt.

– Słucham?

– No, ten morderca. Z pewnością łatwiej przewieźć i podrzucić gdzieś głowę niż tułów, ale czy on chce nam coś w ten sposób powiedzieć?

Adam pokręcił głową, potem mruknął z uśmiechem:

– Zawsze na posterunku.

– Mam to we krwi. – Próbowała powiedzieć to tak, żeby nie zabrzmiało jak przeprosiny. Bardzo lubiła swoją pracę, akceptowali to wszyscy jej znajomi. Miała nadzieję, że zaakceptują to również ci, którzy dopiero chcieli ją poznać.

– Głowa to coś bardzo osobistego. Jeśli chodzi o to, jak brzmi jego wiadomość, no cóż, to twoja specjalność. Mnie

uderza jedno. – Położył dłonie płasko na stole. – On nie tnie prosto, tylko pod kątem. – Narysował na stole linię palcem wskazującym. – Zaczyna tuż pod lewym uchem. – Podniósł palec do szyi. – Potem cięcie idzie tędy w dół i znów do góry.

– Czy to coś znaczy?

– Nie mam pojęcia.

– Może jest tak rozwścieczony, że uderza bez namysłu.

– Może... ale na obydwu głowach widać ten sam rodzaj zygzaka. Pozostała część szyi jest porąbana bez ładu i składu, ale w tym miejscu, u podstawy szyi, cięcie jest bardzo precyzyjne. Dziwne, naprawdę coś mi tu nie pasuje. Poproście waszego koronera, żeby sprawdził, czy trzecia głowa wygląda tak samo.

– Tak, poproszę. – Przez chwilę Maggie próbowała odgadnąć, co morderca chciał im przekazać tym cięciem.

Adam znów na nią patrzył.

– W przyszłym tygodniu odbywa się w Waszyngtonie krajowa konferencja specjalistów od medycyny sądowej. Spędzę tam ponad tydzień, przy okazji mam drobną robótkę w Smithsonian. Zjesz ze mną kolację?

Tym razem jego uśmiech nie był tak pewny siebie. W łagodnych brązowych oczach Bonzado pojawiła się obawa, wręcz bezbronność. Maggie ciekawiło, czy aż tak wiele wysiłku kosztowało go to zaproszenie. Czy jest możliwe, żeby przystojny, bezpośredni w kontaktach z ludźmi profesor uważał, że nie opanował sztuki flirtu,

podobnie jak ona myślała o sobie? Zanim odpowiedziała, Adam dodał:

– Obiecuję, że nawet nie będę próbował zmieniać twoich zwyczajów.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– A ja przyrzekam, że nie zadam ani jednego pytania na temat tych głów.

W tym momencie, niczym natręt, odezwała się komórka Maggie.

– Przepraszam – Otworzyła telefon. – Maggie O'Dell.

– O'Dell, cieszę się, że cię złapałem. Wybacz, że zakłócam ci świąteczny wypoczynek.

Dzwonił zastępca dyrektora Cunningham. Słyszała szeleszczące na jego biurku papiery, wyobraziła sobie, że szef siedzi w gabinecie, robi tysiąc rzeczy naraz i trzyma telefon przy uchu ramieniem. Dla niego nie istniały święta. Pomachała do Bonzado, wstała od stołu i odeszła na bok.

– Prawdę mówiąc, dzisiaj pracuję, sir. Przywiozłyśmy z detektyw Racine dwie głowy niezidentyfikowanych ofiar do Connecticut, żeby profesor Bonzado rzucił na nie okiem.

– Czy wiemy już na pewno, że te trzy morderstwa to sprawka jednego człowieka?

Cunningham jak zwykle natychmiast przeszedł do rzeczy. Maggie już dawno przywykła do jego pozbawionego emocji sposobu bycia. Znowu dotarł do jej uszu szelest papieru, a gdzieś z oddali głos z telewizora. Może jednak szef nie był w biurze.

– Za wcześnie na ostateczne wnioski. – Wiedziała jednak, że Cunningham i tak chce poznać jej opinię, dlatego mówiła dalej: – Wszystkie trzy przypadki wyglądają podobnie. Jakby dekapitacji dokonywał ktoś w napadzie szału. Rąbie i tnie jak popadnie. Zdaniem Bonzado, używa do tego toporka albo maczety. Podczas samego aktu zbrodni albo traci nad sobą kontrolę, albo czuje się na tyle bezpieczny, żeby pozwolić sobie na wybuch wściekłości. Zapewne ścina głowę zaraz po uduszeniu ofiary. Potem odzyskuje trzeźwość umysłu i dokładnie planuje, jak się jej pozbyć. Nadal nie jestem pewna, co robi z resztą ciała.

– W każdym razie początek wygląda obiecująco. Bardzo mi przykro, że cię stamtąd wyciągam, ale nie mam innego agenta pod ręką. Tully jest na urlopie, wszyscy pozostali wykonują inne zadania poza miastem, a właśnie mam kolejną sprawę, która wymaga konsultacji psychologa. Ciało jest już po autopsji, ale mogą je zatrzymać jeszcze jeden dzień. Masz już dość informacji, żeby przygotować profil mordercy dla Racine i Hendersona?

– Tak, chociaż będzie na razie dość pobieżny.

– Dobrze. Ważne, żeby mieli od czego zacząć. Zaczekaj moment.

Tym razem Maggie słyszała jakieś głosy w tle i odpowiedzi Cunninghama. Powiedział do kogoś, że przyjdzie za pięć minut. Czy sprawa była aż tak pilna, że szef dzwonił do niej z domu? Maggie nawet sobie tego nie wyobrażała. Po pierwsze nie wyobrażała sobie szefa w domu, chociaż wiedziała, że był żonaty. Na jego

uporządkowanym biurku nie widziała nigdy żadnych rodzinnych zdjęć ani osobistych drobiazgów, dotyczyło to zresztą całego gabinetu Cunninghama, który sugerował, że jego lokator nie posiada życia prywatnego. W przypadku kogokolwiek innego wyglądałoby to dość dziwnie, ale jeśli chodziło o Cunninghama całkiem normalnym zdawał się fakt, że po dziesięciu latach bliskiej współpracy Maggie nie miała pojęcia, gdzie mieszka jej szef, czy miał dom z trzema sypialniami i ogrodem na przedmieściach, a może zajmował ekskluzywny apartament w Georgetown.

– Prawdę mówiąc, chcę, żebyś jutro rano wsiadła do samolotu – rzekł, zanim Maggie

zdała sobie sprawę, że szef znowu był przy słuchawce.

– Dokąd mam lecieć, sir?

– Do Omaha w Nebrasce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Memorial Park
Omaha, Nebraska

Tommy Pakula nie znosił takich imprez – tłumów, hałasu i upału, podgrzewanych ciepłym piwem i wykonawcami z lat sześćdziesiątych, którzy stali się własnymi karykaturami. Chociaż musiał przyznać, że Frankie Avalon wyglądał nieźle jak na swoje lata. Gdyby tylko zostawił w domu te idiotyczne białe buty.

Najbardziej jednak Pakula nie znosił tych wszystkich ważniaków na wysokich urzędach, którzy poklepywali go po plecach i udawali, że jest jednym z nich. Ciekawe, jak radził sobie z tym komendant Ramsey. Obydwaj, jako chłopcy z tego miasta – Pakula skończył South High, Ramsey zaś Creighton Prep, ale pięć czy sześć lat przed Pakulą – musieli się z tym pogodzić. Komendant nawet bardziej niż Pakula, ponieważ na dziesięć lat wyjechał z Omaha na podbój wielkiego świata, a potem wrócił do domu, nawiązał kontakty dzięki dawnym szkolnym kolegom i znalazł swoje miejsce. Mieszkali w tym mieście i dobrze znali lokalną politykę. Dlatego właśnie próbowali teraz rozmawiać na temat policyjnych procedur, a raczej protokołu, w samym środku zatłoczonego parku, a nie w jakiejś spokojnej kafejce. Sądzili, że nikt nie będzie podejrzewał, iż

rozmawiają o tak poważnych sprawach w słoneczny świąteczny dzień w środku Memorial Park, gdzie cały trawnik w północno-zachodniej części zasłany był kocami i zastawiony leżakami, turystycznymi lodówkami i parasolami.

Zostawili swoje rodziny gdzieś tam w morzu czerwieni, bieli i granatu, wymawiając się po prostu, że idą poszukać czegoś zimnego do picia. Sprzedawcy ustawili się wokół pomnika, który stał w najwyższym punkcie parku, z dala od koców i prawie poza zasięgiem sześciu wysokich na ponad dwa metry głośników, które przywieźli z sobą Frankie i jego zespół. Pakula zamówił kraut doga i dużą szklankę coli. Komendant wybrał coś lżejszego, zwykłego hot doga i dużą szklankę chłodnej oranżady.

– Nie rozumiem, dlaczego wyrzucasz na to pieniądze. – Pakula wskazał na żałosnego hot doga, którego Ramsey zanurzył właśnie w musztardzie, i ugryzł swojego potężnego kraut doga.

– Taa, zadaj mi to pytanie, kiedy dostaniesz zgagi. – Ramsey spojrzał na parę nastolatków na rowerach, jakby podejrzewał, że zamierzają wjechać w tłum. Pakula znał to, sam złapał się na tym, że przyglądał się ciężarówce z szeroko otwartymi tylnymi drzwiami, której właściciel gdzieś zniknął. Clare to denerwowało, bez końca oskarżała go, że jej nie słucha, ponieważ na nią nie patrzył. Za to było całkiem normalne, kiedy dwaj policjanci prowadzili bardzo ważną rozmowę, nie patrząc sobie w oczy.

– Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć, Tommy. – Ramsey zerknął na niego, ale szybko przeniósł wzrok, tym razem za plecy Pakuli, gdzieś na prawo. – Obyczajówka miała na oku O'Sullivana i szkołę Matki Boskiej Bolesnej.

– O kurna – mruknął Pakula. – Dlaczego, kurna, nie powiedziałeś mi tego wczoraj?

– Bo to nie jest oficjalna informacja, nie wpłynęła żadna skarga. Jakaś reporterka z „Heralda” węszyła w okolicy i zamęczała Sassco, żeby coś z tym zrobił. Wiem, że Sassco był szefem obyczajówki tylko przez pół roku, ale znasz faceta. Jeśli chodzi o dzieciaki, gdyby tylko coś było, zaangażowałby się bez reszty. Może to tylko plotki. Może tej reporterce tak bardzo zależało, żeby złapać atrakcyjny temat. Może uważała, że skoro takie rzeczy dzieją się w całym kraju, to czemu nie tu? Wiesz, jak pracują te cholerne media.

Pakula skinął głową w milczeniu. Komendant nie skończył jeszcze, więc zjadł kolejny kęs.

Ramsey rozejrzał się, ale nie zauważył w pobliżu nikogo, kto interesowałby się ich poufną rozmową.

– Chcę tylko powiedzieć, że może dlatego arcybiskup tak trzęsie portkami. Udaje, że go to nie rusza, ale musi go ruszać, skoro wysyła tego swojego posłańca, żeby zabrał bagaż O'Sullivana, zanim nieboszczyk dobrze ostygł.

– Może on coś wie na temat innych księży, których też sprzątnięto – zasugerował Pakula.

– Może. Tak czy owak, udając niewinnego, chce zebrać popleczników i bardzo cicho, za to skutecznie

zdyskredytować, zniszczyć każdego, w kim zobaczy wroga. Obaj wiemy, że robi to dobrze.

– Jeżeli jakiś psychol jeździ po kraju i ścina głowy, dlaczego arcybiskup nie zrobi wszystkiego, co w jego mocy, żeby to powstrzymać? Czy ja czegoś nie zrozumiałem? – Pakula przesunął okulary przeciwsłoneczne na czoło i wyrzucił opakowanie po kraut dogu do kosza, obejrzał się przy tym na budkę sprzedawcy, zastanawiając się, czy nie powtórzyć zamówienia. W końcu zostało mu jeszcze ponad pół kubka coli.

Komendant zauważył jego wahanie.

– Nie żałuj sobie. Do diabła, zjadłbym dwa albo i trzy, gdyby nie siedziały mi w żołądku przez całą noc.

– Nie, lepiej nie. Clare wzięła z sobą kanapki z mięsem.

– Spójrz na to tak – rzekł Ramsey, sącząc napój przez rurkę. – Jeżeli w Matce Boskiej Bolesnej doszło do czegoś i O'Sullivan zamierzał obsmarować całą diecezję, może arcybiskup byłby wdzięczny, gdyby uznano zabójstwo wielebnego za czysty przypadek. Jeśli istniała skórzana aktówka z obciążającymi dowodami, ślad po niej zaginął. Sprawa została zamknięta i nikt już się tym nie zajmuje. Nie uwierzę ani przez sekundę, że nieszczęsna siostra O'Sullivana z Connecticut chciała mieć ciało brata jak najszybciej, żeby go uroczyście pochować. Armstrong myśli pewnie, że wraz z O'Sullivanem zostaną pogrzebane jego brudne sekrety.

– Czyli zabójstwo wielebnego O'Sullivana to taki dar niebios?

– Właśnie.

– Więc co zrobimy w tej sytuacji?

– Powiem ci coś. Jestem już zmęczony jego ekscelencją. Drażni się z nami i myśli, że może nam dyktować, co nam wolno, a czego nie wolno. Brak mu jaj, żeby sam to zrobił, więc wysyła jakiegoś oprycha o ziemistej cerze, brata Sebastiana. – Ramsey urwał, jakby musiał się uspokoić. Wypił łyk napoju. – Mam kumpla, znam go od lat, niejaki Kyle Cunningham. To długa historia, ale facet jest mi coś winny. Arcybiskup Armstrong uważa, że jest wszechmocny, więc sprowadzimy kogoś, kto ma gdzieś całą tę jego władzę, komu żadna ekselencja nie może podskoczyć. Kogoś, kto przejmie ster i weźmie odpowiedzialność, jeżeli okaże się, że jakiś seryjny morderca zabija tych księży. Założę się, że wtedy mielibyśmy na głowie nie tylko Armstronga i „Heralda”. A tak kto inny stanie na celowniku. Przecież wiesz, że dzisiaj już nikt nie boi się obwiniać FBI.

– Wezwiemy tych ważniaków z centrali, a nie Westona z zespołem?

– Cunningham obiecał, że przyśle mi swojego najlepszego specjalistę, psychologa. Przyjedzie sam, ale to powinno wystarczyć.

– Chcę tylko rozwikłać tę sprawę. Czy to nie powinna być nadal nasza wyłączna kompetencja? – Pakula nie chciał, żeby zabrzmiało to, jakby podważał decyzję Ramseya. Jednocześnie nie bardzo ufał, że FBI wniesie coś nowego, nieważne, kto do nich przyjedzie. Szczerze mówiąc, nie wierzył, że psycholog w ogóle do czegoś się przyda,

niezależnie od argumentacji szefa. Jako prowadzący sprawę detektyw wiedział, że jeśli coś się nie powiedzie, i tak on za to beknie, a nie jakiś psycholog, który wpadnie na chwilę i wszystko strywializuje, opowiadając dyrdymały, że zabójca wkłada spodnie w jakiś inny sposób niż normalni faceci. Poza tym nie sądził, by w razie burzy medialnej FBI mogło w tym wypadku posłużyć jako odgromnik. Z drugiej jednak strony, jeśli szczęście im dopisze, federalsi przynajmniej pomogą połączyć morderstwo O'Sullivana z innymi sprawami. Jeśli faktycznie jakiś seryjny morderca wybiera księży na swoje ofiary, wówczas łatwiej będzie o odpowiedzi.

Spojrzał w twarz szefa, czekał, aż ten popatrzy mu w oczy, oczekiwał jakiejś nagany za swój cynizm. Tymczasem Ramsey rzekł:

– Ja też chcę to rozwiązać. – Ugryzł hot doga, jakby nabrał w końcu apetytu. – Kiedy rozwiążemy tę sprawę, przygotuj się na to, że wtedy dopiero rozpęta się piekło.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Siedział przed ekranem monitora. Był wyczerpany, wzrok zachodził mu mgłą, bolały wszystkie mięśnie. Za każdym razem było tak samo, jakby został kompletnie pozbawiony energii. Czekał jednak, patrzył na wypowiedzi na czacie, które pojawiały się jedna po drugiej, pusta gadanina, bez sensu, zresztą to nieważne. Nie brał udziału w rozmowie. Nigdy tego nie robił. Zawsze czekał na rozpoczęcie gry.

Zostawił otwarte okno, chociaż upalne wilgotne powietrze oblepiało mu kark. W dole słyszał ruch uliczny, duży jak na tę porę. Pokaz ogni sztucznych jeszcze nie dobiegł końca, denerwujące wybuchy rozlegały się raz dalej, raz bliżej. Od czasu do czasu któryś z nich kończył się serią syków i trzasków, niekiedy z finałowym hukiem lub tylko skwierczeniem i splunięciem.

Nie znosił czwartego lipca i wspomnień, które przywoływał ten dzień. To właśnie one wpakowały go w kłopoty. Za każdym razem przychodziły nie wiadomo skąd i zupełnie niespodziewanie. Czasami udawało im się zawładnąć nim w szybkim tempie, kiedy indziej były spokojne, subtelne... wślizgiwały się chytrze. Nie można było ich powstrzymać.

Zerknął w prawy dolny róg ekranu, żeby zobaczyć, która godzina. Zostało jeszcze piętnaście minut. Nie wiedział, dlaczego tak czeka, skoro było to męczące. Pragnął się już

położyć. Gra zawsze go uspokajała, nawet jeśli teraz już przestała mu wystarczać. Z początku wyciszała jego wściekłość. Zaproszenie do gry było jak dar od Boga. Właśnie tego potrzebował. Jakiegoś miejsca spotkania, braterstwa, gdzie bezpiecznie mógł wyładować złość i wyeliminować wroga. Nie powstrzymywało to wspomnień, ale zmieniało ich kierunek.

Nie pamiętał, kiedy gra przestała go zadowalać. Kiedy jego emocje zaczęły dopominać się o coś więcej. Jak gra mogła mu wystarczyć, skoro przedmiot jego gniewu wciąż chodził wolny po świecie? Jak mógł na to pozwolić?

Nagle zdał sobie sprawę, że jego palce, jego dłonie, były nadal we krwi. Pomazał nią klawiaturę, czerwone krople spadły na blat biurka. Ten widok przeraził go tak mocno, że skoczył na równe nogi, uniósł ręce i patrzył na nie, jakby należały do kogoś innego.

Bo one należały do kogoś innego. Do człowieka, którego nie poznawał. Było coraz gorzej. Zło przeniknęło jego skórę, krążyło w krwioobiegu, dosięgło nawet kości. Zło, które go zniszczy, jeśli on sam nie znajdzie sposobu, żeby zniszczyć jego źródło. Znał owo źródło. Musi tylko zdobyć się na odwagę, żeby je wyeliminować.

Wziął kilka głębokich oddechów, raz jeszcze sprawdził czas na ekranie komputera. Zdąży się jeszcze umyć. Poszedł do łazienki i zerknął na świeżo odciętą głowę, która patrzyła na niego ze stolika w jego pokoju.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Poniedziałek, 5 lipca
Biuro Archidiecezji Omaha

Tommy Pakula poprawił się na twardym krześle, ale i tak nie sposób było siedzieć na nim wygodnie. Krzesło stało naprzeciw bogato zdobionego biurka, sporo poniżej niego, oczywiście nie bez powodu, jak stwierdził Pakula. Pewnie chodziło o to, żeby arcybiskup patrzył na swojego gościa z góry. Podobnie temu, żeby go onieśmielić, służyło to całe czekanie.

Nie miał nic lepszego do roboty, jak tylko przyglądać się przeogromnym portretom na ścianie za biurkiem, przedstawiającym kolejnych arcybiskupów. Rozpoznał tylko Curtissa i Sheehana. Wydawało mu się, że Curtiss spogląda właśnie na niego. Poruszył się i niespokojnie rozejrzał po pokoju. Do głowy przyszło mu określenie „sterylny”. Miał ogromną ochotę przejechać palcem po szybie albo po najwyższej półce biblioteczki, żeby przekonać się, czy choć najmniejszy pyłek kurzu śmiał tam pozostać w obecności jego ekscelencji.

Nie siedziałby tu, gdyby Ramsey nie uparł się, żeby ostatni raz spróbować się dogadać z hierarchą, powiedzieć, że zrobili wszystko, co w ich mocy, i oznajmić, że wzywają na pomoc federalsów. Pakula nigdy dotąd nie spotkał

arcybiskupa Armstronga. Ramsey wydawał się tym zdziwiony.

– Czy nie jesteś jednym z tych, którzy zbierają na tacę u Świętego Stana czy w inny sposób wyręczają księżulków? – zapytał, bez żenady przyznając, że jego katolicyzm dawno się już wypalił.

Prawdę mówiąc, wiara i jej rytuały były ważniejsze dla Clare niż dla Pakuli. Uległ jednak żonie, nie odcinał córek od Kościoła, by poznały i tę sferę życia, lecz miał nadzieję, że w przyszłości same z pełną świadomością dokonają wyboru. Clare podkreśliła kiedyś, że jednak zrobili coś dobrego, gdyż ich najstarsza córka, Angie, postanowiła zostać w Omaha i wstąpić na Creighton University, gdzie studiowała jej matka. Pracowała ciężko przez ostatnie lata szkoły średniej, żeby zdobyć stypendium sportowe, co pomoże jej opłacić naukę w tym prestiżowym college'u.

Pakula żartował, że jeśli Angie nie wyjedzie z Omaha na studia, nie będzie mógł wyjąć z garażu swojego worka treningowego i ciężarków i zająć jej sypialni. Musiał jednak przyznać, że był z niej dumny. Poza tym cieszył się, że córka zostanie w domu, a on będzie opiekował się nią jeszcze przez parę lat. Oczywiście czekał też niecierpliwie na jej występ w drużynie piłkarskiej Creighton najbliższej jesieni. Przechwalała się, że wszyscy rodzice zawodników dostają miejsca dla VIP-ów. Pakula ugryzł się w język i nie powiedział Angie, że odkryte trybuny to dla jego tyłka odkryte trybuny i nic więcej.

Gdy nagle otworzyły się drzwi, wyprostował plecy, jakby siedział w kościelnej ławce i przysnął na moment podczas kazania. Nie wiedział, jak wypada się zachować. Czy powinien wstać? Ale dlaczego, kurna, miałby wstawać?

– Pan Pakula – odezwał się arcybiskup Armstrong takim tonem, jakby coś obwieszczał, tyle że źle wymówił nazwisko, które zabrzmiało jak Pajkula.

– Tak, Pakula, jestem detektywem – poprawił arcybiskupa. Uznał, że przekręcając nazwisko, ekscelencja chciał go upokorzyć, dać mu do zrozumienia, że musi się wytłumaczyć. Arcybiskup nie usiadł za biurkiem, tylko stał z wahaniem. Czyżby czekał, aż Pakula wstanie? Ramsey wbijał mu do głowy, że ma być grzeczny, ale nie było mowy o tym, żeby się podlizywać. Pakula nie ruszył się z krzesła.

– Czech?

– Polak.

– A tak, oczywiście – rzekł Armstrong i przesunął się za biurko, zajmując w końcu swoje miejsce, jakby musieli wcześniej omówić sprawę pochodzenia Pakuli i mieć to z głowy, żeby arcybiskup mógł go lepiej zrozumieć.

Wysoki i szczupły duchowny zapadł się w fotelu. Z pewnością zdawał sobie z tego sprawę, gdyż natychmiast się wyprostował, usiadł na samym brzegu z rękami wspartymi na biurku, złożonymi jakby w nieustającej modlitwie. Pakula nigdy nie widział takich małych dłoni u mężczyzny. Były gładkie, bez żadnych widocznych zgrubień czy skórek wokół wypolerowanych paznokci.

Z całą pewnością manikiur robił mu profesjonalista. I kto tu mówi o ślubie ubóstwa?

– Co mogę dla pana zrobić, panie Pakula? – zapytał arcybiskup, przekrzywiając głowę, żeby okazać troskę, ale z premedytacją zamienił „detektywa” na „pana”.

Pakula widział w tym kolejny element strategii w grze, jaką prowadził duchowny, żeby panować nad swoim rozmówcą. Postanowił to zignorować.

– Za pośrednictwem brata Sebastiana jego ekscelencja zaproponował nam swoją pomoc. Ciekaw jestem, czy jego ekscelencja ma jakieś przemyślenia… na przykład, kto zabił wielebnego O'Sullivana. – Nie było sensu owijać w bawełnę.

– No właśnie, kto? – rzekł arcybiskup niskim głosem, jakby rozpoczynał kazanie.

Rozłożył dłonie, po czym położył je na biurku, tym razem powoli lekko postukiwał koniuszkami palców w wypolerowany blat. Ten gest przypomniał Pakuli jakiś rytuał tuż przed błogosławieństwem, chociaż wątpił, by w tym momencie arcybiskup zamierzał obdarzyć go tym kapłańskim darem.

– Może narkoman? Jakiś nieszczęśnik, który potrzebował pieniędzy na kolejną działkę?

Pakula powściągnął śmiech. Arcybiskup mówił to z powagą. Jego młoda twarz zmarszczyła się z troski. Palce nadal wystukiwały jakiś sekretny kod, kiedy dodał:

– To był przypadkowy akt przemocy. Nieprawdaż?

– Za wcześnie na jednoznaczną odpowiedź.

– Więc nie macie podejrzanych?

– W tej chwili nie. – Pakula był ciekaw, czy arcybiskup ucieszy się, czy też będzie rozczarowany. Nie potrafił tego odgadnąć. – Czy wielebny O'Sullivan miał jakieś kłopoty w szkole?

– Kłopoty?

– Był dyrektorem szkoły Matki Boskiej Bolesnej, prawda?

– Tak, owszem, i świetnie sobie radził.

Interesujące, zauważył Pakula. Nie pytał przecież, jakim dyrektorem był O'Sullivan, tylko czy miał problemy.

– Czy ostatnio nie zgłaszał żadnych kłopotów? – spróbował ponownie. – Na przykład z nauczycielami. Może z jakimś uczniem? – Obserwował arcybiskupa, bardziej ciekaw jego reakcji niż słów, chociaż byłoby zabawne, gdyby ekscelencja podrzucił jeszcze coś, o co Pakula nie pytał.

– Uczniowie – rzekł Armstrong, ale nie było to pytanie, zabrzmiało raczej, jakby wcześniej nie przyszło mu to do głowy. – Nigdy nie wspominał, że któryś z uczniów mu groził.

Pakula chciał się uśmiechnąć. Pytał przecież o problemy, natomiast arcybiskup zamienił je na groźby. Co on, kurna, ukrywał?

– W sobotę przesłuchiwaliśmy ojca Tony'ego Gallaghera. – Pakula znowu czekał, jak przyjmie tę wiadomość arcybiskup, chociaż nie była to dla niego nowość. Zastanowił się, czy to grzech zwodzić kapłana. Mimo wszystko postanowił to zrobić. – Dlaczego jego ekscelencja wysłał wielebnego O'Sullivana do Rzymu? Czy miał zawieźć coś do Watykanu?

– Czy tak powiedział ojciec Tony? – Armstrong pokręcił głową z rozczarowaniem. Wahał się, rozłożył znowu ręce, jakby musiał wybaczyć swojemu podwładnemu. – Obawiam się, że w grę wchodzi niewielka zazdrość. To samo dotyczy siostry Kate. Obydwoje przygotowali projekty, które wymagały funduszy przekraczających nasze obecne możliwości. – Wzruszył ramionami i spojrzał na Pakulę, jakby ten go rozumiał.

– Siostra Kate?

– Siostra Katherine Rosetti. Uczy historii, zabiera młodzież na wycieczki do muzeów, urządza konferencje i seminaria w rozmaitych miejscach. W większości wypadków wynagrodzenia, jakie otrzymuje za wykłady, pokrywają jej koszty podróży, ale ona uważa, że również jej uczniowie powinni móc podróżować. Po prostu nie stać nas na pokrycie tych kosztów ani wzięcie odpowiedzialności za te działania. Obawiam się, że siostra Kate potrafi dużo mówić, kiedy jest niezadowolona, a ostatnio musieliśmy jej zmniejszyć budżet.

– Więc w tej chwili jest niezadowolona?

– Tak sądzę, dlatego nie dziwiłbym się, gdyby o czymś wspomniała.

– Może jeszcze to zrobi. Nie rozmawiałem z nią do tej pory. Ale wkrótce porozmawiam. – Pakula zastanawiał się, czy siostra Kate wyraziła niezadowolenie z tego powodu, że arcybiskup zmniejszył jej budżet, czy arcybiskup zmniejszył jej budżet, bo siostrzyczka jest gadatliwa. Zresztą, to bez znaczenia. Ważne, że arcybiskup nie zaprzeczył, iż wysłał

O'Sullivana z misją do Rzymu. Martwił się tylko dwójką nielojalnych owieczek w swojej owczarni.

– Co zawierała zaginiona aktówka? Coś, co wielebny O'Sullivan miał na prośbę ekscelencji dostarczyć do Watykanu?

– Przecież nie ma żadnej aktówki. – Arcybiskup przestał bębnić palcami i znów pobożnie złożył dłonie.

– Nie tyle nie ma, co nie znaleziono jej przy zamordowanym. Oczywiście, nie mogę wiedzieć, czy była w odprawionym bagażu, ponieważ brat Sebastian odebrał go z lotniska. – Pakula odczekał moment i dodał: – Bezprawnie.

– Poleciłem mu, żeby oddał wam wszystko dziś rano.

Tyle, że do tej pory aktówka została już dokładnie przetrząśnięta, chciał wtrącić Pakula, ale zamiast tego uniósł tylko kąciki warg.

– Mam nadzieję, że ta sprawa wkrótce zostanie zamknięta – powiedział arcybiskup Armstrong, machnąwszy ręką. Wstał, dając znak, że spotkanie dobiegło końca. – Ufam, że będzie mnie pan o wszystkim informował.

Teraz Pakula nie mógł się już powstrzymać. Ramsey wścieknie się, ale co tam, arcybiskup i tak się tego dowie. Najpóźniej jutro podadzą to w wiadomościach. Podniósł się z krzesła i oznajmił:

– Jestem wdzięczny, że ekscelencja poświęcił mi czas. Z całą pewnością będziemy mieć więcej pytań, zwłaszcza kiedy zjawi się tu FBI.

– FBI?

Pakula skinął głową i ruszył do wyjścia.

– Czy burmistrz Franklin uznał, że to konieczne?

Pakula przystanął w drzwiach. Więc Ramsey miał rację. Arcybiskup był przygotowany. Rozpoczęła się gra sił. I Armstrong właśnie zrobił pierwszy ruch.

– Prawdę mówiąc, to nie była decyzja burmistrza Franklina. Jestem pewien, że ekscelencja rozumie, iż w tak delikatnej sprawie wezwanie ekspertów należy do procedury.

– Oczywiście – odparł arcybiskup i machnął ręką, jakby doskonale rozumiał. Szykował się do wyjścia bocznymi drzwiami, ale jeszcze przystanął w progu. Teraz obaj stali w drzwiach niczym uzbrojeni bandyci gotowi wystrzelić do siebie ostatnim słowem zamiast kulą. – Oczywiście, że rozumiem. My także mamy procedury, których musimy przestrzegać. Na przykład takie, które dotyczą przyznawania stypendiów w naszym college'u. Jestem pewny, że pan rozumie. Miłego dnia, panie Pakula.

Wyszedł, nie pozwalając detektywowi na ostatni strzał. Nieważne. Pakula i tak niczego by z siebie nie wydusił, bo nagle poczuł, że ma zatkane gardło.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Liceum Matki Boskiej Bolesnej
Omaha, Nebraska

Gibson McCutty udawał znudzenie, lecz tak naprawdę bacznie przyglądał się półkom. Darzył tę salę sekretną miłością. To było najbardziej fascynujące pomieszczenie w całej szkole. Musiałby jednak być kompletnym głupkiem, żeby się do tego przyznać.

Nie miał pojęcia, jak siostra Kate to robi, ale zawsze znajdował tu coś nowego. No, może niezupełnie nowego, bo większość z tych przedmiotów miała już setki lat. Niektóre, te cenne i delikatne, siostra przechowywała w zamkniętych oszklonych gablotach, na przykład lirę korbową. Był to jakiś dziwny rodzaj skrzypiec, z ręczną korbą i rzędem klawiszy. Używali jej uliczni grajkowie i żebracy w dwunastym wieku w Europie.

Jezu! Sam nie wierzył, że pamięta takie szczegóły. Ale lekcje z siostrą Kate były pasjonujące.

Patrzył, jak siostra witała nowe dzieciaki, podziwiał jej spokój i wyważenie. Miała w sobie coś takiego, że tracił przy niej to okropne rozedrganie. Wcale mu nie przeszkadzało, że była bardzo ładna. Słyszał kiedyś, jak jego matka powiedziała do swojej przyjaciółki, że siostra Kate jest „naturalną pięknością bez wieku”. Zabrzmiało to

trochę dziwnie, nie bardzo wiedział, co to znaczy, ale przypuszczał, że miało związek z tym, jak ubierała się siostra Kate. Najczęściej nosiła sportowe spodnie i T-shirty, tak jak tego dnia, i wyglądała bardziej na uczennicę niż nauczycielkę. Nawet jej eleganckie ubrania odróżniały ją od innych nauczycieli. Były to szykowne ciuchy, czasami żakiet ze spódnicą, czasami ze spodniami, ale w jasnych kolorach: żółtym, czerwonym, jasnoniebieskim, a nawet jasnozielonym. Zdaniem Gibsona, we wszystkim było jej do twarzy, i nie była to tylko jego opinia. Wszystkie dzieciaki tak uważały, nawet te, które nie cierpiały historii.

Nie mógł opędzić się od myśli, jak idiotycznie wyglądały te dzieciaki, które właśnie wchodziły do szkoły. Letni Program Badawczy przeznaczony był dla uczniów wszystkich parafialnych szkół średnich w tym rejonie. To właśnie siostra Kate zainicjowała go i prowadziła w szkole Matki Boskiej Bolesnej. Gibson miał więc przewagę nad innymi jako uczeń szkoły, w której wszystko się zaczęło. Może chociaż raz będą się z nim liczyć, tylko dzięki temu, że był lepiej poinformowany. Wiedział, na przykład, gdzie mieściły się toalety i co zrobić, żeby automat wypluł za darmo puszkę coli. Wcześniej cała ta wiedza na nic się nie zdała, kiedy to próbował wymyślić, jak dostać się na drugie piętro do gabinetu historii, nie przechodząc obok gabinetu wielebnego O'Sullivana na parterze. Nie było innej drogi, pewnie właśnie dlatego wielebny wybrał dla siebie to pomieszczenie.

Gibson próbował właśnie ominąć je szybkim krokiem, nie patrząc w tamtą stronę, potem zakręcić i wejść na schody, ale wtedy zobaczył tego mężczyznę. Stał przed biurkiem O'Sullivana, miał na sobie czarną koszulkę polo i czarne spodnie, tak jak wielebny. Przez chwilę Gibson myślał, że wyobraźnia płata mu figle. Oblał go zimny pot, nie mógł się ruszyć. Zaczynał wierzyć w duchy, kiedy nagle ów „duch" odwrócił się. Oczywiście to nie był wielebny O'Sullivan, ale wysoki mężczyzna z orlim nosem, bladą cerą i czarnymi jak węgiel oczami, którymi zlustrował Gibsona, zatrzymując go w miejscu.

– Potrzebujesz czegoś?

Gibsonowi zdawało się, że zna skądś ten niski głos.

– Ja tylko... Myślałem, że to wielebny O'Sullivan. – Wiedział, że zabrzmiało to idiotycznie, ale n

ie ugryzł się w porę w język.

– Wielebny O'Sullivan już tutaj nie wróci – oświadczył mężczyzna i zaczął zamykać drzwi, ale nagle zmarszczył brwi i zmrużył oczy, ujrzawszy coś za plecami Gibsona.

Ten człowiek przyprawił go o ciarki na plecach. Gibson poprawił plecak i pobiegł do góry. Wydało mu się, że mężczyzna coś woła do niego, mimo to pędził dalej, aż dotarł do sali siostry Kate.

Nieznajomy nie ruszył za nim, a mimo to Gibsonowi zrobiło się niedobrze.

Nie będzie o tym myślał. Musi skupić uwagę na czymś innym, czymkolwiek innym. Teraz usiłował skoncentrować się na dzieciakach z programu. Wziął głęboki oddech

i usiadł, czekał, aż miną nudności. Przypomniał sobie, jak bardzo lubi tę salę, jak dobrze się tu czuje. Patrzył na twarze wchodzących do środka uczestników programu i w końcu faktycznie poczuł się lepiej. Uświadomił sobie, że to wcale nie takie trudne być wyluzowanym. Te wszystkie dzieciaki wyglądały na nieudaczników. Miało ich być dwanaścioro, trzy dziewczynki i dziewięciu chłopców. Gibson zerknął na harmonogram leżący na biurku siostry Kate. Wiedział już, że był jedynym uczniem ze szkoły Matki Boskiej Bolesnej. Jego mama była uszczęśliwiona, jakby spotkał go wielki honor. Nie mógł jej tego wybić z głowy, nawet kiedy dowiedziała się, że trzeba będzie wpłacić pięćset dolarów na pokrycie kosztów wycieczek naukowych. Wzruszyła ramionami i oznajmiła, że skłoni babcię McCutty do zapłaty. Gibson biadolił, że zmarnuje trzy tygodnie wakacji, z pełną świadomością, że nie przekona mamy. Podsłuchał, jak rozmawiała przez telefon z babcią McCutty i powiedziała jej, jaki to wielki zaszczyt dla Gibsona, że weźmie udział w tym programie, i że gdyby tylko babcia mogła dać tysiąc dolarów wpisowego, Gibson nie musiałby odrzucać tego zaszczytu. A więc to z tego powodu mama była tak podekscytowana, a nie dlatego, że został zaklasyfikowany. Nie dlatego, że wyjdzie z domu i nie spędzi całego lata, grając w gry komputerowe. Nie, ona zobaczyła w tym kolejną okazję, żeby oszukać babcię McCutty.

– Co to jest? – zapytał piegowaty rudzielec.

Gibson nawet nie zauważył, kiedy do niego podszedł. Chłopiec wskazywał palcem jeden z ulubionych eksponatów Gibsona, ale nie śmiał go dotknąć. Na pierwszy rzut oka przypominało to rodzaj prymitywnego kielicha mszalnego.

– To się nazywa kapala – odparł Gibson i podniósł ostrożnie przedmiot. Chłopiec szeroko otworzył oczy, jakby Gibson zrobił coś zakazanego, lecz on wiedział, że siostra Kate nie miałaby mu za złe. Eksponaty, które zostawiała na otwartych półkach, można była brać do ręki, oczywiście delikatnie, i oglądać z bliska. Obrócił kapalę w dłoni, żeby pokazać chłopcu miejsce, które przylegało do głowy. – W Tybecie duchowni używają ich do różnych ceremonii. Widzisz, przecinają ludzką czaszkę na pół, a potem górną część używają jako kielich. Dekorują go oczywiście. – Wskazał na szlachetne kamienie, żołądek prawie przestał go już boleć. – To ma symbolizować zjadanie mózgu zmarłego czy coś w tym rodzaju.

Chłopiec wlepiał w niego wzrok, jakby był nie tylko super, ale hipergościem. Gibson udawał, że dla niego to nic wielkiego, ale zaczął myśleć, że może te zajęcia wcale nie będą takie głupie. Może wcale nie zmarnuje sobie wakacji.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Lotnisko Reagan National
Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen Patterson wyłączyła telefon komórkowy i wrzuciła go do kieszeni.

– Nadal nic? – zapytała Maggie, kiedy w poniedziałkowy ranek przedzierały się przez tłum na lotnisku.

– Dena pracowała w sobotę, więc nie mam jej za złe, że dziś się spóźnia. Wolałabym tylko, żeby mnie uprzedziła.

– Nie musisz ze mną czekać, jeśli chcesz jechać do gabinetu. Dzisiaj jest tu istne zoo.

– Wszystko mi jedno. Jak długo Harvey wytrzyma sam w samochodzie?

– Ranek jest chłodny. Ma uchylone okno, nic mu nie będzie.

Znalazły wolne krzesełka. Maggie wsadziła portfel do bocznej kieszeni torby laptopa. Schowała bilet lotniczy do kieszeni żakietu, zdjęła zegarek i bransoletkę, włożyła je do drugiej kieszeni torby. Pozbyła się już rewolweru i kabury, które nosiła pod żakietem. Wszystko po to, żeby przejść spokojnie przez stanowisko ochrony i unieść się w przyjazne przestworza.

Gwen na zewnątrz zachowywała spokój, ale czuła, że w środku się gotuje, tak bardzo chciała poprosić Maggie,

żeby nie wyjeżdżała właśnie teraz. Tego dnia miała otrzymać wyniki z laboratorium Benny'ego Hasserta. Mogłaby od razu przekazać je Maggie. Ale teraz Maggie będzie setki kilometrów od niej, w Nebrasce. Gwen pragnęła wyznać wszystko przyjaciółce, nie chciała dłużej z tym czekać. Dwukrotnie już tego ranka omal nie wspomniała o złotym kolczyku, który ktoś podrzucił jej w sobotni ranek. To, oczywiście, otworzyłoby jej drogę do dalszych zwierzeń, na temat listownych poleceń, mapy i telefonu komórkowego. Ale Maggie wyjeżdżała i Gwen musiała wymyślić nowy plan.

– Bonzado sądzi, że morderca posługuje się toporkiem albo maczetą – powiedziała nagle Maggie. Najwyraźniej ta sprawa także i jej nie dawała spokoju.

– Jak się ma nasz przystojny profesor? – zapytała Gwen, być może w przesadny sposób zmieniając temat, chociaż najchętniej mówiłaby i słuchała właśnie o sprawie. Czy Rubin Nash ma łatwy dostęp do toporka albo maczety?

– W porządku.

Dobrze, że Maggie się uśmiecha, pomyślała Gwen. Nie widziała, żeby jakikolwiek mężczyzna wywołał uśmiech na twarzy przyjaciółki od czasu, kiedy rzucił ją ten facet z Nebraski, kowboj, który przemienił się w prawnika. Maggie wyjaśniała zniknięcie Nicka Morrellego ze swojego życia zdaniem: „Za dużo chemii, za mało treści”. Za to Adam Bonzado budził pewną nadzieję. Łączyła ich pasja, z jaką wykonywali swój zawód, oraz obsesja złem. Poza tym Bonzado nie uciekłby od kobiety, która zarabia na życie,

tropiąc seryjnych morderców. Wręcz przeciwnie, to by go w niej zaintrygowało. Adam Bonzado sprawiał też wrażenie, że dokładnie wiedział, czego chce od życia, i był dość cierpliwy, by czekać, aż Maggie będzie gotowa. Gwen nie była przekonana, czy Morrelli miał pojęcie, czego tak naprawdę chciał, z pewnością zaś brakowało mu cierpliwości.

– W przyszłym miesiącu bierze udział w konferencji w Waszyngtonie – oznajmiła Maggie.

– O?

– Więc może wybierzemy się na kolację.

– To dobrze.

– Tully odzywał się do ciebie z wakacji? – zapytała Maggie bardzo rzeczowym tonem, jakby to pytanie stanowiło logiczne następstwo poprzedniego zdania.

Gwen poczuła skurcz w żołądku. Czyżby otworzyła puszkę Pandory, pytając Maggie o Bonzado? Teraz na nią kolej dzielić się zwierzeniami? Gwen przyznała się kiedyś przyjaciółce do swoich uczuć do Tully'ego, ale nie bardzo miała ochotę potwierdzać je albo uzasadniać. Jeszcze nie teraz. Nie zamierzała także wyznać, że za nim tęskni.

– Czy Cunningham nie mógł do Nebraski wysłać Tully'ego, jak wróci z urlopu?

– Gwen? – Maggie zaśmiała się. – Tully'ego nie będzie jeszcze przez tydzień. Poza tym sądziłam, że czekasz na niego niecierpliwie.

– Jasne, miło będzie znów go zobaczyć. Nie o to chodzi. Nie rozumiem po prostu, jak Cunningham może wysyłać cię

w jakiejś innej sprawie, kiedy właśnie pracujesz na miejscu. I zdaje się, że wczoraj zrobiłaś znaczny postęp.

– Przefaksowałam już Cunninghamowi mój wstępny raport. – Maggie wyjęła zegarek i sprawdziła, która godzina.

Gwen wiedziała, że wkrótce przyjaciółka będzie musiała stanąć w kolejce do odprawy.

– Tak szybko przygotowałaś portret psychologiczny?

– Pobieżny. Jak dowiemy się czegoś więcej o ofiarach, będę wiedziała więcej o sprawcy. Racine i Stan zidentyfikowali trzecią ofiarę. To bardzo nam pomoże.

– Wiedzą już, kto to?

– Po uzębieniu doszli, że to studentka college'u Virginia Tech, Libby Hopper. Zaginęła na początku zeszłego tygodnia.

– Zaginęła? W jaki sposób zaginęła? – Gwen bez powodzenia usiłowała sobie przypomnieć, gdzie znajduje się ta uczelnia. Co robi Nash, objeżdżając kampusy? Oczywiście szuka łatwej ofiary.

– Podczas przerwy semestralnej miała odwiedzić krewnych w Waszyngtonie. Jej samochód został znaleziony na parkingu klubu nocnego w Richmond.

– Dlaczego morderca ryzykował i przewoził ją tu z powrotem?

– Być może wcale jej tu nie przywiózł.

– Nie rozumiem. Oczywiście, że przywiózł. Przecież znaleźliście jej głowę na brzegu Potomacu.

– Ale nie wiadomo, czy tutaj ją zabił. – Maggie zniżyła głos. Gwen pomyślała, że to niekonieczne. Nikt ich nie podsłuchiwał, głośniki wrzeszczały co minutę, przypominając, żeby nie zostawiać bagażu bez opieki. – Mógł ją zabić gdzieś między Richmond i Waszyngtonem. To wyjaśniałoby, dlaczego nie znaleźliśmy dotąd żadnego tułowia. Łatwiej jest transportować samą głowę.

– Więc skoro Racine przekazała ci informację o Libby Hopper, to znaczy, że nadal zajmujesz się tą sprawą, prawda? – Gwen starała się nie okazać desperacji.

– Jestem pewna, że Racine chce, żebym nadal w tym uczestniczyła.

– Jasne, musiałaby zwariować, gdyby chciała się ciebie pozbyć. – Gwen nie była przekonana, czy zdołałaby tak łatwo naprowadzić Racine, jak z pewnością jej się to uda z przyjaciółką.

– Będziemy w kontakcie. – Maggie wstała. – Muszę już iść. – Otworzyła ramiona, czekając, aż Gwen wstanie, żeby ją uściskać. – Dzięki, że zaopiekujesz się Harveyem.

– Świetnie dajemy sobie radę. Harvey zabiera mnie na długie spacery do Rock Creek Park. Dzięki niemu poznałam wiele ciekawych rzeczy. – Gwen odsunęła od siebie myśl o mapie, która doprowadziła ich do drugiej czaszki na jednej z alejek parku. Uściskała Maggie, potem cofnęła się i uśmiechnęła. – Hej, zapomniałam cię zapytać, co to za sprawa w Nebrasce.

– O ironio, tym razem chodzi o zabójstwa księży, a nie o księży, którzy zabijają.

– Naprawdę? – Gwen znała Maggie dość dobrze, by wiedzieć, że ta kiepska próba czarnego humoru to tylko zasłona, za którą Maggie ukrywa swój niepokój. Była tak pochłonięta własnymi kłopotami, że nie zdawała sobie sprawy, przez co przechodzi przyjaciółka, która teraz nie patrzyła jej w oczy, jakby odgadła kolejne pytanie. – Jak się czujesz, wracając w tamto miejsce?

Maggie zmarszczyła czoło. Kolejny raz nie zdołała ukryć zdenerwowania, Gwen widziała kłamstwo na jej twarzy, zanim je wypowiedziała:

– W porządku. W końcu to było cztery lata temu.

– Niektóre blizny goją się dłużej. – Gwen wreszcie spotkała się z Maggie wzrokiem. – Zwłaszcza kiedy sprawa nie została zakończona.

Maggie uniosła ramiona, potem lekko ścisnęła rękę przyjaciółki.

– Nie przejmuj się mną. To ty wyglądasz na zmęczoną. Odpocznij, zadzwonię wieczorem. – Ruszyła tym swoim pewnym krokiem, którym wszystkich oszukiwała.

Prawie wszystkich, bo Gwen nie dała się oszukać. Odpuściła Maggie tylko dlatego, że pozwoliło jej to zachować własne sekrety. Egoistycznie czuła ulgę, że Maggie nie znała powodów, które wywracały jej żołądek do góry nogami, nie podejrzewała, że w głowie Gwen tkwiła bomba zegarowa, która dokonywała w niej spustoszenia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Liceum Matki Boskiej Bolesnej
Omaha, Nebraska

Nick Morrelli miał nadzieję, że jego siostra Christine nie zrobi nic takiego, by pożałował, że wybrał się z nią na tę przejażdżkę. To był pierwszy dzień Timmy'ego w Letnim Programie Badawczym, w szkole, do której miał uczęszczać od jesieni. Zmiana szkoły była jednym ze skutków rozwodu Christine oraz jej niedawnej przeprowadzki z Platte City do Omaha.

Christine twierdziła, że Timmy był bardzo podekscytowany nową szkołą, chociaż Nick dałby głowę, że to był tylko jej punkt widzenia. Poprzedniego wieczoru narzekała, że syn spędza zbyt wiele czasu w swoim pokoju przy komputerze, zamiast bawić się z kolegami. Nick nie był przekonany, czy jego czternasto-, a raczej już prawie piętnastoletniego siostrzeńca cokolwiek specjalnie emocjonowało.

Kiedy jednak przyjechali na miejsce, Timmy zostawił ich z tyłu i pobiegł po schodach. Doskonale znał już drogę. Może rzeczywiście się cieszył, chociaż Nick podejrzewał, że chłopiec nie chciał po prostu, żeby nowi koledzy zobaczyli go z matką. Nie minęło wiele czasu, a Nick pożałował, że nie pobiegł z Timmym, bo Christine pokazała mu tabliczkę

na drzwiach gabinetu wielebnego O'Sullivana. Nick skinął głową, ale nie zatrzymał się. Miał nadzieję, że siostra pójdzie za nim, lecz ona została przy drzwiach.

Nick był już w połowie schodów, kiedy usłyszał, jak Christine wypytuje kogoś w gabinecie. Rozpoczęła już śledztwo i do chwili, kiedy dołączył do niej Nick, wysoki blady mężczyzna w czerni tłumaczył – a raczej brzmiało to jak oświadczenie – że jest bratem Sebastianem, asystentem arcybiskupa Armstronga, i został przysłany po rzeczy osobiste wielebnego O'Sullivana.

Christine zapytała, czy Departament Policji w Omaha wie, że brat Sebastian niszczy dowody, które mogą okazać się cenne dla prowadzonego akurat śledztwa. Groziła właśnie, że zadzwoni na policję, kiedy Nick chwycił ją za rękę i wyciągnął za drzwi. W dalszym ciągu rozprawiała o bezczelnym arcybiskupie, kiedy znaleźli salę, gdzie siedzieli uczestnicy Programu Badawczego.

Dopiero gdy przedstawiła Nicka siostrze Kate Rosetti, nowej nauczycielce historii Timmy'ego i szefowej programu, wydawało się, że zapomniała o bracie Sebastianie i przypomniała sobie, po co tu przyjechali. Wprawiła siostrę w zakłopotanie, opisując w skrócie jej dokonania, w tym krajowe i międzynarodowe konferencje, w których uczestniczyła.

– To wielkie szczęście, że mamy siostrę w Omaha, i to właśnie w szkole Matki Boskiej Bolesnej – stwierdziła na zakończenie Christine, jak rasowa reporterka.

Nick nie był zaskoczony. Christine wspomniała mu już, że Program Badawczy kosztuje każdego uczestnika pięćset dolarów, co oznaczało, że dowiedziała się o samym programie, jak i o siostrze Kate wszystkiego co możliwe, aby zyskać pewność, że ta zabawa jest tyle warta.

– Z pewnością będzie siostra bardzo zajęta tego lata – zauważył Nick. – Zajęcia z tą grupą i inne obowiązki…

– Dla mnie najważniejszy jest Program Badawczy, dlatego wezmę udział najwyżej w krótkich weekendowych konferencjach. – Siostra Kate wzruszyła ramionami, jakby chciała zbagatelizować swoją reputację. – Wczoraj byłam w Saint Louis.

Wkrótce potem Christine zaskoczyła Nicka, sugerując, żeby został i obejrzał salę siostry Kate. Szybko jednak zrozumiał, o co jej chodziło. Prowadziła własne śledztwo, chciała więc zyskać trochę swobody, a dobrze wiedziała, że Nick chętnie skorzysta z takiej okazji. Nie chodziło jej o wakacyjne wspomnienia z dzieciństwa, kiedy szukali skarbów w ogrodzie. Głównym przedmiotem Nicka w college'u była historia. Uwielbiał dawne kultury, a już zwłaszcza pasjonowały go różne stare narzędzia i broń, więc kolekcja siostry Kate była dla niego niezłą gratką. Stając w drzwiach, od razu zauważył średniowieczne miecze i fragmenty zbroi w oszklonych gablotach. Sala była prawdziwym rajem dla miłośników historii.

Więc nawet nie miał Christine za złe, że próbowała się go pozbyć. To oczywiste, że chciała powęszyć jeszcze trochę.

Christine ruszyła z powrotem do biura wielebnego O'Sullivana i spełniła swoją groźbę, czyli zadzwoniła na policję. Nick zastanawiał się, czy siostra faktycznie tak bardzo troszczyła się o przestrzeganie prawa, czy po prostu była zła, że braciszek dostał się do gabinetu przed nią.

– Panie Morrelli – powiedziała siostra Kate, stając obok niego. – Pańska siostra mówiła, że chciałby pan wziąć udział w pierwszej godzinie naszego spotkania.

– Na pewno nie będę przeszkadzał?

– Skądże znowu. To będą wstępne zajęcia, chcę, żeby dzieci oswoiły się z nowym miejscem i z sobą, musimy poznać się nawzajem. Zaczniemy za kilka minut.

– To zupełnie wyjątkowa sala szkolna. – Nick miał nadzieję, że nie mówi jak piętnastolatek zafascynowany gwiazdami ekranu.

Siostra Kate się uśmiechnęła, a Nick pomyślał, że w niczym nie przypomina zakonnic, które pamiętał ze swojej szkoły. Po pierwsze żadna z nich się nie malowała, a już na pewno nie szminką. Siostra Kate używała jasnych pastelowych kolorów, ale tak naprawdę wcale nie potrzebowała makijażu. Miała krótkie, ale gęste i jedwabiste włosy, kremową cerę i ciepłe niebieskie oczy.

– Jeśli wolno zapytać, gdzie... to znaczy skąd siostra ma to wszystko?

– Zdziwi się pan tak samo jak ja. Wiele osób, dowiadując się, co mnie interesuje, ofiarowuje mi przeróżne rzeczy. Niektóre z tych przedmiotów najpierw mi tylko wypożyczono, a dopiero potem podarowano. Inne znalazłam

sama w różnych dziwnych miejscach, na pchlich targach, w sklepach ze starociami, a nawet na giełdzie internetowej eBay, jeśli pan uwierzy. Wielu ludzi nie ma pojęcia, co znajduje się na półkach ich kredensów, zwłaszcza jeśli są to przedmioty zostawione przez przodków. Na przykład ten braquemard. – Wzięła do ręki miecz. – Zamierzam pokazać go dziś uczniom. Pochodzi z piętnastego stulecia.

– Nie powie mi chyba siostra, że leżał sobie w czyimś kredensie i kurzył się?

– Nie, trafiłam na niego przypadkiem w sklepie rzeźnickim za granicami francuskiej wioski Machecoal. Ktoś podarował go ojcu właściciela, ale kiedyś należał do zamożnego barona, żołnierza, który walczył u boku Joanny d'Arc. Widzi pan ten grawerunek? – Uniosła miecz wyżej, a Nick przesunął palcem po wygrawerowanym znaku nad rękojeścią. Był już słabo widoczny, ale można było domyślić się, że to jakiś symbol, a nie inicjały, co byłoby bardziej oczywiste. Poczuł na palcu zapach płynu do czyszczenia metalu. Siostra Kate dobrze opiekowała się swoimi zbiorami. – Zadziwiające jest to, że przez prawie sześćset lat wciąż był w tej samej miejscowości.

– Joanna d'Arc? To chyba zrozumiałe, że zbiera siostra rzeczy, które należały do świętych i bohaterów.

– Och, barona Gillesa de Rais trudno zaliczyć do którejś z tych kategorii, choć wielu było innego zdania. Prowadził podwójne życie. – Odłożyła miecz niemal z szacunkiem. Delikatnie potarła czubkami palców po szerokim płaskim ostrzu, ostrym z obu stron. – Podobno tym właśnie mieczem

rozciął brzuchy ponad stu czterdziestu chłopców, a niektórym z nich ściął jeszcze głowy. Ale najpierw dusił ich i wieszał, i masturbował się przy nich. Nie, nie zasługuje na miano świętego czy bohatera.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Lotnisko Reagan National
Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Maggie ledwie usiadła na swoim fotelu w klasie biznes, kiedy stewardessa o imieniu Cassy przyniosła jej dietetyczną pepsi, o którą prosiła. Dodała do tego szklankę z lodem i kilka paczuszek orzeszków. Traktowali ją po królewsku. Wcześniej Cassy dotknęła jej ramienia i szepnęła, że kapitan nalega, by przeniosła się do klasy biznes z miejsca przy oknie niemal na samym końcu samolotu.

No cóż, Maggie nie zamierzała się sprzeciwiać. Klasa turystyczna była pełna, biznesowa prawie pusta. Wiedziała, czemu zawdzięcza swój awans. Kapitan odkrył, że ma na pokładzie agentkę FBI i chciał ją mieć blisko drzwi swojej kabiny. Na czas lotu zabrano jej broń, ale rozumiała, że zabezpieczali się możliwie najlepiej. Takie nieoczekiwane awanse spotykały ją już kilkakrotnie podczas innych lotów po jedenastym września. Nigdy nie przyznała, że może okazać się zupełnie bezużyteczna na wysokości jedenastu kilometrów nad ziemią. Maggie nie znosiła latać. Każde wejście do samolotu kosztowało ją wiele wysiłku.

Kiedy już zdołała wejść, natychmiast wyciągała coś, czym mogła się zająć. Tym razem wysunęła dwa małe stoliczki –

dwa, ponieważ siedzenie obok niej było wolne – i zaczęła przeglądać dokumenty i notatki, również te, które Cunningham przesłał jej mailem tego ranka. Jeden z załączników zawierał zdjęcia z miejsca zbrodni oraz z autopsji. Oglądała je, nie wyjmując ich z teczki. Nie chciała, żeby ktoś zerknął przypadkiem i zobaczył, jak zarabia na życie. Fotografie nie były tak przerażające jak te z odciętymi głowami. Prawdę mówiąc, poza pojedynczymi ranami kłutymi nie widziała żadnych innych okaleczeń. Żadnego groteskowego wystawiania na pokaz martwych ciał. Żadnych śladów ugryzienia ani jakichkolwiek innych tortur.

Mieli do czynienia z trzema ofiarami: dwoma księżmi i jednym byłym księdzem. Wszyscy zostali zasztyletowani w miejscach publicznych. Zadanie Maggie polegało na ustaleniu, czy coś łączy te trzy sprawy – czy są dziełem jednego zabójcy, a może dwóch, którzy działają wspólnie – a następnie przygotowaniu profilu mordercy.

Znalazła raport policyjny i przejrzała szczegóły zabójstwa w Omaha. Pięćdziesięciosiedmioletni wielebny William O'Sullivan dostał cios nożem w klatkę piersiową, gdy korzystał z toalety na lotnisku w piątkowe popołudnie, kiedy panuje tam ogromny ruch. Dokładnie rzecz biorąc, wypadło to akurat w świąteczny weekend. Nie było żadnych świadków poza Scottem Linquistem, który rzekomo wpadł na mordercę w drodze do toalety. Opis, jaki podał Linquist, był krótki: „Młody mężczyzna w czapce bejsbolówce”. Nie widział broni ani krwi.

Raport z autopsji nie przynosił wiele, podobnie jak analiza toksykologa i laboratorium kryminalnego. Maggie cofnęła się do słów, które zwróciły jej uwagę w raporcie z autopsji. To było interesujące. Broń, zdaniem lekarza, miała podwójne ostrze, szersze w części środkowej i zwężające się na brzegach, z dużą rękojeścią, na której prawdopodobnie znajdował się grawerunek.

Lekarz narysował na marginesie coś, co przypominało dawny sztylet.

Sztylet. Poprzedni morderca z Nebraski, którym zajmowała się Maggie, posługiwał się nożem do filetowania. Nadal pamiętała każdy szczegół tamtej sprawy: dziecięce białe majtki, maskę na Halloween, olej rytualny na czole. Ale przede wszystkim, kiedy o tym myślała – a w ostatnich miesiącach usiłowała nie myśleć – pamiętała przeszywające zimno, śnieg i lód na Platte River. I niezależnie od tego, jak bardzo się starała, nie mogła zapomnieć tamtych małych sinych ciał porzuconych na błotnistym brzegu rzeki, a każde z nich z literą X wyciętą na piersi. Później odkryli, że nie była to wcale litera, tylko krzyż.

Dwaj mężczyźni zostali skazani na dożywocie, ale Maggie była przekonana, że prawdziwy morderca zdołał im się wymknąć. Przez wiele miesięcy próbowała go wyśledzić, oczywiście bez skutku. W Ameryce Południowej nie mogła liczyć na współpracę tamtejszej policji ani na oficjalne wsparcie. Co więcej, Platte City, miasteczko, w którym działał i które zdradził tamten morderca, najwyraźniej nie chciało zaakceptować faktu, że młody charyzmatyczny

ksiądz katolicki był zdolny do zbrodniczego czynu. Nikt nie chciał uznać, że zło mogło tlić się w człowieku, który został wyświęcony do czynienia dobra. Maggie zastanawiała się, czy ojciec Michael Keller wierzył, że to Bóg kieruje jego ręką. Dlaczego bowiem udzielał swoim ofiarom ostatniego namaszczenia?

Maggie powiedziała Gwen, że powrót do Nebraski nie wzbudza w niej żadnych emocji. W końcu teraz jechała do Omaha, a nie do małego rolniczego Platte City czterdzieści pięć kilometrów dalej na południe. Nie znajdzie się w pobliżu tamtych miejsc zbrodni. Zamiast z niedoświadczonym prowincjonalnym szeryfem, jakim był Nick Morrelli, będzie pracowała z otrzaskanym detektywem z wielkomiejskiego departamentu policji. A zatem wszystko ułoży się inaczej, więc nie ma powodu, żeby odgrzewać tamtą sprawę, zamkniętą przed czterema laty. Gdyby tylko potrafiła zamknąć ją w swoich myślach... Trudno wymazać z pamięci coś takiego, kiedy codziennie widziała bliznę na swoim boku, pamiątkę po ciosie zadanym przez prawdziwego mordercę nożem do filetowania.

Tak, Gwen miała rację. Niektóre blizny goją się długo.

Nocny koszmar nie nawiedzał jej już tak często, ale gdy się pojawiał, zawsze był równie realny i wyrazisty. Znów znajdowała się w tamtym ciemnym wilgotnym tunelu pod cmentarzem. Ziemia sypała się jej na głowę. Zapach zgnilizny wypełniał nozdrza. Ciemność przygniatała ją ze wszystkich stron. Słyszała zbliżające się kroki. Na karku

czuła oddech zabójcy. Tyle że kiedy ją dopadł, wyciął znak krzyża na jej ciele.

Drgnęła gwałtownie, usłyszawszy głos stewardessy:

– Pani O'Dell, czy mogę pani coś podać?

– Nie, dziękuję, wszystko w porządku. – Maggie uśmiechnęła się i zaczekała, aż Cassy podejdzie do kolejnego pasażera. Wcale nie czuła się dobrze. Miała wilgotne dłonie i ściśnięty żołądek, bynajmniej nie ze strachu przed lataniem. Niewielka pociecha. Gwen wspomniała o „niedokończonej sprawie", a tym właśnie był dla Maggie ojciec Michael Keller. Człowiek, który zabijał małych chłopców i wycinał znak krzyża na ich piersi z pewnością nie przestał tego robić tylko dlatego, że uciekł gdzieś daleko. Zmienił miejsce, ale

nie zmienił swojego serca ani obyczajów. Zło nie poddaje się tak łatwo.

A skoro o tym mowa, Maggie towarzyszyło przeczucie, że trzy nowe sprawy rzeczywiście coś łączyło. Jeśli nie sprawca, to może ofiary. Wyjęła następny plik papierów, by przejrzeć artykuły ściągnięte z Internetu. Od Bostonu po Portland, od Nowego Jorku po Albuquerque, w całym kraju pojawiły się zarzuty wobec księży o seksualne molestowanie. James Porter, Paul Shanley, John Geoghan – tylko oni, mimo ogromnej skali zjawiska, zostali oskarżeni i ukarani. Po krótkiej lekturze Maggie wiedziała już, że w ciągu minionych piętnastu lat postawiono zarzut seksualnego molestowania około półtora tysiącu amerykańskich księży.

Oczywiście potrzebowała więcej informacji. Być może wyciągała pochopne wnioski, ale te trzy sprawy nie wyglądały jak dzieło seryjnego mordercy, który wybiera akurat księży, żeby oznajmić światu, co sądzi o religii. Maggie przypuszczała raczej, że ktoś postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość. Pojedynczy cios w serce wyglądał raczej na egzekucję.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen w końcu musiała przyznać się do porażki. Włączyła sekretarkę automatyczną. Po telefonie Benny'ego Hasserta, który powiedział jej, że odciski na szklance nie są identyczne z tymi z szarej koperty, nie chciała z nikim rozmawiać. Czyżby myliła się co do Rubina Nasha? A może po prostu był bardziej ostrożny, niż sądziła? Mógł dostarczyć kopertę, nie zostawiając swoich odcisków palców, chociaż to trudne. Gwen była wyczerpana, nie miała siły nawet myśleć.

Przy włączonej sekretarce telefon i tak dzwonił. Zaczynało jej to działać na nerwy. Na dodatek każdy telefon budził Harveya. Pies wstawał i zaczynał krążyć, chodził za nią nawet wtedy, kiedy kazała mu zostać na miejscu. No, może nie do końca tak było. Raz czy dwa został na miejscu, ale z potwornie żałosną miną, jakby wydała mu polecenie absolutnie przeciwne jego naturze. Stwierdziła, że w takich warunkach nie jest w stanie pracować, a Harvey nie zdrzemnie się ani na moment. Całe szczęście, że w ten poniedziałek nie przyjmowała pacjentów.

Zatelefonowała do Deny i zostawiła wiadomość na domowej sekretarce i na komórce. Pomyślała, że asystentka wyjechała gdzieś na weekend ze swoim nowym

narzeczonym i jeszcze nie wróciła. Zirytowała się, ale bardziej na siebie niż na Denę. Skąd u niej taki talent do zatrudniania nieodpowiedzialnych młodych kobiet? Nie, to niesprawiedliwe. Oczywiście, przypadkowe spotkanie z Deną w sklepie pana Lee w sobotę wieczorem wyglądało dość dziwnie. Asystentka była zdenerwowana, wytrącona z równowagi, ale tak wyglądałaby każda młoda kobieta, która wpada na swoją szefową, przygotowując się do romantycznego wieczoru we dwoje. W pracy, poza drobnymi wpadkami, dziewczyna była odpowiedzialna i kompetentna.

No i nagle Gwen zaczęła się poważnie martwić. Czy z Deną wszystko w porządku? A może ktoś z jej bliskich zachorował? Zaczynała żałować, że nie wiedziała, czy Dena mieszka z koleżanką i czy ma w pobliżu rodzinę. Jeżeli w sobotni wieczór coś się stało, czy miała do kogo zwrócić się o pomoc?

Gwen nie zawierała bliższych znajomości ze swoimi pracownicami. Poprzednie asystentki bez przerwy prosiły ją o radę i darmową diagnozę, jakby należało to do praw pracowników zatrudnianych przez psychologów. Gwen nie miała im za złe, że za darmo korzystały z jej porad, przeszkadzało jej natomiast, że wciągały ją w chaos swojego życia.

Jedna z asystentek zaangażowała Gwen do mediacji z byłym mężem podczas walki o prawa do opieki nad dziećmi, a następnie do oceny umysłowej i emocjonalnej zdolności dzieci do składania zeznań w czasie procesu. Inna

znów błagała, żeby Gwen wstawiła się za jej bratem, który starał się o zwolnienie warunkowe. Jeszcze inna suszyła głowę, aby Gwen przekonała jej starzejącą się matkę, że pora zamienić własny dom i niezależność na bezpieczny państwowy dom opieki. To była kropla, która przepełniła miarę. Gwen odkryła, że jej asystentka przeprowadziła się ze swoim partnerem do domu, w którym mieszkała jej matka, zamiast sprzedać go – tak jak uzgodniły – a pieniądze przeznaczyć na prywatny pensjonat dla starszych osób, oczywiście o dużo wyższym standardzie, który upatrzyła sobie matka. Co innego dać się wykorzystywać, ale zupełnie co innego pozwalać robić z siebie głupca.

Czasami Gwen zastanawiała się, czy owo nieustanne wciąganie się w życie innych ludzi nie jest jedną z pułapek samotnego życia. Celowo nigdy nie wróciła na Manhattan i nie założyła tam praktyki, żeby nie być skazaną na życie w cieniu ojca, na to, że będzie oceniania przez kolegów według zupełnie nieprofesjonalnych kryteriów, a mianowicie jako córka Johna Pattersona. Nawet podczas przyjęć organizowanych w domu rodzinnym na Boże Narodzenie wciąż przedstawiano ją jako córeczkę Johna. Skończyła czterdzieści siedem lat i z pewnością nie była już niczyją córeczką.

Widywała rodziców może sześć razy w roku. W każde Boże Narodzenie pielgrzymowała do Nowego Jorku, przyjmując tradycje rodziców jako swoje. Nigdy tak naprawdę nie pomyślała, że mogłoby być inaczej. Dopiero

w ostatnie Boże Narodzenie, kiedy R.J. Tully zaprosił ją, żeby spędziła Wigilię z nim i jego córką, uświadomiła sobie z przykrością, że nie stworzyła żadnych własnych tradycji.

Tęskniła za Tullym, choć nie bardzo miała ochotę przyznawać się do tego nawet przed sobą. Przez prawie dziesięć lat za nikim nie tęskniła. Zastanowiła się, czy do niego nie zadzwonić, żeby po prostu pogadać. Zanim wyjechał z Emmą na wakacje, dał jej numer swojego telefonu komórkowego oraz numer do hotelu, a także do jednego z przyjaciół, którego zamierzali odwiedzić. Nie zapomniał przy tym nadmienić, że nic się nie stanie, gdyby nie mogła zadzwonić. Dostrzegła jednak, co kryło się za jego spiętym uśmiechem: bardzo pragnął, żeby mimo wszystko zadzwoniła. Oczywiście, nie zrobiła tego. Postąpiła głupio. W tym wieku, niczym para nastolatków, wciąż udawali luzaków, żadne z nich nie chciało okazać, jak bardzo zależy mu na tym drugim. No cóż, byli przecież dwójką niezależnych dojrzałych ludzi, usatysfakcjonowanych swoim życiem i odrobinę niechętnych, żeby rezygnować ze swojej wolności. Być może Gwen bała się też ryzykować, że znowu ktoś złamie jej serce. Dotarła do takiego punktu w życiu, kiedy czerpała zadowolenie ze swojej samotności. A jednak, choć bardzo starała się być ostrożna i wyrachowana, zaczęło jej zależeć na Tullym. I… tęskniła za nim.

Wtem usłyszała, jak otwierają się drzwi do recepcji. Harvey znów podniósł się, spojrzał na nią i czekał na dyspozycje. Gwen sądziła, że będzie miała spokój, skoro nie

umówiła na ten dzień żadnych wizyt, ale Dena najwyraźniej zadecydowała, że poniedziałki to dzień dostarczania przesyłek. Od przyjścia do gabinetu Gwen złożyła już podpis na zamówieniu swojej ulubionej kawy, trzech pudeł z Office Depot i raporcie lekarskim dotyczącym nowego pacjenta, który doktor Kalb przesłał jej za pośrednictwem firmy kurierskiej.

– Paczka dla doktor Gwen Patterson. – Kolejny kurier nie podnosił wzroku znad swojego elektronicznego notesu. – Potrzebny mi podpis. – Kiedy podniósł w końcu głowę, podskoczył ze strachu na widok Harveya. Był tak skupiony, że nawet nie zauważył, iż wielkie psisko usiadło obok niego.

– Nie jest groźny – zapewniła Gwen i podpisała elektroniczny notes, który kurier podstawił jej pod nos.

– Dodatkowe zabezpieczenie to niezły pomysł. – Kurier poklepał Harveya po łbie i wyszedł.

Gwen położyła paczkę na kontuarze w recepcji, szukając wzrokiem adresu nadawcy, a kiedy go nie znalazła, podniosła słuchawkę, przytrzymała ją przy uchu ramieniem i sprawdzała wiadomości na sekretarce, równocześnie otwierając kopertę dołączoną do paczki. W kopercie nie było żadnego listu. Wypadł z niego tylko pojedynczy złoty kolczyk. Zakręcił się jak moneta. Przez sekundę wszystko się zatrzymało, wszystkie dźwięki, cały ruch poza tym kolczykiem, który kręcił się powoli. Gwen miała wrażenie, że nawet jej serce przystanęło. Nie musiała przyglądać się kolczykowi z bliska. Wiedziała, że to para od tego, który otrzymała w sobotę.

Powoli odłożyła słuchawkę na widełki, nie spuszczając wzroku z kolczyka. Lęk natychmiast ścisnął ją za gardło. Siłą woli spojrzała na pudełko. Miało wysokość około trzydziestu centymetrów. Było o wiele większe niż poprzednie przesyłki. Czyżby zawierało więcej instrukcji? Kolejną mapę? Czy może znowu telefon komórkowy? Co takiego ten szaleniec przysłał jej tym razem, żeby skierować ją do swojej ofiary? I dlaczego w pudełku? Chyba nie... nie, nie śmiałby tego zrobić. A jeśli tak? Rozmiar był właściwy, akurat zmieściłaby się w tym pudełku ludzka głowa.

Zerknęła na Harveya, który siedział obok niej z podniesionym łbem. Na pewno wyczułby ten zapach, wiedziałby, że to coś... nieżywego. Prawda? Czułby zapach krwi, nawet zaschniętej. Tak, z całą pewnością.

Nożem do listów ostrożnie przecięła taśmę, następnie, ledwie dotykając pudełka, otworzyła je, starając się nie zamazać ewentualnych odcisków palców. Najpierw zobaczyła tylko biały papier pakunkowy. Dotknęła go nożem do listów i odniosła wrażenie, że nic pod nim nie ma. Czy starczy jej odwagi, żeby odwinąć papier?

Stała jak sparaliżowana. W końcu odłożyła nóż i ujęła papier palcami, żeby go unieść i odciągnąć. Zmrużyła oczy i wzdrygnęła się, jakby oczekiwała, że coś na nią wyskoczy. Ale jej palce pozostały spokojne i pewne. Dzięki Bogu, bo poza tym była kłębkiem nerwów.

Wyjęła cały biały papier, a było go sporo. Na dnie pudełka na karcie katalogowej leżał klucz. Nie ruszając niczego,

Gwen rozpoznała znane już drukowane litery. Co gorsza, rozpoznała też adres nabazgrany na karcie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Liceum Matki Boskiej Bolesnej
Omaha, Nebraska

Nick nie mógł nigdzie znaleźć Christine. Nie zdziwił się, że wbrew obietnicy nie czekała na niego na korytarzu. Podszedł do okna wychodzącego na ulicę. Żadnych policyjnych wozów. Żadnych gliniarzy. To dobry znak.

Włożył ręce do kieszeni dżinsów. Nie znosił czekać. Mógłby wejść z powrotem do sali na drugą część zajęć siostry Kate, żeby Christine po niego przyszła. Tak właśnie zrobi. Niech tym razem ona na niego czeka. Zawracał właśnie, kiedy spostrzegł, że drzwi gabinetu Tony'ego były otwarte. Zawahał się. Znał Tony'ego kopę lat. Może poprzedniego dnia potraktował go zbyt ostro, kiedy potrzebował przyjacielskiego wsparcia, a nie prokuratorskiej reprymendy. Podszedł do drzwi i zapukał.

– Cześć, wejdź. – Tony podniósł głowę, skinął na powitanie i wrócił wzrokiem do ekranu komputera. Jego palce śmigały po klawiszach, jakby natychmiast musiał coś skończyć, zanim nieproszony gość zobaczy, czym się zajmuje.

A może jestem zbyt podejrzliwy? – pomyślał Nick i spytał:

– Nie widziałeś przypadkiem Christine?

– Nie, a jest tutaj?

– Przywieźliśmy Timmy'ego na zajęcia. Siedziałem z nim przez pierwszą połowę. Pewnie Christine jest na dole i znowu naciera uszu temu gościowi w gabinecie O'Sullivana.

Na wspomnienie intruza Tony spojrzał na Nicka, ten zaś zastanawiał się, czy przyjaciel uważa brata Sebastiana właśnie za intruza. Ale Tony tylko potrząsnął głową, sięgnął po kubek i wypił łyk kakao. Pijał je w kubku do kawy, żeby nie zwracać uwagi, tak przynajmniej się tłumaczył. Nick spytał go kiedyś żartem, czy, jego zdaniem, księża, którzy piją kakao, są traktowani mniej poważnie od tych, którzy piją kawę.

Tymczasem Tony, zamiast wyjaśnić, dlaczego jakiś braciszek przegląda rzeczy wielebnego, powiedział:

– Christine powinna bardziej uważać.

Nie takich słów oczekiwał od niego Nick.

– A to dlaczego?

Tony wzruszył ramionami.

– Wszyscy są teraz bardzo zdenerwowani. Arcybiskup z pewnością nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że media tutaj węszą.

– Ale sam wysyła kogoś, żeby powęszył?

Tony uśmiechnął się.

– Brat Sebastian wygląda trochę jak matoł, co?

– Taa, w pewien sposób. Kto to właściwie jest?

– Asystent arcybiskupa Armstronga, jego prawa ręka.

– I w zakresie obowiązków ma przeszukiwanie rzeczy osobistych zmarłych księży? – Nick nie zdołał ukryć ironii.

Tony po raz kolejny uniósł ramiona.

– Brat Sebastian zrobi wszystko, o co prosi arcybiskup.

Nick oparł się o framugę drzwi. Tony nie wyglądał na zaniepokojonego. Christine pewnie przesadzała. Oczywiście, że ktoś musi przejrzeć rzeczy wielebnego i spakować je.

Nick nie zwracał dotąd specjalnej uwagi na pokój Tony'ego. Teraz patrzył, jakby widział go po raz pierwszy, zarazem myśląc o swoim biurze w Bostonie, o tym, co ktoś znalazłby tam, gdyby po nim sprzątał. U Tony'ego było porządniej, ale tylko trochę. Stosy gazet zalegały w kątach, książki i gry komputerowe na półkach. Była to dziwna kombinacja. Księgozbiór Tony'ego składał się głównie z poezji angielskiej i dzieł Szekspira, natomiast gry komputerowe dotyczyły wojen i krzyżowców. Tablicę korkową zapełniały przyczepione jedna na drugiej karteczki, poczynając od zmian w planie lekcji i numerów telefonów nauczycieli po bilety z meczy drużyny piłkarskiej Nebraski, rachunki za jedzenie na wynos i kwity z pralni. Pod biurkiem leżał otwarty worek marynarski, z którego wychylał się brudny ręcznik i para zabłoconych butów do biegania. Nick ze zdziwieniem stwierdził, że Tony ma bardzo małe stopy, jego buty wyglądały na dziecięce.

Wyjrzał na korytarz, potem wszedł do pokoju, usiadł na fotelu stojącym w rogu i powiedział cicho:

– Christine uważa, że arcybiskup coś ukrywa i wolałby, żeby jego tajemnice umarły razem z wielebnym

O'Sullivanem. Nie przejmuj się, wiem, że nawet jeśli to prawda, nie możesz o tym mówić.

Patrzył bacznie na twarz Tony'ego z nadzieją na jakąś odpowiedź, ale żadnej się nie doczekał. Tony westchnął ciężko i usiadł prosto. Drewno zaskrzypiało, kółka zapiszczały, kiedy odsunął krzesło, żeby znaleźć się naprzeciw gościa. Skrzyżował ramiona na piersi i milczał, jakby chciał usłyszeć, co, zdaniem Nicka, powinien wiedzieć. Nick podjął tę grę.

– Coś ci powiem – zaczął niemal szeptem. – Nie wiedziałem nawet tego, że wielebny O'Sullivan był gejem.

– Co? Kto ci to powiedział?

– Nikt, ale skoro zabawiał się z chłopcami…

– Pedofile rzadko są homoseksualni, Nick. – Tony pokręcił głową, jakby zdumiewało go, że musiał to tłumaczyć.

– Sądziłem, że Kościół dokładniej przygląda się teraz swoim kapłanom, szczególnie tym, którzy zajmują się młodzieżą, by rozwiązać nabrzmiały problem.

– Taa, nie pierwszy raz zlekceważyli naukę i profesjonalne badania. Rozumiem, że w Bostonie nie pracowałeś nad żadną sprawą związaną z pedofilią, skoro o tym nie wiesz.

– Miałem szczęście. Po wyjeździe z Nebraski nie brałem udziału w żadnej sprawie, która dotyczyła dzieci. A ty skąd tyle wiesz o pedofilach?

– Byłem adwokatem ofiar, kiedy służyłem w parafii świętego Stefana Męczennika w Chicago – odparł Tony, patrząc przez okno. – To nie było oficjalne zajęcie, ponieważ oficjalnie archidiecezja nie ma takich zmartwień.

– Musiało być ci ciężko. – Nick spojrzał na przyjaciela. – Jak mogłeś pracować z tymi dziećmi, wiedząc, że faceci, którzy je skrzywdzili, nie wylecieli na bruk, tylko zostali przeniesieni na nowe stanowiska?

– Nie wiedziałem o tym wówczas. Musisz zrozumieć, Nick. – Tym razem Tony popatrzył mu w oczy. – Oświadczono nam, że wszystko jest pod kontrolą.

– Nie dało ci do myślenia, że nie wniesiono przeciwko nim żadnych skarg?

– To nie dzieje się w ten sposób. – Tony znów uciekł wzrokiem, podrapał się w brodę, jakby szukał słów. – Kościół nie oczekuje, że dany stan czy państwo rozwiąże ten problem. Księża powinni zachowywać najwyższe standardy moralne i zgodnie z nimi być sądzeni. Oni odpowiadają przed najwyższym autorytetem.

– Jasne, wiem – rzucił Nick. – Takim na przykład jak arcybiskup.

– Nie, mówiąc najwyższy autorytet, mam na myśli Boga.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Lotnisko Eppley
Omaha, Nebraska

Tommy Pakula wybulił pięć dolarów za paczkę pączków i jakąś specjalną kawę, a chciał przecież zwykłą kawę bez śmietanki i cukru, bez żadnych takich fiu bździu. Jezu, za pięć dolców w Highway Cafeu mógłby wypić tyle kawy, ile zmieściłby w żołądku, a do tego zjeść dwa jajka, tost i plaster bekonu. Niezależnie od fiu bździu kawa była świetna, a on potrzebował wsparcia cukru i kofeiny. Ostatnio stale musiał wspomagać się kofeiną, jakby się doładowywał. I raczej nie chciał wiedzieć, co by się działo, gdyby przerwał dopływ tego paliwa.

Po raz trzynasty zerknął na tablicę przylotów. Samolot z Waszyngtonu powinien być punktualnie. To znaczy dziesięć minut temu. Gdzież on jest, kurna?

Zobaczył dwa strumienie pasażerów, ale żadnego agenta FBI, agenta specjalnego M. O'Della. Potrafił wypatrzyć federalsa na kilometry, ten sam ciemny garnitur, ten sam obojętny wzrok, który widział wszystko. Zaczął już podejrzewać, że facet spóźnił się na samolot. Pakula stanął obok księgarni, widział stamtąd wszystkich, którzy przechodzili przez bramki. Oparł plecy o ścianę. Skończył jeść pączka i dopił kawę.

Obserwował kolejny strumień ludzi, kiedy jakaś kobieta wyszła właśnie z księgarni i stanęła naprzeciw niego. Była młoda, atrakcyjna, trzymała czarną skórzaną teczkę z laptopem.

– Przepraszam, czy pan Pakula? Detektyw Pakula?

Nawet dobrze wymówiła jego nazwisko. Tym razem spojrzał na nią bacznie, usiłując sobie przypomnieć, skąd ją zna.

– Taa, Pakula.

– Agentka specjalna Maggie O'Dell.

Omal nie wypuścił kubka z kawą. O kurna. Udawał, że nic się nie stało, wytarł prawą rękę i wyciągnął ją na powitanie.

– Miło mi, agentko O'Dell. Długo pani czeka?

– Niedługo.

Teraz, kiedy lepiej jej się przyjrzał – granatowy kostium, oczy, które widzą wszystko – Pakula zdał sobie sprawę, że wcale tak bardzo się nie mylił. Pomylił się tylko co do M. Jezu, Ramsey będzie zrywał boki ze śmiechu, Clare również. Nie był pewien, czy O'Dell także.

– Jak się pani domyśliła, że to ja?

– Jestem psychologiem. To moja praca. – Uśmiechnęła się i dodała, zanim wyraził uznanie: – Po tym, że nie ma pan bagażu. Stał pan z boku i wyglądał, jakby na kogoś czekał bez wielkiego entuzjazmu. No i po wybrzuszeniu z tyłu pańskiej kurtki. A już pączek i kawa zdradziły pana najbardziej.

Pakula miał ochotę się zaśmiać. Czekał na stereotypowego agenta FBI, a ona wypatrywała

stereotypowego gliny.

– Jezu, O'Dell – rzucił z udawanym rozdrażnieniem. – Mógłbym się obrazić, że mnie pani tak podsumowała.

– No to jesteśmy kwita. Bo pan spodziewał się mężczyzny, prawda?

Spotkali się wzrokiem. Zobaczył, że agentka nie miała mu za złe. Musiała być do tego przyzwyczajona i tylko odpłaciła mu pięknym za nadobne.

– Okej, jesteśmy kwita.

Uznał, że O'Dell jest w porządku. Zaczął opowiadać o sprawie, przedstawił tło, które nie znalazło się w dokumentach. O'Dell sprawiała wrażenie rozkojarzonej, kiedy szli w stronę ruchomych schodów.

– Musimy ściągnąć pani bagaż na dół – oznajmił. – Zaparkowałem po drugiej stronie w garażu.

– Możemy zatrzymać się na chwilę w toalecie?

– Jasne. Na dole będzie pani mogła skorzystać.

Maggie przystanęła i spojrzała na niego z uśmiechem.

– Mówię o tej toalecie, gdzie znaleźliście wielebnego O'Sullivana.

Pakula zmieszał się odrobinę, że nie zrozumiał od razu. To oczywiste, że chciała zobaczyć miejsce zbrodni.

– Taa, jasne. To niedaleko.

Poprowadził ją w lewo. Dotarłszy do toalety, Pakula najpierw sprawdził, czy nie ma nikogo przy pisuarach. Kiedy otwierał drzwi, ze środka wyszedł jakiś mężczyzna. Poza nim nie było nikogo.

– Leżał tutaj. – Pakula stanął obok umywalki po lewej. – Moim zdaniem mył ręce, kiedy morderca wszedł za nim. Znaleźliśmy jego okulary na podłodze. Może dlatego nie widział, że ktoś podchodzi z tyłu, albo nie dostrzegł w nim nic podejrzanego. Lekarz twierdzi na podstawie rany, że zabójca zaszedł go od tyłu. Był chyba niższy. Nie wiadomo, o ile niższy, w każdym razie bez trudu sięgnął pod ramieniem wielebnego i wepchnął mu nóż w serce. Wyciągnął potem nóż, wielebny upadł na podłogę, a morderca nadepnął na jego okulary i wyszedł.

Tęgi mężczyzna w średnim wieku wszedł do toalety i na widok O'Dell zawahał się, po czym sprawdził oznakowanie po drugiej stronie drzwi.

– Może pan wejść. My tylko na moment – powiedział Pakula, ale mężczyzna machnął ręką ze złością i zostawił ich, mrucząc po nosem.

– Jedne drzwi – powiedziała O'Dell, rozglądając się. – I nikt nie widział mordercy? W piątkowy ranek było tu pełno ludzi.

– Te toalety znajdują się trochę na uboczu. Większość osób korzysta z tych przy wyjściu albo na dole obok taśmociągu bagażowego. Jakiś facet – jest wymieniony w raporcie – zderzył się z młodym chłopakiem, który stąd wychodził. Powiedział, że chłopak się śpieszył. Nie potrafił go dokładnie opisać, czapka bejsbolówka, szczupły, i nic więcej. Nie zauważył nawet jego twarzy. Kiedy zobaczył wielebnego na podłodze, po tamtym nie było już śladu.

O'Dell podeszła do drzwi i przystanęła, wyglądając na zewnątrz.

– Stąd można pójść tylko prosto korytarzem, prawda?

– Tak mi się zdaje. Poza damską toaletą obok jest tu tylko zamknięty magazyn. Sprawdziliśmy go tamtej nocy, żeby upewnić się, czy facet tam nie wszedł i nie porzucił broni, ubrania czy czegokolwiek.

– A co z kamerami?

– Tutaj nie ma kamer, tylko przy punktach kontroli.

– Widziałam jedną w księgarni – powiedziała Maggie. – Prawdopodobnie skierowana jest na wejście. Ciekawe, czy obejmuje też ludzi, którzy idą tędy do toalety.

– Zwykle sklepowe kamery są dość kiepskie, ale sprawdzę to.

– A skoro mowa o kamerach, co powiedzieliście do tej pory mediom?

– Co powiedzieliśmy mediom?

– Czy ktokolwiek publicznie wyraził opinię, że te trzy morderstwa są z sobą powiązane? Na razie wiemy o trzech, tak?

– Tak. Oprócz naszego wielebnego jeden ksiądz w Minneapolis i jeden w Columbii, w stanie Missouri. Pierwsze było morderstwo w Minneapolis, miało miejsce w Dzień Pamięci. W Columbii jakieś dwadzieścia cztery godziny po zabójstwie O'Sullivana. Istnieją podobieństwa, ale nie da się stwierdzić na pewno, że coś je łączy. – Pakuli nie podobał się ten trop. Ramsey sprowadził FBI, żeby wyciszyć polityczne przepychanki i pogoń lokalnych

mediów za sensacją. Federalsi mieli wziąć to na siebie, oddalić. Co takiego, według O'Dell, Departament Policji w Omaha mógłby ogłosić publicznie?

– I oczekujecie ode mnie, że odkryję, czy istnieje między nimi jakiś związek?

– Taa, rozumiem. Trzech księży ginie w ciągu dwóch miesięcy, wszyscy na Środkowym Zachodzie. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy to czasem nie seryjny morderca.

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie ogłosiliście tego publicznie? – spytała O'Dell.

– Na przykład żeby ostrzec ludzi?

– Na przykład.

Pakula zachodził w głowę, co Ramsey powiedział swojemu staremu kumplowi Cunninghamowi. Chyba nie zdradził, jak delikatna jest struktura władzy w mieście wielkości Omaha. Ramsey mógł sobie mówić ogródkami, ale on nie zamierzał tego robić.

– Zaraz bym miał na karku media, a każdy pismak mógłby wykorzystać po swojemu moje słowa. Znaleźliby się też tacy, którzy sami próbowaliby rozwiązać którąś z tych spraw, albo i wszystkie do kupy. – Wcale nie krył niechęci.

– Ale widzi pan, detektywie Pakula, należy ich wykorzystać, zanim oni pana wykorzystają. W ten sposób może wykonają za nas brudną robotę.

Była już gotowa do wyjścia, w progu przepuściła dwóch mężczyzn. Przystanęli w pół kroku na jej widok.

– Dzień dobry, panowie – powiedziała, mijając ich. – Witajcie w Omaha.

Pakula ruszył za nią z uśmiechem. Nie podobało mu się jednak, że Maggie chciała uciekać się do mediów.

– Nie kupuję pani pomysłu, żeby otworzyć drzwi dziennikarzom. Komendant Ramsey dostałby apopleksji.

– Nie mówię, żeby otworzyć im drzwi. Uważam tylko, że jeśli te trzy sprawy są w jakiś sposób połączone, media mogą wygrzebać kilka faktów, których odnalezienie zajęłoby nam całe miesiące.

– W archidiecezji Omaha nie ma żadnego skandalu związanego z molestowaniem, jeśli o tym pani myśli. – Mówił bardzo cicho.

– Jest pan pewien?

Weszli na ruchome schody.

– Dziennikarka z „Omaha World Herald” od dawna już węszy, ale bez skutku. – Po porannej rozmowie z arcybiskupem Armstrongiem Pakula żałował, że niczego nie wygrzebano.

– A pozostałe dwie sprawy? Można się tam czegoś dokopać?

– Jeszcze nie wiem. Ale co, pani zdaniem, mogą znaleźć media, do czego my nie mamy dostępu?

– Pamięta pan, jak „Boston Globe” rozdmuchał sprawę kardynała Lawa i molestowani

a seksualnego w jego diecezji? A wydawało się, że wymiar sprawiedliwości jeszcze przez dekady nie uzbiera

wystarczająco dużo dowodów. Jeśli istnieje jakiś brud, kto go lepiej odkopie niż zawodowi poszukiwacze brudu?

Pakula pomyślał o groźbie Armstronga. Po co komuś grozić, jeśli ma się czyste sumienie?

Gdy zeszli ze schodów, powiedział:

– Odbiór bagażu jest na lewo.

Stanęli w kolejce i zdali sobie sprawę, że bagaż Maggie jeszcze nie dotarł. Pakula rozglądał się czujnie i mówił cicho.

– Widziała pani raporty. Sądzi pani, że to mogły być przypadkowe morderstwa?

– Z pewnością tak nie myślicie, bo inaczej nie wzywalibyście psychologa kryminalnego. – Czekała, aż Pakula spojrzy jej w oczy i potwierdzi, po czym dodała: – Nie jestem jednak przekonana, że są dziełem seryjnego zabójcy.

– Słucham?

– Wszystkie trzy... – nie powiedziała morderstwa, bo właśnie znaleźli się w bardziej zatłoczonym miejscu. – Wszystkich dokonano w miejscach publicznych, gdzie nieustannie kręcą się ludzie. Ten człowiek lubi ryzyko albo bardzo skrupulatnie planuje. Według mnie to drugie. Z tego co wiem o wszystkich trzech sprawach, przypominają wykonane z zimną krwią egzekucje.

– Egzekucje księży – powtórzył szeptem Pakula. Przemknęło mu to już przez myśl. Był to jeden z pomysłów, których słuszność sprawdzałby z dużą niechęcią.

– Być może macie tu do czynienia z zabójcą zamachowcem. Tak czy owak, musimy znaleźć wspólne cechy i zastanowić się, kto będzie następną ofiarą. Media mogą nam w tym pomóc.

– Może na tych trzech się skończy.

– To byłoby wspaniale, ale obawiam się, że istnieje jakaś lista i zabójca likwiduje swoje ofiary po kolei.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen zwolniła tak gwałtownie, że Harvey musiał poprawić się na siedzeniu obok niej, żeby nie spaść.

– To szaleństwo – powiedziała do psa i zaczęła szukać kamienicy z elewacją z piaskowca. Trzymała kartkę z adresem na desce rozdzielczej, natomiast oryginalną kartę biblioteczną zostawiła w gabinecie w foliowym woreczku.

Serce jej waliło od momentu, kiedy otworzyła pudełko. Próbowała się uspokoić, opanować emocje, ale wystarczyło, że spojrzała w brązowe oczy Harveya, by wiedzieć, że robi to nieskutecznie. Pies świetnie wyczuwał panikę, pewnie nawet czuł ją węchem. Co i rusz lizał rękę Gwen, jakby chciał ją w ten sposób pocieszyć.

– Tworzymy zgrany zespół, Harvey, ale powiem ci w sekrecie: żałuję, że Maggie tutaj nie ma. – Powiedziawszy to, zastanowiła się, czy w końcu wyznałaby przyjaciółce prawdę. Zachowywała się nielogicznie i nieprofesjonalnie. Na domiar złego nieetycznie. Panika i lęk zaciskały wokół niej krąg. Chłodna i logiczna pani psycholog nie słyszała już prawie nic prócz kobiecego krzyku.

– To tutaj – oznajmiła, hamując ostro. Tym razem Harvey był na to przygotowany.

Zaczekała, aż odjedzie samochód dostawczy, i wcisnęła się na ostatnie wolne miejsce do parkowania. Siedziała i patrzyła na kamienicę. Raz jeszcze sprawdziła numer domu, choć wiedziała, że to na pewno tutaj. Wcześniej, kiedy nie mogła telefonicznie złapać Deny, wyjęła jej dokumenty i zapisała na kartce adres domowy, na wypadek gdyby zdecydowała się przyjechać i sprawdzić, co się z nią dzieje. Dlaczego nie rozpoznała tego pierwszego wiszącego kolczyka, kiedy ten ktoś podrzucił go jej w sobotę? Kolczyka Deny. Czy byłaby w stanie powstrzymać tego szaleńca? Czy mogłaby uratować Denę? Jezu. Czy to ten nowy mężczyzna w życiu Deny? Czyżby posunął się tak daleko? Może to wszystko tylko głupi kawał. Może chciał ją ostrzec, bawił się z nią, napawał władzą? W gabinecie, kiedy ujrzała adres, musiała się uszczypnąć, żeby zyskać pewność, że to nie jakiś senny koszmar.

Włożyła rękę do kieszeni żakietu i chwyciła klucz, który zostawił jej na dnie pudełka. Oczywiście, to nowy mężczyzna Deny. Jak inaczej zdobyłby klucz do jej mieszkania?

Popatrzyła na bramę, później potoczyła wzrokiem po sąsiednich kamienicach i ulicy. Czy on gdzieś tam był i obserwował ją? To idiotyczne. Powinna była zadzwonić na policję. Powinna była przynajmniej poprosić, żeby spotkali się z nią w tym miejscu. W kieszeni miała komórkę. Mogła zadzwonić. Wciąż mogła to zrobić.

I co by im powiedziała?

Wzięła głęboki oddech, ścisnęła w dłoni klucz i sięgnęła po smycz Harveya. Pies wyszedł z wozu niechętnie, jakby dawał jej do zrozumienia, że to fatalny pomysł. Jego instynkt był zdecydowanie lepszy niż jej.

Po chwili Gwen zadzwoniła do mieszkania Deny. Wciąż rozglądała się z nadzieją, że obudzi jakiegoś sąsiada, lecz wokół panowała kompletna cisza. W końcu bez trudu otworzyła drzwi.

– Halo? Dena?

Stała w progu, patrzyła, jak reaguje Harvey, trzymała go krótko na smyczy. Obserwowała jego oczy, uszy i ruchy łba, kiedy nasłuchiwał i węszył. Na razie nie wyczuł nic, co kazałoby mu skoczyć czy zawyć, jak wtedy, kiedy znaleźli czaszkę pod gnijącymi liśćmi w parku. Prawie jak wytresowany tropowiec potrafił wywęszyć rozkładające się ludzkie ciało. Instynkt wiódł go do celu, a potem zmuszał do ucieczki. Harvey ciągnął tak mocno, że myślała, iż złamie jej rękę. Teraz zachowywał się inaczej. To dobry znak. Tak, bardzo dobry znak. Gwen zamknęła drzwi.

– Dena?

Czy możliwe, że ten mężczyzna zostawił ją związaną albo otumanioną lekami? Żeby udowodnić Gwen, jak daleko jest w stanie się posunąć? Pokazał już, że może dopaść jej ojca, gdy tylko zechce, zostawiając mu wiadomość, że córka chce z nim zjeść śniadanie w hotelu. Czy w podobnym celu wykorzystuje Denę? Pokazuje Gwen, że każdy z jej bliskiego otoczenia może zostać jego ofiarą? To miało sens. Może tak

właśnie było. Chciał ją śmiertelnie przestraszyć samym prawdopodobieństwem zabójstwa.

Mieszkanie Deny wyglądało na zamieszkane, ale nie widać było żadnych śladów walki. Na półkach stało mnóstwo bibelotów. Gdyby któryś został przesunięty czy zrzucony, sprawa byłaby oczywista. Kurz nie kłamie.

Gwen posuwała się powoli do przodu, patrząc bacznie dokoła, a przy tym słuchając i obserwując Harveya. Prześliznęła się wzrokiem po najwyższych półkach, półce nad kominkiem, a nawet po palenisku, zaglądała pod krzesła i w kąty. Nagle Harvey przystanął i zaczął drapać w drzwi szafki. Najprawdopodobniej znajdował się tam sprzęt grający. Serce Gwen natychmiast przyśpieszyło, oddychała z trudem.

Harvey drapnął dwa razy, po czym usiadł przed szafką z wlepionym w nią wzrokiem. Podniósł oczy na Gwen, żeby zobaczyć, czy zauważyła jego zainteresowanie. W dalszym ciągu mogła jeszcze zadzwonić na policję. Niech oni się tym zajmą. Jeszcze nie było za późno. Harvey drapnął znowu drzwi szafki i spojrzał na Gwen.

– Dobra, dobra, chwileczkę.

Wyjęła z kieszeni czystą chusteczkę i przez nią złapała za uchwyt, odsuwając się możliwie najdalej. Ręka jej zadrżała, upuściła chusteczkę i musiała ją podnieść. Harvey niepokoił się coraz bardziej. Odciągnęła go na bok. Im bardziej się denerwował, tym bardziej drżała jej ręka. Trzymała już mocno uchwyt, ale wciąż się wahała. Bolało ją w piersiach,

jakby miała tam bombę zegarową, która tłukła się o jej żebra.

Nabrała głęboko powietrza i szarpnęła drzwiczki. Odskoczyła, coś smyrgnęło z szafy pod jej nogami, z przewróconego szklanego naczynia wysypała się na podłogę lawina wielobarwnych żelek. Harvey naciągnął smycz i złapał kilka żelek, zanim umysł i serce Gwen zaczęły znowu normalnie pracować. Pociągnęła psa do tyłu.

– Jezu, Harvey.

Musiała usiąść, bo nogi nie chciały jej utrzymać. Przycupnęła na rogu kanapy. Powinna sprawdzić pozostałe pomieszczenia i wyjść. Jeśli Harvey wywąchał tylko żelki, nie było tam nic więcej. Na pewno już by to wyczuł. Musiała przez chwilę pomyśleć. Maggie uratowała Harveya z zakrwawionej sypialni jego poprzedniej właścicielki, którą zabił seryjny morderca, a Harvey przy okazji także prawie stracił życie. To dlatego tak opiekował się Maggie i przeniósł ten instynkt na Gwen. A zatem brzmi całkiem logicznie, że uciekałby, gdyby poczuł krew w mieszkaniu. Czyż nie tak zareagował w parku? Może to idiotyczne, że poddaje go psychoanalizie jak jednego ze swoich pacjentów. Nie była psim psychologiem, ale to miało sens. Pomimo to jeszcze nie pozwoliła sobie odetchnąć z ulgą.

Poszła z Harveyem do sypialni, garderoby i łazienki, zajrzeli do kabiny prysznicowej i pod umywalkę. Nic nie znaleźli. Z każdym odkryciem, a raczej brakiem odkrycia, czuła, że napięcie z niej opada. Serce i oddech wracały do normy. Do chwili, kiedy weszli do kuchni.

Gwen otworzyła lodówkę i piecyk, nawet zmywarkę do naczyń, po czym odwróciła się i zobaczyła, że Harvey siedzi jak zaczarowany przed szafką pod zlewozmywakiem. Powiedziała sobie, że to tylko kolejna szafka, że otworzy ją równie szybko jak pozostałe, bez wahania, wyobrażania sobie Bóg wie czego, po prostu to zrobi.

Łatwo powiedzieć.

Zimny pot wystąpił jej na czoło. Ręka trzęsła się mniej niż poprzednio, a mimo to utrudniała sięgnięcie do uchwytu. Harvey przebierał łapami, co działało jej na nerwy.

Otworzyła szeroko drzwi. W środku znajdował się kosz na śmieci na kółkach. Smród gnijących śmieci odrzucił Gwen, dopiero po chwili na samym wierzchu kubła zobaczyła skórki od jabłka i ziarna kawy.

– Harvey, następnym razem muszę cię najpierw nakarmić.

Uśmiechnęła się do psa i poklepała go po łbie, ale on nadal był niespokojny i ciągnął za smycz. Tym razem wcale nie miał ochoty rzucić się na kubeł ze śmieciami. Wyrywał się, żeby znaleźć się jak najdalej od niego. Próbował wyjąć łeb z obroży. Gwen zaraziła się jego paniką. Potem z gardła Harveya wydobył się cichy skowyt, ledwie słyszalny, ale nie do wytrzymania, niekontrolowany jęk, jakby psa coś bolało.

Wreszcie Gwen zobaczyła plastikową torbę, zakopaną pod gnijącymi obierkami, kawą, pustymi pudełkami i celofanem, tymi wszystkimi normalnymi śmieciami. Miała rację co do Harveya. Wyczuł zapach krwi i chciał uciekać. Pod śmieciami Gwen widziała przezroczystą plastikową torbę. Z torby patrzyły na nią brązowe oczy Deny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Śródmiejski Posterunek Policji
Omaha, Nebraska

Maggie nie znosiła tych pierwszych zapoznawczych spotkań. Zwykle przeradzały się w przepychanki z oficerami lokalnego wymiaru sprawiedliwości, którzy pokazywali, co potrafią, i podkreślali swoje kompetencje. Zdarzało się też, że nie przyznawali się do win i porażek. Jednak detektyw Tommy Pakula zrobił na Maggie dobre wrażenie, przede wszystkim dlatego, że nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, by jej zaimponować czy zaznaczyć swoje terytorium, czy wreszcie szukać winnego dotychczasowych niepowodzeń. Nawet kiedy okazało się, że FBI przysłało kobietę, nie wydawał się specjalnie speszony. Detektyw Pakula po prostu interesował się wyłącznie swoją pracą.

Kiedy przyjechali na komendę policji w Omaha, czekał już na nich gotowy do pracy zespół ludzi. No, prawie gotowy. Zanim rozpoczęli, kilka osób wychodziło po kawę i dzwonił telefon. Pakula zaproponował Maggie kawę, ale odmówiła i zapytała, czy jest gdzieś w pobliżu automat z napojami. Pakula skinął głową, lecz nie wskazał jej drogi, tylko zapytał, jaką truciznę pija. Nie wyszedł jednak z sali konferencyjnej. Kiedy Maggie myślała już, że o niej

zapomniał, młody policjant w mundurze przyniósł jej dwie puszki dietetycznej pepsi.

Długi stół wypełniał prawie połowę pomieszczenia. Naprzeciw stała tablica, a na niej zapisano już trzy kolumny, trzy listy dowodów, jedną dla każdej sprawy. Obok na ścianie wisiała druga tablica, na której z kolei przyczepiono zdjęcia trzech ofiar oraz dokumentację fotograficzną z miejsc zbrodni. Na sąsiedniej ścianie wisiała mapa Środkowego Zachodu. Kolorowe pinezki znaczyły Omaha, Columbię i Minneapolis.

Pakula przedstawił swoich kolegów. Maggie pomyślała, że wyglądają, jakby wyjęto ich prosto ze szkoleniowego wideo na temat poprawności politycznej w angażowaniu pracowników. Teresa Medina, czarnoskóra kobieta z laboratorium kryminalnego okręgu Douglas, spokojnie mogłaby znaleźć się na okładce „Vogue'a”. Detektyw Carmichael była niską krępą Azjatką. Komendant Donald Ramsey, facet w średnim wieku, w pogniecionych spodniach khaki, stanowił przeciwieństwo młodego detektywa Pete'a Kasaba, który był w garniturze i pod krawatem. U szczytu stołu, jak matka tej eklektycznej rodziny, siedziała Martha Stofko, lekarz sądowy okręgu Douglas, której odprasowany biały fartuch laboratoryjny nadzwyczaj elegancko prezentował się z granatową suknią i koralami z perełek.

Teresa Medina rozdała kopie swojego szczegółowego raportu oraz raportu z autopsji przygotowanego przez Stofko. Na środku stołu położyła dowody, a także zdjęcia

cyfrowe. Detektyw Carmichael, której imienia, jak zauważyła Maggie, Pakula nie wymienił, miała przed sobą stertę papierów, tak wielką, że niemal ją zasłaniała. Nieustająco marszcząc czoło, oznajmiła żartobliwie, że gdzieś w tym stosie gówna znajdują się odpowiedzi, które rozwiążą tę cholerną sprawę.

Komendant Donald Ramsey uścisnął dłoń Maggie i podziękował jej za tak szybkie przybycie, po czym usiadł na krześle i przekazał pałeczkę Pakuli. Wyglądał na zmęczonego, z jego czoła nie schodziły głębokie zmarszczki, a ponieważ siedział obok świeżego, wymuskanego Kasaba, jeszcze bardziej rzucało się to w oczy. Ramsey ubrany był w sportowe spodnie i koszulkę polo z wyhaftowanym na kieszonce znakiem Departamentu Policji Omaha. Detektyw Pete Kasab z kolei miał na sobie szyty na miarę garnitur, spodnie z kantem i koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem, idealnie zawiązany jedwabny krawat, a do tego zjawił się tu chyba prosto od fryzjera. W przeciwieństwie do Ramseya, który przyniósł sobie tylko kubek z kawą, Kasab zaopatrzył się w butelkę wody i batonik wielozbożowy. Otworzył niewielki kołonotatnik, w ręku trzymał gotowe do pisania złote pióro.

– Udzieliłem już agentce O'Dell niezbędnych informacji – zaczął Pakula, stojąc. – Liczę, że mamy coś nowego. Może z toksykologii? – Spojrzał na Teresę Medinę.

– W krwi O'Sullivana znajdowało się pół promila alkoholu, a zatem kilka godzin przed śmiercią wypił parę drinków, ale nie tyle, żeby był pijany. Brak śladów innych związków

chemicznych w krwi. Natomiast w ranie znaleźliśmy ślad amoniaku i benzyny rektyfikowanej.

– Co to znaczy? – spytał Pakula.

– Benzyna rektyfikowana przypomina rozpuszczalnik Stoddarta, składnik wielu środków do czyszczenia, używanych w domu. W połączeniu z amoniakiem to jakiś środek do czyszczenia metalu.

– Więc nasz zabójca lubi czyścić noże – stwierdziła Carmichael. – Nic dziwnego, że nie wyrzuca broni.

– Jeżeli rzeczywiście posługuje się sztyletem czy nożem do otwierania listów, jak przypuszczam – wtrąciła Stofko – może ten przedmiot ma dla niego jakąś wartość. Choćby sentymentalną, jeśli nie materialną.

– Jeszcze coś nowego? – Pakula spojrzał na Medinę.

– Psia sierść na koszuli ofiary to sierść pekińczyka.

– Cholera – rzekł Pakula. – Naprawdę można to stwierdzić?

– W tym wypadku tak – odparła Medina z uśmiechem.

– Już sprawdziłam – dodała Carmichael. – O'Sullivan nie miał psa.

– Może psie włosy znajdowały się na podłodze w toalecie? – zauważył Pakula.

– Wszystko jest możliwe – stwierdziła Medina. – Ale wokół ofiary nie znaleźliśmy żadnych psich włosów. Tylko na koszuli. I to na plecach.

– To ma sens. Martha uważa, że zabójca podszedł go od tyłu – rzekł Pakula, czekając, aż Stofko kiwnie głową. – Psia

sierść mogła znajdować się na koszuli mordercy i przenieść się na ofiarę. Zasada Locarda.

Maggie potoczyła wzrokiem po uczestnikach narady. Każdy z nich wyrażał potwierdzenie skinieniem głowy albo ręką. Wszyscy spodziewali się, że doszło do przeniesienia jakiegoś materiału z mordercy na ofiarę, tak jak przewidział Locard.

– Więc trzeba szukać miłośnika noży i pekińczyków – rzekła Carmichael. – To powinno być proste, tylko jak, do diabła, wygląda pekińczyk?

– Mały, długa sierść, płaska morda – odparła Maggie.

– Proszę spojrzeć na dwie pozostałe sprawy – powiedział Pakula do Mediny. – Mamy tam psią sierść?

– Nie, ale mogli to przeoczyć, zwłaszcza że morderstw dokonano na zewnątrz. Lekarz sądowy z Minneapolis zauważył ślad amoniaku w ranie. Może to być środek do czyszczenia metalu. – Medina kartkowała raport. – Facet z Columbii powiedział mi z kolei, że znaleźli skórki chleba, nie okruchy, w kieszeni koszuli Kincaida.

– Żartujesz? – zdziwił się Pakula.

– A o co chodzi z tymi okruchami? – spytała Maggie.

– Skórkami – poprawiła ją Medina. – Być może to nic nie znaczy. Po prostu jadł coś na dworze i schował skórki do kieszeni. Tyle że znalazłam okruchy chleba z przodu koszuli O'Sullivana.

– Psia sierść na plecach i okruchy z przodu? – spytała Maggie, jakby zdumiała ją tylko niechlujność wielebnego. Może gospodyni O'Sullivana ma pekińczyka, pomyślała. Te

informacje nie zrobiły na niej większego wrażenia, przekonała się za to, że Teresa Medina to prawdziwy fachowiec.

Martha Stofko, jakby wyczuła sceptycyzm Maggie, spojrzała na nią i rzekła:

– W treści żołądka O'Sullivana nie było chleba, tylko prawdopodobnie mięso i ziemniaki.

– Mniam mniam. – Pakula zaśmiał się krótko. – A jakie przysmaki masz w tej stercie papierów?

– Być może podejrzanego. – Carmichael przerwała na chwilę, żeby przełknąć orzeszki w czekoladzie. – Pamiętasz naszego przyjaciela, ojca Tony'ego Gallaghera? Mówił trochę... mało konkretnie, ale był nadzwyczaj uprzejmy.

Carmichael przypominała Maggie zawodowego komika. Wygłaszała swoje puenty beznamiętnie, z twarzą pokerzysty. Sterta dokumentów była tylko na pokaz. Carmichael nie odnosiła się do nich ani do swoich notatek. Nie musiała tego robić.

– Powęszyłam co nieco, bo facet mnie wkurzył. Jakieś siedem lat temu służył przez krótki czas w Chicago, u Świętego Szczepana Męczennika. Przypadkiem zastąpił nie kogo innego tylko ojca Geralda Kincaida, który został akurat przeniesiony.

– Interesujące. – Pakula wypił łyk trzeciej już chyba kawy, nie licząc tej na lotnisku.

– Dalej jest jeszcze ciekawiej – ciągnęła Carmichael. – Ojciec Gerald Kincaid ostatnio wyjechał na jakiś czas. Kościół katolicki ma na to sprytne określenie: „pomiędzy

przydziałami”. Spędził sześć miesięcy w sanatorium w Jerez Springs, w Nowym Meksyku.

– Na co się leczy? – zapytał Ramsey. Ta wiadomość przyciągnęła jego uwagę. Usiadł prosto, z łokciami na stole.

– Ojciec Quinn z ośrodka powiedział mi, że leczą księży, którzy cierpią na rozmaite schorzenia, w tym, jak to nazwał „problem alkoholowy”, no i, oczywiście, wszelkie problemy psychiczne i emocjonalne.

– A jaki jest problem ojca Kincaida? – Maggie także gwałtownie wyprostowała plecy, zaniepokojona, że jej pierwszy instynktowny domysł mógł być słuszny.

– To sprawa poufna – odparła Carmichael, unosząc rękę, żeby powstrzymać westchnienia kolegów. – Odczekałam trochę i zadzwoniłam powtórnie. Tym razem nie prosiłam nikogo z kierownictwa. Poplotkowałam sobie z kobietą, która odebrała telefon. Miała mi bardzo dużo do powiedzenia.

– Plotki – rzekł Pakula z niezadowoloną miną. – Niedopuszczalne plotki.

– Tak, masz rację – przyznała Carmichael, jakby takich właśnie słów spodziewała się od niego. Mimo to mówiła dalej: – Więc chcecie usłyszeć te niedopuszczalne plotki czy nie?

Zerknęła na Ramseya, a ten skinął głową. Przeciwnie niż Pakula nie zraził się.

– Barbara oznajmiła mi, że ojciec Gerald Kincaid ma mały problem z tym, co oficjalnie nazywane jest „niewłaściwym zachowaniem w stosunku do niepełnoletnich chłopców”.

– I dlatego został przeniesiony – wtrąciła Maggie. – Czy policja z Chicago zanotowała jakieś skargi? – zapytała, czując, że zna odpowiedź. W czasie krótkiego śledztwa odkryła, że do tej pory większość podobnych spraw rozstrzygano poza sądem i miejscowymi organami ochrony porządku publicznego.

– Ani jednej – odparła Carmichael. – Kompletnie nic. Barbara powiedziała też, że Chicago to nie był pierwszy raz. I ma pani rację. Za każdym razem ojca Kincaida po prostu przenoszono, prawdę mówiąc, pięciokrotnie już zmieniał parafię. Ostatnim razem rodzice zagrozili, że pójdą na policję, ale arcybiskup przekonał ich, żeby tego nie robili. Obiecał im, że Kincaid zostanie wysłany na leczenie. – Carmichael spojrzała na kolegów. – Jakieś sześć tygodni temu został wypisany z ośrodka i przydzielony do katolickiej parafii pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Rozmawiałam z przewodniczącym tamtejszej Rady Kościoła i sprzątaczką. Świetny skład, jeśli chodzi o plotki. Zabawne, ale nikt z parafii Wszystkich Świętych w Columbii nie wiedział, że ojciec Kincaid był w ośrodku terapeutycznym, nie wspominając już o powodzie tego pobytu.

– Skąd my to znamy? – zauważyła Maggie i spotkała się wzrokiem z Pakulą.

– Agentka O'Dell uważa, że prawdopodobnie istnieje związek między tymi trzema morderstwami. Być może mamy do czynienia z zabójstwami na zlecenie.

Maggie czuła, że wszyscy wlepili w nią wzrok. Carmichael uśmiechnęła się lekko.

– Ale co z Danielem Ellisonem? – zapytał Pakula. – Agent Weston stwierdził, że Ellison porzucił kapłaństwo, bo chciał się ożenić. Nie wygląda na to, żeby zadawał się z chłopcami.

– Nie trafiłam na żadne skargi, ale jeśli sprawa Kincaida ma być wskazówką, powiedziałabym, że Kościół potrafi znakomicie ukrywać wszelkie oskarżenia. Myślałam, żeby spytać o to naszego nowego przyjaciela, ojca Tony'ego Gallaghera.

– O, doprawdy. Dlaczego?

– Wydaje się, że on i Ellison uczęszczali do tego samego seminarium w Notre Dame.

– O kurna – westchnął Pakula. – Więc ojciec Tony ma powiązania z obiema ofiarami.

Maggie zauważyła, że Carmichael uśmiecha się, wyjątkowo zadowolona z przekazania tej wiadomości.

– To nie wszystko – podjęła detektyw z taką miną, jakby najciekawsze zostawiła na koniec. – Kiedy nasz dobry ojczulek Tony był w Chicago, stworzył tam i prowadził nieoficjalną grupę wsparcia dla ofiar molestowania. Wyobrażam sobie, że musiał wysłuchać rozmaitych rzeczy, czy raczej oskarżeń, wobec ojca Kincaida.

– Jeżeli Kościół to ukrywa, skąd wiesz o tej grupie wsparcia? – spytał Ramsey.

– Musi pan wiedzieć jedno, komendancie. Nie mam pojęcia dlaczego, ale ludzie opowiadają mi różne historie. Więc chyba powinniśmy wysłać znów Kasaba po ojczulka, żeby go dokładniej przesłuchać, nie? – zapytała Ramseya

i Pakulę, ale patrzyła na Pete'a Kasaba, który, usłyszawszy swoje nazwisko, siadł prosto.

– Taa, chyba tak – odparł Pakula, po czym dodał: – A ty możesz mu powiedzieć, żeby przywiózł z sobą swojego adwokata. – Spojrzał na Ramseya. – Skoro mowa o adwokatach i innych dupkach, agentka O'Dell uważa, że moglibyśmy wmanipulować media, żeby pomogły nam znaleźć co nieco.

Ramsey oparł plecy o krzesło i skrzyżował ramiona. Podrapał się w brodę, potem przeniósł spojrzenie na Maggie. Miał łagodne szaroniebieskie oczy, podkreślone wyraźnymi zmarszczkami.

– Proszę nam powiedzieć, jak to ma działać, a my to zrobimy.

– Myślę, że najlepiej zrobić to jeszcze dzisiaj. Ustalimy, jakie informacje podamy do wiadomości publicznej. Może nawet, przynajmniej na razie, nie wspomnimy o Ellisonie, i zobaczymy, czy dowiemy się o nim czegoś przy okazji – odparła Maggie.

Pakula skinął głową i powiedział:

– No to chyba należy poznać plotki o wielebnym O'Sullivanie. I chyba, chociaż mi się to nie podoba, trzeba skontaktować się z tą wścibską reporterką z „Omaha World Herald” i wyciągnąć od niej, co już wie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Omaha, Nebraska

Gibson usiłował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni zapraszał kogoś do domu. Za życia ojca robił to często, ale jego ojciec przyciągał ludzi jak magnes. Kiedyś Gibson zaprosił kolegę po lekcjach, a ojciec namówił ich do gry w piłkę. Po chwili już sześcioro dzieciaków z sąsiedztwa brało udział w grze i zaśmiewało się do łez, bo żadne z nich nie mogło trafić piłką do kosza.

Zawsze tak było, czy szli na sanki, czy grali w piłkę, czy tylko myli samochód na podjeździe. Wszyscy chcieli być blisko taty. Czasami Gibson zastanawiał się, czy jego kolegom zależało na przyjaźni z nim, czy bardziej na kontaktach z jego ojcem. Ale ten chłopiec, Timmy Hamilton, był inny.

Ustalili podczas rozmowy, że Gibson skończy szesnaście lat miesiąc przed piętnastymi urodzinami Timmy'ego. Więc Gibson był o ponad rok starszy, co dawało mu prawo nazywać Timmy'ego dzieciakiem. Timmy nie miał mu tego za złe. Podziwiał Gibsona i jego wiedzę, i wcale nie uważał go za szurniętego maniaka komputerowego, ale szczerze pragnął zostać

jego przyjacielem. Trudne zadanie. Gibson doskonale wiedział, że niełatwo się z nim zaprzyjaźnić. Nie

interesowało go to, co powinno, w każdym razie nie to, co jego kolegów z klasy. Natomiast bardzo lubił grać w szachy. Słuchał rozmaitej muzyki, Stray Cats należeli do jego faworytów. Zbierał stare butelki po napojach gazowanych i miał wszystkie odcinki Z Archiwum X na DVD. Nosił włosy dłuższe, niż nakazywała moda, a czapki bejsbolówki nie zdejmował nawet podczas lekcji, chyba że nauczyciele bardzo się upierali. Siostra Kate nigdy go o to nie prosiła.

Po śmierci jego taty siostra Kate była jedyną osobą, która nie robiła z tego afery. Przeciwnie, prosiła go o pomoc, pytała, czy będzie mógł przyjść po lekcjach kilka razy w tygodniu, żeby skatalogować zbiory i wpisać je do nowego programu komputerowego. Gibson tęsknił za tatą najbardziej przez pierwsze tygodnie, ale popołudnia z siostrą Kate poprawiały mu nastrój. Rozmawiali o różnych sprawach, siostra Kate go rozśmieszała. Potem, niestety, skończył tę pracę, a w następnym tygodniu wielebny O'Sullivan zaczął zapraszać go do swojego gabinetu, więc Gibson starał się nie zostawać w szkole po lekcjach. Także i z tego powodu, chociaż lubił przebywać z siostrą Kate, powiedział mamie, że nie chce psuć sobie wakacji i chodzić na zajęcia Programu Badawczego. Teraz, kiedy wielebny zniknął na dobre... cóż, może znowu zacznie cieszyć się rozmaitymi rzeczami. Na przykład swoją kolekcją.

Podczas zajęć wspomniał Timmy'emu o medalionie, który kupił na eBayu, a teraz niecierpliwie czekał, żeby mu go pokazać. Przechowywał medalion w drewnianej kasetce, w której go otrzymał, ale najpierw wypucował do połysku.

Całe sobotnie popołudnie czyścił zaśniedziały medalion środkiem do metalu, za pomocą patyczków higienicznych, żeby go nie porysować.

– Przez szkło powiększające można przeczytać datę na dole. – Podał Timmy'emu szkło powiększające. Trzymał medalion w promieniach słońca.

– Wow! Tysiąc dziewięćdziesiąt sześć. Stary. Dużo kosztował?

– Nie. Chyba gościu nie wiedział, co ma. – Prawdę mówiąc, Gibson wcale nie był pewien autentyczności medalionu, ale Timmy się na tym nie znał. Gibson wskazał na grawerunek. – To jest po łacinie. – Przejechał palcem po awersie. – Coś na temat honoru i odwagi. Tylko kilka takich medalionów zostało ofiarowanych przez papieża Urbana II. Trafiłem w Internecie na rysunek takiego samego przy okazji tekstu o wyprawach krzyżowych. Papież Urban II prawdopodobnie zorganizował pierwszą wyprawę krzyżową.

– Taa, ja też lubię czytać o wyprawach krzyżowych i templariuszach. Wszystko, co dotyczy średniowiecza. Mama mówi, że to głupie i pełne okrucieństwa, ale mnie to bardzo interesuje.

Wówczas Gibson zauważył, że Timmy patrzy na ekran jego laptopa. Od wejścia rozglądał się po pokoju. Gibsonowi to nie przeszkadzało. Timmy nie był zdziwiony bałaganem, nie przestraszyła go kolekcja, ale wciąż wracał wzrokiem do ekranu. Gibson zerknął przestraszony, że pokazała się tam kolejna idiotyczna wiadomość. Nie zobaczył jednak nic

nadzwyczajnego. Timmy zawstydził się, jakby go przyłapano na niewłaściwym zachowaniu.

– Sorki, nie chciałem być wścibski. Ale ta... ikona. – Pokazał na czaszkę i skrzyżowane kości, które Gibson przesunął w prawy dolny róg ekranu, obok innych ikon, a mimo to zwracała uwagę.

– To tylko gra – odparł, bo nie chciał niczego wyjaśniać. Jedna z zasad gry mówiła, że nie wolno o niej nikomu opowiadać. Nie można o niej rozmawiać z nikim prócz zaproszonych graczy. Wyciągnął rękę i zamknął laptop.

– Sorki – powtórzył Timmy, wlepiając wzrok w Gibsona. – Nie chciałem nic złego...

– Nieważne. – Schował medalion do kasetki. Chyba czas, żeby Timmy sobie poszedł.

– Bo wiesz – jąkał się dzieciak – ja też gram w tę grę.

– Co?

– Ja też w to gram.

– To nie jest zwyczajna gra – powiedział Gibson, wciąż niepewny, co Timmy miał na myśli.

– Wiem. Tylko dla zaproszonych. Zostałeś zaproszony, nie?

Teraz Gibson wbił wzrok w Timmy'ego, a dzieciak ani mrugnął. Czy to możliwe? Wszyscy gracze wydawali mu się jacyś nierealni, jakby należeli tylko do świata gry, a tu nagle miał przed sobą żywego człowieka.

– Jak dostałeś zaproszenie? – Gibson próbował przetestować kolegę, sprawdzić, czy mówi prawdę.

– Któregoś dnia surfowałem po sieci i dostałem maila z pytaniem, czy chcę wziąć udział w grze.

– Taa? A od kogo?

Timmy zawahał się, a Gibson pomyślał, że teraz go nie oszuka.

– Od kogoś, kto podpisuje się jako Pożeracz Grzechów.

– Jezu… – Gibson nie mógł w to uwierzyć. A jednak to była prawda. – Czy ty... – Nie wiedział, jak zapytać, ale jeśli obydwu obowiązywały te same zasady... – Czy musiałeś podać nazwisko?

I znowu Timmy nie odpowiedział od razu, odwrócił na moment wzrok, jakby nie był pewien, czy chce zdradzić coś więcej. W końcu wyznał:

– Taa, musiałem.

– Mój został zabity – wypalił Gibson, jakby dłużej nie mógł tego ukrywać.

– Taa, ja mam teraz wymyślić sposób, żeby zabić mojego.

– Nie, nie. – Po tym wyznaniu Gibsona znów zaczęła ogarniać panika. – To znaczy naprawdę zabity. Nie w grze.

– Co to znaczy naprawdę? On nie żyje?

– Taa.

– Ty go zabiłeś?

Gibson nie umiał na to odpowiedzieć. Wzruszył ramionami i spojrzał w bok.

– Życzyłem mu śmierci.

– I jesteś pewny, że nie żyje?

– Taa, widziałem go. – Tym razem popatrzył w oczy Timmy'ego, który wreszcie zaczynał rozumieć. – Byłem na lotnisku w piątek – wyjaśnił z nadzieją, że to wystarczy. Jego nowy przyjaciel doskonale zrozumiał, o czym mowa.

Oczywiście, że zrozumiał. Cały weekend wałkowali to w telewizji. Gibson przypomniał sobie, że mama Timmy'ego jest dziennikarką w „Omaha World Herald”.

Stali w milczeniu przez chwilę, która dla Gibsona trwała wieczność. Patrzyli sobie w oczy, potem odwrócili głowy, jakby chcieli pomyśleć, i znów spotkali się wzrokiem przerażeni, z poczuciem winy.

W końcu Timmy przerwał milczenie.

– Myślisz, że mój też nie żyje?

– Nie wiem – rzekł Gibson niemal szeptem. – Ale jeśli żyje, to wkrótce zginie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen Patterson przyjęła szklankę z wodą od detektyw Julii Racine. Siedziała na skórzanej sofie Deny z rozstawionymi nogami, gotowa znowu pochylić głowę między kolanami, chociaż nudności trochę zelżały. Racine stała nad nią. Gwen wypiła łyk wody, myśląc, że musi ich wszystkich przekonać, iż nic jej nie będzie, że nie zwymiotuje po raz kolejny i nie zanieczyści miejsca zbrodni.

Nie była pewna, kto w końcu wymył zlewozmywak. Powtarzała sobie, że lepiej, iż zwymiotowała do zlewozmywaka niż do kubła ze śmieciami. Racine podała jej wilgotny papierowy ręcznik, a potem szklankę wody. Gdyby Gwen pamiętała, co Maggie mówiła jej o Racine, wiedziałaby, że ta nie sterczała obok niej z dobrego serca. Dopiero zobaczywszy, że przytupywała nogą, uświadomiła sobie, że pani detektyw chciała tylko wiedzieć, co się właściwie działo.

– Proszę raz jeszcze powiedzieć, dlaczego pani tu przyszła.

Nie podnosząc wzroku, Gwen udzieliła tej samej odpowiedzi co poprzednio, z nadzieją, że nie okazywała, iż czuje się przesłuchiwana, a jedynie zmęczona powtarzaniem tych samych informacji.

– Dena nie przyszła do pracy. Zostawiłam jej wiadomość na sekretarce, a ona nie oddzwoniła. To do niej niepodobne. Zdenerwowałam się.

To wszystko była prawda. Gwen nie wiedziała tylko, jak opowiedzieć resztę tej historii. Powtarzała ją sobie w myślach ze świadomością, że brzmi dość dziwacznie. Co gorsza, nie miała nic, choćby odcisków palców, czym mogłaby wesprzeć swoje słowa.

– I przypadkiem miała pani klucz do jej mieszkania?

– Tak. – Łatwiej było odpowiadać na konkretne pytania. Zwłaszcza teraz, kiedy nudności na przemian z zawrotami głowy ponownie ją dopadły.

– Więc weszła pani do mieszkania – podjęła Racine z rękami wspartymi na biodrach, wciąż przytupując nogą. Mówiła spokojnie, chociaż odrobinę uszczypliwie. Gwen uznała to raczej za wyraz zniecierpliwienia niż złości. – Nie zastała pani asystentki, więc poszła pani do kuchni i sprawdziła kosz na śmieci?

Gwen podniosła wzrok i przeczesała włosy palcami. Zaczynała się denerwować.

– Rozglądałam się, a kiedy weszliśmy do kuchni, Harvey podszedł do drzwi szafki i zaczął drapać w nie pazurami.

– No właśnie. Zawsze zabiera pani z sobą psa?

Gwen wyciągnęła rękę i poklepała psi łeb. Harvey cały czas siedział obok niej, w końcu położył się, kiedy stwierdził, że jeszcze nie wychodzą.

– To nie jest mój pies, przyjaciółka zostawiła go pod moją opieką. – Nagle uprzytomniła sobie, że Julia Racine nic

o niej nie wie, chociaż ona słyszała wiele o pani detektyw. – To pies Maggie, Maggie O'Dell.

– Agentki Maggie O'Dell?

– Tak, dziś rano poleciała do Nebraski. Zawsze zostawia u mnie Harveya, kiedy wyjeżdża z miasta.

Racine spojrzała na Harveya. Gwen zauważyła, że jej wzrok złagodniał. Do tej pory nie zwracała uwagi na psa, teraz pochyliła się i podrapała go za uszami.

– Nie wiem, dlaczego cię nie poznałam, staruszku – rzekła tonem, którego Gwen nie słyszała u niej do tej pory, łagodnym i ciepłym. – Spędziliśmy wczoraj osiem godzin w moim samochodzie, prawda, mały? Powinnam była cię poznać.

Kiedy Racine wyprostowała się, potoczyła wzrokiem dokoła, jakby chciała sprawdzić, czy jej współpracownicy zauważyli czułe pogaduszki z psem. Przyjacielskie nastawienie do Harveya nie zmieniło jednak stosunku Racine do Gwen. Znowu była tylko chłodną policjantką.

– Ofiara mieszkała sama. Czy wspominała pani o jakimś narzeczonym?

– Tak. Powiedziała, że spotyka się z kimś nowym.

– Wymieniła jego imię?

– Nie.

– Wie może pani, czy umówiła się z nim w ten weekend?

– Mieli jakieś plany na sobotni wieczór.

– Wie pani, jak go poznała? Może przez Internet?

– Nie zdradziła mi tego. – To była prawda. Gwen nie mogła powiedzieć Racine, że Dena poznała swojego nowego

mężczyznę w pracy, w jej gabinecie, ponieważ to były tylko spekulacje. Może to wcale nie Rubin Nash, w końcu odciski palców tego nie potwierdziły.

– Dziwne, że nie powiedziała pani nic więcej o swoim nowym chłopaku. – Racine skrzyżowała ramiona na piersi. – Zwłaszcza że byłyście tak blisko, dała pani przecież swój klucz.

Gwen unikała wzroku Racine. Bała się, że jej szczupłe informacje o własnej asystentce w końcu wzbudzą podejrzenia. Przeniosła spojrzenie na technika laboratoryjnego, który pracował w kuchni. Wyjął śmieci z kubełka, a teraz stał zadumany, jakby zastanawiał się, jak wyjąć głowę Deny, nie niszcząc dowodów.

– Wczoraj wieczorem wybierała się z przyjaciółką do jakiegoś nocnego klubu – oznajmiła w końcu Gwen. Czy to możliwe, że zabójca nie był jednym z jej pacjentów?

– Wie pani przypadkiem, do którego?

– Być może Dena wspomniała, ale nie pamiętam. Powiedziała, że idzie zobaczyć jakiś nowy klub.

– Domyślam się, że nie zna pani też nazwiska tej przyjaciółki.

– Nie znam.

Technik włożył ręce do kubełka na śmieci. Gwen ponownie zakręciło się w głowie. Nie była w stanie odwrócić od niego wzroku, patrzyła jak zahipnotyzowana. Wiedziała, że nie powinna tego robić. Do tej pory oszukiwała się, że Dena została zamordowana i wsadzona do kosza na śmieci. Wiedziała jednak, że to nieprawda.

Wiedziała, że była tam tylko odcięta głowa Deny. Wiedziała to, a mimo wszystko jęknęła cicho, kiedy technik wyjął plastikowy worek zdolny pomieścić jedynie ludzką głowę.

Poczuła dłoń Racine na ramieniu, ale nawet się nie ruszyła. Siedziała ze wzrokiem utkwionym w plastikowym worku, dopóki technik nie schował go do czarnej foliowej torby. Czy mają mniejsze torby specjalnie na ludzkie głowy?

Nadal nie podnosząc oczu, Gwen powiedziała:

– W pracy Dena nie znosiła wyrzucać śmieci.

W tym momencie było to kompletnie idiotyczne stwierdzenie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Omaha, Nebraska

Gibson wyciągnął spod łóżka pudełko po butach. Pogłośnił radiomagnetofon i zaczął śpiewać razem z wykonawcami swoją ulubioną piosenkę z płyty Stray Cats Strutting. Próbował czymś się zająć, żeby nie myśleć o grze, która miała zacząć się za pół godziny.

Był w domu sam. Po obiedzie mama poszła na zajęcia z poezji. Jego wkurzający młodszy brat Tyler wymknął się do kolegi, żeby wystrzelać fajerwerki, które zostały po pokazie z Dnia Niepodległości. Gibson nie wygadałby tego mamie, ale domyślił się zamiarów Tylera. Widział, jak brat wykradał z kuchennej szuflady całe pudełko zapałek, kiedy mama wyjmowała spaghetti z garnka i nakładała na talerze.

Miał cały dom tylko dla siebie, pogrążony w ciszy i spokoju, o które zwykle się modlił. Tego akurat wieczoru wolałby, żeby ktoś mu trochę poprzeszkadzał. Liczył, że pomoże mu muzyka, a także przeglądanie zbiorów.

Postawił pudełko na biurku, obok komputera. Usiłował nie zwracać uwagi na ekran laptopa, a jednak zerkał na niego raz za razem, jakby oczekiwał, że w każdej chwili pojawi się na nim wiadomość. W głębi ducha lękał się, że ktoś jakimś cudem przyłapał go na rozmowie z Timmym o grze. Przyłapał, a teraz go ukarze. Przyznając, że widział martwe

ciało wielebnego O'Sullivana, czuł, jakby przyznawał się do winy. Był winny. I zasłużył na karę. A jednak ekran komputera pozostał czysty.

Gibson zaczął wyjmować przedmioty z pudełka i ostrożnie układał je na blacie. Potem wyjął puszkę z preparatem do czyszczenia i polerowania metalu. Jego kolekcja nie dorównywała zbiorowi siostry Kate, ale zrobił niezły początek.

Posiadał trzy medaliony, dwie monety i jeden srebrny krzyż. Człowiek z eBaya twierdził, że krucyfiks pochodzi z okresu wypraw krzyżowych i był przymocowany do tarczy rycerskiej, co nadal widać na jego spodzie. Ponoć miał u siebie rysunki i szkice, które przedstawiały podobne krzyże.

Gibson nie do końca w to wszystko wierzył, ale kupił krucyfiks za mniejszą sumę, niż się spodziewał, i nawet jeśli nie pochodził on z tarczy rycerskiej, wyglądał interesująco. Niewątpliwie był stary. Gibson przez trzy dni czyścił nalot z misternych żłobień. Gdyby nie wiedział, że to krucyfiks, pomyślałby, że to sztylet. Może pokaże go kiedyś siostrze Kate. Może pokaże jej całą swoją skromną kolekcję. Spodobał mu się ten pomysł.

Rozejrzał się po pokoju, usiłując sobie przypomnieć, gdzie podział swój plecak. Nie rozstawał się z nim, nosił go na ramieniu albo wieszał na kierownicy roweru. Robił to automatycznie, tak samo jak wkładał czapkę bejsbolówkę. Rzadko do niego zaglądał. Zwykle upychał do bocznych kieszeni klucze i drobne. Pewnie trzeba by go wyprać.

Znalazł plecak przy drzwiach szafy, gdzie zostawił także tenisówki. Plecak był pełen po brzegi. Nigdy nie zmieści tam swojej kolekcji, nawet gdyby przełożył wszystkie skarby do mniejszego pudełka.

Rzucił plecak na łóżko, otworzył go, rozpiął suwaki bocznych kieszeni i zaczął wszystko wyjmować. Odłożył na bok jakieś śmieci do wyrzucenia, kręcąc głową ze zdumieniem, że nosi takie głupoty. Nie rozpoznawał największego przedmiotu w plecaku. Z całą pewnością widział go po raz pierwszy. Skąd się to u niego wzięło?

Gibson wyciągnął brązową skórzaną aktówkę, rzucił ją na łóżko i patrzył na nią. Jak się dostała do jego plecaka?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Omaha, Nebraska

Maggie dotarła do hotelu dopiero około północy. Musiała to przyznać Cunninghamowi, standard hotelu Embassy Suites był o wiele wyższy niż ten, do którego przywykła podczas podróży służbowych. Poza tym było stąd blisko do komisariatu policji, znajdującego się w tej części śródmieścia, którą Pakula nazywał Starym Miastem. Była to urocza okolica z kocimi łbami, starymi ceglanymi fabryczkami, przerobionymi na sklepy i restauracje, i setkami maleńkich białych lampek, które ciągnęły się wzdłuż sklepowych markiz i płaskich dachów.

Maggie włożyła nocną koszulę, usiadła wygodnie na podwójnym łóżku i zabrała się właśnie do jedzenia, kiedy zadzwoniła komórka. Wytarła sos z warg i sięgnęła po żakiet. Dzwoniła wcześniej do Gwen, ale odpowiadała jej tylko automatyczna sekretarka. Może wreszcie przyjaciółka oddzwania, pomyślała.

– Maggie O'Dell – powiedziała, przełknąwszy jedzenie.

– Maggie, wybacz, że przeszkadzam o tej porze. – To był Adam Bonzado. – Wiem od Julii, że wyjechałaś z miasta i pewnie dzieli nas kilka stref czasowych. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

– Prawdę mówiąc, Nebraskę dzieli od ciebie tylko jedna strefa czasowa. Nie obudziłeś mnie. Właśnie wróciłam i jem kolację. – Był to jej pierwszy posiłek tego dnia, umierała z głodu. – O co chodzi?

– Julia pewnie wszystko ci opowie, ale mam coś, co chciałbym przesłać ci faksem osobiście. Jeśli wyślę faks do Julii, a ona potem prześle to do ciebie, obraz się zamaże i stracimy zbyt wiele szczegółów.

– Moment. Poszukam numeru hotelowego faksu. – Ostrożnie wstała, żeby nie przewrócić tacy z jedzeniem. Trochę przesadziła i zamówiła za dużo.

– Więc jeszcze nie jesteś w łóżku? – spytał Adam, jakby go to rozczarowało. – Miałem nadzieję, że przyłapię cię w bieliźnie.

– W czym?

– No wiesz, w piżamie.

Maggie poczuła, że się rumieni, ale z pewnością nie zamierzała okazać tego Adamowi.

– Skąd ci przyszło do głowy, że śpię w piżamie?

– Ja… słucham?

Roześmiała się, żadne z nich nie było mistrzem flirtu. Zanim Bonzado odpowiedział, postanowiła wrócić do spraw zawodowych:

– A co chcesz mi przefaksować?

– Udało mi się oczyścić tatuaż. Znalazłem więcej, niż się spodziewałem. Kiedy usunąłem odrobinę naskórka, pokazały się kolory. Tak się zwykle dzieje.

– Może lepiej, żebyś mi przysłał mailem zdjęcie. Wtedy zobaczę te kolory.

– Masz rację. To lepszy pomysł. – Zapadła niepokojąca cisza. – Nie mam twojego adresu mailowego – rzekł w końcu Bonzado.

Maggie podała mu adres, ale jak zwykle nie chciała czekać.

– Opisz mi ten tatuaż.

– Na samym dole jest niewyraźny, ale znam salon tatuażu w West Haven. Zadzwoniłem tam, właściciel natychmiast rozpoznał wzór po moim opisie. Przesłał mi mailem cały obraz. Wyślę ci go. To róża na długiej łodydze oplecionej wokół sztyletu z różową rękojeścią.

– Sztylet i róża? Wytatuowała sobie coś takiego na karku?

– Raczej z prawej strony szyi, blisko karku.

– Czy można ustalić, które salony oferują taką usługę?

– Dobre pytanie. Dowiem się tego – odparł Bonzado. – Ten człowiek powiedział mi jeszcze, że u niego ten wzór jest popularny wśród fanów D&D.

– D&D?

– Dungeons and Dragons. Pamiętasz?

– Ach, Lochy i Smoki… Tak, pamiętam, ale myślałam, że ta gra już wyszła z mody.

– Młodzież do niej wróciła, tyle że powstała również wersja komputerowa. Słyszałem, jak moi studenci rozmawiają o tej grze. Istnieje wiele rozmaitych odmian pod różnymi nazwami. Teraz, kiedy mogą tworzyć je sami, powołują do życia postacie oparte na swoich znajomych,

ludziach, których chcieliby się pozbyć. Ponoć jeden z naszych profesorów angielskiego jest popularnym celem. No wiesz, bezkrwawo wyładowują emocje. Nie wiem, czy to pomaga, ale pomyślałem, że to interesujące.

– Jedna z ofiar to studentka Virginia Tech – oznajmiła Maggie. – To może wyjaśniać, jak sprawca poznaje swoje ofiary i dlaczego ufają mu do tego stopnia, że idą z nim w jakieś odosobnione miejsce.

– Sądzisz, że morderca jest studentem?

– Uczeń czy student wydaje się za młody, żeby sam sobie poradził. Chociaż wściekłość, nad którą nie ma kontroli, jest młodzieńcza. Uważam jednak, że potem, kiedy musi ukryć ciało, znowu zachowuje się dojrzale.

– Zapytam moich studentów, w jaki sposób wchodzą do tej gry. Czy trzeba dostać zaproszenie, czy też każdy może się włączyć.

– Zapytaj. Obyś tylko nie dowiedział się przy okazji, że masz swój odpowiednik w grze.

– Wykluczone. – Roześmiał się. – Studenci mnie uwielbiają. To rzecz powszechnie znana, ale co się dziwić, skoro rzuciłem na nich antropologiczny czar. Gdybym jeszcze potrafił oczarować pewną agentkę FBI…

Maggie pożegnała się, nie komentując jego ostatnich słów. Może Bonzado był jednak od niej lepszy w sztuce flirtowania. Kiedy wyłączyła telefon, uprzytomniła sobie, że się uśmiecha.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Wenezuela

Ojciec Michael Keller wlepiał wzrok w ekran komputera. W ciemnym pokoju paliły się tylko dwie olejne lampki. Monitor był głównym źródłem światła, przypominał mu latarnię morską, światło przewodnie, ujawniające odpowiedzi, do których mu się nie śpieszyło. Kilka razy połączenie z Internetem zostało przerwane, bo wykorzystał już przydzielony mu czas. A jednak jak narkoman wciąż próbował, zniecierpliwiony i zdenerwowany długim czekaniem i ciągłymi przerwami.

Przetarł oczy, jakby mógł w ten sposób usunąć zmęczenie i wyciszyć emocje. Dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy? Dlaczego był taki głupi, naiwny? Dlaczego nic nie podejrzewał? Tak bardzo pragnął mieć przyjaciela, kogoś, komu mógłby zaufać, że zupełnie zignorował oczywiste znaki. W końcu kto podpisuje maile jako Pożeracz Grzechów? A on uznał, że to oryginalny pomysł wziąć sobie imię z zakazanej katolickiej legendy. Nigdy nie czuł się zagrożony, ponieważ jego przyjaciel, a raczej osoba, która go udawała, nigdy nie dała mu powodu do najmniejszych podejrzeń, nie wspominając już o jakimkolwiek zagrożeniu. Żadnego powodu. Aż do tej pory.

Kilka razy wracał do artykułów o zamordowanych księżach. Spotkał przelotnie wielebnego O'Sullivana, kiedy był proboszczem w kościele Świętej Małgorzaty w Platte City, w Nebrasce. Nie rozumiał jednak związku. Dlaczego przyjaciel przysłał mu mailem te artykuły z ostrzeżeniem:

Ty możesz być następny.

Dlaczego uważał, że Keller był w niebezpieczeństwie? Czy jego przyjaciel wiedział o masce na Halloween? Czy to on mu ją przysłał? Czy ona także miała być ostrzeżeniem, a nie tylko głupim żartem, jak wolał myśleć Keller?

Odpisał swojemu tak zwanemu przyjacielowi pytaniem:

Dlaczego uważasz, że ja będę następny?

Do tego wieczoru nie było odpowiedzi. A kiedy wreszcie nadeszła, przeszyła go niczym kula serce:

Ponieważ ja wykonałem egzekucje. Jesteś następny na liście.

List przyszedł z załącznikiem, ową listą, i rzeczywiście nazwisko Kellera widniało na niej tuż pod nazwiskiem Williama O'Sullivana.

Musiał odczekać, aż szok i poczucie zdrady ograniczyły się tylko do bólu, aż znikło mordercze pulsowanie w skroniach. Potem Keller przeszedł do obrony w jedyny znany mu sposób: poznaj swojego wroga. Zaczął od gorączkowego poszukiwania, przeczytał wszystko, co znalazł w Internecie na temat dawnych praktyk „pożerania grzechów”, ale znalazł bardzo niewiele. Na jednej ze stron internetowych przeczytał: „Tradycyjnie każda wioska miała

swojego Pożeracza Grzechów, który prowadził pustelnicze życie na obrzeżach wioski”.

Na innej stronie trafił na opis obowiązków Pożeracza Grzechów: „Pożeracz Grzechów przychodził po zapadnięciu zmroku, kiedy czuwający opuścili już ciało zmarłego. Spożywał chleb zostawiony na klatce piersiowej zmarłego i w ten sposób pozbawiał go grzechów, zjadał je, brał na siebie”. Wczesny Kościół katolicki nazywał to „niedozwoloną potajemną praktyką”, zwłaszcza kiedy stosowano ją dla rozgrzeszenia tych, którzy popełnili zbrodnie uważane przez Kościół za niewybaczalne, na przykład samobójstwo albo zabójstwo dostojników Kościoła.

A zatem ten Pożeracz Grzechów wziął na siebie podwójną rolę. Jakie to sprytne. Nie tylko zabijał ludzi Kościoła, ale także pożerał, a raczej brał na siebie ich grzechy, z powodu których tracili życie. Został w pewnym sensie mediatorem między doczesnym a nieskończonym światem.

Ojciec Keller otarł spoconą twarz rękawem białej koszuli. Kiedy to nie wystarczyło, wyciągnął koszulę ze spodni i znowu wytarł nią twarz. Wydawało się, że pot zalewa go bez przerwy, a pulsowanie w skroniach znów powróciło. Huczało mu w głowie, miał chęć wyrwać ten ból rękami, kiedy masowanie nie dawało rezultatów.

Był wyczerpany. Panika pozbawiała go sił. Nawet herbata, ta cudowna wyciszająca herbata nie pomagała mu na nudności. Wtedy coś go uderzyło i spojrzał na parującą filiżankę, jakby otrzymał ją w prezencie od Judasza. Czy to możliwe? Czy jego przyjaciel – nie, nie przyjaciel – czy jego

wróg przysłał mu tylko pozornie wspaniały prezent, a tak naprawdę zatrutą herbatę i ciasteczka?

Usiłował sobie przypomnieć, kiedy poczuł się źle. Czy zbiegało się to w czasie z otrzymaniem paczki? Czy taki był plan? Żeby go otruć? A może tylko osłabić, żeby nie mógł wyjechać, uciec, żeby był bezbronny, kiedy Pożeracz Grzechów przyjdzie go zabić?

Odsunął gwałtownie filiżankę. Spadła z chwiejącego się drewniane

go stołu, a on patrzył, jak herbata rozpryskiwała się po ścianie. To była ostateczna zdrada. Jego tak zwany przyjaciel zabawiał się nim. Proszę bardzo, on także potrafi się bawić.

Przysunął krzesło do komputera i napisał:

Zatrułeś herbatę.

Kliknął „Wyślij” i czekał.

Zwykle godzinami czekał na odpowiedź, ale wyglądało na to, że Pożeracz Grzechów także siedział przy komputerze, bo mail przyszedł po paru minutach.

Tak, tojadem. Skoro nie mogę tam być i zabić cię, chciałem, żebyś umierał powoli i w bólu.

Dlaczego? Jak on mógł? Keller wpadł w panikę, która skręcała mu kiszki. A jeśli trucizna spowodowała nieodwracalne szkody? Czy było już za późno?

Zamknął stronę i zaczął klikać na nowe linki, próbował znaleźć nowe informacje na temat zamordowanych księży. Musi coś tam być, cokolwiek, co by mu pomogło. Ktoś

wpisał go na listę? Dowie się, kto to zrobił. Kto to mógł być? Nikt nie przychodził mu do głowy.

Pożeracz Grzechów, zabójca, przysyłał mu różne rzeczy. Z pewnością jego DNA jest na kopertach. A co z mailami? Może dałoby się dotrzeć do nadawcy? Nagle trafił na informację agencji Associated Press. Zanim przeczytał pierwsze słowo, spojrzał na załączoną fotografię. Powinien się przestraszyć, a tymczasem był zadowolony, że rozpoznał jednego ze śledczych, ponieważ coś wpadło mu do głowy. Wiedział już dokładnie, co zrobi. To będzie skuteczne. Musi być skuteczne. Nie miał innego wyboru.

Pytanie tylko, jaką cenę zgodzi się zapłacić agentka specjalna Maggie O'Dell za schwytanie tego zabójcy?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Wtorek, 6 lipca
Kemping Blackwater Bay
Na południe od Bagdadu w stanie Floryda

Corey Lee z premedytacją zignorował wołanie ojczyma i szedł dalej przed siebie. Przewrócił oczami, patrząc na swojego najlepszego przyjaciela, Kevina Pottera.

– Nie powinniśmy na niego poczekać? – zapytał Kevin.

Corey pokręcił głową.

– On tędy nie pójdzie. On pójdzie drogą. To zajmie całe wieki.

Poza tym Corey nie chciał czekać. Dotarli już prawie do przystani łódek. Głupio byłoby teraz zawracać. Corey znał skrót. On i Kevin szli nim poprzednim razem, kiedy ich drużyna rozłożyła się na tym samym kempingu. Był to prosty skrót do przystani, która znajdowała się dokładnie po drugiej stronie drzew. Tak, zarośla były gęste i maleńkie kąsające muszki atakowały całymi chmarami, ale czy nie na tym właśnie polegają uroki skautowskiego obozu?

Ojczym Coreya nie chciał, żeby szli skrótem. Twierdził, że jest niebezpieczny. Myślał, że ich powstrzyma, ostrzegając przed aligatorami, ale to jeszcze bardziej zachęciło chłopców, żeby wybrać drogę na skróty. Od kiedy ten dupek

został opiekunem skautów, udawał, że wie wszystko o obozowaniu.

Już i tak mu się zdawało, że zjadł wszystkie rozumy, ale Corey był skautem od trzech lat. Dorastał na tych mokradłach. Nie życzył sobie, żeby nowy „wyjątkowy przyjaciel” mamy mówił mu, co ma robić.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że mama poślubiła tego człowieka. Od tej pory gość bez przerwy kręcił się po jego domu, a na dodatek zupełnie bezpodstawnie uznał, iż może zakłócać wakacyjną wyprawę pasierba. Kiedy Corey poskarżył się mamie, powiedziała tylko, żeby przestał zachowywać się jak dziecko, bo Ethan pragnie, aby wspólne doświadczenie ich zbliżyło. Corey przemilczał fakt, że przyjaźń z tym dupkiem była ostatnią rzeczą, jakiej pragnął.

– Chyba za nami idzie – stwierdził Kevin.

Chłopcy obejrzeli się, nie przystając. Corey słyszał Ethana, ale go nie widział. Zarośla były gęste. Do uszu Coreya dotarł trzask gałęzi i szelest wysokiej trawy.

– Może on nie jest taki głupi. Może powinieneś dać mu spokój – rzekł Kevin, ale Corey znowu potrząsnął głową.

– On nie chce, żebyśmy go zobaczyli. No wiesz, żeby się nie okazało, że nie miał racji. Jezu, coś tutaj śmierdzi.

Potknął się, nie zdołał utrzymać równowagi i upadł, przewracając przy okazji Kevina. Uderzył ramieniem w pień drzewa, otarł łokieć o korę. Kevin upadł na twarz. Corey słyszał chlupot bagna pod sosnowym igliwiem. Natychmiast zmoczył spodnie. O Jezu! Śmierdziało jak diabli, jak gnijące śmieci.

Nagle Corey poderwał się, w jednej chwili zapomniał o bólu. Zobaczył robaki pełznące po nogawce jego spodni, tłuste małe obrzydlistwo. Otrzepał spodnie. Kevin popatrzył na kolegę, po czym ujrzał robactwo na swojej ręce. Skoczył na równe nogi i zaczął wykonywać dziki taniec, żeby się ich pozbyć.

Jak oszaleli walczyli z robakami i dopiero po chwili przyjrzeli się dokładniej, co ich zaatakowało. Corey pierwszy odwrócił głowę. Wyglądało to jak sterta odpadów, brudne czarne szmaty przykryte błotem i liśćmi. Nie tak dawno przeszedł w tej okolicy huragan Ivan i pozostawił między drzewami i w zaroślach mnóstwo śmieci.

– Co to jest ? – Kevin chwycił Coreya za rękę.

– Co się dzieje? – Ethan wyszedł spomiędzy krzewów. – Mówiłem wam, chłopcy... – Urwał, ujrzawszy stertę, o którą się potknęli. – Jezu Chryste! Czy to trup?

– Trup? – spytał Corey.

Wreszcie zobaczył, co pozostało po twarzy, którą oblazły białe i brązowe robaki.

– Wow! Ale obrzydlistwo! – zawołał Kevin i obaj chłopcy podeszli bliżej ciała. Corey nigdy nie widział trupa, chyba że w telewizji czy w „Newsweeku”. Zastanawiał się, czy widać rozpruty brzuch.

– Odsuńcie się, chłopcy – polecił im Ethan, po czym zaczął wymiotować.

Tym razem to Kevin przewrócił oczami. Spojrzał na Coreya i mruknął:

– Masz rację, to dupek.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Liceum Matki Boskiej Bolesnej
Omaha, Nebraska

Nick Morrelli trzasnął drzwiami wynajętego oldsmobile'a, wyładowując złość na samochodzie, choć tak naprawdę miał ochotę wbić Tony'emu trochę rozumu do głowy. Już i tak był wkurzony, że on i Jill musieli zamieszkać w Omaha osobno. Ona u swojej matki, on zaś u Christine. Kompletny idiotyzm. Byli parą dorosłych ludzi, a nie małolatów. Co gorsza, Jill to rozwiązanie odpowiadało. Sprawiała wrażenie, że woli spędzać czas z matką i koleżankami. Z drugiej strony Nick nie miał prawa narzekać z tego powodu. W duchu dziękował, że Jill nie kazała mu chodzić po sklepach i do kawiarni, ale ich pierwszy wspólny tydzień wakacji, podczas którego mieli przy okazji zrobić plany związane ze ślubem, zamienił się w jedno wielkie planowanie niemal bez chwili odpoczynku.

Jedyną noc, którą udało im się spędzić razem – pod słabym pretekstem, że chcą obejrzeć hotel Embassy Suites, gdzie mieli przenocować przyjezdni goście weselni – również im zakłócono. To zaczynało być irytujące, żeby nie powiedzieć dosadniej.

Tego ranka, kiedy Nick przewrócił się na bok na ciepłym małżeńskim łożu, gdzie Jill leżała skulona obok niego,

i sięgnął po komórkę, usłyszał spanikowany głos Tony'ego. Miał ochotę powiedzieć staremu kumplowi, żeby się odchrzanił. Przypomnieć mu, że uprzedzał, iż tak będzie. Czego on się spodziewał? Nie można bawić się z policyjnymi detektywami w kotka i myszkę, nawet gdy ma się Boga po swojej stronie.

W końcu Nick obiecał, że spotka się z Tonym w szkole, ale polecił mu, żeby na tę samą godzinę poprosił detektywów. Wyczołgał się z wygodnego hotelowego łóżka.

– Powiedz im, że póki nie mają nakazu aresztowania, nie musisz iść na komisariat – mówił Nick do słuchawki. – Chcą z tobą rozmawiać, niech do ciebie przyjdą.

Nie zdawał sobie sprawy, że krzyczał, dopóki Jill nie rzuciła w niego poduszką. Nie powstrzymało go to. Trzymał telefon przy uchu ramieniem i wkładał drugi but.

Niech to cholera!

Chętnie wpadłby po drodze do Christine i włożył coś porządniejszego niż dżinsy i adidasy, jednak ważniejsze było, żeby jak najszybciej dotrzeć do Tony'ego, przed policją, na wypadek, gdyby musiał uprzytomnić przyjacielowi, po jak bardzo kruchym lodzie stąpa. Cokolwiek Tony wiedział i cokolwiek czuł się zobowiązany ukrywać, nie było warte nachodzenia przez policję. Zwłaszcza przez detektywów, którzy szukali mordercy.

– Powiedz im, że nie możesz wyjść ze szkoły – ciągnął Nick. – Nie możesz latać do centrum za każdym razem, kiedy przypomną sobie jakieś pytania, o których wcześniej zapomnieli. Powiedz im, żeby do ciebie przyjechali, jeśli

chcą znów z tobą rozmawiać. Spotkamy się w twoim gabinecie... za jakąś godzinę.

Teraz, wchodząc do budynku szkoły, zastanawiał się, o co policja chce zapytać Tony'ego. Przyjaciel siedział w gabinecie na drugim piętrze. Dzięki Bogu był sam. Miał na sobie czarne spodnie, czarną koszulę i białą koloratkę.

– Znakomicie – stwierdził Nick, wskazując na koloratkę. – Trzeba im przypomnieć, że przypieprzają się do człowieka Kościoła. Jezu! Nie chciałem...

– Przeklinasz w obecności duchownego, a potem wymawiasz imię syna Bożego nadaremnie? – Tony spojrzał z uśmiechem na Nicka.

– I co powiedzieli, kiedy ich tu zaprosiłeś?

– Nie ma problemu. Detektyw Pakula oświadczył, że jak już tu będą, rzucą okiem na gabinet wielebnego O'Sullivana. Oglądałeś poranne wiadomości?

– Nie. Obudziłeś mnie. Tę noc Jill i ja... – Urwał, pewnych rzeczy nie mówił swojemu przyjacielowi, i wcale nie chodziło o to, że był księdzem. – Nie, nie widziałem wiadomości od dwóch dni.

– W sobotę w nocy w Columbii, w stanie Missouri, zamordowano księdza. Policja z Omaha wezwała na pomoc specjalistę z FBI. Chyba uznali, że te dwa morderstwa są powiązane.

– Żartujesz. – Nick siadł ciężko na starym krześle. Nie wiedział, czy powinien czuć ulgę. Jeśli to seryjny morderca, dlaczego nadal przepytują Tony'ego?

Ten zaś wzruszył ramionami, jakby czytał w jego myślach.

– No więc widzisz, że nie mogą mnie podejrzewać. Jak miałbym dostać się do tej Columbii w Missouri w sobotę wieczorem? To pięć godzin jazdy samochodem.

– Oczywiście, że cię nie podejrzewają. – Nick był ciekaw, skąd Tony wie, jak długo jedzie się do Columbii. – Zatem wielebny O'Sullivan nie został przypadkiem zamordowany w toalecie na lotnisku.

– Z tego wynika, że nie. – Tony stanął przy oknie, wypatrując policji.

– Muszę cię o coś zapytać. – Nick bezskutecznie czekał, aż przyjaciel spojrzy na niego. – Pamiętasz, mówiłem ci wczoraj, że według Christine padały jakieś zarzuty wobec wielebnego O'Sullivana. Jeżeli jest coś, o czym nie chcesz mówić, w tych okolicznościach naprawdę dobrze byłoby, gdybyś mi zdradził, co, do diabła, wiesz. Czy ktoś oskarżył O'Sullivana o... o niewłaściwe zachowanie wobec któregoś z uczniów?

Tony uparcie patrzył przez okno.

– Nic nie wiem, Nick. Doszły mnie tylko jakieś pogłoski, jak Christine. Coś jest na rzeczy, ale jestem ostatnią osobą, którą by w to wtajemniczali.

– Dlaczego?

– Ponieważ oświadczyłem im, że tym razem nie będę milczał.

– Powiedziałeś tak arcybiskupowi Armstrongowi?

– Powiedziałem wielebnemu O'Sullivanowi – odparł Tony obojętnym tonem. – Jestem pewny, że O'Sullivan przekazał to arcybiskupowi.

Nick czuł, że to nie wszystko, ale i tak był zadowolony z tej ocenzurowanej wersji. Jednak próbował wyciągnąć z Tony'ego coś więcej.

– Twoim zdaniem, skórzana aktówka zawierała jakieś tajne dokumenty?

Wreszcie Tony spojrzał mu w oczy.

– Mówiąc między nami, nie do wiadomości Christine ani policji... – Poczekał, aż Nick skinie głową. – Nie zdziwiłbym się. To nie byłby pierwszy raz. Watykan jest suwerennym państwem i nie ma szans, by zmusić go do przekazania innej jurysdykcji znajdujących się w jego posiadaniu dokumentów. Tak samo jak nikt, kto tam przebywa, nie podlega ekstradycji.

– Wielebny O'Sullivan miał nie wracać z Watykanu?

– Tak. Rozmawiałem z nim tego ranka, kiedy wyjeżdżał. W końcu przyznał, że nie wróci.

– No! – Nick nie mógł w to uwierzyć. Christine miała rację. – Więc niewykluczone, że jedna z ofiar wielebnego zlikwidowała go, zanim zdążył wyjechać?

– Albo ktoś chciał położyć kres tej całej sprawie raz na zawsze.

– Chwileczkę. Co masz na myśli?

Ale było już za późno. Tony znowu patrzył przez okno.

– Przyjechali.

Nick stwierdził, że przyjaciel powiedział to z ulgą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Omaha, Nebraska

Maggie sprawdziła, czy nie ma żadnych wiadomości, zastanawiając się, czy wyłączyć telefon na czas rozmowy z ojcem Gallagherem. Nie otrzymała żadnego sygnału od Gwen. Zaczynała się martwić, bo było to niepodobne do jej przyjaciółki. Coś się stało. Gwen przyznała się do zmęczenia, ale Maggie czuła, że to tylko wymówka. Irytowało ją, że nic nie wiedziała. Nie, jeszcze bardziej męczyło ją, że Gwen coś przed nią ukrywała. Rozważała właśnie, czy do niej znowu nie zadzwonić, kiedy Pakula wskazał szkołę.

Budynki odpowiadały wyobrażeniu Maggie o szkole parafialnej: kilka solidnych domów z czerwonej cegły, znakomicie utrzymanych, choć prawdopodobnie pochodziły z początku dwudziestego wieku. Kampus znajdował się w centrum Omaha, oddzielony od ruchliwego skrzyżowania przez potężne klony z jednej strony, a Memorial Park z drugiej.

Maggie zaskoczyło, że detektyw Carmichael nie pojechała z nimi. Wydawało się, że miała wielką ochotę przepytać znowu ojca Tony'ego Gallaghera, w końcu to jej dociekliwości zawdzięczali nowe tropy. Kiedy Maggie zapytała o to Pakulę, spojrzał na nią, jakby poruszyła

drażliwy temat. Potem mruknął pod nosem, że muszą mieć oczy i uszy otwarte. Był wyraźnie niezadowolony, że nie mógł przesłuchać księdza na swoim terytorium. Znowu mruknął coś na temat tego „drania prokuratora", który pomagał Gallagherowi.

Kiedy Pakula wjechał na szkolny parking, zadzwoniła komórka Maggie. To była Racine. Maggie nie odebrała wcześniej dwóch telefonów od Julii. Ten byłby trzeci.

– Pozwoli pan? – zapytała Pakulę. – Załatwię to szybko.

– Proszę bardzo.

– Maggie O'Dell.

– O'Dell, nareszcie. – Racine odetchnęła z ulgą. Nie była wkurzona, jak spodziewała się Maggie.

– Rozmawiałam z Bonzado wczoraj wieczorem – oznajmiła Maggie, myśląc, że wyprzedzi informacje Racine. – Mówił mi o tatuażu.

– Mamy kolejną ofiarę – powiedziała Julia bez zbędnych wstępów.

Maggie oparła plecy o fotel. Nie takiej informacji oczekiwała.

– Strasznie szybko.

– To nie wszystko. Ofiara to asystentka twojej przyjaciółki.

– Słucham?

– Doktor Patterson. Ofiara dla niej pracowała.

– Kiedy to się stało? Czy Gwen nic nie jest? Nie dzwoniła do mnie. Dlaczego do mnie nie zadzwoniła?

Spojrzenie Pakuli uświadomiło Maggie, że musi mówić spokojniej. Detektyw wyłączył silnik i pomachał w stronę

szkolnej bramy.

– Zaczekam na panią na zewnątrz.

– Miałam nadzieję, że rozmawiała z tobą – kontynuowała Racine, kiedy Pakula wysiadał z samochodu. – Ponieważ mnie nie ma wiele do powiedzenia.

– Pewnie jest zdenerwowana.

– Jasne, ale zachowuje się dziwnie. Twoja przyjaciółka chyba nie jest ze mną całkiem szczera. Nie wiem, co przed nami ukrywa, ale bezspornie próbuje coś zataić.

– To nie w stylu Gwen.

Czy dlatego ostatnio tak kiepsko wyglądała? – pomyślała Maggie. Ale przecież nie mogła przewidzieć podobnego zdarzenia.

– A jednak…

– Jak ona się czuje?

– Nie znam jej, więc trudno mi ocenić. W każdym razie nie jest jej łatwo. To ona ją znalazła.

– Gwen znalazła Denę? Znalazła jej… głowę?

– W mieszkaniu ofiary. Dokładnie w kuble na śmieci.

– Jezu, Racine. Dlaczego od tego nie zaczęłaś?

– Ponoć Dena nie przyszła do pracy, nie odpowiadała na telefony. Doktor Patterson twierdzi, że chciała sprawdzić, co się z nią stało.

Maggie nie wyobrażała sobie nawet, przez co przechodziła jej przyjaciółka.

– Jedno jest dziwne, O'Dell – ciągnęła Racine niemal szeptem. – On nigdy nie zostawiał ich w domu. Coś mi tu nie gra.

– Muszę teraz iść na przesłuchanie. Mogę do ciebie oddzwonić?

– Jasne, powiem ci, co nowego.

– Racine?

– Taa?

– Bądź tak dobra i dowiedz się, jak się czuje Gwen. Proszę cię.

– Nie ma problemu, i tak zamierzałam wpaść do jej gabinetu. Pogadamy później.

Maggie wyjrzała przez przednią szybę, czekała, aż opadnie jej napięcie. Biedna Gwen. Ale dlaczego do niej nie zadzwoniła? Niezależnie od tego, jak bardzo była zdenerwowana, powinna była zadzwonić. To niepodobne do Gwen.

Pakula czekał na nią jakby nigdy nic. Maggie wysiadła z wozu i zamknęła drzwi. Kiedy spojrzał jej w oczy z pytaniem, którego policjanci nie muszą wypowiadać na głos, Maggie wiedziała, że Pakula zrozumie. Powiedziała więc po prostu:

– Kolejny przypadek w Waszyngtonie. Moja przyjaciółka znalazła właśnie uciętą głowę swojej asystentki.

– O kurna. – Pakula skrzywił się, choć nie był tak wstrząśnięty, jak byłaby na jego miejscu większość ludzi. – Potrzebuje pani trochę czasu? Możemy to zrobić później.

– Nie, skoro już tu przyjechaliśmy, zróbmy to teraz.

Jej telefon znowu się odezwał, chwyciła go, włączyła szybko, nie patrząc nawet, kto dzwoni, myślała, że to Racine, liczyła, że to Gwen.

– Agentka Maggie O'Dell? – zapytał męski głos, którego nie rozpoznała.

– Tak. – Maggie wzruszyła ramionami, patrząc na Pakulę, który stał z ręką na klamce szkolnej bramy.

– Mówi ojciec Michael Keller.

W pierwszej chwili pomyślała, że to żart. Spojrzała na telefon, na wyświetlacz. Przeczytała tylko: „Numer niedostępny”.

– Przepraszam, kto mówi?

– Wiem, że pani mnie pamięta. Mówi ojciec Michael Keller. Chcę zawrzeć z panią układ.

Maggie poczuła ucisk w dołku. Przez wiele miesięcy po morderstwach w Platte City bez skutku próbowała wytropić Kellera w Ameryce Południowej, a teraz on sam do niej dzwoni, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Na jakiej podstawie uważa ojciec, że zechcę zawrzeć z nim jakikolwiek układ?

– Ponieważ pomogę pani schwytać zabójcę księży.

– Hm… – Więc wiadomości dotarły nawet do Chile, jeśli to tam nadal się ukrywał. – A co takiego ojciec wie, co może nam pomóc?

– Podzielę się tym z panią, kiedy zyskam pewność, że zawarliśmy układ. A nawet sam pani to przywiozę.

Nie do wiary. Keller proponował, że wróci do Stanów. Po tych wszystkich latach. Dlaczego chciał to zrobić?

– A jaki jest powód, że chce nam ojciec pomóc? – zapytała spokojnie, jakby nie robiło na niej wrażenia, że morderca dzieci chciał zawrzeć z nią pakt.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Przez moment Maggie myślała, że straciła połączenie albo Keller się rozłączył.

– Ponieważ ja też jestem na tej liście.

– O jakiej liście ojciec mówi? – A zatem istnieje jakaś lista. Nie powinno jej to dziwić. Jakim jednak cudem morderca znalazł Kellera, skoro nawet ona do niego nie dotarła? Czyli to strach pchnął go do tego, żeby się z nią skontaktować. Powściągnęła uśmiech. Oczywiście, Keller był przerażony. Jeśli morderca go odnalazł, mógł go także zabić.

Kiedy wspomniała o liście, Pakula ściągnął brwi. Domyślił się od razu, że chodzi o ich sprawę, i podszedł bliżej, jakby chciał w razie potrzeby skoczyć jej na ratunek.

– Wie pani, o jakiej. Chyba że jest pani dalej od rozwiązania tej sprawy, niż sądziłem.

Maggie wyczuła lekką złość w jego głosie.

– Naprawdę nie wierzę, żeby miał ojciec cokolwiek, co mogłoby nam pomóc. Nie mam zamiaru zawierać z ojcem żadnej umowy. – Wyobrażała sobie, jak Keller wścieka się po drugiej stronie i starała się z tego nie cieszyć.

– Więc nie jest pani zainteresowana, kto jeszcze znajduje się na liście?

– Słucham?

– Posiadam kopię całej listy.

– Skąd mam wiedzieć, że ojciec jej sam nie napisał?

– A skąd ja miałbym wiedzieć o Danielu Ellisonie? Zapomnieliście wspomnieć o nim w mediach.

Nogi ugięły się pod Maggie, zanim Keller dodał:

– Był na liście i on także już nie żyje, prawda? – Czekał, świadomy skutku, jaki wywołał tą wiadomością. – Przywiozę pani wszystko, co mam… tylko pani.

– A co takiego chce ojciec w zamian za swoją pomoc, ojcze Keller?

– Ochronę. I odtrutkę. Myślę, że mnie otruł.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Kemping Blackwater Bay
Na południe od Bagdadu w stanie Floryda

Zastępca szeryfa Wendall Galt zjechał radiowozem na pobocze. Kilkunastu skautów stało na trawiastym wzniesieniu za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Po drugiej stronie ogrodzenia rosły drzewa i gęste zarośla. Dwaj mężczyźni machali do Galta. Byli zapewne opiekunami tej grupy, choć jeden z nich z daleka wyglądał na wyrośniętego chłopca.

– Najpierw myślałem, że to jakieś szmaty – oznajmił niższy mężczyzna, podchodząc tak blisko Wendalla, że niemal się z nim zderzył. – Nie pozwalamy chłopcom zbliżać się do tego miejsca. Nie ma potrzeby, żeby oglądali takie widoki. Mój Boże. To potworne, po prostu potworne.

Wendall milczał. Przesunął okulary przeciwsłoneczne na czoło. Odsunął się o krok od mężczyzny i spojrzał na chłopców. Wszyscy zacierali dłonie i przytupywali, byli znudzeni, ale żaden nie zamierzał odejść. Chcieli zobaczyć trupa, niezależnie od tego, jak bardzo opiekun pragnął ich przed tym uchronić. Chociaż Wendall wątpił, żeby znaleźli trupa. Oczywiście, to niewykluczone. Ale tacy goście – Wendall zlustrował mężczyznę, zauważył jego designerskie szorty i koszulkę z wyhaftowanym na kieszonce graczem

w polo oraz skórzane mokasyny, kiedy dobre sportowe buty do chodzenia byłyby tu bardziej na miejscu – otóż tacy goście robią w gacie, kiedy potykają się o nadgryziony szkielet jelenia.

– Nie do wiary, że przysłali tylko pana – nawijał dalej elegancik.

– Ethan, daj spokój – rzekł ten drugi.

– Nie, to nie do wiary. Powinni przysłać policjantów, którzy zabezpieczyliby teren. I samochód laboratorium kryminalnego. I koronera. Na Boga, w bagnie leży trup. Przecież nie doczołgał się tutaj sam.

– W tej okolicy nigdy nie wiadomo – stwierdził Wendall, przesadnie zaciągając, żeby zrobić wrażenie. Z satysfakcją patrzył, jak elegancikowi opadła szczęka. Ludzie oglądają za dużo telewizji. – Skąd pan wie, że to trup?

Ethan zasłonił oczy przed słońcem.

– Żarty pan sobie robi? Chyba wiem, jak wygląda trup.

Wendall chciał powiedzieć: „Jasne, jasne”, ale miał już do czynienia z szeryfem Poolem za tak zwany „brak szacunku”. Mówiąc wprost, zbyt łatwo wkurzał ludzi.

– Sam zobaczę – rzekł. – Gdzie to jest?

Jak na zawołanie mężczyźni pokazali na drzewa po drugiej stronie ogrodzenia z drutu kolczastego.

Wendall potrząsnął głową. Do diabła, nie było nawet ścieżki, tylko trochę przydeptane gęste zielska. Udał, że przygląda się okolicy, zanim wspiął się na ogrodzenie. Dwaj chłopcy zgłosili się, że zaprowadzą go na miejsce. Chciał im powiedzieć, że to niekonieczne, kiedy ten niższy, gadatliwy

mężczyzna krzyknął na chłopców, żeby zostali na miejscu. Wtedy Wendall poprosił skautów, żeby z nim poszli, a mina elegancika bardzo go ucieszyła. Z drugiej strony opłaciło się wziąć przewodników. To ci dwaj chłopcy, Corey i Kevin, potknęli się o domniemane zwłoki.

– Jeszcze nigdy nie widziałem trupa – oznajmił Kevin, idąc blisko Wendalla. – Myśli pan, że ktoś go tu przywiózł i zabił? Chyba niemożliwe, żeby go tu przytargali nieżywego, prawda?

Wendall nie odpowiadał. Nie chciał rozbudzać wyobraźni dzieciaka, bo i tak była pobudzona.

– Okropnie śmierdzi – rzekł Corey przez ramię. – Jeszcze trochę – zaczął węszyć jak pies myśliwski – i poczuje pan. Myślałem, że to jakieś śmieci.

Wendall wciąż uważał, że chłopców poniosła wyobraźnia. Jednego człowiek uczy się szybko: w tym lipcowym upale na bagnach nie trzeba wiele czasu, żeby zaczęło śmierdzieć jak diabli, nieważne, czy to ludzkie zwłoki, czy lis albo pancernik.

Szedł za chłopcami, nie zwracając uwagi na muszki atakujące ręce i kark. Nawet jak się je zabijało, przylepiały się do spoconego ciała. Nie znosił wilgotnego upału, bez przerwy miał koszulę przylepioną do pleców. Myślał już o tym, jak wróci do radiowozu i włączy klimatyzację. Nagle potworny smród zgnilizny zatrzymał go w pół kroku.

– To tutaj – oznajmił Corey, wskazując coś, co na pierwszy rzut oka przypominało stertę szmat.

Wciąż sceptycznie nastawiony Wendall zatrzymał chłopców, a sam podszedł bliżej.

– O do diabła. – Zdjął okulary przeciwsłoneczne i zmrużył oczy. Potem odskoczył. – Jezu Chryste! – Kiedy zdał sobie sprawę, że nie jest sam, jego zdumienie zamieniło się w zażenowanie. Pochylił się znowu i patrzył.

Muchy latały nad stertą liści, ale w ilości nieporównywalnej do czerwi, których roiło się tyle, że przesłaniały to, co znajdowało się pod spodem. Wendall wziął jakąś gałąź i zaczął grzebać w mrowiu robactwa, aż w końcu ujrzał twarz, szyję i... to coś dziwnego. Uderzał gałęzią wokół szyi, odgarniał liście.

Mógł się mylić, ale wyglądało na to, że trup miał na szyi koloratkę. Taką, jaką noszą księża.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Liceum Matki Boskiej Bolesnej
Omaha, Nebraska

Maggie nie chciała mówić o tym Pakuli, nie w chwili, kiedy stali w

drzwiach szkoły przed rozmową z księdzem Gallagherem. W jej głowie panował zamęt, emocje i wspomnienia nie pozwalały myśleć logicznie. Czy Cunningham wybuchnie, kiedy poinformuje go, co zrobiła, na co wyraziła zgodę? Czy tylko zacznie podejrzewać, że umówiła się z Kellerem, nie zamierzając dotrzymać słowa? Czy znał ją na tyle dobrze, żeby dostrzec jej motyw, fakt, że Maggie zależało wyłącznie na tym, żeby ściągnąć Kellera do Stanów?

– Na pewno chce pani teraz odbyć tę rozmowę? – zapytał znowu Pakula.

Nalegała, żeby trzymali się planów, i obiecała, że potem wszystko mu wyjaśni. Ruszyła w ślad za nim.

Pakula znał już to miejsce, więc szedł korytarzem pewnym krokiem, aż dotarli do schodów.

– Gabinet jest na drugim piętrze.

Maggie usiłowała się skupić. Bacznie rozglądała się dokoła, jakby chciała w ten sposób odsunąć od siebie myśl o Kellerze, który za kilka godzin wsiądzie na pokład United Airlines i przyleci do Omaha. Nie chciała liczyć, ile godzin,

ile przesiadek wymaga ta podróż. Ile będzie miał okazji, żeby zmienić zdanie, zdać sobie sprawę, że Maggie nie dotrzyma słowa. Próbowała odsunąć od siebie to wszystko i skoncentrować się na tej małej szkole z lśniącą drewnianą podłogą, misternie rzeźbionymi poręczami i ozdobnymi gzymsami nad drzwiami sal lekcyjnych.

Zauważyła, że większość sal świeciła pustkami, chociaż Pakula mówił jej wcześniej, że zaczął się semestr letni i dlatego ojciec Tony Gallagher prosił, żeby przyjechali do szkoły. Minęli tylko jedną salę, w której była grupa dzieci. Uwagę Maggie zwrócił wystrój sali – sporo zabytkowych i zapewne cennych przedmiotów, średniowieczne relikty, w tym miecz.

Maggie zerknęła na Pakulę i zobaczyła, że on także się tym zainteresował. Potrząsnął głową.

– Czego to teraz uczą tych dzieciaków.

Ojciec Tony Gallagher stał w drzwiach swojego gabinetu. Pomachał do nich z daleka. Maggie pomyślała, że nie wyglądał na księdza – przystojny, z miłym uśmiechem, koło czterdziestki, ciemne włosy przyprószone siwizną na skroniach. Na pozór dobrze zbudowany, chociaż Maggie stwierdziła z bliska, że w sumie był dość drobnej postury. Próbowała wyobrazić go sobie w czapce bejsbolówce. Czy można by go wziąć za nastoletniego chłopca?

– Ojcze Gallagher, dziękujemy za współpracę – rzekł Pakula, kiedy ksiądz wprowadził ich do gabinetu. – To jest agentka specjalna...

Zanim Pakula dokończył prezentacji, Maggie usłyszała:

– Maggie?

Razem z Pakulą przystanęła w progu. Nick Morrelli wstał z krzesła.

– Maggie O'Dell, a ty tu skąd, u diabła?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Liceum Matki Boskiej Bolesnej
Omaha, Nebraska

Nick nie wierzył własnym oczom. Kiedy już mniej więcej wszystko zaczęło się układać... no, może poza tym zamieszaniem z Tonym... kiedy w końcu uporządkował swoje życie, zjawia się Maggie O'Dell. Na domiar złego wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się widzieli. W tym momencie pewien był tylko tego, że minęło sporo czasu, dość, by nie czuł się jak ogłupiały małolat.

– Coś nie tak? – Pakula przeniósł wzrok z Maggie na Nicka.

– Wszystko w porządku – odparła niezgodnie z prawdą. – Cztery lata temu pracowaliśmy razem w Platte City. – Odwróciła się do Tony'ego i wyciągnęła rękę. – Agentka specjalna Maggie O'Dell.

– Witamy w szkole Matki Boskiej Bolesnej – rzekł Tony, ściskając jej dłoń. Zerknął na Nicka porozumiewawczo, jakby mówił: „Więc to jest Maggie”. I chociaż nie powiedział tego na głos, Nick czuł, że uszy mu poczerwieniały.

– Cztery lata temu w Platte City. – Pakula podrapał się po ogolonej głowie, jakby pomagało to jego pamięci. – Taa,

przypominam sobie. Sprawa Gillicka i Howarda, mordowali chłopców.

Tak, właśnie tak – miał na końcu języka Nick, ale tylko skinął głową, ciekaw, czy Maggie skoryguje to stwierdzenie. Nigdy nie uwierzyła, że to Eddie Gillick i Ray Howard byli sprawcami, chociaż zostali skazani na dożywocie. Według Maggie to ojciec Michael Keller, przystojny młody ksiądz, kochany i adorowany przez miejscową społeczność, zabijał chłopców, którzy jego zdaniem byli krzywdzeni przez swoich rodziców. Maggie żywiła przekonanie, że Keller w swoim mniemaniu wypełniał jakąś misję, ratował te dzieci i zapewniał im wieczny odpoczynek. I wtedy, i teraz brzmiało to dla Nicka niewiarygodnie.

– Taa, to ta sprawa, Gillick i Howard – potwierdziła Maggie, patrząc w oczy Nicka.

Ale nie chodzi tylko o sprawę, chciał jej powiedzieć. Między nimi zdarzyło się coś więcej, o wiele więcej. A przynajmniej mogło się zdarzyć, gdyby Maggie na to pozwoliła. Ale sama podjęła decyzję, nie dopuszczając go do głosu.

– Nick był wówczas szeryfem – dodał Tony.

– Naprawdę? Ach tak... A więc nie tylko z powodu sukcesów sportowych pamiętam pańskie nazwisko – rzekł Pakula. – To była głośna sprawa.

Nick odniósł wrażenie, że wzrok detektywa złagodniał odrobinę. Przez moment, być może, widział w Nicku kumpla z pracy.

– Mam cztery córki – ciągnął Pakula – zresztą to bez znaczenia, córki czy synowie, ważne, że to dzieciaki. Każdy rodzic dostaje gęsiej skórki, jak coś takiego się dzieje. Jedna z moich córek była wtedy w wieku tych chłopców. Też roznosiła gazety. Przez wiele tygodni moja żona i ja na zmianę chodziliśmy razem z nią. To był straszny czas, wszyscy się bali. Zdaje się, że jeden chłopiec się uratował.

– Taa – przyznał Nick. – Mój siostrzeniec, Timmy Hamilton.

– O kurna. I jak sobie teraz radzi?

– Świetnie. – Nick nie spuszczał wzroku z Maggie, jakby to jej odpowiadał, skoro nawet nie raczyła zapytać o Timmy'ego. Była dziwnie rozkojarzona, nie słuchała chyba tego, co mówił. – Jesienią zaczyna naukę w tej szkole.

– To dobrze. Świetnie – powiedział Pakula, bo myślał, że tak należało. Trzymał ręce w kieszeniach, bo nie wiedział, co z nimi zrobić.

Nick stwierdził, że Pakula to szczery, uczciwy gość, ale kiepski w pogaduszkach.

– No proszę! Timmy zaczyna nową szkołę. – Maggie pokręciła głową. – A co u Christine? – spytała Nicka.

– W porządku. – On także włożył ręce do kieszeni dżinsów, w ślad za Pakulą. Nagle poczuł się zakłopotany osobistymi pytaniami Maggie na temat jego siostry, jego życia, choć chwilę wcześniej był zły, że nie wykazała zainteresowania losem Timmy'ego. – Może przejdziemy do pańskich pytań – zwrócił się do Pakuli, ale patrzył przy tym na Tony'ego, jakby mówił: „Miejmy to z głowy”.

Nick zaproponował Maggie miękkie krzesło przy oknie, a ona podeszła tam, nawet na niego nie patrząc. Starał się ignorować jej zapach, pachniała czymś świeżym i egzotycznym jak kokos i limonka. To zapewne szampon do włosów. Odsunął od siebie niepożądane myśli i przeszedł na drugą stronę pokoju, bliżej Tony'ego, kiedy ten usiadł za swoim biurkiem.

Pakula oparł się o framugę, niby obojętny, a nawet znudzony, a tak naprawdę czujny i w każdej chwili gotów do akcji. Nick nie mógł się wyzbyć myśli, że detektyw wyglądał jak gracz drużyny futbolu amerykańskiego, który w skrytości pręży mięśnie i szykuje się do pierwszego blokowania tego dnia. Zostawili już za sobą przyjacielskie gesty. W jednej chwili z policyjnych kumpli, którzy rozmawiają o makabrycznej zbrodni sprzed lat, zamienili się w przeciwników pragnących nawzajem się przechytrzyć. Nick był do tego przyzwyczajony, jako zastępca prokuratora miał z tym do czynienia na co dzień.

Zerknął na Maggie, ciekaw, na czym polega jej rola.

– Widziałem poranne wiadomości – oświadczył Tony. – Jak przypuszczam, uważacie państwo, że zabójstwo wielebnego O'Sullivana ma jakiś związek z tym z Columbii.

– Niewykluczone – odparł detektyw.

– A jaki to może być związek? – spytał Nick.

– To właśnie mamy nadzieję usłyszeć od ojca Gallaghera.

Nick stwierdził, że Pakula wszedł już w rolę twardego policjanta.

– Nie wiem, co, pańskim zdaniem, ojciec Gallagher mógłby wam powiedzieć. – Nick zerknął na przyjaciela, wciąż zastanawiał się, co Tony wcześniej przemilczał.

– Mamy trzy ofiary, chociaż oficjalnie powiedzieliśmy na razie o dwóch. Wszystkie trzy zostały zasztyletowane w publicznych miejscach. Dwie z nich to księża. Jedna to były ksiądz – mówił Pakula, krzyżując ramiona na piersi i patrząc na Tony'ego. – Nie mogę podać żadnych szczegółów, ale są podobieństwa. A teraz, jeśli istnieje między nimi jakiś związek, mamy nadzieję, że ojciec Gallagher powie nam, co to może być. Zwłaszcza że należy on do niewielu osób, które znały wszystkie trzy ofiary.

– Co? – Nick spojrzał na Tony'ego zaskoczony. – To prawda?

– Nie jestem chyba podejrzany, detektywie Pakula? – Tony unikał wzroku Nicka. – Bo jeśli tak, jestem pewien, że mój przyjaciel i prawnik poradzi mi, żebym nie odpowiadał na wasze pytania.

– Ojcze Gallagher, z całym szacunkiem – zaczęła Maggie – ale jeśli potrzebuje ojciec adwokata, pan Morrelli nie może ojca reprezentować, jeżeli jest nadal zastępcą prokuratora generalnego stanu Massachusetts.

– A jest pan? – spytał Pakula.

Nick milczał i wlepiał wzrok w przyjaciela.

Raptem uświadomił sobie, dlaczego Maggie przyjechała na to tak zwane przesłuchanie. Miała obserwować Tony'ego. Czy już go przymierzała do swojego portretu

psychologicznego? Czyżby oni naprawdę uważali, że Tony byłby zdolny do morderstwa?

Przeniósł znów spojrzenie na Tony'ego, który siedział teraz na rogu swojego biurka. Wydawał się spokojny i nie przejmował się pytaniami Pakuli. I chociaż – o czym Nick już wiedział – oznajmił O'Sullivanowi, że tym razem nie będzie milczał, jeżeli oskarżenia okażą się prawdziwe – milczał albo mówił wymijająco. Nick pojęcia nie miał, co nim powoduje.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Lotnisko Reagan National
Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Tego dnia był bardziej niż zwykle niespokojny. Rzucał wzrokiem po zatłoczonej hali lotniska, czekał na swój samolot. Została mu jeszcze godzina, jeśli elektroniczna tablica się nie myliła. Dlaczego miał wrażenie, że wciąż musi na coś czekać?

Poprawił laptop i wyprostował nogi, zanim się znowu wygodniej usadowił. Miał bezprzewodowe połączenie z Internetem, to była jego najlepsza inwestycja. Szukał nowych artykułów, czegokolwiek na temat zamordowanych księży. Dwóch z nich zabito podczas świątecznego weekendu, pierwszy został zasztyletowany podczas Dnia Pamięci.

Czy tak to się odbywało? Zawsze w świąteczny weekend? Jeśli tak, następny wypadał... w Święto Pracy? To chyba we wrześniu? Nie mógł czekać do września. W ogóle nie mógł czekać. Zwlekał już dość długo, ponad czternaście lat.

Przytupywał nerwowo nogą. Irytował go jego własny niepokój, który go nie opuszczał. Dlaczego to nie chce się skończyć? Zwykle po wybuchu emocji następowała chwila wytchnienia. Przynajmniej dotąd tak było, miesiąc albo i dwa spokoju. Wściekłość wycofywała się na pewien czas.

Och, jasne, wiedział, że tkwiła pod powierzchnią, ale czuł, że nad nią panuje.

Nauczył się kanalizować swoją złość w inny sposób. Temu właśnie służyła gra. Biorąc w niej udział, wyładowywał złość w wymyślonych scenariuszach… To się sprawdzało… przynajmniej przez jakiś czas. Nie pamiętał, kiedy się do końca pogubił. Czasami nie odróżniał już, co było rzeczywiste, a co wyobrażone. Tylko jego wściekłość wydawała mu się prawdziwa.

Teraz wiedział jedynie, że minęło kilka dni, a pulsowanie w skroniach, niepokój nie mijały. Towarzyszyły mu bez przerwy. Chciał, żeby to się skończyło. I znał na to sposób.

Kliknął na pogoda.com. W Bostonie padało, było dziewięćdziesiąt pięć procent wilgotności. Postanowił, że pojedzie metrem, kiedy już dotrze do miasta, tak jak robił w dzieciństwie. Miał tylko jeden bagaż, dużą torbę z laptopem, dość pojemną, żeby zmieściła rzeczy, których potrzebował, w tym ubranie na zmianę. Wszystko potwierdził, zaplanował każdy szczegół. O dziewiątej wieczorem będzie po wszystkim, a on wsiądzie do samolotu i poleci z powrotem do domu. Tik, pulsowanie w skroniach – i niepokój zniknął.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen Patterson stała przy oknie w swoim gabinecie i patrzyła na Potomac. Harvey leżał obok biurka. Reagował na każde jej poruszenie, podnosił łeb, patrzył czujnymi brązowymi oczami, sprawdzał ją. Maggie zwykle narzekała na jego przesadną opiekuńczość, ale dla Gwen było to wzruszające i uspokajające. Nie wiedziała, jak przeżyłaby to wszystko bez Harveya.

Odwołała pacjentów umówionych na ten dzień i zatrudniła tymczasową asystentkę, która miała zgłosić się nazajutrz o ósmej rano. Tak, nazajutrz wszystko miało wrócić do normy.

Nic nie będzie już normalne. Po co ona się oszukuje?

Ktoś zastukał do drzwi.

– Przepraszam. – Detektyw Julia Racine stanęła w drzwiach z niepewną miną. Gwen zdała sobie sprawę, że wygląda tak samo fatalnie, jak się czuje. – Nikogo nie ma w poczekalni.

– Postanowiłam dziś nie pracować – odparła Gwen, nie opuszczając swojego miejsca przy oknie. – Tyle przynajmniej mogłam zrobić, biorąc pod uwagę, że moja asystentka została właśnie pozbawiona głowy. – Wiedziała, że jej czarny humor to tylko pewien psychiczny mechanizm,

który pozwala przetrwać. Nie była jednak pewna, czy Racine postrzegała to tak samo.

– Rozmawiałam z Maggie. Prosiła, żebym do pani zajrzała.

– Tak? Nie wiedziałam, że miejska policja świadczy takie usługi. – Po czarnym humorze przyszła kolej na nonszalanckie uwagi. Czyżby przestała nad sobą panować? Przecież powinna umieć to ocenić. W końcu była profesjonalistką.

– Mam też jeszcze kilka pytań. – Racine weszła do gabinetu, ale trzymała się na dystans.

– Oczywiście, że ma pani więcej pytań.

– Pozwoli pani?

– A co to zmieni, jeśli nie pozwolę?

– Mogę przyjść później. – Racine wykazywała tyle cierpliwości, że Gwen musiała nazwać to uprzejmością. Zastanawiała się, co Maggie powiedziała młodej pani detektyw. A może to jakaś nowa taktyka, którą Racine na niej testuje?

– Teraz czy później, nic się nie zmieni. – Gwen odwróciła się od okna i wskazała Racine krzesło, ale sama nie usiadła.

Racine najpierw poklepała Harveya, podrapała go za uszami, a potem zajęła miejsce na krześle obok psa. Teraz już ją poznawał, identyfikował jako jedną z przyjaznych osób. Gwen nie była przekonana, czy miał rację, ale może powinna zaufać psiemu instynktowi. Jak dotąd się nie pomylił.

– Pani coś przede mną ukrywa – stwierdziła Racine, chociaż nie wyglądało na to, żeby zamierzała na siłę

wyciągać informacje. Nie czekając na potwierdzenie czy wyjaśnienie, mówiła dalej: – Z początku myślałam, że chodzi o pani asystentkę. Że nie chce pani zepsuć jej reputacji, jej dobrego imienia. No wie pani, wprawić jej bliskich w zakłopotanie.

Gwen czuła na sobie wzrok Julii, jakby ta chciała się przekonać, czy dobrze trafiła.

– Znalazła ją w pani w jej domu. Sprawca dotychczas inaczej postępował z ofiarami.

Gwen pochyliła się nad biurkiem, nagle ogarnęło ją wielkie zmęczenie.

– Czyli z Deną nie było tak samo jak z innymi…

– Tak – przyznała Racine ze znaczącym spokojem. – Morderca zostawił ją w domu, bo wiedział, że ktoś przyjdzie jej szukać. W przypadku pozostałych trzech ofiar musieliśmy czekać, aż ktoś wskaże nam, gdzie je znajdziemy. Myślałam, że na tym właśnie polega różnica, a jednak nie do końca. – Znowu zrobiła przerwę, jakby poddawała Gwen jakiejś próbie, ta jednak bez mrugnięcia spojrzała jej w oczy. – Właściciel firmy budowlanej poinformował nas o pierwszej ofierze. Zadzwoniłam do niego dziś rano i zapytałam, jak ją znalazł, a on na to, że to wcale nie on. Jakaś kobieta do niego telefonowała. O ironio, kobieta z psem znalazła w czasie spaceru drugą ofiarę. – Racine przeniosła spojrzenie na Harveya. – Ale nie przyszła i nie podpisała zeznania. W zeszłym tygodniu, kiedy znaleźliśmy Libby Hopper na brzegu Potomacu, jakaś kobieta dzwoniła do nas ze skradzionej komórki i nie

mogliśmy jej namierzyć. Denę Wayne morderca zostawił w domu. Myślałam, że to kompletnie do niego nie pasuje, ale potem uprzytomniłam sobie, że to właśnie kobieta... kobieta z psem znalazła Denę.

Racine zamilkła. Patrzyła w oczy Gwen, jakby mogła dojrzeć w nich prawdę i nie potrzebowała niczego więcej dla potwierdzenia swojej szalonej teorii.

– Wygląda na to, że wszystko już pani wie – powiedziała w końcu Gwen. – Szkoda, że nigdy nie jest tak prosto, jak się wydaje.

– Tak, zwykle nie jest.

– Jego instrukcje przychodziły z subtelnymi groźbami. – Gwen mówiła szeptem, którego nie rozpoznawała jako własnego głosu.

– Zastanawiałam się, czy nie o to właśnie chodzi. Bała się pani, że panią skrzywdzi. – Racine wciąż wpatrywała się w Gwen.

– Nie, nie mnie. Za każdym razem dotyczyło to kogoś innego. Kogoś bliskiego. Byłoby łatwiej, gdyby chodziło o mnie. – Gwen już kiedyś grożono. Uważała to za ryzyko zawodowe. – Myślałam, że zdołam go przechytrzyć.

– A wyszło na to, że zrobił z pani współwinną swoich zbrodni.

– Tak, przypuszczam, że tak – powiedziała Gwen. – Ale to już koniec.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Omaha, Nebraska

Maggie przeprosiła i wyszła na chwilę z gabinetu ojca Gallaghera, tłumacząc się, że musi wykonać parę telefonów. Cunningham był pierwszy na liście. Poza tym rozpaczliwie pragnęła usłyszeć, jak czuje się Gwen, no i zmęczyła ją rozgrywka między Pakulą i Nickiem. Usłyszała już dość wykrętnych odpowiedzi ojca Gallaghera, by zrozumieć, że przesłuchanie nie przyniesie wielu nowych informacji. Zastanawiała się, jakim cudem ksiądz nie zdawał sobie sprawy, że każda jego mętna odpowiedź wydłużała tylko ten proces.

Było oczywiste, że ojciec Gallagher coś ukrywa, Maggie wątpiła jednak, żeby to on był mordercą. Miał solidne alibi na sobotni wieczór. Cała parafia Matki Boskiej Bolesnej poręczyłaby za niego. Nie mógł celebrować mszy o siódmej w Omaha, w stanie Nebraska, i zdążyć do Columbii, w stanie Missouri, żeby zasztyletować ojca Geralda Kincaida o dziewiątej trzydzieści.

A jednak Maggie nie wykluczała go całkowicie. Ojciec Tony Gallagher pasował jej do portretu psychologicznego. Zabójca, z którym mieli do czynienia, mógł zabijać w przekonaniu, że działa dla dobra ogółu. Jeśli potwierdzi się, że każda z trzech ofiar została kiedyś oskarżona

o molestowanie chłopców – albo, jak w przypadku Kellera, o ich zamordowanie – znaczyłoby to, że zabójca może utrzymywać, iż wykonuje swoistą posługę, wymierza sprawiedliwość tym, którzy zdołali uciec przed karą. Prawdopodobnie racjonalizuje swoje postępowanie i uznaje je za zło konieczne, żeby już nikt nie dopuścił się niemoralnych czynów na dzieciach. Może nawet uważać się za krzyżowca, który chroni bezbronnych i mści się za tych, którzy zostali skrzywdzeni albo zabici. Któż lepiej usprawiedliwiłby taką zemstę niż ksiądz? W końcu Kościół katolicki ma długą historię krucjat przeciw złu.

Maggie postanowiła wstrzymać się jeszcze z telefonem do Cunninghama i zadzwonić do niego po rozmowie z detektywem Pakulą. Zamiast tego wybrała numer gabinetu Gwen, a potem jej komórki, ale w obu wypadkach odpowiedziała jej tylko sekretarka automatyczna. Racine także nie podnosiła słuchawki. Maggie bardzo chciała upewnić się, czy z Gwen wszystko w porządku.

Minęła salę z historycznymi pamiątkami, które zauważyli z Pakulą. Uczniowie musieli mieć przerwę w zajęciach, bo sala była pusta. Maggie zawróciła i stanęła w drzwiach. Jej uwagę przyciągnęło kilka starych sztyletów. Leżały na czarnym materiale. Metal błyszczał w promieniach słońca. Podeszła bliżej, stanęła nad nimi i przyglądała się, niczego nie dotykając. Dwa sztylety były dłuższe niż normalny nóż, miały szerokie rękojeści. Znajdowały się na nich misterne rzeźbienia, częściowo tak wytarte, że nie można było stwierdzić, czy to tylko ornament, czy też jakiś symbol.

Wszystkie sztylety były starannie wyczyszczone i wypolerowane.

– Może pani wziąć do ręki, jak pani chce.

Maggie wzdrygnęła się i zerknęła przez ramię. Kobieta miała na sobie spodnie khaki i białą bawełnianą bluzkę w jaskraworóżowe i niebieskie ryby, z napisem Pensacola Seafood Festival.

– Ten wygląda na szesnasto- albo siedemnastowieczny europejski sztylet – oznajmiła Maggie, wskazując na najwęższy, z ostrzem długości dwudziestu paru centymetrów i rzeźbioną rękojeścią. Przed kilku laty brała udział w nalocie na piwnicę seryjnego mordercy, który kolekcjonował sztylety z różnych epok i używał ich jako narzędzia zbrodni. Tamta lekcja historii zapisała się w jej pamięci na zawsze.

– Bardzo dobrze – pochwaliła kobieta, nagradzając ją promiennym uśmiechem, a kiedy się zbliżyła, Maggie dostrzegła delikatne zmarszczki w kącikach jej ust, które świadczyły o tym, że była nieco starsza, niż wyglądała na pierwszy rzut oka. Zapewne była mniej więcej jej rówieśnicą, miała około trzydziestu pięciu lat.

– Te sztylety – kontynuowała nieznajoma – były robione na wzór tych. – Wzięła do ręki kolejny sztylet i podała go Maggie. – Ten jest nieco starszy. Powiedziano mi, że należał do rycerza z czternastego wieku; w bitwach posługiwano się nim w bliskim kontakcie z wrogiem.

– W bliskim kontakcie z wrogiem?

– Na przykład, żeby poderżnąć mu gardło.

– Aha. – Maggie usiłowała trzymać sztylet z szacunkiem, na jaki zasługiwał.

– Jestem siostra Kate Rosetti.

– Maggie O'Dell.

– Pani przesłuchuje ojca Tony'ego z detektywem Pakulą?

– Tak, ale ja jestem z FBI. – Spojrzała badawczo w oczy siostry Kate, żeby zobaczyć, jakie to zrobi na niej wrażenie. Czy jeśli ojciec Gallagher poczuje się zagrożony, to spróbuje pozbyć się Maggie? A może już o tym pomyślał?

Zakonnica podniosła z blatu następny sztylet, ale tylko po to, żeby go zademonstrować gościowi.

– To jeden z moich ulubionych. – Obracała go jak podczas prezentacji, żeby Maggie widziała misternie wyrzeźbioną czaszkę na rękojeści. – Nazywa się talizmanem albo nożem czarnoksiężnika. Wokół rękojeści wyrzeźbiony jest latający wąż, a na ostrzu celtycka plecionka.

– Bardzo piękny. – Nie było to najwłaściwsze określenie dla takiego przedmiotu, ale Maggie doceniała pracę rzemieślnika, a raczej artysty. – Co zainspirowało siostrę do zbierania średniowiecznej broni? – Rozejrzała się wokół. Oszklone gabloty na ścianach mieściły rozmaite eksponaty, przede wszystkim zgromadzono tu jednak przeróżne rodzaje broni.

– Bo to bardzo interesujące. – Siostra Kate urwała na moment. – Wie pani, dużo osób pyta mnie, gdzie je znajduję albo skąd mam pieniądze na taką kolekcję. Bardziej obchodzi ich, jak to zdobywam. – Spojrzała na Maggie, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy. – Rzadko są ciekawi, co

mnie zainspirowało. – Uśmiechnęła się zadowolona z tego pytania i przeniosła wzrok na półki. – Mój dziadek czytywał mi wspaniałe historie o rycerzach w lśniących zbrojach. Rodzice latem wysyłali mnie do niego na farmę w Michigan. – Wróciła spojrzeniem do Maggie. – Miałam jedenaście lat. To było po dość... szczególnie trudnym roku. Rodzice chcieli się mnie pozbyć z domu, żebym była bezpieczna. Nie jestem pewna, czy byliby zadowoleni, gdyby poznali moje wakacyjne lektury, ale tego właśnie potrzebowałam: rycerzy w lśniących zbrojach, którzy przybywają na ratunek. To mi dodawało... otuchy.

Teraz było coś innego w jej uśmiechu. Maggie pomyślała, że złagodniał, stał się bardziej szczery, choć już nie tak promienny. To był znaczący uśmiech, dzielony z kimś, kto doświadczył podobnej tragedii. Czegóż to doświadczyły obie, wedle siostry Kate? Maggie widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Łatwo znaleźć takie cuda? – spytała Maggie, przypominając sobie spekulacje lekarza sądowego dotyczące morderstwa wielebnego O'Sullivana.

– Bardzo łatwo – odparła bez wahania siostra Kate. – Kupiłam kilka sztyletów, a także miecz przez Internet i na eBayu. Teraz popularne są imitacje. Trzeba uważać i wiedzieć, czego się szuka. Zresztą czy są to imitacje, czy autentyki, wszystkie uważa się za artefakty, więc nie traktuje się ich jak prawdziwą broń. Nawet kiedy podróżuję z nimi, żeby je pokazać podczas prezentacji, pakuję je po prostu do walizki.

– Powiedziała siostra, że jest sporo imitacji. Dlaczego?

– Rynek jest całkiem spory, dużo kupują młodzi ludzie, których często nie stać na autentyki. O ile wiem, istnieje kilka gier internetowych związanych z historią krucjat i rycerstwa, ogólnie rzecz biorąc ze średniowieczem. Są dość popularne. Akurat dzisiaj jeden z uczniów przyniósł mi swoją kolekcję do pokazania. Sądzę, że to autentyki. Zresztą kupił je za dobrą cenę.

Wskazała na otwarte drewniane pudełko na biurku. Maggie zerknęła do środka i natychmiast zauważyła srebrny krucyfiks, który wyglądał jak sztylet. Przypomniała sobie, co Bonzado mówił o swoich studentach, którzy grają w gry komputerowe, zwłaszcza te oparte na Dungeons and Dragons, i jak tworzą nowych bohaterów gry. Posuwają się nawet tak daleko, że tatuują sobie symbole związane z grą: róże i sztylety. Teraz od siostry Kate dowiedziała się, że owe gry cieszyły się popularnością również wśród nastolatków, a młodzież kupowała i kolekcjonowała imitacje starych sztyletów. Mężczyzna, który w poniedziałek odkrył ciało O'Sullivana w toalecie na lotnisku, powiedział, że wpadł po drodze na mordercę, chłopca w czapce z daszkiem. Czy to możliwe, żeby morderca był tak młody, może nawet nastoletni? Jeżeli Maggie się nie myliła i morderca faktycznie uważał się za mściciela, mógł być jedną z ofiar któregoś z księży.

– Na długo pani do nas przyjechała? – spytała siostra Kate, przerywając tok myśli Maggie.

Chciała powiedzieć, że zostanie w Omaha, dopóki nie znajdą kolejnego zasztyletowanego księdza.

– Nigdy tego nie wiem – odparła zamiast tego.

– Dużo podróżuję, robię prezentacje, biorę udział w warsztatach. Wiem, jakie to nudne mieszkać w hotelowym pokoju i jeść samej w restauracji. Proszę dać mi znać, jeśli zatęskni pani za towarzystwem.

– Dziękuję, to bardzo miło ze strony siostry. – Zdziwiło ją to zaproszenie, zaczęła się zastanawiać, co skłoniło do tego siostrę Kate. A może z powodu wykonywanego zawodu we wszystkim widziała coś podejrzanego, nawet w przyjacielskim zaproszeniu na kolację? Raz jeszcze potoczyła wzrokiem po sali i zapytała, żeby udowodnić sobie, że się myli: – Ma siostra jutro wolny wieczór?

– Tak, oczywiście. Gdzie się pani zatrzymała?

– W Embassy Suites na Tenth Street.

– Och, na Starym Mieście jest mnóstwo wspaniałych restauracji. Na przykład M's Pub na Eleventh, jedna przecznica za hotelem. Spotkajmy się tam koło siódmej.

Uczniowie siostry Kate zaczęli wracać do sali.

– To do jutra – powiedziała Maggie.

Wychodziła powoli, przyglądając się uczniom, którzy szli bez pośpiechu, jakby nie obchodziło ich nic poza najbliższą chwilą. Zastanowiła się, czy szukają z Pakulą mordercy we właściwych miejscach. Może przeoczyli coś, co mieli pod nosem.

Na studiach uczono ją odnajdywać i wykorzystywać podobieństwa i zbieżności. Doświadczenie nauczyło ją

z kolei, żeby nigdy nie lekceważyć najmniej prawdopodobnej możliwości. Zauważyła dwóch chłopców w bejsbolówkach. Jeden zdjął czapkę i rzucił ją na ławkę, miał potargane ciemnoblond włosy przykrywające uszy. On i jego kolega byli wzrostu Maggie, może odrobinę wyżsi, obydwaj szczupłej budowy.

Koroner napisał w swoim raporcie, że cios ostrym sztyletem w klatkę piersiową, w serce wielebnego O'Sullivana, nie wymagał wielkiej siły. Mógł to zrobić nastoletni chłopiec.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen przeczesała włosy palcami, chociaż miała ochotę pociągnąć się mocno za włosy.

– Proszę powtórzyć mi jeszcze raz, na czym polegała ta gra.

Gwen sądziła, że Racine nie może już być bardziej zła, a tymczasem odezwała się jeszcze wyższym tonem i z jeszcze większym sarkazmem.

– To nie była gra. – Gwen usiłowała zachować spokój, chociaż czuła, że w środku wrze. To pewnie nadmiar kofeiny ją tak niszczył, piekielna dwudniowa dawka na pusty żołądek. Chyba dlatego tak jej się kręciło w głowie.

– Dla niego to była gra – niemal syknęła Racine. – Nieważne, co pani myśli, proszę mi wierzyć, ten psychol uważał, że to gra.

Detektyw chodziła tam i z powrotem naprzeciw sofy, na której siedziała Gwen. Ile razy Rubin Nash siedział w jej gabinecie, w tym samym miejscu, i rozprawiał, jak to „zdobył kolejną śliczną studentkę”? Gwen przypuszczała, że chodziło o seksualne podboje, że Nash szukał potwierdzenia swojej męskości. Wiele filmów pokazuje, że kiedy starsza kobieta uwiedzie młodego chłopca, jego życie zamienia się w seksualną odyseję, ale jeśli taka kobieta

z premedytacją pozbawia go niewinności, jak w przypadku Nasha, szkoda może być nie do naprawienia. Czy powinna była dostrzec jakieś oznaki zapowiadające jego okrucieństwo? Czy powinna była wiele miesięcy temu zrozumieć, że był zdolny zabijać?

Racine przystawała co jakiś czas i patrzyła na kartki, na mapę, na kolczyki, na wszystko, co Gwen otrzymała od mordercy. Rozłożyła to na biurku, każdą rzecz w osobnym zamkniętym opakowaniu, opisanym jak dowód z miejsca zbrodni. Wszystko poza szarą kopertą i szklanką do wody, ponieważ nie znaleziono na nich odcisków palców Nasha.

– Na razie brak dowodów, że to pani pacjent jest mordercą – oznajmiła Racine. – Może dopisze nam szczęście i zdejmiemy odciski z czegoś, co pani przysłał, ale podejrzewam, że był ostrożny. – Odwróciła się do Gwen. – Kiedy go pani znowu zobaczy?

– Przenieśliśmy ostatnio spotkania na sobotnie ranki, żeby dopasować się do jego planu podróży.

– On podróżuje?

– Tak, zdaje się, że sprzedaje oprogramowanie komputerowe. Wspomniał, że jego region sprzedaży sięga na północ aż po Boston, a na południe aż do północnej Florydy.

– Samochodem czy samolotem?

– Słucham?

– Kiedy podróżuje zawodowo – powiedziała Racine wolno, jak do dziecka – jeździ samochodem czy lata?

– Nie mam pojęcia. – Gwen zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć, czy poruszał ten temat. – To ma jakieś znaczenie?

– Nie znaleźliśmy do tej pory ciał ofiar, tylko głowy – rzekła Racine, jakby to musiało wystarczyć Gwen. Ale ta widocznie nadal miała zakłopotaną minę, gdyż Racine podjęła: – Jeżeli jeździ samochodem, to by wyjaśniało, jak porzuca ciała.

– Czy pozostała część ciała Deny... czy znaleziono ją gdzieś w kamienicy?

Zdawało jej się, że Racine złagodniała. Pewnie na wspomnienie tego, co Gwen przeżyła w ciągu ostatnich dwudziestu godzin, ogarnęło ją chwilowe współczucie, a jej słowa zabrzmiały cicho, niemal przepraszająco:

– Nie, niczego więcej nie znaleźliśmy.

Gwen potarła dłonie o policzki, tym razem przycisnęła też palce do oczu. Miała nadzieję, że pozbędzie się koszmarnego obrazu. Nie, nigdy się go nie pozbędzie.

– Te kartki, instrukcje – zaczęła znowu Racine. – Wszystkie dostarczano pani do gabinetu?

– Tak. Wrzucano je przez otwór na listy po godzinach mojej pracy albo dostarczano do głównej recepcji na dole. Jeden z kolczyków zostawiono w sobotę w szarej kopercie. Dena znalazła ją na swoim biurku po wizycie Rubina Nasha. – Gwen zrobiła pauzę. – Sądzi pani, że chciał, żebym rozpoznała kolczyk Deny?

– Jeśli tak, to chyba zamierzał z pani zadrwić – odparła Racine. Gwen czuła na sobie jej spojrzenie, jakby detektyw

oczekiwała od niej jakiejś reakcji. – Pokazać pani, jak bardzo może się zbliżyć. Jeżeli to był nowy chłopak Deny, jak pani powiedziała, to by wyjaśniało, skąd miał klucz do jej mieszkania i znał adres. Chociaż nie ma dowodów na to, że zabił ją w domu. – Zawahała się, nadal nie spuszczała wzroku z Gwen, przyglądała się jej bacznie. – Gdyby pani rozpoznała kolczyk, coś by pani zrobiła? Powiadomiła policję? – zapytała znowu ostrym tonem, zimnym i nieprzyjaznym.

Jeśli Racine sądziła, że przez to Gwen poczuje się jeszcze bardziej odpowiedzialna za śmierć Deny, była w błędzie. Gwen wiedziała, że nigdy nie wybaczy sobie tego, co się stało.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Omaha, Nebraska

Tommy Pakula miał już dość. Zgadywał, że Morrelli był myślami przy agentce, która wyszła z gabinetu Gallaghera. Ci dwoje może i pracowali razem przed kilku laty, ale niewątpliwie Morrelli czuł urazę do O'Dell. W końcu Pakula oznajmił prokuratorowi i księdzu, że będzie z nimi w kontakcie, podziękował, że poświęcili mu czas, i zostawił ich samych.

Spotkał O'Dell, kiedy wychodziła z sali siostry Kate. Uniósł brwi, zdziwiony, że tak otwarcie węszyła.

– Dowiedziała się pani czegoś?

– Niewykluczone. Skończył pan z ojcem Gallagherem?

– Taa. Mam dosyć tych dwóch klownów. Powinienem nasłać na nich Carmichael. – Ruszyli w dół schodów, Pakula puścił Maggie przodem. – Powiem pani jedno, Morrelli ma coś do pani. Będzie nam robił problemy?

– Obawiam się, że, jego zdaniem, pewna osobista sprawa między nami nie została zakończona – powiedziała Maggie bez emocji, co najwyżej z lekkim rozbawieniem.

– A nie została?

– Jeśli pyta pan, czy będzie nam to przeszkadzać w rozpracowywaniu tych zabójstw, to odpowiadam, że nie pozwolę na to – oświadczyła tym razem z powagą.

– Nie o to chodzi. Chciałem mieć pewność, czy ten dupek nie będzie pani dokuczał. Jak będzie pani miała z nim problem, ma pani mój telefon. Niech pani dryndnie. Ja się nim zajmę.

Maggie przystanęła u stóp schodów i spojrzała na niego.

– Próbuje mnie pan chronić, detektywie Pakula?

Zatrzymał się w pół kroku, gotowy do przeprosin. Czyżby zamierzała zmyć mu głowę, że miał czelność uznać, iż Maggie potrzebuje ochrony tylko dlatego, że jest kobietą? Jezu!

– Już dawno nikt nie traktował mnie jak starszy brat – oznajmiła z uśmiechem. – To miłe. – Zanim odpowiedział, ruszyła przed siebie i wyszła na zewnątrz przez szkolną bramę.

Kiedy siedzieli już w samochodzie, Maggie przekazała detektywowi swoją rozmowę z siostrą Kate Rosetti, lekcję na temat sztyletów i ich popularności związanej z komputerowymi grami opartymi na średniowiecznych krucjatach. Podzieliła się także swoją teorią, że mordercą mógł być nastolatek molestowany przez księdza. Pakula słuchał, nie przerywając jej.

– Zapomina pani o jednym – rzekł w końcu. – Jak piętnasto- czy szesnastolatek przemieściłby się z Minneapolis do Omaha i dalej do Columbii z stanie Missouri.

– Każdego z tych morderstw dokonano podczas weekendu, więc nie musiałby się urywać ze szkoły. Wie pan,

jeszcze tego dokładnie nie przemyślałam. Mówię tylko, że należy wziąć to pod uwagę.

– Że morderca może być nastolatkiem?

– Albo jest ich dwóch. Może wpadli na ten pomysł, zainspirowani jakąś grą internetową.

– Myśli pani, że dzieciak, czy też dwóch, zaplanowałby coś takiego i zrobił to w miejscu publicznym? Że potrafiłby z zimną krwią zasztyletować katolickiego księdza i odejść spokojnie z miejsca zbrodni? Każe mi pani coś takiego wziąć pod uwagę?

– Brzmi zbyt niewiarygodnie, tak?

– Owszem.

– Okej. No więc niech pan sobie wyobrazi, że nikomu nie przyszło do głowy, aby dwóch nastolatków mogło skonstruować dwie dziesięciokilogramowe bomby i podłożyć je w szkolnej stołówce, żeby zabić pięćsetkę swoich szkolnych kolegów. Nikt nie brał pod uwagę, że jeżeli te bomby nie wybuchną, chłopcy uzbroją się w strzelbę i pistolet, po czym z całym spokojem zastrzelą dwunastu uczniów i jednego nauczyciela.

– Chciałbym wierzyć, że Eric Harris i Dylan Klebold stanowią absolutny wyjątek – odparł Pakula świadomy, niestety, że to nieprawda. Po przytoczonym przez Maggie przykładzie nie mógł dłużej podważać jej teorii. – Ale mówiła pani, że to jakiś zabójca dokonał egzekucji.

– A czy niektóre z tych gier tego nie uwzględniają? To znaczy czy nie zachęcają uczestników, żeby zostali wykonawcami egzekucji?

– Za mało o tym wiem. Pewnie tak. Wszystko jest możliwe. Jeśli chce pani znać prawdę, też myślałem, że sprawców mogło być więcej, ale żeby jakiś dzieciak... Nie mieści mi się to w głowie.

– Jednego się nauczyłam, detektywie Pakula, już dziesięć lat ścigając morderców. Nigdy nie wolno nikogo wykluczać.

– Myśli pani o tym, co było w Platte City cztery lata temu? – Potrzebował chwili, żeby przypomnieć sobie szczegóły tamtej sprawy, a kiedy już mu się udało, przypomniał sobie także plotki. – Czy nie powiedziała pani gdzieś, że pani zdaniem osądzono niewłaściwego człowieka? Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, psycholog z FBI, czyli właśnie pani, uważała, że mordercą był młody ksiądz katolicki.

– Nadal w to wierzę.

– Dlaczego pani odpuściła?

– Nie odpuściłam. – Gdy spojrzała na niego, zobaczył w jej oczach złość, zanim nad nią zapanowała i wróciła do oglądania krajobrazu za oknem. – Wszyscy w Platte City, włączając w to szeryfa Nicka Morrellego, byli zadowoleni, że mają mordercę, a raczej morderców. Timmy Hamilton uciekł i przeżył. Jak przypuszczam, wszyscy uznali, że to dobre zakończenie.

– Skoro dzieciak uciekł, to nie mógł zidentyfikować tego gościa?

– Nie. Timmy mówił, że mężczyzna zawsze nosił maskę przedstawiającą Richarda Nixona. Oczywiście, rozumiem, że ludzie chcieli zamknąć tę paskudną sprawę. Uznali, że mordercy zostali schwytani. Dlaczego mieliby myśleć

inaczej? W końcu nie porwano już ani nie zabito żadnego chłopca.

– Tak, to ma sens – przyznał Pakula.

– Nikt jednak nie dostrzegł, a raczej nikogo nie obchodziło, że nagle zniknął ojciec Michael Keller. Wyjechał z kraju. Nawet w archidiecezji Omaha nie wiedzieli, dlaczego wyjechał ani gdzie się podział. Twierdzili, że nigdzie go nie przenieśli, do żadnej innej parafii. Nie brał także urlopu. Po prostu zniknął.

Urwała, a Pakula zerknął na nią. Patrzyła teraz przez przednią szybę, ale sprawiała wrażenie nieobecnej. Trzymała ręce na kolanach i bawiła się nitką wyciągniętą z żakietu. Potem podjęła, jakby czuła, że musi wyjaśnić wszystko do końca:

– Śledziłam go przez jakiś czas, jak potrafiłam, zresztą zupełnie bezprawnie. Nie postawiono mu zarzutów, a on opuścił granice Stanów. Musiałam bazować na plotkach. Rysopis anglojęzycznego księdza, który nagle pojawił się w małej parafii w biednej wiosce w okolicy Chiuchin w Chile, odpowiadał rysopisowi Kellera. Myślałam, że już go mam, i wtedy znowu zniknął, pojechał do jakiejś innej wioski.

– Jak to możliwe, że Kościół nic nie wiedział? Facet przyjeżdżał gdzieś ni stąd, ni zowąd i udawał, że jest nowym księdzem?

– Z tego, co zdołałam ustalić, tak właśnie było i pewnie nadal stosuje tę metodę. Mnóstwo z tych biednych wiosek od lat nie miało księdza. Ludzie jeżdżą szmat drogi, żeby

wziąć udział we mszy, a tu ksiądz sam do nich przyjeżdża. O nic go nie pytają. Są zadowoleni. Zrobią wszystko, byle go zatrzymać. Może nawet ukrywają jego obecność przed innymi.

– Niestety, nie byłby to pierwszy wypadek ucieczki zbrodniarza. – Pakula wyprostował ramiona. Zastanawiał się, czy nie przesadził tego ranka z workiem treningowym.

– Jednak kto wie, może wcale nie uciekł.

– To znaczy?

– To właśnie on dzwonił do mnie, zanim weszliśmy do szkoły.

– O kurna! Żartuje pani. – Nagle Pakula coś sobie uprzytomnił. – Mówiła pani o jakiejś liście. On na niej jest?

– Tak – odparła z uśmiechem.

– I czego chce, do diabła?

– Ochrony. I lekarza. Uważa, że morderca go otruł.

Pakula nie mógł w to uwierzyć.

– Czemu, kurna, ten Keller myśli, że będziemy go chronić?

– Po pierwsze może nam powiedzieć, kto jeszcze znajduje się na liście.

– Ma tę listę?

– Tak twierdzi.

– A pani mu wierzy?

– Tak. Mówi, że Daniel Ellison na niej jest.

Pakula patrzył na nią, póki nie zdał sobie sprawy, że zbliżają się do znaku stop. Nie spuszczając oczu z drogi, powiedział:

– Zawarła pani z nim umowę, prawda? – W zasadzie nie było to pytanie.

– Pewnie powinniśmy pogadać o tym z komendantem Ramseyem – powiedziała spokojnie.

Pakula poczuł, jak pot spływa mu po plecach. Podkręcił klimatyzację i przechylił jeden z wentylatorów, żeby wiało mu prosto w twarz.

– Zrobimy to, ale później – rzekł. – Mamy jakieś pół godziny do spotkania z tą wścibską reporterką. – Musiał zebrać myśli. Przede wszystkim musiał odpocząć. Ta sprawa z każdą chwilą się komplikowała. – Może wpadniemy gdzieś na lunch? Zjedlibyśmy do spółki pizzę w La Casa. Lepszej pani nie znajdzie w okolicy.

– Z włoskimi kiełbaskami?

– Pod warunkiem, że dostaniemy ser romano – targował się.

– Umowa stoi – odparła z uśmiechem.

– O kurna. – Pakula uderzył się w czoło. – Hamilton! Ten dzieciak, siostrzeniec Morrellego, nazywa się Timmy Hamilton. A pani pytała go, jak się ma jego siostra Christine?

– Zgadza się. O co chodzi?

– Właśnie sobie uświadomiłem, i nie sądzę, żeby to był zbieg okoliczności, że ta ciekawska reporterka z „Omaha World Herald” nazywa się Christine Hamilton.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Liceum Matki Boskiej Bolesnej
Omaha, Nebraska

Gibson czekał na Timmy'ego przed salą siostry Kate. Timmy oznajmił mu, że prawie na pewno rozpoznał tę kobietę, która rozmawiała z siostrą. Twierdził, że to agentka FBI i że ją zna. Taa, akurat, chciał powiedzieć Gibson, ale milczał. Lubił Timmy'ego. I cieszył się, że ma kumpla.

Poprzedniego dnia odkryli, że ich domy dzielą tylko trzy przecznice, więc Gibson zaprosił go znowu, żeby pograli w jakieś gry na komputerze. Zastanawiał się, co zatrzymało Timmy'ego tak długo. Może wpadł na tę agentkę FBI. Poszedł zadzwonić do mamy ze starego szkolnego automatu, zapytać ją, czy może iść do Gibsona. Gibsonowi nie mieściło się w głowie, że Timmy nie posiadał komórki, przypuszczał, że był jedynym nastolatkiem, który nie miał czegoś tak niezbędnego do życia.

Tego dnia czuł się dosyć dobrze. Siostra Kate zainteresowała się jego kolekcją, i to bardziej, niż się spodziewał. Pochwaliła go nawet, powiedziała, że jest pod wrażeniem, że znalazł i kupił za przyzwoitą cenę takie wyjątkowe autentyczne przedmioty. Tak, nazwała je wyjątkowymi. I powiedziała, że jest pod wrażeniem.

Zaimponował siostrze Kate, on i jego kolekcja. Taa, to był dobry dzień. Jeden z najlepszych od dłuższego czasu, pewnie od momentu, gdy pomagał siostrze przy katalogowaniu zbiorów. Może pokaże Timmy'emu aktówkę, którą znalazł w swoim plecaku. Miał nadzieję, że obecność kumpla doda mu odwagi, żeby obejrzeć jej zawartość. Kiedy otworzył aktówkę i trafił na nazwisko wielebnego O'Sullivana, schował ją na dnie szafy. Nie chciał, żeby mu przypominano o zmarłym księdzu, nie miał ochoty czytać jakichś głupich dokumentów na jego temat.

Zarzucił plecak na ramię i oparł się o ścianę. Może Timmy musiał rozmienić pieniądze w biurze szkoły. Do automatu potrzebne były dwudziestopięciocentówki. Pewnie niewiele już zostało takich automatów. Były naprawdę stare. Uśmiechnął się i pomyślał, że siostra Kate powinna poprosić o ten automat do swoich zbiorów, kiedy szkoła wymieni go na nowy.

– Hej, ty tam. Co robisz?

Gibson wyprostował się i odsunął od ściany. To był ten wysoki gość z orlim nosem, który szperał poprzedniego dnia w gabinecie wielebnego O'Sullivana. Szedł w stronę Gibsona z wyciągniętym palcem, jakby chciał go przyszpilić do tego miejsca. I udało mu się. Gibson nie mógł zrobić kroku, nie był w stanie nawet oddychać.

– Co tu jeszcze robisz? Zajęcia się skończyły.

– Ja... no... – Gibson chciał odpowiedzieć, ale język przykleił mu się do podniebienia.

– Widziałem cię wczoraj, tak? Węszyłeś koło gabinetu wielebnego O'Sullivana?

Mężczyzna stał nad nim, patrzył na niego z góry, wciąż trzymał wyciągnięty palec, stukał nim w pierś Gibsona.

– Co tutaj jeszcze robisz?

– Ja... no... czekam.

– Jesteś z kimś umówiony? – Mężczyzna rozejrzał się. – Może spotykasz się z kimś, żeby się wymienić?

– Co?

– Czy nie to właśnie robicie, jak wszyscy wyjdą? Ubijacie interesy?

Gestem podkreślił słowa „wyjdą” i „interesy”. Gibson pojęcia nie miał, o czym facet mówił. Serce biło mu jak szalone, bał się, że jak jeszcze raz ten gość stuknie go palcem w pierś, to serce mu pęknie.

– Co masz w plecaku? Narkotyki? Na to właśnie czekasz? Żeby coś sprzedać? Otwieraj.

Gibson mocniej przycisnął do siebie plecak. Czasami nauczyciele przeszukiwali plecaki i torby, ale ten facet budził w nim strach. Czekał tylko na odpowiedni moment, żeby zwiać.

– Rób, co każę.

Gibson starał się nie patrzeć w oczy mężczyzny. Czuł, że mają w sobie złą moc. Powinien spojrzeć, żeby to tamten spuścił wzrok, żeby wiedział, że Gibson się nie boi, ale nie mógł. Bał się.

– Daj mi plecak – powiedział obcy i wyciągnął rękę. Wtedy Gibson skoczył w bok i próbował uciec. Mężczyzna chwycił

jeden z pasków plecaka i pociągnął Gibsona z taką siłą, że omal go nie przewrócił.

– Co się tam dzieje? – Gibson usłyszał głos ojca Tony'ego, ale nie widział nic poza czarną postacią swojego prześladowcy.

– Wszystko pod kontrolą – odparł mężczyzna głosem, który w niczym nie przypominał tego, którym zwracał się do Gibsona. Teraz mówił niemal łagodnie i uspokajająco. I zwolnił nieco uścisk.

Gibson wyrwał się, tym razem skutecznie, dosłownie cudem uniknął uniesionej do uderzenia ręki. Zbiegł po schodach. Nie odpowiedział nawet, kiedy ojciec Tony wołał za nim, czy wszystko w porządku. W końcu komu uwierzyłby ojciec Tony? Gibsonowi czy Darthowi Vaderowi z Matki Boskiej Bolesnej?

Gibson biegł, aż dotarł na sam dół i pchnął drzwi wyjściowe. Nadal biegł, najpierw chodnikiem, dalej przez parking, nie oglądał się za siebie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Centrum Świętego Franciszka
Omaha, Nebraska

Maggie spostrzegła Christine Hamilton. Machała do niej i do Pakuli. Christine maszerowała przez dużą salę, przeciskała się między stołami, przy każdym z nich siedziało kilkunastu ochotników przy telefonach. Kiedy w końcu do nich dotarła, uściskała Maggie serdecznie.

– Cześć, Christine, dużo czasu upłynęło.

– Wyglądasz świetnie. – Wyciągnęła rękę do Pakuli: – Christine Hamilton. Detektyw Pakula, jak sądzę. Dziękuję, że zgodził się pan spotkać ze mną w tym miejscu.

– Detektyw Sassco zapewnił mnie, że chodzi wyłącznie o fakty i dobro sprawy, żadnych skrytych zamiarów czy medialnych sztuczek.

– Proszę mi wierzyć, detektywie, nie mam skrytych zamiarów. Próbuję tylko dociec prawdy. Podobnie jak pan.

Maggie zerknęła na Pakulę, ciekawa, czy uwierzył Christine, potem przeniosła na nią wzrok, żeby przekonać się, czy była z nimi szczera. Maggie pamiętała ich poprzednie spotkanie w Platte City, kiedy to Christine, wówczas początkująca dziennikarka, wykorzystała wszelkie możliwe środki, byle wypchnąć swój materiał na pierwszą stronę. Potem, kiedy porwano jej syna, zrozumiała, na czym

polega etyka zawodowa. Oczywiście, że tak. Pytanie tylko, na jak długo.

– No to zobaczmy, co pani dla nas ma – rzekł Pakula, pokazując głową w stronę, z której przyszła Christine.

– Nie wiem, czy zna pan to centrum. – Christine prowadziła ich pomiędzy stołami. Musiała mówić głośniej, żeby przebić się przez dzwonki telefonów i szum rozmów. – Centrum Świętego Franciszka rozpoczęło działalność jako schronisko dla matek i dzieci jakieś dwadzieścia lat temu. Z czasem rozrosło się, teraz jest tu gorąca linia dla molestowanych, a na tyłach znajduje się magazyn żywności.

Maggie zauważyła, że wielu ochotników siedziało w milczeniu ze słuchawką przy uchu, zapewne wysłuchiwali czyichś zwierzeń. Inni mówili łagodnym głosem, niewiele głośniejszym od szeptu. Zdała sobie sprawę, że ze względu na charakter tych rozmów, ilość aparatów i ochotników zależała od dostępnej przestrzeni.

– Na tyłach mamy pokój – oznajmiła Christine, wskazując drzwi w odległym rogu sali.

Pomieszczenie zaskoczyło Maggie. Przypominało przytulny salon: sofa, fotele do kompletu, stolik ze szklanym blatem oraz półki na książki sięgające sufitu. Barek w kącie zaopatrzony był w różne napoje, aromat świeżo parzonej kawy wypełniał pokój. Kiedy weszli do środka, jakaś kobieta właśnie nalewała sobie kawę, a młody mężczyzna nakładał na talerz miniaturowe kanapki i owoce. Znieruchomieli na moment, potem się odwrócili, żeby ich przedstawiono.

– No! Widzę, że nie musimy wybierać się na lunch – rzekł Pakula.

Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że Christine zaprosiła gości, Maggie zaś czekała na wyjaśnienie.

– Agentka O'Dell, detektyw Pakula, a to Brenda Donovan i jej syn, Mark.

Goście byli przyjacielsko nastawieni, ale trzymali się na dystans, nie wyciągnęli ręki do powitania i unikali kontaktu wzrokowego. Kiedy już napełnili talerze, wzięli serwetki oraz filiżanki i usiedli wokół stolika, Maggie została z boku i obserwowała Christine i jej znajomą. Brenda Donovan ubrana była w niebieskie spodnie z poliestru i T-shirt z kolorowym patchworkowym misiem. Na nogach miała białe pozdzierane sandały. Jej ręce także były zniszczone, zaczerwienione od kontaktu z chemikaliami albo długiego moczenia w wodzie. Paznokcie nosiła krótko obcięte tak samo jak włosy, żeby nie wymagały specjalnej pielęgnacji. Maggie odniosła wrażenie, że Brenda całe życie ciężko pracowała, dorobiła się zmarszczek wokół oczu i siwiejących włosów, które niegdyś musiały mieć piękny karmelowy odcień brązu.

Ta szorstkość i surowość nie dotyczyła Marka Donovana. Młody mężczyzna o gładkiej cerze – zdaniem Maggie dobiegający dwudziestki – miał figurę człowieka, który spędza życie na kanapie. Jego krótko przycięte włosy były wilgotne, jakby wyciągnęli go spod prysznica, a podkrążone oczy świadczyły o braku snu. Za to niczego nie brakowało jego apetytowi. Nałożył sobie tyle na mały talerzyk, że

winogrona i plasterki salami zwisały z brzegów. Jeżeli mieli być świadkami jakiegoś wyznania, jak podejrzewała Maggie, Christine przewidziała, że jedzenie doda Donovanom pewności siebie.

Maggie spotkała się wzrokiem z Pakulą i skinęła w stronę jego pełnego talerza.

– Nie umiem sobie odmówić darmowego jedzenia. – Zostawił ją i usiadł na jednym z foteli naprzeciw sofy, gdzie przysiedli matka z synem.

Maggie otworzyła dietetyczną pepsi i raz jeszcze spojrzała na pozostałe napoje. Nie zauważyła, że Christine przystanęła obok niej.

– Słyszałam, że dziś rano spotkałaś się z Nickiem – powiedziała cicho.

– Nie miałam pojęcia, że jest znowu w Omaha. Rzucił pracę w Bostonie? – Maggie nie ujawniła, że wiedziała, iż jeszcze w minionym miesiącu Nick był nadal zatrudniony na stanowisku zastępcy prokuratora okręgowego. Jako agentka FBI posiadała dostęp nawet do tych informacji, o które nie prosiła.

– Nie, w dalszym ciągu tam pracuje. – Christine wzięła puszkę wody sodowej, ale w przeciwieństwie do Maggie nalała ją do szklanki z lodem. Potem nagle wypaliła: – Czy wiesz, że złamałaś serce mojemu bratu?

– Słucham?

Maggie spojrzała na Christine osłupiała, niepewna, czy to żart. Nie tak dawno, gdzieś przed rokiem, zadzwoniła do mieszkania Nicka. Telefon odebrała jakaś kobieta,

powiedziała, że Nick jest właśnie pod prysznicem i że przekaże mu wiadomość. Maggie do tej pory pamiętała, jak ją to zabolało, ale zaakceptowała fakt, że postanowił na nią nie czekać i urządzić sobie życie.

– Wybacz, pewnie nie powinnam ci tego mówić. – Głos Christine brzmiał szczerze. – Zabiłby mnie, gdyby dowiedział się, że cokolwiek powiedziałam, ale naprawdę czuł się zraniony, kiedy go rzuciłaś. – Uśmiechnęła się lekko. – Chyba przedtem nikt go nie rzucił.

– Rzuciłam? – Maggie usiłowała mówić cicho, ale spostrzegła, że Pakula odwrócił głowę w ich stronę. – To on mnie rzucił.

– Nick twierdzi co innego – oznajmiła Christine, ale kolejny uśmiech świadczył o tym, że wiedziała swoje. – Przypuszczam, że powinnyśmy dołączyć do reszty.

Maggie nie miała ochoty myśleć o Nicku Morrellim. Niespodziewane spotkanie tego ranka wypadło nie najgorzej. Nie zaczęła nagle niczego żałować ani tęsknić… czy coś w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, nic nie czuła. Urazę, którą chował Nick, jak stwierdził Pakula, tłumaczyło jego przekonanie, że to ona go rzuciła. Oczywiście, jej myśli były miliony kilometrów dalej, krążyły wokół Kellera i jego przyjazdu. Informacja, że myliła się co do Nicka, że nie wiedział nawet, dlaczego unikała jego telefonów i pozwoliła, żeby się rozstali, po tak długim czasie nie powinna już mieć znaczenia.

Zanim Maggie doszła do wniosku, czy ostatecznie to ma jakieś znaczenie, czy jednak nie, Christine nachyliła się ku

niej i dodała pojednawczym tonem:

– Nie przejmuj się, przejdzie mu. Nic mu nie będzie. Za miesiąc się żeni.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Centrum Świętego Franciszka
Omaha, Nebraska

Tommy Pakula przełknął miniaturową kanapkę i równie szybko wsadził do ust kolejną, popijając resztką kawy, zanim druga kanapka przeszła mu przez gardło. Był to nerwowy nawyk. Napychał brzuch, kiedy tylko czuł, że traci kontrolę, a ta sprawa wywoływała w nim takie właśnie poczucie.

– Niezłe – powiedział, mając na myśli jedzenie i kiwając głową w stronę Brendy Donovan, która patrzyła na niego cały czas znad filiżanki. Jej syn w ogóle nie zauważał, że ktoś prócz niego jest w pokoju, a przynajmniej nie pokazywał tego po sobie. Mruknął tylko „dzień dobry”, kiedy goście zostali sobie przedstawieni, a teraz pożerał jedzenie, nie podnosząc wzroku.

Christine Hamilton wskazała fotel O'Dell, potem przysunęła sobie krzesło i usiadła pomiędzy przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości i Donovanami. Pakula odgadł już, że to oni są ofiarami.

Musiał docenić Hamilton. Nie zamierzała ograniczać się do wyrażenia własnej opinii, pragnęła ją dobitnie podkreślić, poruszyć w nich czułą strunę albo zaszokować. Nie zdawała sobie sprawy, że Pakula widział już i słyszał

wszystko co najgorsze, począwszy od noworodka utopionego w muszli klozetowej w sklepie Gas'n Shop po domową kłótnię, podczas której mąż przybił żonę do ściany pokoju narzędziem do wbijania gwoździ.

– Ilekroć rozmawiałam z detektywem Sassco – zaczęła Hamilton – nalegał, żebym wsparła czymś oskarżenia, niezależnie od mojego dziennikarskiego prawa do utajnienia źródła informacji. Mark i jego matka są bardzo dzielni, że się tutaj dzisiaj zjawili, ale prosili, bym stale powtarzała, że nie znaczy to w żadnym wypadku, iż są skłonni podpisać oficjalny policyjny raport.

Pakula nie spuszczał wzroku z Marka. Młody mężczyzna do tej pory nie podniósł głowy znad jedzenia. Raz na moment przestał jeść, ale tylko po to, żeby łyknąć coli. Nagle Pakula zdał sobie sprawę, że Hamilton na niego patrzy, czekała, aż wyrazi zgodę na postawione warunki.

– W porządku. – Zerknął na O'Dell, ona wydawała się nieobecna, pewnie próbowała wymyślić, co zrobić z Kellerem.

– Brenda – podjęła Hamilton – Chciałabyś zacząć?

– Kiedy zmarł mój mąż... – Brenda Donovan odstawiła kubek z kawą i splotła palce. Patrzyła na Pakulę od momentu, gdy wszedł do pokoju, ale teraz rozglądała się dokoła, unikając jego wzroku. – No więc Mark ciężko przeżył jego śmierć. Byli bardzo blisko związani. Wielebny O'Sullivan, który był wtedy ojcem O'Sullivanem, zapytał, czy może przyjść na obiad, spędzić trochę czasu z Markiem. Powiedział, że się o niego martwi. Wychowywano mnie

w przekonaniu, że nie ma lepszego sposobu na to, żeby dom i rodzina zostały obdarzone łaską, niż kiedy ksiądz z parafii przychodzi na kolację. Musi pan to zrozumieć. No cóż, pewnie pan nie rozumie...

– Ależ rozumiem – rzekł Pakula. – Jestem katolikiem.

– Ja też – wtrąciła O'Dell.

Brenda zerknęła na nią, potem na Pakulę, jakby widziała ich po raz pierwszy. Pakula zastanawiał się, czy wiedząc, że ma do czynienia z katolikami, zaufa im bardziej, czy tylko wzmocni to jej nieufność.

– Kiedy Mark w końcu powiedział mi, co robił mu ojciec O'Sullivan za każdym razem, kiedy proponował, że położy Marka do łóżka... wstydzę się przyznać, ale mu nie uwierzyłam. Miał wtedy dziesięć lat. Chłopcy w tym wieku wymyślają rozmaite bajdy.

– Ale ja tego nie wymyśliłem – wtrącił Mark.

Wszyscy zwrócili głowy w jego stronę, zdumieni, że słuchał.

– Wiem, wiem – powiedziała Brenda. – Ale tak mi mówił ojciec O'Sullivan, kiedy w końcu zebrałam się na odwagę i poprosiłam, żeby więcej nie przychodził na kolację. Powiedział mi, że jeśli wierzę w kłamstwa mojego syna, to ja także nie mogę już nigdy przychodzić do jego domu na kolację. – Podniosła wzrok i szukała w ich twarzach zrozumienia. Najwyraźniej zobaczyła w zamian zakłopotanie, gdyż zaczęła tłumaczyć: – Jego domem był Kościół, a posiłkiem komunia święta. Byłam zdruzgotana.

Nie wiedziałam, że ksiądz może tak ukarać. Poszłam zatem do arcybiskupa Armstronga.

Pakula siedział spokojnie, natomiast Brenda Donovan kręciła głową, jakby wciąż w to wszystko nie wierzyła. Przeniósł wzrok na O'Dell, która nie tylko słuchała pilnie, ale nawet przesunęła się na skraj fotela.

– Proszę nam powiedzieć, co usłyszała pani od arcybiskupa, Brendo – powiedziała Christine.

– Ojciec O'Sullivan musiał go uprzedzić o mojej wizycie. Arcybiskup zapytał, dlaczego chcę zniszczyć reputację księdza takimi kłamstwami. Wziął mnie za ręce i prosił, żebym się z nim modliła. Dopiero w połowie modlitwy dotarło do mnie, że modlimy się nie za mojego syna, ale za ojca O'Sullivana. Tamtego dnia opuściłam Kościół na zawsze.

Zapadła niewygodna cisza, ale Pakula czekał spokojnie w milczeniu. Nauczył się dawno temu, że kiedy ludzie zwierzają się ze swoich najgorszych przeżyć, niekoniecznie oczekują, żeby ktoś ich pocieszał. Wiedzą, że nigdy nic nie będzie już dobrze. Chcą tylko zostać wysłuchani.

– Mark nie był jedynym molestowanym chłopcem – powiedziała w końcu Hamilton. – Znalazłam jeszcze siedmiu, mają teraz od trzynastu do dwudziestu pięciu lat. Dwóm z nich archidiecezja wypłaciła ponad sto tysięcy dolarów. Jeden powiedział mi, że jego ojciec nie przyjął łapówki, kiedy Armstrong obiecał, że wyśle O'Sullivana na leczenie. O'Sullivan zniknął na dwa miesiące.

Pakula potarł brodę. Nie był zaskoczony. Słyszał o rozmaitych skandalach w całym kraju, ale musiał przyznać, że nie zwracał na to wielkiej uwagi. Był nawet wdzięczny, że archidiecezję Omaha jakoś to ominęło. Kiedyś wdał się w spór z Clare na ten temat, zasugerował, że nie rozumie, dlaczego chłopcy nie walczyli o swoje prawa. Dlaczego czekali tyle lat, aż dorosną, i sprawa ulegnie przedawnieniu. Zastanawiał się wówczas, czy wiele z tych spraw nie dotyczyło po prostu pieniędzy. Okej, więc ksiądz włożył dzieciakowi rękę do majtek, jest zdecydowanie psycholem, ale czy to taka wielka trauma, warta kilka milionów dolarów? Clare powiedziała mu wówczas, że nie ma pojęcia, co przeżyli tamci chłopcy.

– Współczuję pani i synowi, pani Donovan – oznajmił Pakula. – Szkoda, że nie poszła pani na policję zamiast do arcybiskupa.

– Wiem, wiem.

– A jak pan myśli, kurwa, komu uwierzyłaby policja? – rzucił Mark.

Na ten wybuch jego matka aż podskoczyła.

– Muszę cię o coś zapytać, Mark – rzekł Pakula. – Nie pomyśl sobie tylko, że nie obchodzi mnie to, co cię spotkało, cokolwiek to było, ale dlaczego nie kazałeś mu przestać?

– Miałem dziesięć lat – oświadczył Mark cicho i już bez złości. – Ksiądz, który, jak mnie uczono, jest namiestnikiem bożym, przychodził do mnie i klękał przy moim łóżku. – Potoczył wzrokiem po twarzach zebranych, jakby chciał się upewnić, że go słuchają. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach.

– Powiedział, że Bóg i mój ojciec patrzą na nas z nieba. Potem prosił, żebym zamknął oczy i odmówił z nim „Ojcze nasz”, więc tak zrobiłem. W połowie modlitwy poczułem, że włożył rękę pod moją kołdrę. Wsadził ją do moich spodni od piżamy, złapał mnie i zaczął ciągnąć. Czasami tak mocno, że aż bolało. Pamiętam, że raz otworzyłem oczy i zobaczyłem, że on dalej klęczał, miał rozpięty rozporek i drugą ręką trzymał swojego penisa, i też go ciągnął, tak mocno jak mojego. – Mark urwał i spojrzał Pakuli w oczy. Kiedy znów zaczął, mówił jak mały chłopiec: – Powiedział mi, że mój tata i Bóg patrzą na nas. Powtarzałem sobie, że nie pozwoliliby na to, gdyby to nie było w porządku. – Potem, jakby jeszcze wszystkiego nie wyjaśnił, dorzucił: – Miałem tylko dziesięć lat.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Plebania kościoła Najświętszego Sakramentu
Boston, Massachusetts

Ojciec Paul Conley po raz drugi zadzwonił małym dzwonkiem, który stał na jego biurku. Gdzież podziała się ta kobieta? Wyciągnął szyję, żeby wyjrzeć za drzwi, nie wstając z krzesła. Celowo ustawił biurko w taki sposób, żeby mógł widzieć salon i kuchnię, przynajmniej fragment kuchni, przesunąwszy krzesło odrobinę w prawo. Niestety, Anny Sanchez nigdzie nie było widać.

Zastanowił się, czy nie zadzwonić raz jeszcze. Ta kobieta bardzo się postarzała. Próbował wytłumaczyć Radzie Kościoła, że potrzebuje kogoś młodszego, bardziej energicznego. Kogoś, kto radziłby sobie nie tylko ze sprzątaniem i gotowaniem, ale także dbał, żeby po południu stał zawsze dzbanek świeżo zaparzonej kawy. Czy prosił o zbyt wiele?

Przechylił mocno kubek i zajrzał do środka. Tak, był pusty. Zakręcił się na krześle, ale nie wstawał. Chwycił dzwonek i tym razem potrząsnął nim ze złością. Czy wymagał zbyt wiele, oczekując, że ta kobieta przynajmniej go usłyszy, na Boga?

– Pani Sanchez! – krzyknął w końcu, na wypadek, gdyby zignorowała dzwonek.

Od czasu, gdy poskarżył się na nią Radzie Kościoła, stała się jeszcze wolniejsza i jeszcze gorzej słyszała. Pewnie tylko mu się zdawało, a jednak podejrzewał, że jedna z tych pyskatych członkiń Rady wypaplała jej wszystko. Najprawdopodobniej pani MacPherson. Ta kobieta nie potrafiła niczego zatrzymać dla siebie, nawet jeśli prosił ją o to sam Bóg.

– Pani Sanchez, mogę dostać kawę?

Westchnął przeciągle i najgłośniej, jak potrafił, odsunął wygodny skórzany biurowy fotel. Wziął do ręki kubek i wstał. Gdzież podziała się ta kobieta? Wmaszerował do kuchni, sądząc, że znajdzie ją przy zlewozmywaku albo że właśnie wyjdzie z pralni.

Zamiast tego przestraszył się tylko i przycisnął wolną rękę do piersi.

– A to co znowu?

Przy małym kuchennym stole siedział obcy młody mężczyzna i pił kawę.

– Witaj, ojcze – powiedział obcy z uśmiechem i wypił spory łyk. – Zostało jeszcze dużo kawy. – Pokazał na blat, gdzie stał dzbanek. – Pani Sanchez dopiero co ją zaparzyła.

– Kim pan jest? Czy pani Sanchez pana wpuściła? – Ojciec Conley wyjrzał na podwórze, szukając wzrokiem gospodyni.

– Muszę przyznać, że jestem rozczarowany, że ksiądz mnie nie poznaje. Co prawda, minęło chyba czternaście lat.

– Chwileczkę, jest pan ogrodnikiem? – Ojciec Conley zobaczył toporek z szopy w ogrodzie, który leżał teraz przy tylnych drzwiach obok czarnej teczki. – Zapomniała panu

zapłacić? – Przesunął okulary na czoło. Miał nadzieję, że kiedy lepiej przyjrzy się gościowi, rozpozna go. To na pewno jeden z robotników, pani Sanchez nie wpuściłaby obcego.

– Nie, nie jestem ogrodnikiem, chociaż pożyczyłem sobie parę narzędzi z szopy na tyłach ogrodu. Cicho tam i spokojnie. – Znowu wypił łyk kawy.

– Pani Sanchez z pewnością gdzieś tu się kręci, jeśli trzeba panu zapłacić. – Ksiądz podszedł do drzwi pralni i zawołał: – Pani Sanchez, jest pani tam?

– Wychowałem się w tej okolicy – oznajmił młody mężczyzna. – Byłem ministrantem. Przykro mi, że mnie ksiądz nie pamięta.

– Naprawdę? – Ojciec Conley raz jeszcze popatrzył bacznie na gościa, ale nadal go nie rozpoznawał. Mężczyzna siedział spokojnie jakby nigdy nic. – Jestem tutaj od dwudziestu lat. Wielu chłopców służyło mi do mszy. Trudno wszystkich pamiętać.

Nieznajomy odsunął na bok kubek, wyjął plastikowy worek i rozwinął go na stole. Ojcu Conleyowi worek przypominał przezroczystą torbę, w jakiej zwracają wyprane ubrania z pralni. A zatem może po to przyszedł ten człowiek. Pewnie jest z pralni i zjawił się tu po szaty liturgiczne, pomyślał. Ale dlaczego na plebanię, a nie do kościoła? To nie miało sensu.

– Przypuszczam, że trudno pamiętać wszystkich – rzekł młody człowiek i wstał od stołu. Naciągnął mocno worek, wsadzając doń obie ręce. Zacisnął pięści. – Ale miałem nadzieję, że pamięta ojciec tych, których pieprzył.

Nagle foliowa torba znalazła się na twarzy ojca Conleya, nie pozwalając mu oddychać. Walczył, wbijał paznokcie w dłonie, które owijały ciasno folią jego głowę, aż poczuł węzeł na karku. Usiłował złapać powietrze, kopał i machał rękami, próbował wydostać głowę z folii, ale została owinięta tyloma warstwami, że nie dał rady.

Mimo to nadal podejmował próby uwolnienia się, miotał się, uderzał o blat, strącał na podłogę garnki i patelnie, które nie wydawały żadnego dźwięku. Upadł na kolana, cały czas próbował rwać folię, miał ją w ustach, przylepiła mu się do podniebienia i wpadła do gardła, kiedy otwierał usta jak ryba pozbawiona wody.

Zabrakło mu powietrza, nie miał już siły walczyć. Runął na podłogę. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył ojciec Paul Conley, były martwe oczy pani Sanchez patrzące na niego spod stołu w rogu kuchni.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Omaha, Nebraska

Maggie wróciła do hotelu kompletnie wypompowana. Kiedy jechali z Pakulą z Centrum Świętego Franciszka do Embassy Suites, ledwie zamienili słowo. Pakula powiedział, że pogada z Ramseyem na temat ojca Michaela Kellera oraz że jego szef i zastępca dyrektora Cunningham powinni ustalić, jak rozwiązać tę kwestię. Maggie poczuła ulgę, ale tylko do momentu, gdy przypomniała sobie, że to ona musi spotkać się z Kellerem. Oznajmił wszak, że tylko jej przekaże informacje.

A przecież nie darzył jej specjalnymi względami, nie złożył swej propozycji z uprzejmości. Musiał wiedzieć, że go poszukiwała, wypytywała o niego, przez nią nie mógł pozostać dłużej w jednym miejscu. A teraz z niej zadrwił, pokazał jej, gdzie jest jej miejsce.

Kiedy Maggie słuchała Marka Donovana, nagle przyszło jej do głowy, że wcale tak bardzo nie różniła się od tego zabójcy księży. Keller dopuścił się potwornych zbrodni. Każdy, kto widział ciała tamtych chłopców, stwierdziłby to samo, a jednak Keller wymknął się sprawiedliwości, i to ją gryzło. Zło wyrządzone dzieciom jest najtrudniejsze do strawienia, najtrudniej stanąć wtedy z boku i patrzeć, jak złoczyńca ucieka i kontynuuje swoje dzieło. Nie można

pozwolić, żeby takie zło się panoszyło bez jakiejkolwiek kontroli, bez konsekwencji. To nie tylko niezgodne z prawem, to niemoralne. Czasami Maggie pragnęła gorąco, żeby Keller nie tylko zapłacił za swoje zbrodnie, lecz żeby zniknął na zawsze. Wtedy już nigdy nie mógłby skrzywdzić niewinnego dziecka. Czy nie to samo robił morderca? Wymierzał sprawiedliwość tym księżom, którzy zdołali uniknąć kary, powstrzymywał ich, zanim mieli okazję skrzywdzić kolejnego chłopca. Jedyna różnica między nim i Maggie była taka, że ona posiadała odznakę FBI.

Nie podobało jej się to porównanie. Zresztą czy jakikolwiek pracownik wymiaru sprawiedliwości z przyjemnością myślałby o sobie jak o wynajętym zabójcy? Maggie przystanęła na chwilę w hotelowym holu, rozważała, czy tam nie zostać. Jeszcze nie tak dawno temu nawet największe zmęczenie nie przeszkodziło jej w wypiciu szklaneczki szkockiej. Czasami nie było nic lepszego niż dwie, trzy szklaneczki szkockiej, żeby zmniejszyć stres związany z jej zawodem.

Jednak gdy tylko weszła do swojego pokoju, wyjęła telefon komórkowy. Nie sprawdzała wiadomości, wiedziała, że Gwen do niej nie zadzwoni. Wybrała numer przyjaciółki i zdziwiła się, kiedy ta podniosła słuchawkę już po trzecim sygnale.

– Gwen, jak się czujesz? – spytała Maggie.

– Dlaczego wszyscy bez przerwy zadają mi to pytanie?

– Przepraszam, ale jeszcze nie miałam okazji cię zapytać, bo nie odpowiadałaś na moje telefony. Bardzo się o ciebie

niepokoiłam.

Cisza. Maggie była na siebie zła. Wreszcie zdołała skontaktować się z przyjaciółką i robiła dokładnie to, czego Gwen chciała uniknąć.

– Przepraszam, Gwen. Ale zrozum, naprawdę się martwiłam.

– Myślę, że Racine zastanawia się, czy mnie aresztować.

– Aresztować cię? Za co, na Boga?

– Nie rozmawiałaś z nią dzisiaj?

– Rozmawiałam wcześnie rano. – Maggie przysiadła na skraju łóżka. – Co się dzieje?

– To skomplikowane. – Gwen miała zmęczony głos.

– Mimo to powiedz mi wszystko.

Maggie słuchała, nie przerywając, a Gwen opowiedziała jej o Rubinie Nashu i o swoich podejrzeniach, że to on był mordercą. Mówiła o instrukcjach, mapie, kolczykach, telefonie komórkowym, który morderca jej zostawił. Wszystko podrzucał do budynku, gdzie mieścił się jej gabinet. To dlatego Gwen uznała, że robi to któryś z pacjentów, ktoś, kto mógł tam wejść i wyjść niezauważony. Przyznała nawet, że kiedy Racine zwróciła się do Maggie o pomoc w śledztwie, liczyła, że zdoła podprowadzić Maggie do mordercy, nie narażając nikogo bliskiego.

Maggie, słuchając tej opowieści, pragnęła być blisko przyjaciółki, żeby wesprzeć ją czymś więcej niż „okej” albo „mów dalej”. Gwen przerwała, a Maggie uznała, że to

koniec, ale po chwili podjęła tak cicho, że ledwie było ją słychać:

– Powinnam była ci powiedzieć. Powinnam była ci powiedzieć na samym początku.

– Uważałaś, że postępujesz słusznie – odparła Maggie. – Ileż razy ja tak robiłam!

– Ale ty nigdy nie doprowadziłaś do czyjejś śmierci.

– To nieprawda. Jak możesz zapomnieć o Albercie Stuckym? – Maggie nadal przechodził dreszcz na sam dźwięk tego nazwiska. Stucky to było czyste zło. Uprawiał z nią śmiertelną grę w kotka i myszkę, zabijał kobiety, z którymi Maggie miała jakikolwiek kontakt. W sumie zabił cztery zwyczajne niewinne kobiety, których jedyny błąd polegał na tym, że poznały Maggie.

Gwen obiecała, że zadzwoni rano i podziękowała przyjaciółce. Maggie odłożyła telefon na nocną szafkę. Czuła się trochę dziwnie. Zazwyczaj to Gwen ją pocieszała, wydobywała z tarapatów i uspokajała. Na początku ich znajomości była jej mentorem, nauczycielką, a potem zostały najlepszymi przyjaciółkami. Tym razem Gwen liczyła na to, że Maggie ją uratuje.

Zrzuciła buty, zdjęła żakiet i powiesiła na oparciu krzesła. Odpięła pas z bronią i położyła go obok telefonu. Tylko z powodu tego pasa nosiła żakiet w lipcowym upale. Ludzie inaczej rozmawiali z uzbrojoną kobietą. Czasami ją to cieszyło, ale w większości wypadków irytowało.

Była spragniona. Była zbyt zmęczona, by szukać automatu z napojami, otworzyła więc barek i sięgnęła po butelkę

wody, lecz w tym samym momencie dojrzała miniaturową buteleczkę chivasa. Usiadła na stopach. Wyjęła buteleczkę z lodówki, była taka mała w jej dłoni. Tak mała, że nie warto chyba jej otwierać. Jednak postawiła ją obok butelki z wodą na stoliku w rogu, stwierdziwszy, że chivas z lodem będzie w porządku.

Wzięła wiaderko na lód, upewniła się, że ma kartę do pokoju i w samych pończochach poszła szukać maszyny z lodem, chociaż chwilę wcześniej zmęczenie nie pozwoliło jej szukać automatu z napojami. Zdumiewające, jak telefon od księdza mordującego dzieci, wyznanie ofiary pedofila i wspomnienie Alberta Stucky'ego wpłynęły na jej reakcję na widok butelki chivasa. I jakaż to stosowna kombinacja.

Znalazła maszynę z lodem na drugim końcu korytarza i zaczęła napełniać wiaderko, kiedy usłyszała, że ktoś minął niewielką wnękę, zatrzymał się i zawrócił.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła Nicka Morrellego w T-shircie, szortach khaki i na bosaka, z gazetą pod pachą i kartą do pokoju w ręce.

– Że też musieli cię umieścić akurat w tym hotelu, jakby ich brakowało w mieście.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Nick wiedział, że powinien przeprosić Maggie. Już wcześniej, podczas ich porannego spotkania, czuł, że bez powodu przyjmuje pozycję obronną... cóż, tego ranka powinien był bronić Tony'ego, ale teraz... teraz to było po prostu śmieszne.

– Nie podejrzewam twojego przyjaciela – oznajmiła.

Wyglądała na zmęczoną, rozglądała się dokoła. Czyżby szukała drogi ucieczki?

– Przyjacielska rada: powiedz mu, żeby przestał tak kręcić i odpowiadał na pytania policji. Tylko sobie szkodzi, dając im do zrozumienia, że coś ukrywa.

Nick oparł się o ścianę. Też był zmęczony. Skrzyżował ramiona na piersi, wciąż ściskał gazetę pod pachą.

– Mówiłem mu. – Przestał udawać, że go to nie denerwuje. – Właśnie tak mu powiedziałem. Ale on mnie nie słucha.

Po raz pierwszy spotkali się wzrokiem i przez krótki moment Nick przypomniał sobie tamten czas przed czterema laty, kiedy pracowali razem w Platte City. Dlaczego Maggie wydawała mu się najbliższa, kiedy przestawał odgrywać pewnego siebie twardziela?

– Sądzisz, że coś ukrywa?

– Nie wiem. Poznałem Tony'ego Gallaghera, kiedy mieliśmy pięć lat. Bywa uparty i potrafi postawić na swoim, ale wiem, że nie byłby zdolny do zabójstwa.

– Nawet gdyby uważał, że postępuje słusznie?

– Co masz na myśli?

Maggie postawiła wiaderko z lodem u swoich stóp i tak samo jak Nick splotła ręce na piersi. Zauważył, że zdjęła żakiet i miała na sobie tylko białą dzianinową bluzkę wsadzoną do spodni. Wyglądała dobrze, lepiej niż kiedykolwiek. I chociaż zmęczenie odcisnęło na niej ślad, Nick wyczuł w niej jakieś... zadowolenie. Czyżby wreszcie pozbyła się demonów przeszłości?

– Jestem przekonana – podjęła – że morderca nie uważa swojego postępowania za niewłaściwe. Może nawet sądzi, że działa z polecenia Boga.

Dreszcz przebiegł Nickowi po plecach. Pomyślał o tym, co Tony zdradził mu po przesłuchaniu, w tajemnicy, na temat konfrontacji z wielebnym O'Sullivanem. Mianowicie Tony powiedział O'Sullivanowi – a w zasadzie przestrzegł go – że jeśli oskarżenia okażą się prawdziwe, nie będzie milczał. Ale co to właściwie znaczyło?

Zanim Nick cokolwiek powiedział, kolejny gość hotelowy pojawił się na korytarzu z wiaderkiem na lód w ręku. Maggie odsunęła się na bok. Kobieta uśmiechnęła się do nich, a oni rozmawiali o pogodzie, dopóki nie napełniła swojego wiaderka. Potem odeszła, obdarzywszy ich kolejnym uśmiechem. Pewnie pomyślała, że przerwała sprzeczkę kochanków. Szła powoli, a gdy zniknęła im

z oczu, Nick zdał sobie sprawę, że obydwoje z Maggie nasłuchiwali, kiedy zamknie za sobą drzwi pokoju.

– Niezbyt dobre miejsce na poważną rozmowę – stwierdził Nick z uśmiechem. Chciał zaproponować, żeby kontynuowali w jego pokoju, ale dżentelmen powinien zaczekać, aż taka propozycja wyjdzie od kobiety. Może liczył na to, że Maggie go zaprosi? Tylko jak wtedy by się zachował?

Tej nocy miał apartament wyłącznie dla siebie. Jill wybrała się gdzieś z matką i druhną, zamierzała spędzić noc w rodzinnym domu. Dlaczego się tym przejmuje? Czyżby był aż takim głupcem? To idiotyczne.

– Muszę iść, mam jeszcze parę telefonów do wykonania – powiedziała w końcu Maggie, podniosła wiaderko, ale nie zrobiła ani kroku.

– Taa, ja też – skłamał.

– Dobranoc.

Nie zamierzał odprowadzać jej wzrokiem ani za nią iść, ale okazało się, że szli w tym samym kierunku. Bóg ma dziwne poczucie humoru, pomyślał, kiedy Maggie otwierała drzwi i wchodziła do pokoju niemal sąsiadującym z jego apartamentem.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Omaha, Nebraska

Gibson powiedział mamie, że nie czuje się dobrze. Nie, to nic poważnego, drobna niestrawność, może początek grypy albo coś takiego. Nie, nie trzeba wzywać lekarza, ale nie będzie jadł kolacji.

Naprawdę dokuczał mu żołądek, lecz nie z powodu grypy. To przez tego Dartha Vadera, który omal nie wgniótł go w ścianę. Chciał zostać w swoim pokoju, chciał, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Zastanawiał się, czy mógłby nie wychodzić z domu przez parę dni. Nie był pewien, czy zechce iść nazajutrz na zajęcia. Mama o niczym by się nie dowiedziała. Wychodziła do pracy przed nim i wracała po jego powrocie ze szkoły. Jeśli zamknie gębę Tylerowi, nie powinno być problemu. Musi pomyśleć, czym przekupić brata. Zwykle można było kupić jego milczenie. To tylko kwestia tego, na co miał ochotę.

Usiadł przed komputerem z nadzieją, że pomoże mu surfowanie po sieci. Nie grał od... od chwili, gdy zobaczył wielebnego O'Sullivana na lotnisku. Ile dni temu to było? Włączył komputer i czekał, aż się załaduje. W tym czasie podniósł plecak z podłogi i zaczął w nim grzebać. Musi tam być jakiś batonik. Sięgnął ręką dna i macał dokładnie, żeby nie wyrzucać całej zawartości. Jego palce trafiły na

papierowe opakowanie – sukces! Wyciągnął snickersa i zauważył, że ma nowy mail.

Wymienili się z Timmym adresami mailowymi. Pewnie Timmy był ciekaw, dlaczego Gibson nie zaczekał na niego po południu. Kliknął na kopertę przekonany, że dostał dwa listy od Timmy'ego. Temat pierwszego brzmiał: „Co się z tobą stało?”.

Drugi list był od Pożeracza Grzechów. Żołądek Gibsona znowu podszedł do gardła. Temat brzmiał: „Uwaga!!!”. Otworzył list, zanim całkiem sparaliżowało go ze strachu. Wyglądało to jak lista poleceń. U samej góry dużymi literami napisane było:

Jesteś bezpieczny, dopóki masz skórzaną aktówkę. Nie martw się. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził.

Na dole zadzwonił dzwonek do drzwi. Zignorował go. Mama nie wyszła jeszcze na swoje wieczorne zajęcia.

Aktówka. Jakim cudem Pożeracz Grzechów o niej wiedział? Gibson wstał od komputera i wyjął ją z szafy. Kiedy znalazł tę teczkę w swoim plecaku i otworzył, na pierwszej stronie ujrzał nazwisko wielebnego O'Sullivana. Powinien był od razu zrozumieć, że to coś ważnego, coś, co dotyczy tamtego popołudnia. To stąd Pożeracz Grzechów wiedział, że Gibson był na lotnisku. Bo on także tam był. Czy widział, kto włożył teczkę do plecaka Gibsona? A może sam Pożeracz Grzechów ją tam schował? Jeżeli należała do wielebnego O'Sullivana, a Pożeracz Grzechów mu ją zabrał, czy widział, kto zamordował księdza?

Gibson przysiadł na skraju łóżka. Jakiż on był głupi. Gra! Przecież podał nazwisko wielebnego O'Sullivana jako postaci, którą należy zlikwidować. Pożeracz Grzechów był przypuszczalnie jedyną osobą z gry, która znała i zapamiętała to nazwisko. Czy to Pożeracz Grzechów zabił wielebnego O'Sullivana? Czy może tylko przypadkiem obydwaj, Gibson i Pożeracz Grzechów, znaleźli się na lotnisku i widzieli zamordowanego księdza?

Mama wołała go z dołu. Dlaczego do niego nie wejdzie? Czy może ją zignorować? Nie, ponieważ wtedy mama przyjdzie na górę.

Gibson wstał z łóżka i podszedł do drzwi.

– Co?

– Zejdź tu na chwilkę, kochanie. Ktoś chce z tobą porozmawiać.

Czy to Timmy?

– Moment. Muszę zamknąć coś w komputerze. – Lekko trzasnął drzwiami, potem bardzo powoli i cicho otworzył je i na palcach wyszedł zobaczyć, kto do niego przyszedł.

Usłyszał podenerwowany szept mamy:

– Jestem pewna, że to pomyłka, bracie Sebastianie. – Reszta jej słów dotarła do niego zniekształcona, ale Gibsonowi zdawało się, że była mowa o narkotykach.

Dojrzał wreszcie rozmówcę matki, chociaż nie w całości, zobaczył owego brata Sebastiana. Mężczyzna stał tyłem do schodów, ale Gibson rozpoznał go mimo wszystko. To był Darth Vader.

Ledwie opanował panikę. Bezszelestnie wrócił do pokoju i zamknął drzwi na klucz, a potem rozejrzał się nerwowo. Musi się wydostać na zewnątrz. Zamknął laptop, wyciągnął kable i zwinął przewód, schował je do plecaka. Oderwał gadżet przyklejony taśmą do spodu wezgłowia łóżka, otworzył go i wyjął zwinięte banknoty. Wsadził je do bocznej kieszeni plecaka. Aktówkę schował na końcu.

Otworzył okno i natychmiast poczuł ciepłe lepkie powietrze, które uderzyło go w twarz. Raz jeszcze uważnie sprawdził, czy nikogo nie widać na ulicy. Słońce zaczęło już chować się za drzewami, ale tylko fanatycy upału spacerowaliby w taki wieczór.

Od roku nie korzystał z tej drogi ucieczki. Trzeba było ześliznąć się na dach ganku, a potem zeskoczyć na trawę. Nie robił tego dawno, bo mamy i tak często nie było w domu. Miał nadzieję, że teraz go nie zauważą, jak skoczy z dachu ganku. Będzie musiał pójść w lewo, a potem boczną aleją. I, cholera, nie mógł wziąć roweru, bo stał na ganku.

Założył plecak i poprawił paski, żeby trzymały ciasno. Nie mógł ryzykować, że zniszczy laptop. Nie miał pojęcia, dokąd się uda ani kiedy wróci.

Gibson ostatni raz omiótł spojrzeniem swój pokój, jedyne miejsce, gdzie czuł się bezpieczny. Potem skoczył.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Omaha, Nebraska

Gdy Tommy Pakula wszedł do domu tylnymi drzwiami, Clare stała akurat przy kuchennym zlewie. Zanim znalazł miejsce, gdzie mógł położyć dwa pudełka z pizzą, przystanął i pocałował żonę w kark. W zamian pogłaskała go po policzku.

– Dobrze smakujesz – powiedział. – Może wcale nie potrzebujemy pizzy.

– Dziewczynki umierają z głodu. – Spojrzała na niego z uśmiechem, ale był to smutny uśmiech.

Coś było nie tak.

– Co się stało?

Kiedy położyła mu palec na ustach, dając znak, żeby mówił ciszej, Pakula zyskał pewność, że stało się coś złego.

– Angie jest bardzo zdenerwowana – odparła szeptem Clare, patrząc ponad blatem, który oddzielał kuchnię od jadalni.

– Ktoś ją skrzywdził?

– Nie, nie. Nic w tym rodzaju. Dostała dzisiaj list z Creighton. Później ci go pokaże. Najpierw zjedzmy, dobrze? Pozwól, żeby sama ci powiedziała. Nie naciskaj.

– Jaki list? – Pakula już wiedział, co to za list, i od razu się zirytował.

– Cofnęli jej stypendium. W związku z niewystarczającymi funduszami, o czym dopiero teraz się dowiedzieli.

– Niewystarczające fundusze. Co za bzdura.

– Tommy. – Tym razem żona położyła palec na swoich wargach.

Posłusznie zniżył głos, choć nadal mówił ze złością:

– Dobrze wiesz, o co chodzi.

– Nie wiemy tego na pewno.

Przerwała im komórka Pakuli. Miał chęć rzucić nią przez pokój, ale spodziewał się telefonu od Ramseya.

– Muszę odebrać.

Clare skinęła głową i zabrała pudełka z pizzą do jadalni.

– Pakula – burknął do słuchawki.

– Dostałem twoją wiadomość – rzekł Ramsey bez powitania. – Za godzinę będę rozmawiał z Cunninghamem. Masz pojęcie, czym ojciec Michael Keller chce nas uraczyć?

– Podobno ma listę księży do zlikwidowania. Przypuszczalnie myśli, że ma coś więcej, co może nas doprowadzić do mordercy, ale nie powie tego O'Dell, dopóki nie będzie pewny, że umowa stoi i póki nie dotrze do Stanów.

– Jej zdaniem, on nie kłamie?

– O'Dell uważa, że Keller się boi. On też figuruje na tej liście.

Ramsey zamilkł, Pakula czekał, patrząc na Clare, która nakładała lód do szklanek i nalewała herbatę. Poruszała się w sposób, który działał na niego uspokajająco.

– No to już dostajemy po łapach – rzekł w końcu Ramsey ku wielkiemu zaskoczeniu Pakuli, który oczekiwał zupełnie innych słów. – Moja żona dowiedziała się dzisiaj, że wstrzymali grant dla jej szpitala. Mówi, że to przypadek, ale ja jestem innego zdania.

Pakula stanął plecami do Clare i jadalni, przeszedł na drugi koniec kuchni, żeby nikt z domowników go nie słyszał:

– Właśnie cofnęli stypendium mojej córki. Niewystarczające środki.

– Jezu! Żartujesz? – Ramsey zamilkł na chwilę. – No cóż, obydwaj wiemy, co jest grane.

– Taa. – Pakula przemilczał, że jednak nie sądził, że dupek będzie do tego zdolny, a przynajmniej nie tak szybko. – Zacznie srać kulkami, jak dowie się, co odkryłem dziś po południu.

– Co takiego?

– Zdaje się, że wielebny lgnął do młodych chłopców, a arcybiskup cały czas o tym wiedział.

– To ma sens.

– A co do tego Kellera, który zawarł umowę z O'Dell. Myślisz, że twój kumpel Cunningham się wścieknie?

– Nie, kiedy mu powiem, że mamy już pięciu zamordowanych księżych.

– Pięciu?

– Zastępca szeryfa z Santa Rosa, z Florydy, właśnie znalazł jednego na bagnach. Leżał tam pewnie jakiś tydzień. Rano dostanę kopię raportu autopsji.

– A piąty?

– Północny Boston. – Tym razem Ramsey urwał, Pakula słyszał szelest papieru. – Informacje nadal nadchodzą. Brak szczegółów. Jeśli dobrze rozumiem, stało się to wczoraj rano. To jest dopiero pokręcone, Pakula. Zaczynam myśleć, że zabójca albo coraz bardziej wariuje, albo przestaje nad tym panować.

– Jak bardzo pokręcone?

– Ofiara to ojciec Paul Conley z kościoła Najświętszego Sakramentu. Jego głowę znaleziono na ołtarzu.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Omaha, Nebraska

Gibsonowi udało się znaleźć pusty, słabo oświetlony boks w Goldberg's Bar and Grill na rogu Fiftieth i Dodge Street. Nie spodziewał się, żeby miał apetyt, ale zamówił cheeseburgera i frytki, więc kelnerka nie wzięła mu za złe, że zajął cały boks. Jedzenie pachniało tak smakowicie, że kiedy raz skubnął, po chwili nic nie zostało na talerzu. Najpewniej jadł bardziej z nerwów niż z głodu.

Zadzwonił do mamy z automatu w restauracji, a mama wpadła w histerię, nie dlatego, że uciekł z domu, ale dlatego, że brat Sebastian przekonał ją, iż Gibson bierze narkotyki. Był zaskoczony i powiedział jej to. Jak mogła uwierzyć obcemu człowiekowi, a nie własnemu synowi? Zapewnił matkę, że nigdy nie brał narkotyków ani nie handlował nimi.

Nie mógł powiedzieć jej o aktówce, chociaż był prawie pewny, że brat Sebastian po to właśnie przyszedł. Oznajmił za to, że brat Sebastian to zły człowiek i matka musi trzymać się od niego z daleka. Wtedy się roześmiała, nerwowym, lekko histerycznym śmiechem.

– Teraz ty reagujesz paranoicznie, Gibson. Czy nie tak właśnie działają narkotyki?

– Mamo, nie biorę narkotyków. Musisz mi uwierzyć.

Potem, niestety, skłamał i powiedział jej, że zostanie kilka dni u przyjaciela. Prawdę mówiąc, jeszcze nie zapytał Timmy'ego, czy to możliwe. Mama nie była zadowolona, że Gibson nie wraca do domu, ale nie dyskutowała z nim. Chciała tylko znać nazwisko tego przyjaciela i jego numer telefonu, a kiedy Gibson przyznał, że nie zna numeru, nalegała, żeby oddzwonił do niej z tą informacją jak najszybciej. Jeżeli tak się denerwowała, podejrzewając, że Gibson brał narkotyki, jak by się zachowała, wiedząc, że przyczynił się do śmierci księdza?

Gibson zabrał do stolika sfatygowaną książkę telefoniczną. Jeśli nie znajdzie numeru Timmy'ego albo jego mama nie pozwoli mu u nich przenocować, nie wiedział, co zrobi. Nie było nikogo innego, do kogo mógłby zadzwonić. Nikomu innemu nie ufał. Nikomu, może z wyjątkiem siostry Kate. Ona w pewien sposób uratowała go kiedyś, chociaż nie lubił wracać myślą do tamtego dnia. Nie pamiętał, czy wielebny O'Sullivan wezwał go wtedy do swojego gabinetu czwarty czy piąty raz. Zawsze kiedy stamtąd wychodził, wszystko było takie zamazane, ale jednego razu Gibson wyszedł niepewnym krokiem na korytarz i wpadł prosto na siostrę Kate. Był potwornie zażenowany, gdyż miał wciąż rozpięty rozporek. Jezu! Do tej pory czuł, jak zrobiło mu się wtedy gorąco.

Siostra Kate zachowała kompletny spokój. Zapytała, czy wszystko w porządku, a kiedy Gibson skinął głową, kazała mu iść na górę do swojej sali i chwilę zaczekać. Powiedziała mu nawet, żeby sobie wziął pepsi z lodówki. Ledwie dotarł

do szczytu schodów, kiedy usłyszał jej stanowcze kroki. Siostra Kate szła do gabinetu wielebnego. Gibson zatrzymał się, przechylił przez balustradę i nadstawił ucha, ale nie słyszał, żeby siostra Kate pukała, tylko trzaśnięcie drzwi, a potem ściszone głosy. Chyba się kłócili.

Dopiero kilka tygodni później zdał sobie sprawę, że wielebny O'Sullivan nigdy więcej nie zaprosił go do swojego gabinetu. Gibson był tak szczęśliwy, że potrzebował czasu, by sobie uświadomić, że zawdzięczał to siostrze Kate. Wtedy, oczywiście, czuł zakłopotanie, że siostra wszystkiego się domyśliła, ale nigdy ani słowem nie wspomniała na ten temat, nigdy nie traktowała go jakoś szczególnie, inaczej niż pozostałych uczniów. Gibson przez długi czas nie myślał o tamtym dniu. Nie lubił o tym myśleć. Brat Sebastian sprawił, że ogarnęły go taka sama bezsilność i lęk jak przy wielebnym O'Sullivanie. To mu się bardzo nie podobało.

W książce telefonicznej nie znalazł Kate Rosetti, więc zaczął szukać Hamiltonów, którzy mieszkali w odległości trzech czy czterech przecznic od jego domu. Jakaś Christine Hamilton mieszkała przy Cass Street, dokładnie jedną przecznicę od Goldberga. To na pewno mama Timmy'ego. Zapamiętał sobie ten numer.

Nie miał pojęcia, która była godzina. U Goldberga nigdzie nie widział zegara. Musiało być już późno. Za późno, żeby zadzwonić do Timmy'ego? Czy jego mama będzie zła i nie zawoła go do telefonu?

Gibson wyciągnął zwitek banknotów i pod stołem wyjął tyle, żeby starczyło na zapłacenie rachunku i napiwek. Zwinął pieniądze z rachunkiem i wsunął pod butelkę ketchupu, tak jak robił niegdyś jego ojciec. Potem wziął plecak, założył najpierw jeden, potem drugi pasek, żeby plecak dobrze się trzymał. Opuścił bezpieczny boks i poszedł do odległego kąta, do kanciapy z automatem telefonicznym. Usiadł, wziął głęboki oddech i wybrał numer, modląc się w duchu, żeby Timmy podniósł słuchawkę.

Szczęście mu nie dopisało.

– Halo? – powiedział kobiecy głos.

– Um, czy zastałem Timmy'ego?

Gdy po drugiej stronie chwilę trwało milczenie, Gibson poczuł ścisk w dołku.

– Jest już dosyć późno. Mogę wiedzieć, kto dzwoni?

– Taa, Gibson, jestem kolegą... Gibson McCutty z Programu Badawczego.

– Zaczekaj, Gibson – powtórzyła jego imię, jakby go znała. Nie był pewien, czy to dobry znak, czy wręcz przeciwnie. Co też Timmy mógł powiedzieć o nim matce?

Timmy dosyć szybko podszedł do telefonu.

– Cześć, Gibson. Gdzie się podziałeś po południu?

– Taa, sorki. W szkole był ten gość, Darth Vader. Potem ci o nim opowiem. Teraz potrzebuję pomocy. Czy twoja mama pozwoliłaby, żebym u was dzisiaj przenocował?

– Chwileczkę. – Gibson słyszał, jak Timmy wołał: – Mamo, czy Gibson może u nas przenocować?

Nie słyszał odpowiedzi, czekał niecierpliwie.

– Powiedziała, że nie ma problemu, ale jak przyjdziesz, musi zadzwonić do twojej mamy, żeby wiedziała, gdzie jesteś. Sorki. – Timmy powiedział to tak, jakby ten warunek był co najmniej złamaniem umowy.

– Jestem u Goldberga. Jak do was trafić?

– Zaczekaj – rzekł znowu Timmy, a potem zwrócił się do mamy, która go o coś pytała: – On jest u Goldberga. – Potem nastąpiła pauza.

Jezu! Czyżby pani Hamilton zmieniła zdanie? Czy powiedziała Timmy'emu, że nie ma o tym mowy? Gdzie on się podzieje?

– Hej, Gibson, mama pyta, czy masz jakieś pieniądze i mógłbyś nam przynieść dwie porcje frytek i smażonych grzybów. Odda ci, jak przyjdziesz.

Gibson powściągnął oddech ulgi i odparł po prostu:

– Jasne.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Wrócił do domu około północy. Na szczęście samolot przyleciał punktualnie. Jazda taksówką z lotniska minęła nie najgorzej, a jednak serce nadal mu łomotało. Waliło o żebra tak mocno, że gotów byłby przysiąc, że ma tam już siniaki. Bolały go przeraźliwie wszystkie mięśnie. Zmęczenie przenikało w każdy por skóry.

Włączył telewizor i komputer, skakał po kanałach, szukając wiadomości z Bostonu. Zdjął przepoconą koszulkę polo i cisnął ją w kąt, zły, że musiał wyrzucić podkoszulek Red Soksów i stare buty marki Nike. Dobrze, że wziął z sobą ubranie na zmianę. Nie zabrał jednak dość folii, żeby posprzątać tę jatkę. Tym razem wpadł w taki szał, że nawet sobie nie zdawał sprawy, ile krwi znalazło się na nim i na ścianach szopy w ogrodzie, kiedy rżnął ciało ojca Paula na kawałki. Kawałki, które mieściły się akurat w trzech workach na śmieci. Chwilami atak szału był tak niepohamowany, jakby zupełnie przestał kontrolować swój umysł i ciało. Jakaś jego część obserwowała to, i owszem, zawieszona w odległym kącie pod sufitem, ale tylko obserwowała, nie brała w tym udziału ani nie była zdolna go powstrzymać.

Potem powrócił spokój. Cisza po burzy zamiast przed nią. Umył się pod prysznicem obok szopy, delektując się ciszą popołudnia i intymnością, którą zapewniało wysokie na prawie dwa metry drewniane ogrodzenie, potężne dęby i kwitnący żywopłot. Chociaż był upalny lepki lipiec, to miejsce przypominało mu rajski Eden, gdzie w końcu mógł zmyć z siebie winę, nienawiść, swoje grzechy. Dlaczego więc nadal pulsowało mu w skroniach?

Przestał skakać po kanałach, zobaczywszy na ekranie stary kościół w wiadomości stacji Fox. Nie włączył dźwięku, wystarczyły napisy u dołu ekranu. Pokazywali kościół Najświętszego Sakramentu i plebanię, a on czytał, że ojciec Paul Conley został ofiarą brutalnego mordu, wspomnieli też o pani Sanchez, a on poczuł żal. Nadal dręczyło go, że musiał ją zabić, ale stara kobieta stanęła mu na drodze. Nic nie mógł na to poradzić.

Nie było ani słowa o głowie pozostawionej na ołtarzu. Wszedł do cichego zamkniętego kościoła tylnym wejściem, otwierając drzwi kluczem ojca Conleya. Nie przyznano, że nie znaleźli nic prócz głowy księdza. Uśmiechnął się. Zostawił worki trzy przecznice dalej, na tyłach Joe Seafood Grill and Bar, gdzie cuchnące śmieci z całego tygodnia wypadały już z pojemnika. Rzucił ojca Paula na szczyt tej góry gnoju. To było dla niego odpowiednie miejsce.

Tak, poza nieustającym waleniem w piersiach czuł się całkiem dobrze, był usatysfakcjonowany.

Wyłączył telewizor i szedł właśnie w stronę łóżka, kiedy spostrzegł w górnym rogu ekranu komputera, że dostał

wiadomość. Ikona mrugała do niego, jakby znała jego tajemnice. Patrzył na nią, ogarnięty kolejną falą paniki. Nie siadając, kliknął na ikonę. Wiadomość była od Pożeracza Grzechów, tylko jedna linijka. Przeczytawszy ją, obejrzał się przez ramię, czy zamknął drzwi na klucz. Wiadomość brzmiała:

Coś ty zrobił, do diabła?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Środa, 7 lipca
Departament Policji
Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen Patterson siedziała na metalowym składanym krześle, które zaoferowała jej Racine, obok założonego papierami biurka. Racine wyszła gdzieś, Gwen zdawało się, że minęło już wiele godzin, choć tak naprawdę upłynęło tylko kilka minut. Nie była pewna, dlaczego Racine nalegała, żeby przyszła na policję. Może chciała ją aresztować. Tak czy owak, Gwen była przekonana, że Racine z przyjemnością skazała ją na czekanie w samym środku hałaśliwego chaosu, który stanowił jej świat, zamiast na miękkiej wygodnej kanapie w gabinecie, który uważała za świat Gwen.

– Kilka razy oskarżono go o napaść. – Racine stanęła nagle za plecami Gwen i tak ją przestraszyła, że Gwen omal nie podskoczyła. Racine chyba tego nie zauważyła. Rzuciła teczkę na biurko, a raczej na stertę papierzysk na biurku, potem przysiadła na jedynym wolnym od papierów rogu. – Żadnych wyroków. Dobra wiadomość jest taka, że mamy jego odciski palców, więc nie musimy posługiwać się pani szklanką, zwłaszcza że została wykorzystana bez jego zgody i wiedzy. Zła wiadomość jest taka, że nie odpowiadają one

odciskom na rzeczach, które pani nam dała. Czy z tego powodu się z panią spotyka? Ma zwyczaj bicia kobiet pod pokrywką seksu?

Gwen starała się nie robić zdziwionej miny. Ale czy powinna być zdziwiona? Dla kogoś takiego jak Rubin Nash to normalne. Mężczyźni, którzy w dorosłym życiu traktują innych brutalnie, często byli molestowani w dzieciństwie. Nie powinno jej również dziwić, że ukrywał to przed nią. Nie chciał, by wiedziała, że jego podboje kończyły się brutalnie. A kiedy stały się krwawe? Czy powinna była coś zauważyć?

– Nie wiedziałam, że były na niego jakieś skargi. – Zabrzmiało to bardziej powściągliwie, niż sobie życzyła. Racine zmarszczyła czoło, rozczarowana albo znowu zła. Trudno powiedzieć. U Racine to jakoś szło w parze.

– Czy takie sprawy obejmuje ta wasza tajemnica lekarska?

– To nie takie proste. – Gwen z godnością przyjęła kolejny cios, potem zaczęła wyjaśniać pani detektyw: – Tak, powód naszych spotkań jest tajemnicą. Zresztą ten pacjent nawet nie jest jeszcze podejrzany. Jednak nasza etyka zawodowa dopuszcza pewne wyjątki, zwłaszcza gdy w grę wchodzi czyjeś bezpieczeństwo.

Racine przewróciła oczami i westchnęła głęboko.

– Nie mogę pani powiedzieć, z jakiego powodu się ze mną spotykał – ciągnęła spokojnie Gwen. – Jeśli jednak spyta pani, czy jako psycholog wierzę, że Nash odczuwa niechęć do kobiet, odpowiem, że tak, wierzę w to.

Tym razem Racine spojrzała na nią, przekrzywiając głowę, jakby bacznie jej się przyglądała. Na oczach Gwen przemądrzały babsztyl odsuwał się w cień i zamieniał w osobę, która rozwiązuje zagadkę.

– Okej, rozumiem... Czy, zgodnie z pani opinią – powiedziała, jakby testowała zasady nowej gry – czy ten typ... niechęci może rozciągać się także na innych?

– Innych? Ma pani na myśli jego znajomych albo rodzinę? – Gwen zaczęła się niecierpliwić własną grą. – Dena nie została wybrana przypadkowo. Nie chcę być niegrzeczna, detektyw Racine, ale po co mnie pani tu zaprosiła? Te sprawy już omawiałyśmy, na pani pytania mogłam odpowiedzieć przez telefon. – Jeśli Racine zamierzała ją oskarżyć, Gwen wolałaby, żeby zrobiła to wprost, bez owijania w bawełnę.

– Zaprosiłam panią tutaj, ponieważ czekam na nowe informacje. – Racine zerknęła przez ramię, potem nad głową Gwen, szukała kogoś wzrokiem.

– Nowe informacje? O Jezu! Znowu kogoś zabił?

– Nie wiem jeszcze, czy to ma jakiś związek z naszą sprawą, chociaż są podobieństwa. Morderstwo popełniono w Bostonie i było... o, właśnie idzie. – Wstała, żeby przywitać oficera w mundurze, który nadszedł zza pleców Gwen i podał Racine jakieś papiery. – Mamy już szczegóły, jakimi dysponują w tej chwili. – Przez chwilę szeleściła dokumentami, wreszcie, nie podnosząc wzroku, powiedziała: – O'Dell mówiła mi, że pracowała pani jako

konsultant dla FBI i pomagała im przygotowywać portrety psychologiczne przestępców.

– Tak, ale to było lata temu.

– Mamy mordercę – Racine zerknęła na Gwen, potem znów wróciła do swoich papierów – który najpewniej zabija i ćwiartuje ciała w niekontrolowanym szale. Ma przy tym dość inteligencji i środków, żeby otrząsnąć się po dokonaniu zbrodni i nie tylko posprzątać, ale pozbyć się ciała i podrzucić głowę ofiary w jakimś strategicznym, starannie wybranym miejscu.

– Znam podstawowe fakty na temat tej sprawy. – Czego Racine od niej chciała? Czy oczekiwała, że podejmie się przygotowania portretu psychologicznego mordercy, zaczynając w miejscu, w którym Maggie przerwała pracę? Przecież miała już portret. Całkiem prawdopodobne, że miała też zabójcę. Czego jeszcze chciała?

– Wybierał kobiety przypadkowo, oczywiście poza Deną Wayne. Libby Hopper była studentką college'u. Inna ofiara też była młoda, tak sądzimy. Miała tatuaż, który w jakiś sposób jest związany z grą komputerową. To gra popularna wśród młodzieży. O ile wiem, wszystkie ofiary to młode kobiety. Rubin Nash potraktował brutalnie wiele młodych kobiet.

– Czy ma pani do mnie jakieś pytanie, Racine? – Cierpliwość Gwen wyczerpała się. Emocjonalna huśtawka ostatnich dni dała się

jej we znaki. – Co pani chce wiedzieć?

– Chcę wiedzieć, czy Rubin Nash mógł posunąć się dalej i wybrać inną ofiarę niż dziewczyna poderwana w nocnym klubie. Czy Rubin Nash jest do tego zdolny? – Rzuciła kolorową fotografię na biurko przed nosem Gwen. Było to zdjęcie z miejsca zbrodni, makabryczny widok, niczym z filmowego horroru: ucięta głowa na środku kościelnego ołtarza z zapalonymi po bokach świecami. – Tyle zostało z ojca Paula Conleya.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Departament Policji
Omaha, Nebraska

Maggie patrzyła przez okno sali konferencyjnej. Spała fatalnie, choć miała do dyspozycji wygodne podwójne łóżko. Może przyczyniło się do tego czekające ją spotkanie z ojcem Kellerem, twarzą w twarz po czterech latach. A może świadomość, że Nick Morrelli mieszka w tym samym korytarzu, w tym samym hotelu. Przypuszczalnie spałaby o wiele lepiej, gdyby uległa i napiła się chivasa, ale żadna ilość szkockiej nie ułatwi jej spotkania z Kellerem. Przynajmniej tak sobie powiedziała, kiedy detektyw Pakula wręczył jej kolejny plik raportów. Te pochodziły z okręgu Santa Rosa na Florydzie. Cały stół konferencyjny zasłany był raportami, mapami, zdjęciami z autopsji i dowodami.

– Na Florydzie też jest Bagdad? – Zaczęła przeglądać papiery, idąc przez pokój.

– Tak, tuż za Pensacolą. A to pole namiotowe jest w Blackwater Bay. Pokażę pani za chwilę. – Pakula rozwijał mapę, zrobił dla niej miejsce na tablicy tuż obok mapy Środkowego Zachodu, na której kolorowymi pinezkami zaznaczono już trzy miejsca, gdzie dokonano morderstw: czerwoną Omaha, niebieską Columbię i żółtą Minneapolis.

– Gdzie piąty raport? – zapytała Maggie, wyciągając się nad rozrzuconymi papierami. – Mówił pan, że wczoraj zamordowano księdza w Bostonie?

– Carmichael przyniesie nam materiały, jak tylko bostońska policja coś przyśle.

– To jest wyraźna eskalacja. Trzy morderstwa w pięć dni. – Maggie była tak zdenerwowana, że nie mogła usiedzieć. Dzięki Bogu Pakula nie zwracał uwagi na jej spacery po sali. Kiedy dochodziło do tego etapu, niemal czuła szaleństwo mordercy, jego panikę czy inne emocje, które popychały go do nasilenia działań.

– Myśli pani, że to dowodzi eskalacji? Zaraz pani zobaczy, co zrobił w Bostonie. – Gdy zauważył, że Maggie nerwowo zerka na zegarek, dodał: – Kasab i mundurowy policjant wyjechali po Kellera na lotnisko. – Spojrzał na swój zegarek. – Powinni tu być za godzinę, jeśli samolot przyleciał punktualnie.

Godzina. Mniej więcej za godzinę spojrzy w oczy mordercy dzieci i obieca mu ochronę przed innym mordercą.

Próbowała skupić się na sprawie z Florydy. Ciało zostało już zidentyfikowane, należało do siedemdziesięciotrzyletniego ojca Rudolpha Lawrence'a, znanego przyjaciołom i parafianom jako ojciec Rudy. Jego ostatnie zdjęcie wysłane z raportem ukazywało niskiego krępego mężczyznę o białych włosach. Wyglądał jak elf. Zrobiono je podczas przyjęcia, za plecami ojca wisiał transparent z napisem „Szczęśliwej emerytury, ojcze Rudy”.

Maggie położyła to zdjęcie obok zdjęcia z miejsca zbrodni. Twarz została zmieniona nie do poznania. Kępka białych włosów oraz biała koloratka odznaczały się na tle zmiażdżonej brudnej masy, która przypominała bardziej stertę szmat, nie ciało.

Koroner ocenił, że ojciec Lawrence został zamordowany co najmniej tydzień przedtem, zanim go znaleźli. Potrzebne były dodatkowe testy, żeby dokładnie określić czas zgonu. Maggie pamiętała, jak Adam Bonzado mówił jej, że w wilgoci i upale czerwie zjadają ciało do kości w ciągu tygodnia. Na Florydzie w lipcu zapewne panował wilgotny upał, ale ciało częściowo przykrywały śmieci i ziemia, co mogło zwolnić proces.

Maggie stała przed mapą, którą Pakula właśnie przyczepił na tablicy.

– Po co go zakrywał, skoro porzucił go w środku gęstego lasu?

– Tereny podmokłe – rzekł Pakula. – Tam są bagna i ma pani rację, gęsto tam od drzew, zielska i dzikich winorośli, nie wspominając już o moskitach.

– Zdaje się, że to pana ulubiona okolica.

– Tak, uwielbiam ją. Białe jak cukier plaże i szmaragdowa woda, ale w głębi lądu wiele miejsc jest niezamieszkanych. Sporo ziemi należy do rządu, to wielki rezerwat przyrody. Ciągnie się wzdłuż wybrzeża, gdzie wylądowali pierwsi odkrywcy. Prawdę mówiąc, Pensacola to była pierwsza osada, tyle że została zmieciona przez huragan.

– Zawsze dowiaduje się pan tak dużo na temat miejsca zbrodni? – spytała Maggie z uśmiechem.

– Nie, ale mam przyjaciół, którzy tam mieszkają. Już się z nimi kontaktowałem. Są katolikami i mam nadzieję, że znajdą coś na ojca Rudolpha.

– Ojca Rudy'ego – poprawiła go.

– Taa, racja.

– Pojedynczy cios nożem w piersi to nic nowego, jeśli chodzi o naszego mordercę, ale tym razem nie mamy do czynienia z miejscem publicznym.

– A jednak tak. Teren należy do obozowiska. Przyjaciele utrzymują, że stary ksiądz mieszkał półtora kilometra dalej. Spacerował do przystani drogą, która biegnie wzdłuż bagien.

– Okej, więc to miejsce publiczne, ale dlaczego nie poćwiartował go na drodze i nie porzucił w rowie? Morderca musiał wciągnąć go między drzewa, a potem zabić albo zabić po drodze i potem wciągnąć między drzewa. Po co włożył w to tyle trudu? Pozostałych ciał nie ukrywał. Wydaje się, że bardzo się starał, żeby tego nie odnaleziono.

– Nie wiem. Pani jest psychologiem, niech pani mi powie. – Pakula wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– To wygląda jakoś inaczej. – Przystanęła obok stołu, zerkając na raporty.

– Może zaczekajmy, aż zobaczymy raport z Bostonu.

– Już pan to mówił.

– Taa, to dopiero zwyrodnialstwo – rzekł w chwili, gdy Carmichael weszła do sali tanecznym krokiem.

– Pewnie mówisz o tym. – Rzuciła kopie na stół. – Albo facet kompletnie się wściekł, albo to ktoś inny.

Maggie i Pakula stanęli po bokach Carmichael i spojrzeli na stół. Maggie chwyciła pierwszą stronę raportu, patrząc najpierw na zdjęcie z miejsca zbrodni, a potem na fotografię uciętej głowy na ołtarzu. Nie mogła w to uwierzyć. To o wiele bardziej przypominało mordercę z Waszyngtonu niż zabójcę księży.

– Detektyw z Bostonu, z którym rozmawiałam, powiedział, że morderca właściwie oderwał głowę – oznajmiła Carmichael.

– Mówię wam to z wielką niechęcią – odezwała się Maggie, a Pakula i Carmichael przenieśli na nią wzrok – ale myślę, że mamy do czynienia z więcej niż jednym sprawcą.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Departament Policji
Omaha, Nebraska

Tommy Pakula nie wierzył własnym uszom.

– Co to, kurna, znaczy? Że jest ich więcej? Nie jeden?

– Pracowałam właśnie nad sprawą seryjnego mordercy w Waszyngtonie, zanim tu przyjechałam. Odcinał głowy wszystkim ofiarom – zaczęła wyjaśniać O'Dell.

– Ale to były tylko kobiety, prawda? – Pakula przypomniał sobie, że widział coś w telewizji.

– Tak, o ile wiem.

– I w Waszyngtonie, nie w Bostonie.

– Posłuchajcie – podjęła Maggie. – Nie jestem tego pewna, ale nie sądzę, żeby człowiek, który ukrył ciało na bagnach na Florydzie, tydzień później tak się zmienił, że uciął głowę kolejnej ofierze i wystawił ją na ołtarzu.

– A może po prostu już zupełnie nad sobą nie panuje? – spytała Carmichael, odsuwając się o kilka kroków.

– Wszystko jest możliwe – rzekła O'Dell bez przekonania. – Twierdzę jedynie, że tego rodzaju morderca działa zwykle według określonego wzorca, nawet jeśli przestaje nad tym panować.

– Ale wczoraj tłumaczyła mi pani, żeby nigdy nie wykluczać żadnego podejrzanego. – Pakula tracił

cierpliwość. Oddalali się od rozwiązania, a teraz O'Dell mówi mu jeszcze, że nie może nawet zrobić portretu psychologicznego.

– A pan wczoraj przyznał, że już chodziło panu po głowie, iż wszystkie te morderstwa nie są dziełem jednego człowieka. Wtedy mieliśmy dopiero trzy ofiary.

– Ma pani rację – odparł, podnosząc ręce. – Okej, niech będzie, załóżmy, że jest dwóch morderców. Jeden działa na Środkowym Zachodzie, a drugi na Wschodzie i Południowym Wschodzie. Ale w jaki sposób wszystko z sobą uzgadniają?

Pakula wsadził ręce do kieszeni i oparł się o ścianę, a O'Dell zaczęła znowu chodzić po sali. Wyczuł, że jest zdenerwowana, co jego także wprawiało w niepokój. Czyżby nie znała odpowiedzi? A może denerwowała się z powodu spotkania z Kellerem? Tak czy owak, miał nadzieję, że gdyby usiadła, a nie krążyła w kółko, mógłby ją jakoś uspokoić. Carmichael wcale mu nie pomagała, bo też chodziła wzdłuż sali tam i z powrotem.

– Mogą ustalać coś przez Internet – powiedziała O'Dell.

– No nie... Za chwilę mi pani powie, że to dwóch nastolatków, którzy grają w Dungeons and Dragons.

– Żartujesz, nie? – Carmichael przystanęła w pół kroku i przeniosła wzrok z Pakuli na O'Dell.

– Agentka O'Dell ma teorię, że morderca... albo mordercy to nastoletni chłopcy, którzy byli molestowani przez księży. Proszę mnie poprawić, jeśli źle panią zrozumiałem – rzekł do Maggie, niezdolny ukryć sarkazmu i odrobiny złości. –

Że chłopcy wzięli sprawy w swoje ręce, zachęceni internetowymi grami o krucjatach, które są teraz takie popularne.

Kiedy Carmichael nie roześmiała się ironicznie ani nie przewróciła oczami, Pakula zrozumiał, że ma kłopot. Musiał teraz stawić czoło dwóm kobietom. Wiedział to, zanim Carmichael otworzyła usta.

– Może dlatego ten z Bostonu nie stosuje się do żadnego wzorca – zasugerowała. – Nastolatki są nieprzewidywalne. Tak samo nastoletni mordercy. Dzieciak łatwo może przestać nad tym panować.

Rozległo się pukanie do drzwi i oficer w mundurze wsadził głowę do sali konferencyjnej.

– Kasab jest gotowy. Kazał panu przekazać, że są w Embassy Suites. Pani specjalny gość nie zgodził się przyjechać na policję.

– Dziękuję, Bernie. – Pakula zerknął na O'Dell. Blada jak ściana patrzyła na niego.

– Keller jest w tym samym hotelu co ja? – spytała z niedowierzaniem.

– To nie był mój pomysł. Ramsey i zastępca dyrektora Cunningham tak postanowili. Kazano mi traktować go jak gościa Departamentu Policji w Omaha.

– A jak traktuje pan gości Departamentu Policji w Omaha? – chciała wiedzieć O'Dell.

– Nie wiem – odparł, drapiąc się po brodzie. – Nigdy dotąd nie mieliśmy takiego gościa. Ale po pierwsze, jak myślę, trzeba mu zapewnić miłą, komfortową atmosferę, żeby

powiedział nam jak najwięcej. A skoro ojciec Keller nam nie ufa, powinniśmy spotkać się z nim na neutralnym gruncie. Na pewno boi się, że go zaaresztujemy.

– Chciałabym zrobić o wiele więcej. Aresztować go to za mało – mruknęła O'Dell ku zdumieniu Pakuli i Carmichael.

– Musimy iść. – Pakula zdjął kurtkę z krzesła i przerzucił przez ramię. Rano było już blisko trzydzieści stopni. Nawet nie chciał myśleć, ile stopni było w tej chwili. – Na pewno nie chcemy, żeby nasz specjalny gość na nas czekał. Mam nadzieję, że ma coś, co nam się przyda.

– Nie do wiary, że Cunningham wsadził go do hotelu, w którym ja mieszkam.

– To pewnie sprawa komendanta – odparł Pakula. – Dają policji atrakcyjny rabat.

Spojrzenie, którym obrzuciła go O'Dell, powiedziało mu dobitnie, co sądzi o ich rabacie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Omaha, Nebraska

Kiedy mama Timmy'ego wyszła do pracy, Gibson przekonał przyjaciela, że nie powinni iść na zajęcia. Nie musiał go zresztą długo namawiać, wystarczyło, że opowiedział, jak brat Sebastian złapał go w szkole, a potem przyszedł do jego domu. Siedzieli w salonie przed telewizorem z miskami płatków. Nadawano właśnie Ellen DeGeneres Show i chłopcy mieli nadzieję, że im to poprawi humor, ale nawet ta część, w której tańczyli widzowie, wcale ich nie rozbawiła.

– Jak myślisz, jak mnie znalazł?

– Przez szkołę – odparł Timmy. – Założę się, że pytał ojca Tony'ego albo siostrę Kate.

– To pewnie był ojciec Tony. Siostra Kate nigdy by mu nie dała mojego adresu. Wiem to.

– A co jest w tej skórzanej teczce? Skąd wiesz, że tego właśnie chce?

Gibson zawahał się, nabrał pełną łyżkę płatków i wsadził do ust. Udawał, że nie może odpowiedzieć z pełnymi ustami. Musiał jednak komuś zaufać, a Timmy wiedział już o grze.

– Tam są chyba różne papiery o wielebnym O'Sullivanie.

– Papiery?

– Taa, no wiesz, jakieś raporty. Skargi.

– Zgłosiłeś przeciw niemu skargę? – spytał Timmy.

Gibson spojrzał na niego, palcami szukał krost na czole.

– Nie – odparł w końcu. – A ty przeciw swojemu?

– Nie – odparł Timmy, przygryzając palec wskazujący jak zawsze, kiedy się denerwował. Gibson zauważył, że Timmy miał obgryzione paznokcie. – Nikt mi nie uwierzył, poza moją mamą. Nawet nie chcieli jej słuchać, bo dwaj inni zostali już zaaresztowani.

– Dwaj inni? – spytał Gibson. Nie rozmawiali jeszcze tak szczerze. Gibson sądził, że Timmy będzie zawstydzony tak jak on. Teraz sobie uświadomił, że przyjaciel przeżył jeszcze coś gorszego. – Tamci dwaj coś ci zrobili?

– Nie jestem pewny. Ten, który mnie porwał, zawsze nosił maskę, przedstawiała jednego z nieżyjących prezydentów. Nigdy nie widziałem jego twarzy.

– Porwał cię?

Timmy przestał żuć palec i skrzyżował ramiona na piersi.

– Taa. Staram się o tym nie myśleć.

– Przepraszam. – Gibson nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie ma za co. Miałem koszmarne sny. Ale dziwne, bo nie śniło mi się, że ktoś mnie porywa, tylko że chcę zajrzeć za tę maskę, ściągnąć ją. Jakbym musiał wiedzieć, kto się za nią kryje.

– Skąd wiesz, że to był ksiądz?

– Wydawało mi się… rozumiesz, zebrałem różne drobiazgi i tak mi wyszło. Gliniarze powiedzieli, że to nie dowód. –

Timmy podciągnął pod siebie nogi, niemal zwinął się w kłębek. – Ojciec Keller zawsze wymieniał się z ministrantami kartami z bejsbolistami, a ten gość w masce przyniósł mi parę takich kart. Poza tym buty. Ojciec Keller nosił zawsze takie czyste białe tenisówki. Ten w masce też.

– A co z tymi, których aresztowali?

– Jeden z nich nigdy nie nosił tenisówek. Drugi nosił, ale brudne.

Gibson uśmiechnął się.

– Nie przypominało ci to Kryminalnych zagadek Las Vegas, co?

– Nie, chyba nie. – Timmy także się uśmiechnął i wyprostował nogi, jakby poczuł się bezpieczniej. Sięgnął do miski z płatkami. – Ale ojciec Keller jest gdzieś w Ameryce Południowej, więc nie muszę się przejmować. Pomyślałem, że jak podam jego nazwisko do gry, to pomoże mi to wymazać go z pamięci. I przestanie mi się śnić, no i jakoś się chyba udało. Od dawna nie miałem tamtego snu.

Gibson skinął głową, że rozumie, chociaż jemu to nie pomagało. Nie miał żadnych koszmarnych snów aż do śmierci wielebnego O'Sullivana.

Timmy podjął po chwili:

– Myślisz, że powinniśmy powiedzieć komuś o tej skórzanej teczce?

– To się chyba nazywa aktówka. Ale komu, kto nam uwierzy? Nie uwierzą nawet tobie ani twojej mamie. – Gibson zastanawiał się już nad tym, komu zaufać, i nikt nie

przyszedł mu do głowy. Myślał o siostrze Kate, ale nie chciał, żeby miała przez niego kłopoty. Miał wrażenie, że każdy, kto dowie się o aktówce, wpadnie w tarapaty.

– Taa, racja – rzekł Timmy i wysiorbał mleko ze swojej miseczki, po czym odłożył ją na stolik.

Zapadła cisza, chłopcy siedzieli w zadumie. Wreszcie Timmy powiedział:

– Moja mama mówi, że zamordowano jeszcze jakichś innych księży. Ciekawe, czy ktoś ich podał do gry?

Tym razem Gibson wzruszył ramionami. Odstawił miskę z płatkami na stolik obok miski Timmy'ego. Usiadł wygodnie, opierając plecy o miękką sofę.

– Chyba za każdym razem, kiedy graliśmy i likwidowaliśmy jakiegoś księdza... – Urwał, popatrzył na Timmy'ego – ... zabijano prawdziwego księdza.

– Ale kto to robił?

Gibson zauważył, że Timmy nie był zaszokowany ani nawet zdziwiony jego teorią.

– Pożeracz Grzechów musiał być na lotnisku, kiedy zabito wielebnego O'Sullivana, bo skąd by wiedział, że ja tam byłem? On wie o aktówce. To on mógł mi ją włożyć do plecaka. – Gibson był zadowolony, że wreszcie wypowiedział to na głos.

– I tylko Pożeracz Grzechów zna nazwiska.

Spotkali się wzrokiem. Gibson wciąż nie wierzył, że to prawda. To miała być tylko gra. Sposób na rozładowanie złości i frustracji, dzięki grze mieli poczuć się wolnymi i panować nad emocjami. Miała im pomóc radzić sobie

z tym, czego doświadczyli, czy nazwać to złym dotykiem, molestowaniem czy jakkolwiek inaczej. Pożeracz Grzechów był Mistrzem Gry.

– W ostatnim mailu Pożeracz Grzechów napisał, że dopóki mam aktówkę, nie pozwoli, żeby mi się coś stało – oznajmił Gibson.

– Wierzysz mu?

Gibson musiał pomyśleć nad odpowiedzią. Dzięki grze czuł się silny. Za każdym razem, kiedy włączał się do niej, czuł, że ma przyjaciół zarówno w innych graczach, jak i w postaciach z gry. Nie przychodziło mu do głowy, w jaki sposób gra mogłaby go skrzywdzić, wykorzystać czy ośmieszyć.

– Taa, chyba tak – rzekł w końcu.

– Myślisz, że Pożeracz Grzechów to ktoś, kogo znamy?

– Raczej nie. Rozpoznałbym go na lotnisku.

– Może był w przebraniu – zasugerował Timmy i znowu przygryzł palec.

– To możliwe. Tam było mnóstwo ludzi.

– Mogę cię o coś spytać? – Timmy pochylił się do przodu i położył ręce na kolanach.

– Jasne.

– Po co tam pojechałeś?

– O co ci chodzi?

– Po co byłeś w piątek na lotnisku?

Gibson czuł, że robi się czerwony. Unikał wzroku Timmy'ego, patrzył na ekran telewizora, jakby nagle zainteresował się kolejnym gościem Ellen, chociaż pojęcia

nie miał, co to za facet. Wiedział, że nie powinien czuć się zakłopotany. W każdym razie nie przy Timmym, który z pewnością zdawał sobie sprawę, co on przeżył. Jezu, Timmy przeżył o wiele gorsze rzeczy...

W końcu powiedział:

– Byłem tego dnia rano w szkole, żeby zapytać, czy siostra Kate potrzebuje pomocy przy organizowaniu programu zajęć, ale jej nie zastałem. Kiedy mijałem gabinet wielebnego O'Sullivana, on i ojciec Tony się kłócili. Nie widzieli mnie. Potrafię przemknąć tam niepostrzeżenie, bo nie lubię wpadać na wielebnego. – Urwał, a Timmy skinął głową. – Podsłuchałem, jak wielebny mówił ojcu Tony'emu, że tego popołudnia leci do Rzymu i nie wraca. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale chciałem się upewnić, że on wyjeżdża. Sprawdziłem w Internecie rozkład lotów i pojechałem na lotnisko. Chciałem widzieć, jak wsiada na pokład samolotu. Ale on poszedł do toalety i już z niej nie wyszedł.

Gibson nie lubił wspominać krwi. Była taka czerwona na podłodze toalety. Pamiętał nawet jej zapach. I wyraz twarzy wielebnego. Potrząsnął głową, żeby odpędzić ten obraz.

– Chciałem, żeby wyjechał, żeby zniknął. – Słyszał, jak głos załamał mu się ze złości i odwrócił głowę. – Nie chciałem, żeby został zamordowany. – Przetarł oko, żeby nie poleciała z niego łza. Spojrzał na Timmy'ego. Tyle już mu powiedział. Dlaczego nie pójść dalej i nie wyrzucić tego z siebie? – Ale wiesz co? Nie jest mi przykro, że on nie żyje. To był prawdziwy drań.

W tym momencie usłyszeli klucz w zamku. Gibson podskoczył, Timmy także. Patrzyli na drzwi. Czy to mama Timmy'ego? Czy będzie zła, że nie poszli na zajęcia? Mama Gibsona byłaby wściekła, chociaż zdusiłaby to w sobie. Powiedziałaby tylko, że jest nim rozczarowana. To było jeszcze gorsze.

Gdy zza rogu wyszedł mężczyzna, Gibson odskoczył do tyłu. Nie był pewien, czy powinien uciekać. Przenosił wzrok z mężczyzny na Timmy'ego i z powrotem. Timmy miał zaskoczoną minę, podobnie mężczyzna, Gibson wcisnął się głębiej w sofę. Skulił się, gotowy na przyjęcie ataku. Tymczasem wyglądało na to, że zdumienie mężczyzny zamieniło się w złość. Taa, gość był naprawdę wkurzony.

– Co wy tu robicie?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Omaha, Nebraska

Nick nie zamierzał przestraszyć Timmy'ego ani jego kolegi, był tylko w paskudnym nastroju. Niewiele spał minionej nocy, a potem, zamiast wymeldować się z hotelu, zapytał, czy może zostać jeszcze na jedną noc. Co się z nim dzieje, do diabła? Czy naprawdę zamierza zepsuć swoje zaręczyny?

– Nie masz dzisiaj zajęć w szkole? – zapytał siostrzeńca, bo chłopcy byli tak przerażeni, że obawiał się, iż sami niczego nie wyjaśnią.

– No... my... – Timmy zerknął bezradnie na kolegę, który nie wyglądał na zdolnego do udzielenia pomocy.

– Twoja mama wie, że nie poszedłeś?

Timmy w końcu pokręcił głową.

– Ale my mamy powód.

– Taa, na pewno, i będzie ci bardzo potrzebny, kiedy jej o wszystkim powiesz.

– Mam jej powiedzieć? Wujku...

– Hej, to nie ja ustalam zasady w tym domu. Kim jest twój kolega?

– Przepraszam, to Gibson, a to mój wujek Nick. – Timmy zamachał ręką między Gibsonem i wujem, w ten sposób

dokonując oficjalnej prezentacji. – Gdzie byłeś dwie ostatnie noce? Myślałem, że zamieszkasz u nas.

– Mam apartament w Embassy Suites.

– W tym hotelu na Starym Mieście?

– Tak.

– Super. Mają tam w pokojach barki z M&M za pięć dolców i colą za sześć?

– Taa. Więc, Gibson, ty także uczestniczysz w zajęciach programu Poszukiwaczy? – Nick zaczął się już zastanawiać, czy chłopak jest niemową.

– Tak, proszę pana.

Nick miał ochotę się roześmiać. Zamiast tego się uśmiechnął.

– Możesz do mnie mówić Nick, okej?

– Okej.

– Więc o co chodzi? Zwialiście z zajęć, żeby siedzieć w domu, jeść płatki i oglądać telewizję? To niezbyt interesujące.

Popatrzył na jednego, potem na drugiego. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, zerkając przy tym na stary zniszczony plecak. Coś ukrywali. Nieważne zresztą co. Christine będzie wściekła, kiedy dowie się, że Timmy zmarnował pięćset dolarów.

Zanim któryś z chłopów odpowiedział Nickowi, rozległo się pukanie do drzwi. Chłopcy natychmiast skulili się na kanapie. Nick westchnął. Coś było nie tak. Nie chodziło tylko o wagary.

– Siedźcie cicho – szepnął i poszedł do holu. Dzieciaki! To pewnie jakiś dostawca, a oni omal nie zmoczyli spodni.

To nie był dostawca. Wysoki mężczyzna o jasnej karnacji, haczykowatym nosie i blisko osadzonych czarnych oczach patrzył na Nicka, bardzo zdziwiony, że to on otworzył drzwi w domu Christine.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Nick, usiłując odgadnąć, z kim ma do czynienia. Już gdzieś widział tego człowieka, ale gdzie?

– Czy to dom państwa Hamiltonów?

– A czy oczekują pana? – Nick nagle sobie przypomniał. To ten ksiądz ze szkoły, który grzebał w gabinecie wielebnego O'Sullivana. Ten, z którym Christine rozegrała słowną potyczkę. Niemożliwe, żeby się go spodziewała, i z pewnością nie zaprosiłaby go do domu.

– Jestem brat Sebastian ze szkoły Matki Boskiej Bolesnej. – Wyciągnął szyję, żeby zajrzeć do środka. Nick odniósł wrażenie, że nie miał ochoty się tłumaczyć, a jednak kontynuował: – Timmy Hamilton i Gibson McCutty nie pojawili się dziś rano na zajęciach.

Nick milczał, a brat Sebastian uznał widać, że wytłumaczył się dostatecznie jasno i czekał teraz na wyjaśnienia ze strony Nicka.

– No tak – powiedział Nick. – I szkoła wysłała brata, żeby sprawdził, co się z nimi stało? – Gość zaczął go poważnie irytować, a do tego wydał mu się podejrzany.

– Pani McCutty powiedziała mi, że jej syn nocował tutaj. Czy jest tu nadal? – Brat Sebastian mówił na pozór

spokojnie, ale Nick wyczuwał w jego głosie gniew.

– McCutty – powtórzył, jakby musiał sobie przypomnieć. – Nie znam tego nazwiska. – Nie tylko Tony potrafił robić zgrabne uniki, nie kłamiąc przy tym. Nick przypuszczał, że księża i prokuratorzy mają wiele wspólnego, jedni i drudzy dostosowują prawdę do swoich potrzeb.

– Więc chłopców tu nie ma?

– Ja ich nie widzę. A brat?

Brat Sebastian uniósł brwi, popatrzył prosto w oczy Nicka, ale ten nawet nie mrugnął.

– No dobrze – rzekł w końcu gość, zakręcił się na pięcie i odszedł.

Nick stał w drzwiach, czekając, aż brat Sebastian się obejrzy i zobaczy, że jest odprowadzany wzrokiem. Kiedy wreszcie zerknął przez ramię, Nick pomachał mu z uśmiechem. Brat Sebastian był wściekły. Tak, z pewnością nie przyszedł upewnić się, czy Timmy'emu i Gibsonowi nic złego się nie stało. Nick zrozumiał nagle, że najpewniej ten dziwny duchowny miał jakiś związek z faktem, że chłopcy nie poszli do szkoły. Oczywiście że tak. Czy zdrowy nastolatek opuszczałby dobrowolnie zajęcia, na których ładna nauczycielka prezentuje miecze i sztylety?

Brat Sebastian wsiadł do lśniącego czarnego lincolna, a Nick czekał, aż samochód odjedzie. Potem zamknął drzwi na klucz. Kiedy wrócił do salonu, chłopcy wlepiali wzrok w drzwi, jakby właśnie uciekli spod ostrzału.

– Super, wujku – powiedział Timmy. – Byłeś świetny.

Zanim rozpoczęli taniec zwycięstwa, Nick objął ich spojrzeniem, które starło uśmiech z twarzy Timmy'ego, a Gibsona wcisnęło z powrotem na kanapę.

– Co wyście, do diabła, zmalowali?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Omaha, Nebraska

Ojciec Michael Keller chciał znowu widzieć normalnie. Omal nie zmienił zdania w Chicago, podczas dwugodzinnej przerwy w podróży. Nie z powodu tego, żeby się bał czy żałował swojej decyzji, ale dlatego, że niewiele brakowało, a dostałby skrętu kiszek. Większą część owych dwóch godzin spędził w toalecie, wymiotował, aż nie zostało mu nic tylko odruch wymiotny. Gdy jego kiszki wreszcie się uspokoiły, figle zaczął płatać mu wzrok.

Najgorzej było, gdy wylądował w Omaha. Widział wszystko podwójnie albo potrójnie. Wyszedł po niego jakiś oficer policji w mundurze w towarzystwie detektywa, a on widział trzech mundurowych, a za moment już kilkunastu. Szedł z nimi przez halę lotniska, starając się ignorować poczucie, że idzie w wesołym miasteczku przez salę z lustrami, które zniekształcają, wydłużają albo mnożą odbicia. Wówczas oznajmił, że chce jechać do hotelu. Jeśli chcą uzyskać od niego jakieś informacje, muszą do niego przyjechać.

Pokój w hotelu zrobił na nim wrażenie, był większy niż jego wiejska chata, z salonikiem, małą lodówką i kuchenką mikrofalową.

Zbyt długo mieszkał w lesie deszczowym. Cieszyło go teraz wszystko, od maleńkich buteleczek szamponu i białych bawełnianych ręczników po wielkie łóżko i dywan tak miękki, że stąpało się po nim jak po puchu. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakowało mu tego świata, jak wiele poświęcił. Na przykład klimatyzacja. Zapomniał, jaką cudowną rzeczą jest klimatyzacja, chociaż podczas jazdy z lotniska przyprawiała go o dreszcze. Kiedy recepcjonista zapytał, czy przynieść mu coś do pokoju, bez namysłu poprosił o gorącą herbatę. Tak, gorąca herbata dla uspokojenia nerwów i żołądka. Herbata niedoprawiona tojadem, która przywróci kojące wspomnienie matki.

Młody detektyw spytał, czy wszystko mu odpowiada, a może ma jakieś dodatkowe życzenia. Powiedział, że jego koledzy wkrótce przyjadą do hotelu. Kiedy ktoś z personelu przyniósł tacę z gorącą herbatą, detektyw wyszedł szukać pokoju na dole, w którym miało dojść do spotkania.

Keller stanął nad tacą i podziwiał porcelanowy dzbanek z wrzątkiem, delikatną filiżankę z chińskiej porcelany i podobny spodek, talerz z kilkoma gatunkami herbaty w kolorowych opakowaniach, mały dzbanuszek z nierdzewnej stali z mlekiem i niewielką cukiernicę z miniaturowymi kostkami cukru. Na tacy stał też mały koszyk. Keller uniósł lnianą serwetkę i ujrzał wybór herbatników i ciepłych bułeczek.

Zadowolony zatarł dłonie, usiadł i patrzył na niespodziewaną ucztę. W końcu wybrał gatunek herbaty i zalał ją wodą, potem wdychał wspaniały aromat. Tak, to

mu pomoże. Już po pierwszym łyku poczuł, jak po jego ciele rozchodzi się ciepło.

Mylił się, myśląc, że powinien radzić sobie bez tych prostych przyjemności. Minęły niemal cztery lata, cztery długie lata kary, na którą nie zasłużył. Starał się nie zmarnować tego czasu, ale tylu ludzi czegoś od niego chciało. Tylu było nieszczęśliwych i głodnych, zapomnianych i skrzywdzonych. Czasami go to obezwładniało. Nie powinni się spodziewać, że uratuje ich wszystkich. Ale Arturo był inny, wyjątkowy. Te ciemne smutne oczy przypominały mu jego własne dzieciństwo. I tak dopisało mu szczęście, bo miał matkę, chociaż tylko przez dwanaście lat. Arturo żył pośród ludzi, którzy potrafili wyłącznie karać go i krzywdzić. Nie, nie mógł przecież wyjechać stamtąd, nie uratowawszy najpierw tego chłopca. Tyle przynajmniej mógł zrobić.

Rozmyślania przerwało mu gwałtowne pukanie do drzwi. Chętnie by je zignorował. Może to tylko ktoś z hotelowej obsługi wrócił po tacę. Ale czy przychodzą tak szybko? Albo to ktoś zatroskany, czy niczego mu nie trzeba.

Uchylił lekko drzwi do apartamentu. Za nimi stał młody detektyw.

– Jesteśmy gotowi – oznajmił.

Nagle cała terapeutyczna magia herbaty rozwiała się.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Zadzwonił i oznajmił, że jest chory i nie będzie go dwa dni z rzędu. Szef wyraził niezadowolenie. Jeden dzień to nie problem, powiedział, ale drugi oznaczał odwołanie spotkania w Saint Louis, czyli rezygnację z biletu na samolot, przypuszczalnie bez odzyskania pełnego zwrotu za bilet. Dusigrosz kupiłby mu miejsce przy skrzydle, gdyby tylko dostał dobry rabat. W minionym tygodniu, lecąc na Florydę, dostał bilet bez rezerwacji miejsca. Bez rezerwacji, na Boga. Czy tak można prowadzić interesy? Nie dbał o to, czy go wyleją. W tej chwili nie obchodziło go nic poza waleniem w piersi, które szybko przeniosło się na tył głowy. Martwił się, że wkrótce zamieni się w kłębek bólu.

Zignorował mrugającą ikonę poczty w rogu ekranu, świadomy, że nie będzie mógł ignorować jej bez końca. Odnosił wrażenie, jakby ikona na niego patrzyła. Czuł to niemal przez ścianę, jakby promień lasera śledził go od pokoju do pokoju. To idiotyczne. Oczywiście, że Pożeracz Grzechów nie mógł go widzieć, z całą pewnością go nie obserwował. Więc jak się dowiedział?

Chodził tam i z powrotem naprzeciw komputera. Informując przełożonego o swojej chorobie, właściwie nie skłamał. Czuł się chory, miał mdłości i gorączkę. Kiedy

zerknął na swoje odbicie w lustrze tego ranka, ledwie się poznał. Jego włosy przerzedziły się chyba w ciągu jednej nocy, a skóra przybrała chory, żółtawy odcień. Przekrwione oczy były podpuchnięte z braku snu. Jak mógł spać, kiedy pani Sanchez budziła go wciąż i patrzyła na niego z ciemnego kąta sypialni?

Koszmar był tak realny, że siłą woli nie pozwalał, by powieki mu opadły. Co za pech, że ta kobieta była akurat na plebanii. Skąd miał wiedzieć, że zastanie ją tam w środku popołudnia? Co innego z tamtymi – dziwki czekały tylko, aż wytnie z nich zło. Ale pani Sanchez... nie powinna była wchodzić mu w drogę. To nie jego wina. Lecz skąd wiedział o tym Pożeracz Grzechów?

Patrzył na ekran monitora z drugiego końca małego pokoju. Kiedy zaproszono go do gry, musiał podać jakieś nazwisko, i podał: ojciec Paul Conley. Wyeliminowanie go podczas gry okazało się niewystarczające. Pragnął, żeby naprawdę umarł. Pragnął widzieć ostatni oddech ojca Paula Conleya – i tak się właśnie stało.

Musi to przemyśleć. Jeśli Pożeracz Grzechów oglądał wiadomości i usłyszał, że ksiądz został naprawdę zamordowany, czy tym samym wiedział, że to jego sprawka? Pożeracz Grzechów mógł zajrzeć do oryginalnej listy, sprawdzić, kto podał nazwisko ojca Paula, i w ten sposób poznać mordercę księdza. Czy zechce go za to ukarać? Czy wyda go policji?

To bez znaczenia. Był wyjątkowo ostrożny, bardzo ostrożny... poza tym pieprzonym kubkiem do kawy. Jezu!

Nie do wiary, że o tym zapomniał. Wszystko inne wytarł albo wrzucił do worka na śmieci. Wszystko, poza najbardziej oczywistą rzeczą. Kiedy sobie przypomniał o kubku, było już za późno, żeby wracać. Ale to bez znaczenia. Nieważne. To już skończone, ojciec Paul Conley nie mógł już nikogo skrzywdzić.

Napompowany świeżą dawką adrenaliny przemaszerował przez pokój do komputera i kliknął na ikonę poczty. Poradzi sobie, niezależnie od tego, jaką dostał wiadomość. Miał tylko jedną wiadomość, od Pożeracza Grzechów:

Złamałeś reguły.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Maggie masowała ramiona, próbując się rozgrzać. W pokoju panował lodowaty ziąb, a ona pomyślała „piekielnie zimno...”. Nigdy nie wierzyła, że zawrze pakt z diabłem. Zastępca dyrektora Cunningham zajął się technicznymi szczegółami, ale to ona musiała zasiąść po drugiej stronie stołu naprzeciw Kellera.

– Strasznie tu zimno, co? – zauważyła.

Pakula popijał piątą tego dnia kawę.

– Właśnie pomyślałem, jak to dobrze, że tu tak chłodno.

Nie pomógł jej. Maggie poddała się i nalała sobie filiżankę gorącej herbaty z dzbanka stojącego na kredensie w rogu. Pokojowa z Embassy Suites spisała się świetnie, zadbała nawet o napoje i przekąski. Maggie pomyślała, że Pakulę to ucieszyło – znowu miał darmowe żarcie. Chociaż na razie zadowolił się kawą. Maggie zrozumiała już, że Pakula je, kiedy jest zdenerwowany, co znaczyło, że tego popołudnia był całkiem spokojny. Czyżby była jedyną osobą świadomą znaczenia tego spotkania?

– Ramsey wie coś ważnego – stwierdziła Maggie, podniosła pokrywkę z nierdzewnej stali i odkryła talerz owoców i serów. Próbowała się uspokoić, udając, że

przyjechali na zwyczajne przesłuchanie. Zerknęła przez ramię na Pakulę. – Nie ma pączków.

– Bardzo zabawne.

Uśmiechnęła się, widząc jego minę, i stwierdziła, że tęskni za swoim zawodowym partnerem, agentem specjalnym R.J. Tullym. Nie przyszło jej to łatwo, ponieważ szczyciła się tym, że jest samotnym wojownikiem, ale Tully potrafił ją uspokoić w trudnych sytuacjach. Jego kiepskie poczucie humoru zwykle pomagało Maggie

Teraz nie było już czasu, żeby szukać ratunku w żartach. Nagle otworzyły się drzwi i wszedł detektyw Kasab. Przytrzymał drzwi ojcu Kellerowi, jakby ten zasługiwał na podobną uprzejmość.

Maggie osłupiała. Ledwie poznała Kellera, bardzo się postarzał. Jego skóra była opalona, ale szorstka, wysuszona, a ciemne włosy przyprószyła siwizna. A przecież Keller był od niej młodszy. Najpewniej wyniszczył go tak pobyt w Ameryce Południowej, przeobrażając przystojnego mężczyznę o chłopięcej urodzie w wynędzniałego starca.

Keller trzymał ostrożnie kartonowe pudełko, jakby jego zawartość mogła ulec zniszczeniu podczas najlżejszego ruchu. Rozejrzał się po pokoju, powoli badał go wzrokiem. Maggie odsunęła się na bok. Czy szukał tylnego wyjścia, drogi ucieczki? Czy podejrzewał, że zastawili na niego pułapkę?

Pakula przedstawił się. Podobnie jak Kasab był serdeczny i uprzejmy, jakby miał do czynienia z jakąś ważną osobą.

Kiedy zamierzał dokonać prezentacji Maggie, uprzedziła go.

– Nas nie trzeba sobie przedstawiać – powiedziała i podeszła naprzód. – Ojciec Keller i ja jesteśmy starymi znajomymi, prawda? – Spojrzała Kellerowi w oczy, ale nie wyciągnęła ręki, jak zrobił Pakula. Postawiła filiżankę z herbatą na końcu stołu i usiadła.

– Chciałbym wierzyć, że na pewno nie jesteśmy wrogami, agentko O'Dell – odparł tym samym gładkim, niskim głosem, który tak świetnie pamiętała. – Pozwoli pani, że będę się do niej zwracał Maggie?

– Nie.

– Słucham?

– Nie pozwolę. – Piła wolno herbatę, a trzej mężczyźni stali w milczeniu i patrzyli na nią tak, jak patrzy się na kogoś, kto w samym środku ślubnej ceremonii wstaje i mówi: „Protestuję”.

Czuła napięcie, które wkradało się do pokoju jak mgła nad zimne jezioro. Więc będzie w tym towarzystwie malkontentem, zepsuje ten serdeczny dżentelmeński układ. Miała to w nosie. Dla niej Keller nie był dżentelmenem i z pewnością nie zasługiwał na zaufanie. Pragnęła jedynie, żeby gorąca herbata przegoniła chłód, który czuła w środku. Otworzyła notes i zaczęła postukiwać piórem, gotowa do pracy.

– Będę w holu, jakby co – rzekł Kasab do Pakuli, w końcu przerywając milczenie.

Pakula skinął mu głową, Kasab wyszedł, zamknął za sobą drzwi.

Maggie nie spuszczała wzroku z Kellera, patrzyła niemal wyzywająco, żeby zobaczyć, czy będzie zdolny wejść dalej, usiąść i normalnie rozmawiać.

Pakula odchrząknął i spojrzał na nią. Znali się ledwie parę dni, a ona już potrafiła odczytać jego ostrzeżenie. Mówił jej, żeby zachowała spokój, pokrzykiwał bezgłośnie: „Tylko bez nerwów”. Potem wziął kubek i podszedł do bufetu.

– Napije się ojciec kawy, ojcze Keller?

Maggie miała na końcu języka, żeby skończył z tą cholerną grzecznością.

Keller wskazał tymczasem na jej filiżankę i powiedział do Pakuli:

– Mogę prosić o filiżankę herbaty?

– Oczywiście. Z cukrem, z mlekiem?

– A są tam takie małe kostki cukru?

Pakula przez chwilę podnosił pokrywki.

– Chyba nie.

– To bez niczego.

Maggie już chciała przypomnieć, że to nie jakaś pieprzona proszona herbatka. Jezu!

W końcu wszyscy troje usiedli przy długim stole, Maggie u szczytu, żeby nie musiała siedzieć naprzeciw Kellera, Pakula po jej prawej, a ksiądz po lewej stronie ze swoim pudełkiem i filiżanką gorącej herbaty.

Keller prosił o spotkanie tylko z Maggie. Ramsey i Cunningham wykazali dość rozsądku, żeby upierać się, by

detektyw Pakula uczestniczył w spotkaniu, chociaż Maggie nie była przekonana, czy Cunningham obstawał przy tym ze względu na jej bezpieczeństwo, czy ze względu na bezpieczeństwo Kellera.

Ksiądz bacznie lustrował otoczenie. Jego oczy były przekrwione, policzki zapadnięte. Maggie z satysfakcją dostrzegła krople potu nad jego górną wargą. Miał na sobie spodnie khaki i białą bawełnianą koszulę, a pod nią biały T-shirt bez rękawów. Pod pachami koszuli widniały plamy potu, poza tym ubranie Kellera było czyste i świeże. Dopiero przyjrzawszy się bliżej, Maggie zobaczyła przetarcia na kołnierzyku koszuli.

Szczególną uwagę zwróciła na jego dłonie. Choć wyglądał dość marnie, jego dłonie były zadbane, gładkie, bez zgrubień, o krótko obciętych i czystych paznokciach. Posługiwał się nimi uważnie, niemal z szacunkiem, wszystko, co robił, sprawiało wrażenie jakiegoś ceremoniału. Nawet kiedy podnosił filiżankę, powoli i delikatnie unosił ją do ust, jakby to był kielich mszalny. Przypomniało to Maggie, że tymi samymi rękami masakrował małych chłopców, więcej, zrobił z tego makabryczny rytuał.

Siedział wyprostowany i spokojny, tylko oczy go zdradzały. Bez przerwy krążył wzrokiem po pokoju. Maggie zastanowiła się znowu, czy Keller bał się, że go oszukają. Dlaczego nie miałby się bać? Na pewno zdawał sobie sprawę, że agentka O'Dell przynajmniej spróbuje złapać go w pułapkę, kiedy wreszcie usiądą w tym samym pokoju,

w towarzystwie policyjnego detektywa. W końcu to właśnie był jej cel.

– Co jest w tym pudełku? – zapytała, dodając drwiąco, bo nie potrafiła sobie tego odmówić na początek: – Nóż do filetowania? A może majtki jakiegoś chłopca?

Jednak Keller był dobry w takich gierkach, bo nawet nie drgnął, tylko spojrzał jej w oczy i spokojnie odparł:

– Osoba, której pani szuka, pisała do mnie maile i przysyłała mi te rzeczy. Przywiozłem tyle, ile było możliwe, z nadzieją, że zdołacie znaleźć jego odciski palców.

– Skoro przysyłał ojcu różne rzeczy… – włączył się Pakula. – Jak ojciec je otrzymywał? Pocztą? Jakąś specjalną przesyłką?

– Pocztą. Wszystkie oprócz jednej. Ale nawet na pocztowych drukach nie było adresu nadawcy.

– Przysyłał ojcu różne rzeczy? – zdziwiła się Maggie. – Jak ojca znalazł?

Keller wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie przez Kościół.

– Władze kościelne poinformowały mnie, że nie znają miejsca pobytu ojca – oznajmiła. – Prawdę mówiąc, powiedzieli, że nie zmieniali ojcu przydziału.

– Kościół bardzo dba o swoich kapłanów, zapewne zauważyła to pani przy okazji tej sprawy. – Keller spojrzał na Pakulę.

– To znaczy że cały czas posiadali ojca adres?

– Wiedzieli, jak się ze mną kontaktować.

Maggie nie potrafiła stwierdzić, czy Keller kłamie. Po tym, czego dowiedziała się o Kościele katolickim w ostatnim tygodniu, niemal mu uwierzyła.

– A co z tą inną? – zapytał Pakula.

– Przepraszam, z jaką inną?

– Powiedział ojciec, że pocztą dostał wszystkie przesyłki oprócz jednej. Jak ją dostał ojciec?

– Chłopiec z wioski, Arturo, mi ją przyniósł. Powiedział, że dał mu ją jakiś stary mężczyzna. – Sięgnął po filiżankę

– Czy jest możliwe, że chłopiec zajrzał do niej, zanim ją ojcu oddał? – zapytał Pakula.

– Nie, absolutnie wykluczone. – Keller odstawił filiżankę, a Maggie natychmiast zobaczyła, dlaczego to zrobił. Jego dłoń lekko drżała. – Arturo to jeden z moich najlepszych ministrantów. To był dobry chłopiec, nigdy nie zrobiłby nic takiego.

Maggie poczuła skurcz żołądka. Keller mówił o chłopcu w czasie przeszłym.

– Był? Co ojciec ma na myśli, mówiąc „był”?

Keller popatrzył jej w oczy i szybko uciekł wzrokiem. W tym krótkim momencie Maggie zdawało się, że stracił pewność siebie. Przyłapała go, a może jego bladość to tylko efekt działania trucizny?

Przeniósł wzrok na Pakulę i odpowiedział:

– Był moim ministrantem, ale już nie jest.

Pakula wyraźnie zignorował ich wymianę zdań.

– Wątpię, żebyśmy zdołali znaleźć odciski palców tego gościa, niezależnie od tego, co ma pan w tym pudełku –

stwierdził.

– Zgadzam się z detektywem Pakulą – powiedziała Maggie. – Nie sądzę, żebyśmy znaleźli tam cokolwiek, co by nam pomogło.

Keller przyciągnął do siebie pudełko, nie zdejmując go ze stołu. Obejmował je teraz obiema rękami.

– Nadawca z pewnością nie był zbyt ostrożny, ponieważ wierzył, że wkrótce umrę i nie zdążę wam tego przekazać. Jeśli nie zdołacie zidentyfikować odcisków palców, pozostają jeszcze maile. Mam też listę.

– Dlaczego figuruje ojciec na tej liście, jak ojciec uważa? – spytała Maggie.

– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę? Nic ojcu nie przychodzi do głowy?

Czekała, dała mu drugą szansę. Przesunął się lekko na krześle, oparł łokcie na stole. Zamrugał kilka razy, ale nic poza tym. Maggie znała morderców, którzy tak skutecznie przekonywali samych siebie, że nie robili nic złego, że trudno było wykryć ich łgarstwo nawet detektorem kłamstwa. Nabrała przeświadczenia, że dotyczy to również Kellera. Uważał się za zbawcę źle traktowanych przez życie chłopców. Odmiennie niż Pożeracz Grzechów, który, jak podejrzewała, dokonywał zemsty i w ten sposób ratował chłopców. Zabijał tych, którzy ich wykorzystywali. Ojciec Keller ratował ich, kończąc raz na zawsze ich cierpienia i uwalniając od nieszczęścia.

Keller zdał sobie chyba sprawę, że nie posuną się dalej, dopóki nie odpowie. W końcu rzekł:

– Nie mam pojęcia, dlaczego jestem na tej liście.

– No widzi ojciec, dla mnie to zadziwiające. – Maggie zaczęła spokojnym tonem, choć, sama musiała to przyznać, nieco sarkastycznym. Tak naprawdę miała chęć sięgnąć przez stół, chwycić go za kołnierz i krzyknąć mu w twarz, że doskonale wie, dlaczego jest na tej cholernej liście. – Wiemy już, że pozostali księża byli oskarżeni o molestowanie nieletnich chłopców. Prawdę mówiąc, sądzimy, że to molestowani umieścili nazwiska na liście. A co z ojcem? Kto mógłby podać nazwisko ojca? Kto chciałby ojca wyeliminować?

Patrzyła mu prosto w oczy, ale on nawet nie mrugnął, powtórzył tylko:

– Jestem pewien, że moje nazwisko znalazło się tam przez pomyłkę.

– Przez pomyłkę? – No nie, czy on naprawdę myśli, że to kupią? Spojrzała na Pakulę z nadzieją, że ujrzy podobne niedowierzanie i zdenerwowanie. Nic podobnego. Był zdecydowanie lepszym pokerzystą.

– Jak podpisuje się nadawca maili? – spytał Pakula.

– Pożeracz Grzechów.

– Czy to coś dla ojca znaczy?

– Nie, ale szukałem wyjaśnienia. Pożeracz Grzechów był ważną figurą w średniowieczu. Wieśniacy zostawiali jedzenie, zwykle chleb, na piersi zmarłych. Po odejściu żałobników przychodził Pożeracz Grzechów i zjadał chleb. W ten sposób brał na siebie winy zmarłego, rozgrzeszał go.

– Chleb? – Pakula pokręcił głową i zerknął na Maggie. – Znaleźliśmy okruchy chleba na ciele wielebnego O'Sullivana, a w Columbii znaleźli je w kieszeni Kincaida. To jakieś pokręcone.

– Moment – wtrąciła Maggie. – Zabójca eliminuje księży, którzy molestowali nieletnich chłopców. Dlaczego chce ich rozgrzeszyć?

– Też mnie to dziwiło, lecz wreszcie zrozumiałem, w czym rzecz – zaczął Keller, szybkim ruchem wycierając spoconą skórę nad górną wargą. – Moim zdaniem ta osoba myśli, że rozgrzesza tego, w czyim imieniu zabija, a nie swoją ofiarę. – Oznajmił to niemal z podziwem dla Pożeracza Grzechów, tego samego, który chciał go zabić. – Czy to pasuje do pani portretu psychologicznego, agentko O'Dell?

Wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia. To miało sens. Pożeracz Grzechów nie tylko zabijał w imieniu tych chłopców, on brał na siebie ich grzech uległości oraz życzenie śmierci oprawcy.

– Tak, pasuje – odparła. – Myślę, że ma ojciec rację.

Keller zrobił taką minę, jakby źle ją zrozumiał. Nawet Pakula spojrzał zdziwiony.

– Może on ratuje chłopców przed ich oprawcami, zabijając tychże oprawców. – Zrobiła pauzę. – Przeciwnie niż ojciec, ojcze Keller. Ojciec ratował molestowanych chłopców, zabijając ich samych.

Obydwaj mężczyźni wlepili w nią wzrok, po raz drugi zamilkli zdumieni jej brawurą. Keller bawił się taśmą, którą oklejona była paczka. W pokoju zapadła taka cisza, że

Maggie słyszała, jak duchowny nerwowo przebierał długimi palcami.

– Czy tak postąpił ojciec z Arturem? – zapytała. – Czy uratował go ojciec przed wylotem z Wenezueli?

– Agentko O'Dell – włączył się Pakula spokojnie, jednak Maggie wyczuła zniecierpliwienie w jego głosie. – Nie zapominajmy, po co zebraliśmy się tutaj. Próbujemy powstrzymać mordercę.

– No właśnie – odparła i popatrzyła na Kellera. Właśnie to pragnęła zrobić, powstrzymać mordercę, który powinien był zostać zatrzymany cztery lata temu. Usiadła jednak i splotła palce na stole, żeby nie zacisnąć ich w pięści i nie uderzyć w gładką, spoconą twarz Kellera.

– Może ojciec powie nam, co ma dla nas – podjął Pakula.

Maggie czuła, że obserwował ją kątem oka.

– Mam kopie naszych maili. – Keller także zerkał na Maggie, jakby spodziewał się, że mu przerwie. – Wiem, że istnieje sposób na to, żeby wyśledzić nadawcę.

– Być może – odparł Pakula. – Byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli komputer ojca.

– Och, przywiozłem swój laptop. Mam go w pokoju.

– Rozumiem – powiedział Pakula – że Pożeracz Grzechów chronił się jakoś, żeby nikt go nie namierzył. Wątpliwe, żebyśmy wytropili go za pomocą maili.

– Ale FBI po jedenastym września potrafi chyba wszystko – zauważył Keller.

Maggie wydało się, że się zirytował.

– Co jeszcze ksiądz ma? – naciskał Pakula, zerkając na nią. W końcu i on okazał wątpliwości i rozczarowanie. Maggie siedziała cicho.

– Kopię listy – rzekł Keller i stuknął w pudełko. – Jest na niej ojciec Paul Conley.

– A ojciec Rudolph Lawrence? – zapytał Pakula.

– Lawrence? Nie, nie widziałem takiego nazwiska.

– Na pewno?

– Kiedy odkrywa się własne nazwisko na liście osób do zlikwidowania, wie się, kto jeszcze tam jest.

– Więc ile osób tam jest? – spytał Pakula.

– Razem ze mną pięć.

Detektyw odetchnął głęboko. Spotkał się wzrokiem z Maggie, a następnie potarł głowę.

– Umawialiśmy się, że dostarczę wszystko, co, moim zdaniem, pomoże złapać zabójcę. Jeżeli zostanie schwytany, ja na tym skorzystam. Jednakże, zanim wam to przekażę – niski silny głos Kellera zadrżał dość wyraźnie – potrzebuję jeszcze czegoś. I to zaraz.

No jasne, pomyślała Maggie. Świetnie wybrał moment. Chciała mu powiedzieć, żeby wybił sobie to z głowy, ale Pakula nachylił się i przesunął krzesło. Bardzo chciał zobaczyć, co było w pudełku i czy są tam odciski palców.

– Czego? – zapytał, nie oglądając się na Maggie.

– Jak wspomniałem agentce O'Dell, jestem pewny, że mnie otruto. Mam powód, by sądzić, że zostałem otruty tojadem.

Maggie omal nie parsknęła śmiechem, ale mruknęła tylko:

– Tojadem, inaczej zwanym mordownikiem. Świetny wybór.

Jej ironia została jednak zignorowana.

– W jaki sposób ojciec to odkrył? – spytał Pakula.

– On sam mi powiedział. Był dumny, że jest taki sprytny. – Tym razem Keller otarł pot z czoła, chociaż w pokoju panowało lodowate zimno. Wyglądał, jakby wytrzeszczał oczy, jedną z rąk, zaciśniętą w pięść, opuścił na kolana.

– Czego ojciec od nas chce? – spytał Pakula.

– To się chyba nazywa naparstnica, jest stosowana w chorobach serca. O ile wiem, to także odtrutka na tojad. Potrzebuję tego. Państwo dostarczycie mi odtrutkę do mojego pokoju, a ja przekażę wam pudełko i laptop.

Odsunął do tyłu kosmyki włosów przylepione do czoła i wstał od stołu. Maggie zauważyła, że wykrzywił wargi. Pewnie ten prosty ruch sprawił mu ból. Próbowała sobie przypomnieć, jakie objawy daje zatrucie tojadem, ale była pewna wyłącznie tego, że cieszył się popularnością przede wszystkim w średniowieczu. Nie należał do współczesnych trucizn.

Pakula także wstał i spojrzał na Maggie, gdyż to w końcu ona zawarła z Kellerem umowę.

Maggie nie podniosła się z krzesła.

– Co pozwala ojcu sądzić, że mu zaufamy? – spytała. – Kiedy wyraźnie dałam ojcu do zrozumienia, że uważam go za bezwzględnego mordercę?

Keller wsparł się lewą ręką o stół, żeby utrzymać równowagę, lecz jego głos nie drżał, gdy popatrzył jej

w oczy.

– Ponieważ dała mi pani słowo, agentko O'Dell. A ja wiem, że to dla pani coś znaczy

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Pakula zakończył rozmowę telefoniczną z Ramseyem, potem sprawdził, czy nie ma żadnych pilnych wiadomości. Kasab zabrał Kellera z powrotem do pokoju, zanim ksiądz dostał ataku albo O'Dell go udusiła. Nadal wyglądała, jakby miała chęć to zrobić. Pakula uważał, że Keller złapał raczej malarię, nie został wcale otruty, ale ksiądz trwał przy swoim.

– Żona komendanta Ramseya jest internistką w Med Center. Poproszę ją o to lekarstwo dla Kellera. – Nie był pewny, czy O'Dell go słucha. Chodziła tam i z powrotem po pokoju.

– Ten chłopiec, Arturo... Keller zamordował go przez wyjazdem. Nie przestał tego robić.

Pakula westchnął głęboko. O'Dell nie obchodziło, czy on w to wierzył. Zgadywał, o czym myślała. Nie znał Kellera tak dobrze jak ona. Spotkał go po raz pierwszy, chorego, spoconego i wstrząsanego dreszczami. Pamiętał jednak szczegóły tamtej sprawy sprzed czterech lat. Nie widział, co morderca robił z ofiarami – nie widział nacięć na klatce piersiowej nieszczęsnych niewinnych chłopców, ale jak zawsze, gdy chodziło o dzieci, bardzo to przeżywał.

Rozumiał, że O'Dell obecna sytuacja doprowadzała do szału, skoro wierzyła, że to Keller jest mordercą, a zwłaszcza że nie przestał zabijać.

– Proszę posłuchać, O'Dell – zaczął. – Może ma pani rację i to Keller zamordował tych chłopców w Platte City. Może ma pani rację co do tego Artura, ale nie mamy nic na Kellera. Musi pani odpuścić. – Nie był na nią zły. Miał nadzieję, że Maggie usłyszy sympatię, a nie zniecierpliwienie w jego głosie. – Nie pomoże mi pani złapać mordercy księży, jeśli nie odpuści.

Maggie milczała, nie przestając chodzić. Potem ni z tego, ni z owego powiedziała:

– Tojad – i zaśmiała się.

– Słucham?

– Temu mordercy nie można odmówić poczucia humoru.

– Ostrożnie – zażartował Pakula. – Mówi pani, jakby go pani polubiła. – Musiał coś zrobić, żeby przestała myśleć o Kellerze i zajęła się ich sprawą.

– Chyba przyzna pan, że największym złem są ci, którzy z rozmysłem krzywdzą dzieci? – Jej pytanie zabrzmiało jak wyzwanie.

– Bez wątpienia – odparł natychmiast.

– A co z tymi, którzy nie tylko krzywdzą naumyślnie, ale wykorzystują szacunek, jakim darzy je dziecko i jego potrzebę autorytetu, jak na przykład księża? Detektywie Pakula, obydwoje znamy pedofilów wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że doświadczenie Marka Donovana

z wielebnym O'Sullivanem nie było jedyną sprawą tego rodzaju.

– Zgoda. – Skrzyżował ramiona na piersi. Podejrzewał, do czego zmierza Maggie, i nie bardzo chciał jej sekundować.

– Ilu zna pan pedofilów, którzy zostali zresocjalizowani?

– Wiem, co chce pani powiedzieć, agentko O'Dell.

– Ja nie znam żadnego, ale mogę panu opowiedzieć o małej dziewczynce, molestowanej i pogrzebanej żywcem przez pedofila, który właśnie został wypuszczony z więzienia. Mogę panu przytoczyć dziesiątki podobnych spraw.

Pakula patrzył na nią. Nerwowo przeczesała włosy, ale nie myślała o Kellerze, więc pozwolił jej mówić dalej.

– Wie pan równie dobrze jak ja, że w przypadku pedofilów okrucieństwo z czasem narasta, a jednak w ciągu ostatnich piętnastu lat Kościół katolicki przeniósł do nowych parafii mniej więcej tysiąc pięciuset księży oskarżonych o molestowanie seksualne. Oczywiście, niektórych wysyłał na krótkie wakacje do magicznego centrum rehabilitacji. Moim zdaniem – stwierdziła, masując ramiona, jakby dotąd się nie rozgrzała – Pożeracz Grzechów to ktoś, kto po prostu ma dosyć, nie chce już patrzeć, jak to się wciąż powtarza, a nikt nie reaguje. Tak, chyba mogę powiedzieć, że czuję do niego trochę sympatii, przeciwnie niż do wszystkich innych morderców, z którymi miałam do czynienia.

Pakula właśnie tego się obawiał.

– Czy to nowy portret psychologiczny? – zapytał z uśmiechem i nadzieją, że ją uspokoi. – Wczoraj mówiła mi pani, że mamy dwóch morderców, nastolatków, którzy byli molestowani i grają w jakąś grę komputerową.

– Niewykluczone – odparła, rozważając to i znowu spacerując po pokoju. – Młodzież czasami ma bardzo klarowną, jednoznaczną wizję sprawiedliwości.

Przystanęła na moment, a Pakula zastanowił się, czy odtwarzała w myśli tragiczny wymiar tych zbrodni, czy może wyobrażała sobie głowę Kellera na miejscu głowy ojca Conleya.

– Nie wierzę, że człowiek, który zabił wielebnego O'Sullivana, zamordował też ojca Paula Conleya – oznajmiła.

– Co potwierdza pani teorię o dwóch sprawcach. – Pakula nadal nie mógł się przekonać do tego, że nastoletni chłopcy dokonali tych zbrodni, zaczynał jednak myśleć, że Maggie ma rację co do liczby morderców, co dodatkowo komplikowała sprawę. Tym bardziej zatem potrzebowali dowodów, które przywiózł im Keller.

– Dlaczego, pańskim zdaniem, ojca Rudy'ego z Florydy nie ma na liście? – zapytała. Zanim odpowiedział, podjęła: – To może znaczyć, że lista, którą ma Keller, jest fałszywa. Morderca przekazał mu listę z pełną świadomością, że ten udostępni ją policji. Oczywiście włączył do niej tych, którzy zostali już zabici, żeby sprawiała wrażenie wiarygodnej. Ale dlaczego ojca Rudy'ego nie ma na liście?

Stanęła obok bufetu i zalała kolejną torebkę herbaty gorącą wodą. Wypiła już tyle herbat, ile Pakula kaw. Świetnie – obydwoje pompowali się kofeiną lub teiną. Potem zaczęła znowu chodzić.

Pakula wstał od stołu i przeciągnął się. Przez ostatnie dni za dużo siedział. Może spacerek dobrze mu zrobi, pomyślał, ale dotarł tylko do bufetu. Szkoda zmarnować tyle darmowego żarcia! Poboksuje swój worek dodatkowe pół godzinki. Wybrał kilka kawałków pokrojonego w kostkę sera.

– Może ojciec Rudy to był błąd. – Włożył do ust dwie kulki winogron. Potem przypomniał sobie o wiadomości nagranej na sekretarce. – Chwileczkę. Zapomniałem, że mam wiadomość od przyjaciela z Pensacoli. – Wyjął komórkę i zaczął szukać pośród nieodebranych rozmów. Kiedy znalazł kierunkowy 850, nacisnął „play” i słuchał:

– Cześć, Tommy, muszę mówić krótko. Zresztą nie mam wiele do powiedzenia. Znalazłem w końcu kogoś, kto twierdzi, że ojciec Rudy to prawdziwy zboczeniec. Ale Tommy, on nie lubił młodych chłopców. Była przynajmniej jedna jedenastoletnia dziewczynka. Zadzwoń do mnie wieczorem, jak będziesz chciał pogadać.

Pakula wyłączył telefon. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że podszedł do miękkiego fotela i opadł na siedzenie. Traktował tę sprawę jak każdą inną, zdegustowany jak przy każdej innej, która dotyczyła dzieciaków. Ale nagle coś go uderzyło. Jego najmłodsza córka, jego córeńka Madeline przed miesiącem skończyła jedenaście lat. Przez moment

wyobraził sobie, że to ona zaufała jakiemuś mężczyźnie, księdzu, i że ten mężczyzna, ksiądz, wykorzystał jej szacunek, tak jak przedstawiła to O'Dell w swoim kazaniu. Poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła. Miał chęć w coś uderzyć.

Podniósł wzrok na O'Dell, która przystanęła naprzeciw niego.

– I co?

Jej złość zastąpiła troska, ponieważ Pakula nie umiał ukryć swoich uczuć. Musiała je zobaczyć na jego twarzy.

– Nic pewnego – odparł. – Tylko plotki. Mniej więcej to samo, poza tym, że ojciec Rudy wolał jedenastoletnie dziewczynki.

O'Dell zacisnęła powieki, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić i nie wybuchnąć. Pakula był ciekaw, czy jej także przydarza się taka chęć, żeby w coś walnąć.

– Więc ojciec Rudy zasłużył sobie na miejsce na liście – stwierdziła w końcu, a Pakula skinął głową. – To czemu go tam nie ma?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Z okna swojego gabinetu Gwen Patterson widziała ruch uliczny w dole. Detektyw Julia Racine solidnie nadszarpnęła jej nerwy, a zarazem dała do myślenia. Gwen zdołała jednak przeżyć ten dzień w pracy, mimo że zatrudniona czasowo asystentka co i rusz jej przerywała. Biedna dziewczyna zablokowała kopiarkę, stłukła nową maszynkę do kawy i rozłączała się ze swoimi rozmówcami, przekonana, że każe im tylko czekać. Spotkało to między innymi senatora Stanów Zjednoczonych, który podobno miał do Gwen pilne pytanie. Nie było chyba jednak aż tak pilne, skoro nie oddzwonił. Gwen cieszyła się, że zostawiła Harveya w domu. Chaos, jaki tego dnia panował w gabinecie, zrobiłby z niego psi wrak.

– Czy jestem jeszcze potrzebna, pani Patterson? To znaczy doktor Patterson? – zapytała asystentka, stając w drzwiach.

Gwen przyjrzała się dziewczynie, a ściślej mówiąc, młodej kobiecie. W normalnej sytuacji kręciłaby nosem na kolczyk w brwi i zbyt obcisłą bluzkę. Zawsze usiłowała wpoić swoim asystentkom, a raczej wbić im do głowy, że ich wygląd świadczy o szefowej. Pacjenci spotykali je przed wejściem do gabinetu. Jednak w obecnej chwili wszystko to wydawało się Gwen nieważne. Morderca wchodził do niej i wychodził,

mijając bez problemu recepcję, i uzyskiwał od niej poradę, która zachęciła go do zabijania. Bo najwyraźniej go nie powstrzymała.

– Nie, dziękuję, Amando, możesz już iść.

– Przykro mi z powodu maszynki do kawy. Kupię pani nową.

– Nie ma sprawy – powiedziała Gwen. Biedna Amanda nie miała pojęcia, że musiałaby wydać całą tygodniówkę. – Idź do domu, odpocznij. Jutro rano spróbujemy na nowo.

– Dziękuję, doktor Patterson. – Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się do Gwen.

Amanda zapewne pójdzie do domu i poskarży się swojej współlokatorce albo chłopakowi, a może matce, pomyślała Gwen. Uświadomiła sobie, jaki to luksus mieć kogoś, komu można opowiedzieć o udrękach i zgryzotach minionego dnia. A kogóż ona ma? Tylko Harveya, lecz nawet on jest pożyczony. Postanowiła zadzwonić wieczorem do Maggie. Zarabiała na życie, przekonując pacjentów, że spowiedź jest dobra dla duszy i umysłu, a sama nie praktykowała tych mądrości. Może więc pora zacząć.

Postanowiła także, że pojedzie do domu i odpocznie, tak jak radziła Amandzie. Kiedy schowała laptop i kilka dokumentów do skórzanej teczki, zadzwonił telefon. Nie miała ochoty odbierać, ale w końcu podniosła słuchawkę.

– Doktor Patterson.

– Witam, pani doktor, mówi Julia Racine.

Koniec z odpoczynkiem. Gwen oparła się o biurko, spodziewając się, że będzie jej potrzebne dodatkowe

wsparcie.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytała, zamiast rzucić to, co miała na końcu języka: „Czego pani znowu chce, do diabła”?

– W Bostonie znaleźli odciski palców, morderca zostawił je na kubku. Pomyślałam, że zechce pani wiedzieć, że nie są to odciski Rubina Nasha.

– Czy powinnam odetchnąć z ulgą? – Znaczyło to jedynie, że Nash nie pojechał do Bostonu, żeby odciąć głowę jakiemuś księdzu. – To tylko dowodzi, że nie przerzucił się z młodych kobiet na księży.

– Tego akurat nie jestem pewna. – Gwen ledwie ją słyszała, głos zagłuszał hałas uliczny. Racine jechała samochodem. – Ojciec Conley został uduszony jak pozostałe ofiary, morderca odrąbał głowę toporkiem. Wygląda na to, że porąbał księdza w szopie za plebanią.

Gwen nie chciała znać tych szczegółów. Słysząc je, widziała natychmiast okaleczoną Denę. Wolałaby, żeby Racine zachowała je dla Maggie albo Tully'ego czy kogokolwiek innego. Miała już tego dosyć. Po zakończeniu sprawy Rubina Nasha nigdy więcej nie zajmie się portretami psychologicznymi przestępców.

– To są detale – kontynuowała Racine – których nie podaliśmy mediom, więc niemożliwe, żebyśmy mieli do czynienia z naśladowcą.

– Nie rozumiem, dlaczego mi pani mówi to wszystko, Racine.

– Bo nic nie mam, a dopóki nie powie mi pani czegoś więcej o Rubinie Nashu, nie mogę nawet wezwać go na przesłuchanie.

Gwen omal nie rzuciła słuchawką. Nabrała głęboko powietrza, liczyła, że w ten sposób się uspokoi.

– Powiedziałam pani wszystko, co mi przychodziło do głowy. O notatkach, o rzeczach, które wciąż mi podrzucał. Czy to nie jest wystarczający dowód?

– Byłby, gdybyśmy znaleźli na nich jego odciski palców.

– Ależ sama je widziałam. Na jednej z map parku jest nawet smuga.

– To nie jego odciski. – Racine krzyczała, ale nie ze złości, tylko po to, żeby przebić się przez uliczny hałas. – Muszę kończyć, pani doktor. Jak pani coś wymyśli, cokolwiek, proszę do mnie zadzwonić.

Rozłączyła się. Gwen zaczęła podejrzewać, że Racine kłamie. Czy naprawdę sprawdziła odciski palców? Czy to możliwe, żeby Nash posłużył się kurierem? Może chciał ich wszystkich oszukać.

Właśnie kończyła pakować teczkę, kiedy otworzyły się drzwi do poczekalni. Gwen pomyślała, że Amanda po coś wróciła albo, wychodząc, nie zamknęła drzwi na klucz. Nie miała ochoty na spotkanie z kolejnym kurierem czy majstrem i już otwierała usta, żeby to powiedzieć, kiedy James Campion stanął w progu gabinetu.

– Dzień dobry, doktor Patterson – rzekł zdyszanym głosem.

Wyglądał okropnie, a zazwyczaj był bardzo porządny i czysty. Miał na sobie pogniecione ubranie, jakby w nim

spał, włosy były potargane, oczy nabiegłe krwią i podpuchnięte.

– James? Nic ci nie jest?

– Muszę z panią porozmawiać, doktor Patterson. Teraz.

– Co się stało? Coś ci się stało?

– Nie, nie, nic. Nie w tym sensie, jak pani myśli.

Powinna go poprosić, żeby wrócił nazajutrz rano, bo już skończyła pracę, ale był tak przestraszony i spanikowany, a jego chłopięca twarz była tak wykrzywiona, że Gwen obawiała się, iż rano może być za późno. Przypomniała sobie ślady na jego nadgarstkach.

– Proszę, wejdź.

Chciała go uspokoić, lecz on krążył po gabinecie, wypatrywał przez okno, jakby ktoś go śledził. Gwen nie lubiła, kiedy jej pacjenci byli tak rozkojarzeni. Wymykali się wtedy spod jej kontroli.

– Możemy porozmawiać, James, ale musisz usiąść i opowiedzieć mi, co się wydarzyło.

Wreszcie przystanął na dość długo, żeby spojrzeć jej w oczy, a potem głosem małego chłopca szepnął:

– To pulsowanie, to walenie – wskazał na swoją klatkę piersiową i głowę – nie ustaje. Chyba dlatego, że złamałem zasady.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Nick czekał na ten wieczór niecierpliwie. Przekonał Christine, żeby Timmy spędził z nim noc w apartamencie. W końcu zgodziła się nawet zadzwonić do pani McCutty i poprosić, żeby także Gibson mógł przenocować w hotelu. Oczywiście, nie poszło łatwo. Z początku Christine nie podobał się ten plan.

– Nie do wiary, chcesz ich nagrodzić za to, że zwiali ze szkoły! – krzyczała na niego przez telefon. – Wiesz, ile wybuliłam za te zajęcia?

– Nie wiem, o co chodzi – odparł Nick – ale musisz przyznać, że ten cały brat Sebastian to podejrzany typ.

– To pachołek arcybiskupa – rzuciła Christine. – Jeśli coś jest na rzeczy, arcybiskup Armstrong maczał w tym palce, ale chyba nie sądzisz, że próbuje dobrać się do Timmy'ego, ponieważ pracowałam nad tym artykułem?

– No wiesz! – Czasami jego starsza siostra była niesamowicie naiwna. – Chcesz o nim napisać kompromitującą prawdę i uważasz, że nie spróbuje cię powstrzymać?

– Może to dobry pomysł, żeby chłopcy przenocowali poza domem. Zadzwonię do pani McCutty i powiem jej to.

Siła przekonywania Nicka podziałała także na Jill, zresztą musiał niechętnie przyznać, że z nią poszło mu dużo łatwiej niż z siostrą. Jill ochoczo zrezygnowała z wieczoru z narzeczonym, zyskując w ten sposób kolejną okazję, żeby sprawdzić, co z kwiatami na ślub oraz spotkać się z druhnami i człowiekiem od cateringu.

Nick zaczął się zastanawiać, co bardziej podnieca wyobraźnię Jill: fakt, że poślubia właśnie jego, czy to, że w ogóle wychodzi za mąż. Co takiego jest w przygotowaniach do ślubu, że zamieniają inteligentną, wyrafinowaną, spełnioną zawodowo kobietę w osobę uzależnioną od kolorowych magazynów i zakupów do utraty tchu? Nawet kiedy znajdowali chwilę na spotkanie, ich rozmowy nieodmiennie kręciły się wokół tego, czy wybrać miniquiche, czy jednak miniaturowe kanapki z rzeżuchą oraz czy wystarczy jeden tort dla pana młodego. Oczywiście kiedyś poruszali inne sprawy, ale w ostatnim czasie ograniczali się do jednego tematu.

Nick nie chciał teraz zawracać sobie tym głowy. Cieszył się, patrząc, jak Timmy i Gibson z podziwem zwiedzali hotel, jakby odbywali podróż przez futurystyczną krainę. Po drodze zatrzymali się w sklepie, bo Gibson potrzebował ubrania na zmianę, a wyraźnie nie miał ochoty wpaść do swojego domu. Kupili tylko podstawowe rzeczy, ale ich małe zakupowe szaleństwo okazało się świetną zabawą. Nick od dawna tak serdecznie się nie śmiał. Oczywiście Jill i jej koleżanki nie doceniłyby tego, ale chłopcy byli zadowoleni i paradowali w nowych okularach nawet w hotelowym holu.

– Możemy potem pójść na lody? – zapytał Timmy.

– Dzisiaj wieczorem lepiej zamówimy sobie coś do pokoju – odparł Nick. – Nie sądzę, żeby wasz nowy przyjaciel zajrzał tutaj czy na Stare Miasto, ale lepiej nie ryzykujmy, dobrze?

Gibson i Timmy wymienili uśmiechy i z miejsca zapomnieli o strachu przed bratem Sebastianem. Nick był rad, że dzięki niemu poczuli się bezpieczni, ale nie zapomniał tego, co Tony powiedział mu o dziwnym kapłanie. Ten człowiek zrobi wszystko dla arcybiskupa Armstronga. Już zdążył grzebać w gabinecie wielebnego O'Sullivana, szarpać Gibsona na szkolnym korytarzu i okłamać jego matkę, wymyślając historię o narkotykach. Do czego jeszcze zdolny był brat Sebastian? Czy także do morderstwa?

Nick podejrzewał, że Timmy i Gibson nie wyjawili mu wszystkiego. Najpierw Tony coś przed nim ukrywał, a teraz jeszcze ci dwaj. Na pytania odpowiadali milczeniem. Przekupi ich jakimiś smakołykami, ale to później. Tego wieczoru najważniejsze było, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, ochronić przed pachołkiem arcybiskupa, jak nazwała go Christine.

Nick skupił całą uwagę na bracie Sebastianie, i nie zauważył innego wysokiego mężczyzny, który obserwował ich, siedząc na jednej z sof w hotelowym holu.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Ojciec Michael Keller odnosił wrażenie, że naparstnica zaczęła działać, choć wiedział przy tym, że to prawdopodobnie złudzenie. Nie miał żadnej gwarancji, że odtrutka poskutkuje, nie wspominając już o tym, żeby stało się to tak szybko. Jednak zimny pot już go nie oblewał, a żołądek się uspokoił. Nie burczało mu w brzuchu, chociaż czuł głód. Nie był tylko pewien, czy wzrok mu się poprawił.

Siedział w hotelowym holu, słuchał nadawanej przez głośniki muzyki, popularnego wykonania kanonu w D-major Pachalbela, i wyglądał przez okno. Patrzył na turystów, którzy spacerowali po kocich łbach Starego Miasta, na samochody i autobusy, a także na stary tramwaj sunący ulicą. Obserwował to wszystko, czerpał radość z rzeczy, które w poprzednim życiu irytowały go i przeszkadzały. Widział już dobrze, do chwili gdy ujrzał mężczyznę z dwoma nastoletnimi chłopcami. Kiedy weszli przez obrotowe drzwi hotelowe, zastanowił się nawet, czy znowu ma halucynacje.

Czy zna skądś tego mężczyznę? Nie mógł go nigdzie umiejscowić. Na dodatek również chłopiec w pomarańczowej koszulce i szerokich spodniach wydał mu

się znajomy. Niewykluczone, że byli jego parafianami, kiedy pracował w Platte City.

Udawał, że na nich nie patrzy, pił kolejną filiżankę wspaniałej gorącej herbaty. To miejsce było jak marzenie, prawdziwy raj na ziemi. Chciałby pozostać tu na zawsze, ale teraz, kiedy przekazał już wszystko Maggie O'Dell i detektywowi Pakuli, jego misja zbliżała się do końca.

Podczas długiego lotu do Stanów umocnił się w swojej decyzji. Nie wróci do Wenezueli. Wsiądzie na pokład samolotu, tak jak obiecał agentce O'Dell, ale nie ma powodu, żeby dłużej się karał. Dał im wszystko, na pewno znajdą Pożeracza Grzechów. To tylko kwestia czasu. On zaś musi znaleźć sobie bezpieczną kryjówkę. Może jakąś wiejską parafię, gdzie nikt go nie zna? Na przykład gdzieś w okolicy Chicago?

Powie im, że przysłał go arcybiskup, tak jak mówił za każdym razem przez ostatnie cztery lata. Może minie kilka miesięcy, może rok, zanim ktokolwiek dojdzie prawdy, a kiedy tak się stanie, zbierze swoje manatki i ruszy dalej. Nie było powodu, żeby jego strategia nie sprawdziła się w Stanach.

Jedno wciąż go nękało. Pytanie Maggie O'Dell nie dawało mu spokoju: „Dlaczego znalazł się ojciec na tej liście?”.

Dopóki nie zadała tego prostego pytania, wierzył, że może tu zostać bezpieczny i wolny, ale to jedno pytanie uzmysłowiło Kellerowi, że ktoś jeszcze, poza agentką O'Dell i Pożeraczem Grzechów, chciał go skrzywdzić. Będzie go nękał i prześladował, dopóki go nie powstrzyma.

Zdenerwowany, usłyszał, że mężczyzna z dwoma chłopcami mówił coś do recepcjonisty. Nie zrozumiał słów.

Nadstawił uszu. Nadal nic nie rozumiał.

Mężczyzna pokazywał coś chłopcom, zwrócił się do tego w pomarańczowej koszulce. Zawołał na niego Timmy – i wtedy zdarzenia powróciły do Kellera, jakby działo się to zaledwie wczoraj. Przypomniał sobie wszystko i od razu wiedział, że w ten właśnie sposób dostał się na tę listę. Żałował w życiu tylko jednej rzeczy: że nie zdołał uratować pewnego małego chłopca.

Timmy Hamilton podał jego imię Pożeraczowi Grzechów.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen próbowała go uspokoić, ale on najpierw mamlał jak małe dziecko, a potem wpadł w taką furię, jakiej jeszcze nigdy u niego nie widziała. Powtarzał bez przerwy, że złamał zasady. Nie miała pojęcia, o czym mówił.

– Zasady gry! – wrzasnął na nią. – Pożeracz Grzechów musiał rzucić na mnie urok. Czy to możliwe?!

Gwen w końcu posadziła go na sofie, chociaż nie przestawał wymachiwać rękami. Nic w jej dotychczasowych kontaktach z Jamesem nie zapowiadało tak gwałtownego zachowania. Gwen zaczęła zerkać na drzwi, sprawdzała, czy w razie czego zdoła uciec. Wszystkie poprzednie spotkania były więcej niż grzeczne. James zawsze był uprzejmy, wdzięczny, pełen szacunku. Nie pamiętała, by kiedykolwiek podniósł głos, nawet gdy zwierzał się z najbardziej ohydnych zdarzeń ze swojego dzieciństwa.

Jego dzieciństwo.

Dlaczego od razu nie zrozumiała, o co chodzi?

James Campion był molestowany i gwałcony przez księdza z parafii, człowieka, którego darzył wielkim szacunkiem. Czy wymienił kiedyś jego nazwisko lub imię?

Jej myśli biegły gwałtownie, usiłowała poskładać w całość zapamiętane z karty pacjenta informacje. Gdzie to było?

Dlaczego nie pamięta, gdzie dorastał? Nie tutaj. Tego była pewna. W Bostonie? Czy to był Boston? A może znowu wpada w paranoję i wkłada fragmenty układanki w puste miejsca, jak jej akurat pasuje?

– James, powoli. Opowiedz mi o tej grze. Nie wspominałeś o niej dotąd – mówiła łagodnie, tonem, który sprawdzał się podczas minionych sesji. – Musisz mi powiedzieć o tej grze, żebym mogła ci pomóc. Rozumiesz?

Skinął głową, a Gwen starała się utrzymać z nim kontakt wzrokowy. Jeżeli przypomni mu, jak bezpiecznie i dobrze czuł się z nią poprzednio – wystarczająco bezpiecznie, żeby podzielić się z nią historią, którą ukrywał przed wszystkimi innymi – być może wyciągnie od niego, co się stało. Kątem oka widziała ręce Jamesa ułożone na kolanach. Gniótł nerwowo skraj koszuli, miał tak mocno zaciśnięte pięści, aż skóra zbielała mu na kłykciach.

Nagle Gwen stwierdziła, że wcale nie chce wiedzieć, co zrobił.

– Przez jakiś czas to mi pomagało – zaczął spokojnie, ale nadal ściskał brzeg koszuli. Chyba nawet zaczął ją drzeć. Gwen patrzyła mu w oczy, choć wolałaby spuścić wzrok. – Pani mi pomagała przez jakiś czas. Naprawdę mi pani pomogła, ale za dużo pani powiedziałem. To nie chciało odejść, kiedy pani kazała mi o tym mówić, tylko wywoływało większą złość. A potem gra mi już nie wystarczała. Nasze spotkania nie wystarczały. Pani… – Uniósł rękę i wycelował w nią palec. – Pani mi nie wystarczała. – Wstał powoli, cały czas patrząc jej w oczy,

jakby raptem doznał jakiegoś objawienia. – To pani wina – wysyczał. – Pani kazała mi to wszystko wywlec na światło dzienne. Pani kazała mi przypomnieć sobie wszystkie obrzydliwe szczegóły. To przez panią to zrobiłem.

Gwen zrozumiała w owej chwili, że tkwiła dotąd w błędzie. Mordercą, który zostawiał jej instrukcje i mapy i domagał się jej uwagi, nie był Rubin Nash. To James Campion. Popełniła błąd, a teraz przyjdzie jej za to zapłacić.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Maggie posłuchała Pakuli i została w Embassy Suites. Wróciła do swojego apartamentu, by, jak powiedział detektyw, „zrzucić z siebie ten ciężar”. Polecił jej również trzymać się z daleka od ojca Kellera. Pewnie zaczął wreszcie sobie wyrzucać, że mieszkali w tym samym hotelu, dzieliły ich tylko dwa piętra. Było już późno, a Maggie umówiła się z siostrą Kate na kolację. Gdyby nie to, upierałaby się, że zostanie z Pakulą i jego ludźmi i pomoże im uporać się z czarną robotą. A było sporo do zrobienia. Każdy z przedmiotów przekazanych przez Kellera należało posypać specjalnym proszkiem do wykrywania odcisków palców, a następnie porównać te odciski z zasobami archiwum. Maggie i Pakula zgodzili się, że adres mailowy Pożeracza Grzechów to droga donikąd, mimo to detektyw postanowił, że da szansę magikowi od komputerów z laboratorium kryminalistycznego.

Maggie niechętnie to przyznała, ale poczuła ulgę, co prawda niewielką, patrząc, jak Pakula i Kasab wychodzą ze wszystkimi skarbami Kellera. Była wyczerpana, pozbawiona energii. Czuła, że przegrała bitwę. Może Pakula wytropi Pożeracza Grzechów, ale ojciec Keller pozostał wolny.

Pakula miał rację. Do szaleństwa doprowadzała ją myśl, że Keller nadal morduje chłopców, a ona nie może go powstrzymać.

Czy naprawdę wierzyła, że mogła go jakoś zbić z tropu? Sprawić, żeby przyznał się do swoich grzechów? Dlaczego miałby to zrobić? Za kratkami siedziało już dwóch mężczyzn, Keller podsunął przeciwko nim dość dowodów i zostali skazani. Manipulował, oszukał organy ochrony porządku publicznego, wymiar sprawiedliwości i Kościół katolicki – wszystko po to, by pozostać na wolności i kontynuować swoją chorą misję „zbawiania małych chłopców”. Najgorsze w tym wszystkim, że Maggie właśnie przyczyniła się do wzmocnienia jego władzy. Teraz bardziej niż kiedykolwiek, z powodu ich umowy, z powodu jego tak zwanej pomocy, Keller poczuje się jeszcze silniejszy, jeszcze bardziej usprawiedliwiony i oczyszczony z zarzutów. Jeżeli faktycznie zabił biednego Artura, to znaczy, że nie zamierzał wracać do Wenezueli.

Kiedy Maggie weszła do swojego apartamentu, sprawdziła sekretarkę automatyczną. Nie miała żadnych nowych wiadomości. Nie spodziewała się, co prawda, wieści od Racine czy Gwen, ale w duchu liczyła jednak, że któraś z nich się odezwie, powie jej, co wydarzyło się w waszyngtońskiej sprawie. Żywiła przekonanie, że śmierć ojca Paula Conleya jest z nią powiązana, ale była też pewna, że człowiek, który zabił księdza z Bostonu i morderca pozostałych księży to dwie różne osoby. Jak więc ma się dekapitacja trzech, nie, czterech kobiet w Waszyngtonie do

scenariusza Pożeracza Grzechów? Czy w ogóle coś je łączy? Czy mieli do czynienia z dwoma sprawcami, którzy działają razem, ale kierują nimi inne pobudki?

Zdjęła spodnie i włożyła dżinsy, ale zostawiła blezer, żeby ukryć pod nim broń. Kiedy wyszła z hotelu, oddychała ciepłym letnim powietrzem, wdychała mieszankę rozmaitych zapachów, szła po brukowanych uliczkach Starego Miasta, mijała sklepiki, restauracje i konne dorożki. Czuła woń czekoladowego ciasta i dymu z cygar, czosnku i końskiego potu, słyszała stukot kopyt i klaksony, harmonię i gitarę. Pakula powiedział jej, że ceglane cztero- i pięciopiętrowe budynki, zbudowane około tysiąc dziewięćsetnego roku tuż obok Missouri River i Union Pacific Railroad, były niegdyś magazynami. Teraz maleńkie białe żarówki zdobiły ich dachy i markizy. Uliczni sprzedawcy i grajkowie przyciągali niewielkie grupki ludzi, tworzyli magiczną atmosferę tego miejsca.

Maggie minęła szybkim krokiem policjanta na koniu i razem z tłumem przeszła przez ruchliwe skrzyżowanie. Zbyt szybko, jak jej się zdawało, znalazła M's Pub. Siostra Kate zajęła już stolik na patio. Wstała i pomachała, gdy tylko Maggie ją wypatrzyła.

– Może woli pani usiąść w środku? – zapytała.

– Nie, przyjemnie tu wieje. Idealne miejsce.

Maggie pomyślała, że tego wieczoru siostra Kate jeszcze mniej przypominała zakonnicę. Była w lnianych szortach, czarnej dzianinowej bluzce i sandałach. Kiedy usiadły, siostra strzepnęła coś z bluzki z nieco zakłopotaną miną.

– Pies mojej współlokatorki – wyjaśniła. – Bardzo go lubię, ale zawsze jestem cała w jego sierści.

Zamówiły po kieliszku wina, a siostra Kate namawiała Maggie, żeby wzięła na przystawkę eskalopki w czosnku z mozzarellą.

– Jeśli wolno spytać, czy współlokatorka siostry także jest zakonnicą?

– Prawdę mówiąc, mam dwie współlokatorki i obie są zakonnicami. Mieszkamy w domu w Dundee. To tylko kilka przecznic od szkoły.

– A gdzie uczą współlokatorki siostry?

– Tylko ja jestem nauczycielką. – Uśmiechnęła się na widok zdziwionej miny Maggie. – Wolno nam wykonywać inne zawody, byle tylko wiązały się z misją naszego zakonu. – Urwała, bo kelnerka przyniosła im wino. – Siostra Loretta zarządza kilkoma niskodochodowymi budynkami mieszkalnymi, które są własnością naszego zakonu. Nazywamy ją naszą kierowniczką slumsów.

Maggie zaśmiała się, zadowolona, że napięcie, które towarzyszyło jej całe popołudnie, wreszcie zaczęło opadać.

– A ta druga? – zapytała.

– Siostra Danielle tworzy programy komputerowe.

– Naprawdę?

– Opracowała program dla szpitalnej bazy danych i program bezpiecznego przechowywania danych dla centrów kobiecych, które posługują się skomplikowanymi kodowanymi systemami. Bardzo dużo mnie nauczyła, znajduje także dla mnie niewiarygodnie tanie połączenia

lotnicze. W tym tygodniu mam prezentację w Chicago i właśnie znalazła mi bilet w obie strony, aż trudno uwierzyć, poniżej stu dolarów.

– No, przedstawiła mi siostra zupełnie nowy obraz zakonnicy.

– To samo mogę powiedzieć o agentach FBI.

– Słucham?

– Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie agenta specjalnego FBI.

Maggie podniosła kieliszek.

– No właśnie!

– Przypuszczam, że ta sprawa dała pani także nowy pogląd na księży.

Maggie spojrzała na siostrę Kate w świetle zachodzącego słońca. Jej ciepłe brązowe oczy były poważne, a jeszcze przed chwilą widziała w nich rozbawienie.

– Wydaje się, że ten skandal z księżmi dotknął wszystkie regiony kraju – powiedziała Maggie, starając się nie wpaść w tyradę. – Dlaczego, zdaniem siostry, tak się to wymknęło spod kontroli?

Siostra Kate popijała wino.

– Żartowałam kiedyś, że gdyby kobietom pozwolono przyjmować święcenia kapłańskie, nigdy by do tego nie doszło, przynajmniej nie na taką skalę. Równocześnie wierzę, że niektóre z tych przypadków powinny zostać załatwione wewnątrz Kościoła. Ci księża nie tylko złamali prawa ludzkie, oni złamali prawa boskie, a powinni wyznaczać najwyższe standardy. Niestety, w imię ochrony

dobrego imienia Kościoła niektórzy biskupi i kardynałowie zupełnie zapomnieli o ochronie dzieci. – Zrobiła pauzę, jakby myślała o czymś albo o kimś, po czym dodała: – Dobra wiadomość jest taka, że mamy zdecydowanie więcej dobrych księży.

Maggie zastanowiła się, czy siostra Kate myślała o ojcu Tonym Gallagherze. Czy uważała go za dobrego człowieka? A jeśli był zamieszany w sprawę? Jeśli pomagał nastolatkom w tej grze-egzekucji, grze dobra przeciw złu, albo raczej koniecznemu złu przeciw złu? Czy siostra Kate coś podejrzewała? Czy posunęłaby się do tego, żeby chronić ojca Tony'ego, gdyby to on był Pożeraczem Grzechów?

– Sprawiedliwość bywa zawodna – stwierdziła Maggie, szukając rozwiązania w oczach siostry Kate, ale widziała w nich tylko troskę.

– Jestem pewna, że pani stale się z tym boryka – powiedziała, a Maggie nagle uprzytomniła sobie, że siostra jej się przygląda. – Jak daje sobie pani z tym radę? Sprawia pani wrażenie osoby o mocnych zasadach moralnych. Zgaduję, że nie zawsze zgadzają się one z tym, jak FBI postrzega sprawiedliwość.

Tak, i ten dzień stanowił doskonały tego przykład, chciała powiedzieć Maggie. Zawarła pakt z Kellerem, mordercą dzieci, żeby schwytać innego zbrodniarza, który mścił się w imieniu dzieci. To był właśnie jeden z przykładów owego braku korelacji.

– Tak, to prawda. Bywa, że muszę robić coś, z czym się nie w pełni zgadzam. Przypuszczam, że siostra również?

Uśmiech zniknął z twarzy zakonnicy, jej oczy posmutniały.

– Owszem. Czasami trzeba złamać jedną czy dwie zasady.

– Może nagiąć, nie złamać – poprawiła Maggie, a twarz siostry Kate znowu pojaśniała.

– Mój dziadek mawiał, że czasami cel uświęca środki. Nie rozumiałam wówczas, co miał na myśli.

– Dziadek, który mieszkał w Michigan i zaraził siostrę miłością do średniowiecza, rycerzy w lśniących zbrojach przybywających na ratunek?

– Ma pani świetną pamięć. Nauczył mnie tylu wspaniałych rzeczy o życiu, o sprawiedliwości. Był niepowtarzalny.

– Miała pani szczęście.

– A pani?

– Słucham?

– Czy miała pani kogoś, kto przychodził pani na ratunek?

– Hm… Nie jestem pewna, co siostra przez to rozumie.

– Może to dar. Albo przekleństwo. – Siostra Kate wzruszyła ramionami, przeniosła wzrok daleko na turystów spacerujących ulicą. – Potrafię wyczuć osobę, która cierpiała w dzieciństwie. To zawsze ludzie twardzi na zewnątrz, ale umiem zajrzeć głębiej. – Wróciła wzrokiem do Maggie i spojrzała jej w oczy. – Była pani molestowana w dzieciństwie, prawda?

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Nick minął drzwi apartamentu Maggie i zawahał się. Od poprzedniej nocy kusiło go, żeby do niej zapukać. Kilka razy podchodził do drzwi. Tym razem był obładowany jedzeniem z hotelowego sklepu. Miał zatem wymówkę.

– Tchórz – mruknął pod nosem i powtórzył sobie trzeci czy czwarty raz, że zachowuje się jak idiota. Był zirytowany, że Maggie O'Dell w dalszym ciągu tak na niego działa. Sądził, że czas to zmienił, że jedynym uczuciem, które pozostało, była złość. Ale kiedy zajrzał w te ciemne brązowe oczy, zmiękł i ledwie stał na nogach. Przyznawał to ze wstydem, ale żadna kobieta nie działała na niego tak jak Maggie O'Dell. Był zły, że udawało jej się to bez żadnego starania czy wysiłku.

Zapukał zatem, ale do drzwi swojego apartamentu, i to łokciem, gdyż nie miał wolnej ręki, nie mógł też wyjąć karty do czytnika.

Gibson otworzył tak szybko, że Nick się przestraszył. Ledwie utrzymał wszystkie te batoniki i paczki chipsów, które omal nie upadły na podłogę.

– Wezmę coś od pana. – Chłopiec wyciągnął rękę.

Nick przede wszystkim przyciszył telewizor. Zamówione do pokoju jedzenie nadal stało na łóżku. Wszystkie poduszki zostały wyciągnięte i ułożone przed telewizorem.

– Potem będą dwa fajne filmy – oznajmił Gibson, wypakowując skarby i układając je na biurku.

– Gdzie Timmy? – spytał Nick. Zauważył, że drzwi do łazienki były otwarte.

– Nie spotkaliście się w holu?

– Nie, robiłem zakupy.

Gibson zrobił szczerze zakłopotaną minę.

– Recepcjonista zadzwonił kilka minut temu. Powiedział, że chce pan, żeby Timmy zszedł do holu i pomógł panu coś przynieść.

– Nie prosiłem o nic recepcjonisty... – Nagle Nick poczuł skurcz w żołądku. – Który z was rozmawiał z tym człowiekiem?

– Timmy. Potem zaraz wyszedł. Myślałem, że jest z panem.

Nick widział, że Gibson się zdenerwował. Sam próbował nie okazać, że wpadł w panikę.

– Zejdę na dół i zobaczę, czy go tam nie ma, dobrze?

– Pójdę z panem.

– Nie! – krzyknął Nick, a Gibson się skulił. – Zostaniesz w pokoju, na wypadek gdyby Timmy wrócił. Nie chcę, żebyśmy chodzili wszyscy po hotelu i szukali się nawzajem.

– Okej.

– Zaraz wracam. – Położył rękę na ramieniu chłopca. – Hej, wszystko w porządku. Pewnie się minęliśmy. Zaraz będę z powrotem.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, pobiegł do windy. Nie prosił żadnego recepcjonisty, żeby dzwonił do pokoju. Jeśli brat Sebastian ma zamiar tak się z nimi zabawiać, Nick nie chciał nawet myśleć, do czego jeszcze był zdolny. Czego ten gość chciał, do diabła?

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Keller wiedział, że Timmy Hamilton go nie rozpoznał. Sam był tym zaskoczony, jak bardzo zmieniły go cztery lata życia w dżungli.

Zadzwonił do pokoju chłopca, nie spuszczając wzroku z Nicka, który robił zakupy. Kiedy Timmy zszedł do holu, przywitał się z nim i powiedział, że pracuje dla policji w Omaha. To nie było kłamstwo. W końcu pracował z ludźmi z tutejszej policji. Chłopak chyba go nie zrozumiał, a może pomyślał, że Keller jest detektywem w cywilnym ubraniu, zwłaszcza kiedy Keller pokazał mu odznakę Kasaba. Młody detektyw powiesił kurtkę na krześle i poszedł do łazienki w apartamencie Kellera. Powinien postępować bardziej przezornie.

Poza tym lepiej będzie dla Timmy'ego, żeby nie znał prawdy. Chłopak go zdradził, ale on mimo wszystko postara się zrobić to możliwie bezboleśnie. Niestety to konieczne, musi tego dokonać, żeby przeżyć. Niektóre misje warte były dodatkowych strat.

Oczywiście powiedział Timmy'emu, że rozmawiał już z jego wujem, Nickiem Morrellim, w sklepie hotelowym, i że mają się spotkać w apartamencie, który zarezerwowała

policja. No i że wujek poszedł właśnie do pokoju po Timmy'ego i Gibsona.

– Ale przecież recepcjonista dzwonił w jego imieniu, że mam zejść i pomóc mu. – Timmy spojrzał podejrzliwie, choć nie chciał denerwować policyjnego detektywa.

Keller wzruszył ramionami, jakby nic o tym nie wiedział.

– To pewnie było przed naszą rozmową. – Potem, udając, że jest tak samo zbity z pantałyku, dodał: – Dlaczego zszedłeś na dół sam?

– Możemy poczekać tutaj na wujka?

– Uzgodniliśmy, że spotkamy się w apartamencie. Nie sądzę, żeby tu przyszedł. Chcesz do niego zadzwonić?

Ta propozycja uspokoiła chłopca. Przecząco pokręcił głową.

Keller prowadził Timmy'ego do swojego pokoju. W pewnej chwili puścił go nawet przodem, kiedy mijali wózek sprzątaczki, i wsunął odznakę detektywa Kasaba między stos ręczników. Cały czas zapewniał chłopca, że jego wuj i przyjaciel wkrótce do nich dołączą.

Przy drzwiach, kiedy Timmy się zawahał, Keller powiedział jeszcze, że Timmy może zaczekać na korytarzu, jeśli ma ochotę. Otworzywszy drzwi, dorzucił, że muszą zachować ostrożność, ponieważ zauważył wcześniej, że ktoś ich śledził. To wystarczyło, żeby Timmy wszedł do środka, obejrzawszy się wpierw przez ramię. Nie obawiał się już, że spotka go coś złego. Zaakceptował Kellera jako sprzymierzeńca.

Keller zawsze chciał tylko pomóc Timmy'emu. Zresztą dotyczyło to wszystkich chłopców, jego jedynym motywem była chęć pomocy, uratowania ich przed złym traktowaniem w domu. Timmy mówił mu wówczas, że łatwo robią mu się siniaki, ale czy nie wszyscy tak mówili, kryjąc swoich rodziców? Teraz Timmy wyglądał dobrze, zdrowo, choć był trochę za chudy. Keller wiedział jednak z własnego doświadczenia, że rany duszy nigdy się nie goją. Może podobnie było w przypadku Timmy'ego.

– Możesz usiąść, jeśli chcesz – powiedział Keller.

– Nie, zaczekam, aż przyjdzie wujek Nick z Gibsonem.

Chłopiec stał ze wzrokiem wlepionym w drzwi i przestępował z nogi na nogę. Keller nie znosił, jak ktoś tak się wiercił.

W tym momencie zadzwonił telefon, jak na zawołanie.

– Dobry wieczór, panie Keller. Dzwonię z głównej recepcji, jak pan prosił.

– Tak, Timmy jest ze mną. Gdzie pan jest? – Ksiądz zerknął na chłopca, który nadal tkwił przy drzwiach, zbyt daleko, by słyszeć recepcjonistę w słuchawce.

– Główna recepcja, sir – powtórzył recepcjonista.

– Jak długo to zajmie?

– Słucham? O co pan pyta?

– No dobrze. Zaczekamy tutaj na pana.

– Przykro mi, sir, ale nie wiem, co…

Keller odłożył słuchawkę w połowie zdania recepcjonisty, zadowolony z siebie. Potem rzekł do Timmy'ego:

– Spóźnią się kilka minut. Twój wujek ma jeszcze coś do załatwienia.

Musiał coś wymyślić, cokolwiek, co uspokoiłoby chłopca, żeby przestał się tak cholernie wiercić.

– Timmy, może poczęstujesz się czymś z mojego barku?

Udało się.

– Naprawdę mogę?

– Tak, proszę bardzo, weź sobie też colę.

Zaproszenie rozwiało ostatnie obawy Timmy'ego. Uśmiechnął się, przyklęknął i otworzył barek, lustrując jego zawartość.

Tak, to będzie proste. Nawet zbyt proste.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Gwen próbowała ocenić szansę ucieczki. Instynkt podpowiadał jej, żeby nie zwlekać, tylko wiać co sił w nogach. Na co czeka? Dlaczego ryzykuje i próbuje go uspokoić? Czy to w ogóle możliwe? Ostatnim razem, kiedy była w pokoju sam na sam z szaleńcem, Eric Pratt usiłował wbić świeżo zaostrzony ołówek w jej gardło.

Teraz było inaczej. Za drzwiami nie stali oficerowie w cywilu, którzy przybiegliby jej na ratunek. R.J. Tully także nie pośpieszy, żeby ją obronić. Nie tym razem. Stwierdziła, że nie ma szansy dotrzeć nawet do drzwi, nie mówiąc już o dojściu do holu czy windy. Jej jedyną bronią były słowa. Musi zapanować nad Campionem swoim głosem i słowami. Raz jeszcze rozejrzała się po pokoju, szukając jakiegoś przedmiotu, który by jej pomógł. Nic takiego nie wypatrzyła. Może kiedy uspokoi Jamesa, będzie mogła go czymś zaskoczyć.

Wściekłość Jamesa Campiona wybuchała gwałtownie i równie szybko gasła. Stał między Gwen i drzwiami, w tej chwili spokojny, ale patrzył na nią z nieufnością, którą usiłowała przełamać, przekonując go, że nie jest jego wrogiem.

– Jestem po twojej stronie, James. Ojciec Paul Conley potraktował cię bardzo źle, żaden chłopiec nie powinien doświadczać czegoś podobnego. Zasłużył na karę. – Powstrzymała się przed dodaniem, że odrąbanie księdzu głowy i położenie jej na ołtarzu to może jednak drobna przesada. Musiała zdobyć zaufanie Jamesa, a on musiał uwierzyć, że Gwen go rozumie. – Już nigdy więcej nie skrzywdzi żadnego chłopca.

– To prawda. – James pokiwał głową. – Udział w grze i udawanie, że go zabijam, to było za mało. To nie ukróciło jego zbrodni.

– Ale, James, co z innymi?

– Z innymi? Z innymi księżmi?

– Nie, z młodymi kobietami. Były jeszcze cztery młode kobiety, prawda? Powiedz mi o nich. Jak one cię skrzywdziły?

– A, mówi pani o tych dziwkach.

– Słucham?

– Poznałem je przez Internet. Rozmawialiśmy, dużo mówiliśmy o sobie. Powiedziała mi pani, że muszę spróbować normalnych stosunków z kobietami. Pamięta pani? Pani mi tak powiedziała. – Znowu się denerwował.

– Tak, owszem, tak ci powiedziałam. – To był jego największy problem, miał zaburzone relacje z kobietami. Pamiętała ich rozmowy. Wiedziała, że jego stosunek do seksu był niedojrzały na skutek przeżyć z dzieciństwa. Zawsze się tym martwił i denerwował, ale nigdy nie był zły. Mówił o tym bardzo spokojnie. Że nie chciał się śpieszyć,

pragnął tylko najpierw poznać kobietę i zaufać jej, zanim dojdzie do seksu. Martwił go właśnie seks, niemal przerażał. Teraz wszystko stało się jasne dla Gwen, zanim zaczął cokolwiek wyjaśniać.

– Rozmawialiśmy przez Internet. To było wygodne, miłe.

Wyglądał, jakby przebywał myślami gdzie indziej. To dobrze. Należało skupić na czymś jego uwagę, żeby dał się zaskoczyć.

– Mogliście się poznać – wtrąciła Gwen – bez konieczności umówienia się na randkę.

– No właśnie. To było miłe – powiedział jak nastoletni chłopiec. – Rozmawialiśmy o grach komputerowych, filmach i o tym, co mówią w wiadomościach. Ale one i tak chciały się ze mną spotkać. – Zmarszczył czoło i zacisnął zęby. – To byłoby w porządku, tylko że one zawsze chciały... gdzieś pójść. Chciały być ze mną same. I zawsze rozumiały przez to... wie pani. – Spojrzał na nią, szukając pomocy.

– Chciały bardziej się do ciebie zbliżyć?

– Chciały seksu – warknął, a jego twarz gwałtownie pociemniała.

Co ona wyprawia? Doprowadza go do złości, a przecież miała go uspokoić. James powinien uwierzyć, że stoi po jego stronie. Że się z nim zgadza. Musi uznać ją za sprzymierzeńca. Ale usilnie pragnęła poznać odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

– A co z Deną?

– Z kim? – Podniósł wzrok, jakby go obudziła.

– Dena Wayne. Moja asystentka. – Czy wciąż będzie potrafiła udawać, że stoi po jego stronie, jeśli James nazwie Denę dziwką?

– Myślałem, że ona będzie inna. Była dla mnie miła. Polubiłem ją. Umówiliśmy się i bawiliśmy się dobrze. Rozmawialiśmy. Ale potem, niezależnie od tego, jak bardzo tego chciałem… wciąż widziałem jego twarz. Za każdym cholernym razem. Ile razy to robiłem, widziałem go, czułem jego zapach, jego dotyk. Chciałem odrąbać mu głowę. Chciałem oderwać mu tę pieprzoną głowę gołymi rękami. I zrobiłem to. Za każdym razem, kiedy zabijałem jedną z nich, tak naprawdę zabijałem jego. Ale potem sobie uświadomiłem… – Spojrzał jej w oczy. Jego oczy tak szybko zmieniały wyraz, od złości i szaleństwa do spokoju i beznadziei. – Zostawiłem pani jej kolczyk, myślałem, że mnie pani powstrzyma.

– Ja… nie rozpoznałam go. – Gwen poczuła się, jakby ktoś wstrzyknął jej do żyły rozpuszczony lód. A więc on chciał, żeby go powstrzymała, a ona nawet nie poznała, że to był kolczyk Deny.

Campion kontynuował, jakby jej nie słyszał.

– Wysłałem pani instrukcje, a nawet mapę. Myślałem, że pani mi pomoże. Ale pani mi nie pomogła. Nie umiała pani.

Gwen oparła się o biurko, sięgnęła ręką do tyłu, szukała czegoś, czym mogłaby się bronić, bo stało się jasne, że jej słowa, jej głos to za mało. Niestety, schowała wszystko do swojej skórzanej teczki tuż przed przyjściem Jamesa. Teczka leżała na krześle obok biurka.

– Mogę ci pomóc, James – skłamała. Nie miała pojęcia, co mogłaby mu zaproponować. – Możemy raz jeszcze to wszystko obgadać. – Wyciągnęła rękę po teczkę.

– Nie, szlag by to trafił! – Wrzasnął tak głośno, że Gwen znowu wsparła się o biurko, jakby uderzył ją pięścią. Przytuliła teczkę do piersi jak tarczę, obejmowała ją mocno. Niestety teczka była zamknięta. Gwen nie mogła włożyć ręki do środka. – Nie, nie może pani! – krzyczał dalej. – Ale ja mogę. – Wyjął z kieszeni mały rewolwer. I wymierzył w Gwen.

Jej serce waliło z całej siły. Oddychała z wielkim trudem, dłonie były mokre od potu.

– James, skąd masz broń? – spytała szeptem, a mimo to z wielkim wysiłkiem. Za późno, żeby martwić się tym, że okazuje strach. Ale jak on zdobył broń? Nie zastrzelił żadnej ze swoich ofiar. Racine mówiła, że je dusił. Ale skąd ta pewność? Nie znaleziono żadnego ciała, tylko głowy. – James, odłóż broń. – Czy gdyby dodała „proszę”, coś by to zmieniło? Czy ktoś ją usłyszy, jeśli zacznie krzyczeć?

– Teraz czuję się dobrze – oznajmił Campion, wymachując rewolwerem. – To mi pomoże. Kupiłem go parę dni temu. Zamierzałem nim zabić ojca Paula, ale nie wiedziałem, jak wnieść broń do samolotu. – Uśmiechał się łagodnie. Był spokojny. Zbyt spokojny. Ręka nie drżała mu ani trochę, trzymał ją wyciągniętą przed sobą. – Teraz czuję się dobrze. Lepiej niż podczas naszych sesji. Czuję się silny. Tak, chciałem zobaczyć strach w jego oczach. Ale było jeszcze

lepiej. Usłyszałem jego ostatni oddech. Jego ostatni oddech, kiedy go udusiłem, wycisnąłem życie z tego drania.

Nagle urwał, wyglądał, jakby nasłuchiwał. Gwen także nadstawiła uszu, miała nadzieję, że to odgłos windy. Może ktoś był w korytarzu. Ale słyszała tylko bicie swojego serca. Zagłuszało wszystkie inne dźwięki.

James przekrzywił głowę, wciąż słuchał, potem się uśmiechnął.

– Walenie ustało.

Oczywiście, że ustało, chciała powiedzieć Gwen. Teraz przeniosło się do niej.

– Nie powinna była pani wyciągać ze mnie tych wszystkich wspomnień, doktor Patterson. – Pokręcił głową.

Nie mogła w to uwierzyć. On naprawdę zamierzał to zrobić. Nie była w stanie przełknąć, każdy oddech sprawiał jej ból. Ledwie trzymała się na nogach. Jeśli upadnie, czy James zabije ją, jak będzie leżała na podłodze? Jego oczy – choć nie spuszczał z niej wzroku – zdawały się patrzeć gdzie indziej. Czy powinna spróbować ucieczki? W końcu co ma do stracenia? Jaka to różnica, czy strzeli jej między oczy, czy w plecy?

– Nie wyleczyła pani tego – stwierdził Campion, a Gwen pomyślała, że mówił jak kat, jej kat. – Dałem pani tyle okazji, a pani mi nie pomogła.

– James, przecież wcale nie chcesz tego zrobić.

Lecz on jej nie słuchał.

– Wybaczam pani. – Pociągnął za spust.

Ból rozchodził się po całym ciele. Nie pamiętała, kiedy upadła, ale z podłogi widziała, jak James Campion wsadził lufę rewolweru do swoich ust i strzelił po raz drugi. To była ostatnia rzecz, jaką zobaczyła Gwen Patterson, zanim wszystko pochłonęła ciemność.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

M's Pub
Omaha, Nebraska

Maggie nigdy nie wierzyła, że spowiedź to ukojenie dla duszy. Jeśli o nią chodziło, nie przyniosło to żadnych pozytywnych skutków, straciła tylko czas, który mogła wykorzystać lepiej. Nie istnieje bowiem nic takiego jak zamknięcie dawnych spraw. Wszyscy dźwigają jakiś bagaż przeszłości, tyle że niektórzy cięższy. Nigdy nie opowiadała o swojej matce alkoholiczce nikomu poza Gwen. Co dobrego może wyniknąć z przypominania tamtych okropnych czasów? Bez wysiłku potrafiła przywołać palący, cuchnący alkoholem oddech przyjaciół swojej matki, którzy próbowali ją, wówczas drobną dwunastolatkę, wcisnąć w kąt, żeby ją pocałować albo „zrobić szybki masażyk”, jak zwał to jeden z nich.

Nie podzieliła się zatem z siostrą Kate ponurymi szczegółami z przeszłości, powiedziała tylko:

– Powiedzmy, że narzeczeni mojej matki nie zawsze byli dżentelmenami.

Siostra Kate skinęła głową, jakby rozumiała całą sytuację na podstawie tego jednego krótkiego zdania.

– Ile miała pani lat?

– Dwanaście, trzynaście. Kiedy skończyłam czternaście, matka w końcu kazała im wynajmować pokój w hotelu. Oczywiście dopiero wtedy, kiedy jeden z jej przyjaciół zasugerował, żebyśmy zrobili to we troje.

– Rozumiem – rzekła siostra Kate spokojnie. – Więc zostawała pani sama?

– Wówczas było to błogosławieństwo. – Nawet gdyby nie studiowała psychologii, umiałaby postawić sobie diagnozę. Utożsamianie w dzieciństwie samotności z wolnością i bezpieczeństwem zdecydowanie wpłynęło na całe jej dalsze życie.

– Czy pomyślała pani kiedykolwiek – zaczęła znów siostra – że to jeden z powodów, dla których podjęła pani pracę w FBI?

– Co siostra ma na myśli? – Maggie nie miała ochoty zamieniać tej rozmowy w sesję terapeutyczną.

– Może dla pani to sposób na to, żeby zostać rycerzem w lśniącej zbroi, który przychodzi na ratunek, rycerzem, którego rozpaczliwie brakowało pani w dzieciństwie.

Maggie wypiła mały łyk wina, chociaż chętnie wychyliłaby do dna. Zaczęła sobie uświadamiać, że ta rozmowa będzie wymagała więcej kieliszków, jeżeli jak najszybciej nie zmienią tematu.

– A siostra? – zapytała. – Powiedziała siostra, że jej dziadek uratował ją z wyjątkowo trudnej, jak rozumiem, sytuacji.

– Jak przypuszczam, moja sytuacja nie różniła się tak bardzo od pani sytuacji. Skończyłam wówczas jedenaście

lat. On był przyjacielem moich rodziców, zaufanym i szanowanym, można nawet powiedzieć, że obdarzanym czcią. Raz w miesiącu, w niedzielę, rodzice zapraszali go na kolację. – Zaczęła znowu wędrować wzrokiem po ulicy. – Moja matka zawsze przygotowywała mięso duszone z jarzynami, ziemniakami i małymi marchewkami, bo to było jego ulubione danie. Po kolacji zaoferował się kiedyś, że zabierze mnie na górę do pokoju, położy do łóżka i poczyta mi przed snem, chociaż powiedziałam, że jestem za duża na takie rzeczy. I tak raz w miesiącu, przez kolejne trzy miesiące, gwałcił mnie w moim łóżku.

Wróciła spojrzeniem do Maggie, sprawdzała, czy ta nadal jej słucha. Maggie wlepiała w nią oczy, niezdolna wydusić słowa.

– Rodzice z początku mi nie uwierzyli – ciągnęła siostra Kate. – Ale pewne rzeczy, pewne szczegóły udowadniają, że jedenastoletnia dziewczynka nie mogła tego zmyślić. – Sięgnęła po kieliszek i wypiła łyk wina. – Do dzisiaj nie mogę patrzeć na mięso duszone z warzywami – dodała z uśmiechem.

– Zawsze mnie zdumiewa – powiedziała Maggie – na ile różnych sposobów radzimy sobie ze złem, które nas spotkało w przeszłości. Większość seryjnych morderców to osoby molestowane w dzieciństwie. Jako dorośli zaczynają zabijać niewinnych, zazwyczaj przypadkowych ludzi, czasami tłumacząc się właśnie, że kiedyś byli molestowani. Tymczasem siostra oddała swoje życie Kościołowi.

– A pani FBI. Obie marzyłyśmy o tym, żeby zostać rycerzami w lśniących zbrojach.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Nick usilnie próbował nie wpadać w panikę. Wiedział, że panika mu nie pomoże. Mimo to wciąż kołatała mu się w głowie myśl, że oto powtarza się historia sprzed czterech lat.

Nie, to nieprawda, przesadza. Timmy był teraz starszy, nie poszedłby nigdzie z obcym człowiekiem. A jeśli ktoś go porwał? Brat Sebastian był o wiele wyższy i potężniejszy od Timmy'ego. Dlaczego nie nauczył swojego siostrzeńca jakichś technik samoobrony? Tak, ale jak miał to zrobić? Jak mógł nauczyć go czegokolwiek, skoro mieszkał ponad dwa tysiące kilometrów od Bostonu? Nick pokręcił głową. Zadręczanie się wyrzutami sumienia nie miało teraz sensu.

Zapytał recepcjonistę, czy przypadkiem ktoś z mieszkańców hotelu nie telefonował do jego pokoju. Recepcjonista pracował od piętnastej i twierdził, że nie było żadnych telefonów z miasta do Nicka Morrellego. W końcu jednak przypomniał sobie, że chyba łączył rozmowę między pokojami, do pokoju pana Morrellego.

Nick zaglądał dosłownie wszędzie – na basen, salę fitness, taras, do restauracji i holu. Czuł się jak rodzic, który szuka swojego dziecka, pytał wszystkich po drodze.

Przeszedł wszystkie hotelowe piętra i wypytał pokojowe, które wchodziły i wychodziły z pokoi. Te, które nie mówiły po angielsku, wzruszały tylko ramionami. Te, które znały angielski, także wzruszały ramionami.

W końcu wydało mu się, że biega tak już kilka godzin, choć tak naprawdę nie minęła jeszcze godzina. Wrócił zatem do swojego apartamentu.

– Dzwonił? – zapytał natychmiast Gibsona.

– Nie. Nie spotkał go pan? – Gibson usiadł na skraju łóżka i kołysał się w przód i w tył.

– Nikt go nie widział. Obszukałem cały hotel.

Nick chodził nerwowo, aż przystanął przy oknie i wyjrzał na Stare Miasto. Miał zapewnić chłopcom bezpieczeństwo i spokój, a tymczasem jego myśli krążyły wokół tego, co wydarzyło się przed czterema laty, kiedy Timmy został porwany przez szaleńca i niewiele brakowało, by stracili go na zawsze. Gdzież jest ten chłopak, do diabła? Czy powinien zawiadomić Christine? Nie. Za wcześnie, żeby do niej dzwonić. Timmy musi być w hotelu. Nie rozpłynął się przecież w powietrzu.

– Myślisz, że mógł pójść na Stare Miasto? – zapytał Nick. – No wiesz, z ciekawości albo coś sobie kupić?

Gibson uniósł ramiona, a Nick spojrzał znów przez okno na małe sklepiki po drugiej stronie ulicy, wypatrywał kogoś w czerwonym albo pomarańczowym ubraniu.

– Panie Morrelli – odezwał się Gibson, a Nick nie wiedział, co powiedzieć temu chłopcu. Westchnął, odwrócił się, przekonany, że Gibson ma do niego jakieś pytanie.

– Chyba powinienem coś panu pokazać. – Gibson wyjął z plecaka skórzaną aktówkę.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Ledwie Maggie weszła do swojego apartamentu, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Był to Nick Morrelli, tym razem z potarganymi włosami i oszalałym, spanikowanym wzrokiem. Towarzyszył mu nastoletni chłopiec. Stał nieco z tyłu, ale Maggie poznała, że to nie Timmy.

– Wybacz, że cię nachodzę, Maggie, ale naprawdę potrzebuję twojej pomocy. – Nick nie mógł ustać w miejscu, chodził tam i z powrotem przed jej drzwiami i bez przerwy rozglądał się po korytarzu. Chłopak także spoglądał dokoła, chociaż stał nieruchomo i tylko przenosił ciężar ciała z nogi na nogę. Być może szykował się do ewentualnego biegu.

– O co chodzi? Co się stało?

– Nie wiem, co robić. Timmy zniknął.

– Co to znaczy, zniknął?

– Zanim... kiedy zszedłem do sklepu... jakiś mężczyzna... nie wiem kto, zadzwonił do naszego pokoju. Gibson twierdzi, że powiedział Timmy'emu...

– Chwileczkę – przerwała mu Maggie. – Timmy był z tobą w hotelu?

– Taa. Zaprosiłem Timmy'ego i Gibsona, żeby spędzili tu noc. Ale kiedy poszedłem kupić coś do jedzenia, zadzwonił

jakiś facet. Gibson mówi, że przedstawił się jako recepcjonista i powiedział Timmy'emu, że czekam na niego w holu na dole.

Maggie natychmiast pomyślała o Kellerze, lecz chciała wysłuchać Nicka do końca.

– Ale widzisz, dzisiaj był ten gość... – Urwał, spojrzał w prawo, potem w lewo, nachylił się i dokończył ciszej: – Z archidiecezji, brat Sebastian, szukał Timmy'ego i Gibsona. Myślę, że to on zabrał gdzieś Timmy'ego.

– Z biura archidiecezji? Dlaczego ktoś z archidiecezji miałby zabierać gdzieś Timmy'ego? – Dla Maggie brzmiało to nonsensownie.

– Bo chłopcy mają coś, co chce mieć arcybiskup – szepnął Nick.

Maggie spojrzała na Gibsona, który szybko odwrócił wzrok i wbił go w zdarte tenisówki.

– To bardzo długa historia – rzekł Nick, zerkając na chłopca. – Nie jestem pewien, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Oni brali udział w jakiejś internetowej grze, gdzie trzeba było podać nazwisko jakiegoś księdza. – Potrząsnął głową i przetarł oczy. – To jakieś wariactwo.

– To nie jest wariactwo – odparła przerażona Maggie. – A Timmy podał nazwisko ojca Michaela Kellera.

Nick przystanął i przeniósł na nią wzrok. Gibson także podniósł oczy na Maggie.

– Skąd wiesz?

– Nie ma czasu, żeby to teraz wyjaśniać. On tu jest. – Zamknęła drzwi, stając obok Nicka w korytarzu.

– Kto tu jest?

– Keller. – Była na siebie wściekła, bo to ona zmuszała Kellera do zastanowienia, kto podał jego nazwisko. Jak mogła być taka głupia?

– A co, u diabła, ojciec Keller robi znowu w Omaha? – W głosie Nicka złość walczyła o lepsze ze strachem.

– Musisz zatelefonować do detektywa Pakuli. – Włożyła rękę do kieszeni, poprawiła pas z bronią. Na widok rewolweru Gibson zrobił wielkie oczy. Nick nawet nie drgnął. – Wracaj do pokoju, Nick, i zadzwoń do detektywa Pakuli.

– Myślisz, że on ma Timmy'ego, tak?

Kłamstwo na nic by się nie zdało.

– Tak.

– I wiesz, w którym pokoju mieszka?

Tym razem odparła po chwili wahania.

– Tak, wiem.

– No to chodźmy tam. – Nick ruszył przed siebie.

– Nie jesteś już stróżem prawa. – Stała, nie poszła za nim.

– Ale jestem wujem Timmy'ego. Nie marnuj czasu.

– To ty go marnujesz, kłócąc się ze mną.

– Gibson zadzwoni do Pakuli, co, kolego? Zrobisz to, prawda? – Nick położył rękę na ramieniu chłopca, jakby w tej chwili zdał sobie sprawę, że ma jeszcze jedną osobę pod opieką.

– Nie pójdziesz ze mną, Nick. Im dłużej będziesz się upierać, tym dłużej Timmy będzie z Kellerem.

– Niech cię szlag, Maggie. – Odwrócił się i tą samą ręką, którą przed chwilą trzymał na ramieniu Gibsona, uderzył w ścianę. Na końcu korytarza otworzyły się drzwi, jakaś kobieta wyjrzała ze swojego pokoju i z powrotem się schowała. – Okej – powiedział w końcu. – Wygrałaś.

Maggie zostawiła ich, szła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Przypuszczała, że Nick za nią pójdzie, a więc z ulgą usłyszała otwierające się i zamykające drzwi. Mimo wszystko nie dowierzała mu. Skręciła do windy, ale nie wsiadła do niej, tylko zbiegła po schodach. Musiała zejść na sam dół, do holu. Dzięki tym wszystkim manewrom Nick nie był w stanie sprawdzić w windzie, na którym piętrze wysiadła.

A zatem zeszła na dół i pojechała inną windą na czwarte piętro. Miała nadzieję, że zdąży dotrzeć do pokoju Kellera, zanim cokolwiek się stanie.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY ÓSMY

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Ojciec Michael Keller słuchał opowieści Timmy'ego o Letnim Programie Badawczym. Chłopiec ze szczegółami opisywał miecze, kielichy i instrumenty muzyczne, z których ich nowa nauczycielka historii urządziła wystawę w sali lekcyjnej. Keller podzielił się z Timmym swoją wiedzą na temat krucjat i prób podejmowanych przez Kościół katolicki w celu rozszerzenia chrześcijaństwa, choćby za cenę wymordowania tysięcy ludzi.

Rozmawiali o czarnej ospie i templariuszach, popijali colę za trzy dolary z minibarku, a kiedy cola się skończyła, wypili puszkę pringles, zjedli kilka batoników i opakowanie żelek.

Keller stracił rachubę czasu. To nie miało zresztą znaczenia. Naparstnica uwolniła go od większości symptomów, choć nadal miał podwyższoną temperaturę. W każdym razie walenie w piersiach i pulsowanie w skroniach minęło. Chłopiec zaczął mu ufać. Keller wybrał numer swojego pokoju i udawał, że rozmawia z Nickiem, a w rzeczywistości słuchał nagranego menu, informacji, jak odsłuchać swoją pocztę głosową. Dopóki Timmy będzie

wierzył, że są w kontakcie z jego wujkiem, myślał Keller, nie będzie się denerwował spóźnieniem Nicka.

Tymczasem głośne pukanie do drzwi przestraszyło ich obu.

Keller przypuszczał, że to ktoś z hotelu, może z dodatkowymi ręcznikami, o które prosił, wiedząc, że zaprosi Timmy'ego do swojego apartamentu i będzie musiał co nieco posprzątać. Spojrzał przez judasza, ale nikogo nie zobaczył. Kiedy lekko uchylił drzwi, ktoś je szarpnął i otworzył szeroko, uderzając go w nos i odpychając na przeciwległą ścianę.

Chwycił się za nos, miał mgłę przed oczami i zakrwawioną rękę. Ból rozchodził się po całej twarzy. Ktoś pchnął go znów na ścianę, Keller poczuł lufę przy skroni, w tej samej chwili trzasnęły drzwi.

– Nie ruszaj się, bydlaku – rzucił kobiecy głos, który od razu rozpoznał. – Najchętniej rozwaliłabym twoją głowę i rozpryskała twój mózg po ścianach tego pokoju.

– Witaj, agentko O'Dell. – Próbował mówić spokojnie, ale krew leciała mu teraz także do gardła. Nienawidził smaku własnej krwi. Wpadł w przerażenie, przypomniał sobie zbyt wyraźnie swojego ojczyma.

– Co wy robicie? – krzyknął Timmy z drugiego końca pokoju.

– Zostań tam, Timmy – zawołała Maggie. – Pamiętasz mnie? Jestem Maggie O'Dell.

– Taa, pamiętam, widziałem panią wczoraj w szkole.

– Zostań tam, gdzie jesteś, Timmy – powtórzyła i wykręciła lewą rękę Kellera do tyłu, na plecy.

– Niech pani się uspokoi, agentko O'Dell. – Keller był wściekły, że w jego słowach pobrzmiewa strach. Teraz, kiedy widział znowu wyraźnie, zauważył krew, która spływała mu po ręce i między palcami. Widok własnej krwi przyprawił go o mdłości i zawrót głowy.

– Uważaj, żebym się nie uspokoiła – syknęła mu prosto do ucha, przyciskając mocniej lufę do jego głowy.

– Ale agentko O'Dell – rzekł Timmy – on jest z policji z Omaha.

– Tak ci powiedział?

– Chłopiec źle mnie zrozumiał – wyjaśnił Keller. Maggie podciągnęła jego rękę jeszcze wyżej. Keller czuł na plecach fakturę taniej tapety i znowu napłynęły do niego wspomnienia, obraz jego ojczyma, który przed laty przypierał go do ściany. Wpadł w złość. A równocześnie się zląkł. – Powiedziałem tylko, że pracuję dla policji z Omaha. – Wypluł krew, ale i tak spłynęła mu do gardła, omal nie dostał torsji.

– Czy on cię skrzywdził, Timmy?

– Skrzywdził?

– Nic ci nie jest?

– Nic mu nie zrobiłem.

– Zamknij się, ciebie nie pytam. – O'Dell tak mocno przycisnęła lufę do skroni Kellera, że niemal czuł smak metalu, a może to jego krew miała taki metaliczny posmak.

– Timmy, czy on cię skrzywdził?

– Nic mi nie jest. Rozmawialiśmy tylko.

– Co?

Jej zdumienie wywołało uśmiech na twarzy Kellera, choć ostry szarpiący ból umiejscowił się teraz między oczami. Był pewny, że O'Dell złamała mu nos.

– Rozmawialiśmy o rycerzach i krucjatach, tylko rozmawialiśmy.

Keller żałował, że nie mógł widzieć twarzy O'Dell. Pewnie liczyła, że przyłapie go na czymś, za co strzeli mu prosto w głowę, a potem, gdy pojawią się inni, powie im, że to było konieczne. Bo nieustraszona Margaret O'Dell nie czeka na posiłki. Powie, że musiała go zastrzelić, musiała wystrzelić wszystkie kule w jego pierś, bo inaczej skrzywdziłby tego biednego chłopca.

– Timmy, nie poznajesz tego człowieka?

Zapadła cisza. Keller słyszał oddech Maggie. Oddychała ciężko i głośno, nie potrafiła zapanować nad tym.

– To ojciec Keller. – Szarpnęła go, żeby Timmy mógł zobaczyć jego twarz. Chłopak patrzył na niego jak na jakiegoś potwora. Cofnął się w głąb pokoju. Potem Maggie znowu rzuciła Kellerem o ścianę. Tym razem jego uszu dobiegło dziwne kliknięcie, kiedy przycisnęła broń do jego skroni.

– Co robisz, agentko O'Dell?

– To, co powinnam była zrobić w tunelu. Pamiętasz ten ciemny dół pod cmentarzem, gdzie wsadziłeś mi nóż w bok?

– Mylisz się. Nie wiesz, o czym mówisz. Myślę, że powinnaś...

– Może gdybym to zrobiła, chłopcy tacy jak Arturo żyliby jeszcze. Ilu ich jeszcze było, Keller?

– Nie możesz tego zrobić. Jesteś agentką FBI. – Nie poznawał własnego głosu, cienkiego i piskliwego, bliskiego płaczu.

– Jako agentka FBI mam obowiązek ścigać i likwidować zło.

Czy ją coś opętało? Chciał się odwrócić i spojrzeć na nią, ale bał się, że Maggie wykorzysta jego najlżejszy ruch i naciśnie spust. Rozbolał go żołądek. Twarz go paliła, powściągał szloch i próbował zatrzymać krew, która dusiła go, spływając do gardła.

Ktoś zapukał do drzwi, a serce Kellera podskoczyło. O'Dell za to ani drgnęła. I zdecydowanie trzymała broń.

– Policja! – zawołał ktoś z korytarza. – Otwierać.

Keller wstrzymał oddech. O'Dell się nie ruszyła. Ani o centymetr. Miał wrażenie, że lufą wierciła mu dziurę w głowie.

– O'Dell? – zawołał ktoś. – Tu Pakula. Nic pani nie jest?

Poza ciężkim oddechem i denerwującym jękiem w pokoju panowała cisza. O Boże, ten jęk dobywał się z głębi jego własnego gardła.

– O'Dell? Jest pani tam? Nic się pani nie stało?

– Wszystko w porządku – odparła w końcu i ścisnęła Kellera mocniej.

– Wchodzę.

Po chwili drzwi uchyliły się powoli. Keller uniósł głowę, odsunął twarz od ściany, ale Maggie natychmiast pchnęła

go. Tym razem uderzył bokiem głowy w ścianę. Mimo to dojrzał przerażenie detektywa Pakuli, zanim ten zdołał je ukryć.

– Co pani robi, O'Dell?

– To, co powinnam była zrobić cztery lata temu.

– Niech pani da spokój. – Pakula rozejrzał się. – Wygląda, że dzieciak jest cały i zdrowy.

– Ale nie byłby, gdybym tu nie weszła.

– W porządku, synu? – zawołał Pakula do Timmy'ego.

– Taa.

Keller zauważył, że głos chłopca nie zabrzmiał przekonująco, był słaby i cichy.

– Nic mu nie zrobiłem. Rozmawialiśmy – próbował się bronić.

– Jeżeli coś zrobił, zaraz się nim zajmiemy – powiedział detektyw do Maggie, lecz nie zwolniła uścisku. – No już, O'Dell.

Pakula podszedł tak blisko, że mógł wyciągnąć rękę i odebrać jej broń. Dlaczego tego nie robił? Mógł ją powstrzymać. Powinien ją powstrzymać.

– Timmy – powiedziała Maggie. – Wyjdź z detektywem Pakulą.

Keller nie słyszał kroków chłopca.

Maggie wrzasnęła:

– Biegiem!

Timmy ruszył pędem, mijając ich po drodze.

– Nic mu nie zrobiłem – jęczał Keller. Dobrze wiedział, dlaczego O'Dell kazała chłopcu wyjść. Nie chciała, żeby był

świadkiem tego, co zamierzała zrobić. Nie chciała, żeby śniły mu się potem koszmary.

– O'Dell – zaczął znowu Pakula, obejrzawszy się na chłopca, który był już bezpieczny na korytarzu. Keller zgadywał, że detektyw stracił cierpliwość. – Przecież nie chce pani tego zrobić.

Keller zaczął skomleć, szlochał, aż się zakrztusił. Potem nagle został uwolniony.

O'Dell zabrała rewolwer. Puściła jego rękę. Stał przyklejony do ściany, wciąż przerażony i drżący. Nie ruszył się, póki Maggie nie minęła detektywa Pakuli. Potem zamknął oczy i starał się oddychać rytmicznie. Wydawało mu się, że drzwi się zamknęły. Wówczas podniósł powieki. Był w pokoju sam.

Zamknął drzwi na klucz i poszedł do łazienki. Z przerażeniem zobaczył swoją zakrwawioną, spoconą twarz, która patrzyła na niego z lustra. Maggie O'Dell nie złamała mu nosa, chociaż był potwornie zakrwawiony. Zdjął mokre od potu ubranie i umył twarz, wypłukał usta, potem wszedł pod prysznic, żeby ciepła woda zmyła z niego ból. Kiedy włożył parę czystych bokserek, poczuł się lepiej. Już zaczął wymazywać ten epizod z pamięci.

Poszedł z powrotem do sypialni, gdzie na łóżku leżała jego walizka. Otworzył ją i znalazł na samym wierzchu drewniane pudełko. Podniósł pokrywkę i odsunął na bok wycinki z gazet, małą puszkę oleju i fiolkę eteru. Przejechał palcami po majtkach Artura, potem podniósł kilka innych par chłopięcych majtek, aż znalazł nóż do filetowania

ukryty bezpiecznie pod bielizną. Z ciężkim westchnieniem zakrył go znowu i zamknął drewniane pudełko.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Embassy Suites
Omaha, Nebraska

Maggie spojrzała na świecące w ciemności cyfry budzika. Minęła trzecia nad ranem. Podciągnęła kołdrę i przewróciła się na drugi bok. Powinna sobie odpuścić. Powinna wiedzieć, że i tak nie zaśnie. Była za bardzo spięta, mimo tego, że wieczór zakończył się rozczarowaniem. Położyła się na plecach i wlepiła wzrok w sufit. To prawda, Timmy był bezpieczny. Nick był wdzięczny i szczęśliwy. Christine miała historię wartą nagrody Pulitzera. Lecz ojciec Michael Keller był wolny.

Maggie liczyła na to, że Timmy podał do gry nazwisko Kellera, ponieważ przypomniał sobie coś nowego, co świadczyło, że to Keller porwał go przed czterema laty, ale chłopiec pamiętał jedynie drobne szczegóły, które wystarczyły, co prawda, żeby Maggie i Christine uwierzyły, iż Keller był porywaczem, ale okazały się niedostatecznym dowodem winy dla policji. Ani wtedy, ani teraz nie było dostatecznego dowodu. Tego wieczoru Timmy powiedział nawet, że być może źle zrozumiał Kellera, kiedy ten mówił mu, że pracuje dla policji w Omaha. I chociaż chłopiec uparcie twierdził, że Keller pokazywał mu policyjną

odznakę, dla Pakuli to było za mało, żeby wydać nakaz rewizji.

I tak za parę dni Maggie nie będzie miała wyboru, będzie musiała dotrzymać umowy i puścić Kellera wolno, pozwolić mu zagrzebać się znowu w południowoamerykańskiej puszczy. Problem w tym, że nadal żywiła przekonanie, teraz nawet bardziej niezachwiane niż wcześniej, iż ksiądz w dalszym ciągu zabijał chłopców, i niezależnie od tego, co mówił detektyw Pakula, wiedziała, że zabiłby Timmy'ego, gdyby w porę nie interweniowała.

Dopiero w tej chwili Maggie uprzytomniła sobie, na jak ogromną wdzięczność zasłużył Pakula. Nie za to, że wyperswadował jej zabicie Kellera – bo właściwie żałowała, że do tego nie doszło – ale za to, jak zachował się później, jakby nie było żadnej sprawy. Kiedy zostawili Timmy'ego z Christine, Nickiem i Gibsonem, Pakula odprowadził ją do jej apartamentu. Sądziła, że wygłosi przemówienie albo przynajmniej ją zruga. Nic podobnego, powiedział tylko, że gdyby wierzył tak mocno jak ona, iż Keller w dalszym ciągu morduje chłopców, ktoś musiałby i jego na siłę odrywać do tego drania. Potem przypomniał Maggie, że nadal nic na niego nie mają. Że nawet sposób, w jaki Timmy opisał im ten wieczór, nie wskazywał, żeby Keller popełnił przestępstwo. Timmy poszedł z nim z własnej woli, i niezależnie od tego, że Keller oszukał chłopca, nie zrobił mu nic złego.

Pakula wykazywał większe zainteresowanie bratem Sebastianem, jego groźbami i ewentualną rolą w grze,

w której brali udział chłopcy. Detektyw podejrzewał, że brat Sebastian to właśnie Pożeracz Grzechów. Wprawdzie, według Timmy'ego i Gibsona, Mistrz Gry, czyli Pożeracz Grzechów, chciał ich ochronić, a nie skrzywdzić. Zaproszenie do gry napłynęło do nich, kiedy surfowali już w sieci, sprawdzali strony i czaty, które obiecywały pomoc molestowanym przez księży. Kazano im tylko podać nazwisko krzywdziciela. Wierzyli, że otrzyma je postać z gry, którą na niby, w grze, zlikwidują. Nigdy nie przyszło im do głowy, że ktoś mógłby naprawdę zabijać księży.

Maggie nagrała kilka wiadomości dla Racine i Gwen. Chciała jak najszybciej przedyskutować z kimś swoją teorię i dowiedzieć się, czy także pacjent Gwen brał udział w owej grze. Może jej punkt widzenia był nieco naciągany, ale zabójca ojca Paula Conleya nie pasował Maggie do jej wyobrażenia Pożeracza Grzechów. Rozważała, czy zabójca z Waszyngtonu po prostu nie wykorzystał gry dla swoich celów. Niewykluczone, że jeśli był jej uczestnikiem i czytał albo słyszał o morderstwach innych duchownych, wreszcie postanowił sam zlikwidować księdza, który molestował go w dzieciństwie. Niezależnie od tego, jaki związek istniał między tymi sprawami, zdecydowanie coś było na rzeczy. Maggie nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

Przewróciła się na brzuch, zakopała twarz w poduszce i westchnęła z irytacją. Był jeszcze Nick Morrelli. Wziął ją w ramiona, kiedy przyprowadziła Timmy'ego do pokoju. Nie chciała nawet myśleć, jak dobrze było jej w tych ramionach. Poza tym Nick żenił się za miesiąc.

Niespodziewany dźwięk telefonu komórkowego przestraszył Maggie. Wyskoczyła z łóżka, potknęła się w słabym świetle padającym z łazienki. Ilekroć mieszkała w hotelu, zostawiała na noc światło w łazience i tylko przymykała drzwi, żeby nie zostać w całkowitej ciemności. W końcu znalazła telefon w kieszeni żakietu.

– Maggie O'Dell.

– O'Dell, mówi Racine.

– Masz pojęcie, która godzina? – Prawdę mówiąc, Maggie cieszyła się, że Julia w końcu do niej oddzwoniła.

– Słuchaj, O'Dell, nie jestem dobra w przekazywaniu złych wiadomości, więc lepiej daj mi spokój, co?

– Co się stało? Coś z Gwen?

Racine milczała. Maggie także zamilkła. A więc chodzi o Gwen. Wymacała skraj łóżka lewą ręką, usiadła ciężko, czuła, jakby miała ołów w żołądku.

– Nie całkiem z nią dobrze – oznajmiła w końcu Racine łagodnym, pojednawczym tonem. – Jeden z jej pacjentów strzelił do niej wczoraj wieczorem.

– O mój Boże.

– A później się zastrzelił.

Mijały sekundy, potem minuty, Maggie próbowała złapać oddech i nie trząść się tak okropnie. Raptem zlodowaciała.

– Ona leży na chirurgii – powiedziała Racine.

Maggie sądziła przez moment, że się przesłyszała.

– Żyje?

– Miała wielkie szczęście. Zasłoniła się teczką. Inaczej kula przeszłaby jej prosto przez serce, a tak zmieniła bieg.

– Wyjdzie

z tego?

– Tak, raczej tak. Straciła mnóstwo krwi, ale lekarze są dość dobrej myśli.

Maggie otarła łzy i nabrała głęboko powietrza w płuca.

– Ten pacjent – ciągnęła Racine – nazywa się James Campion. Jesteśmy prawie pewni, że to on zabił księdza w Bostonie i prawdopodobnie cztery kobiety w Waszyngtonie. Sprawdzamy jeszcze odciski palców, żeby to potwierdzić. To znaczy, że pani doktor nie myliła się. To był jeden z jej pacjentów, tylko nie ten, którego podejrzewała.

Maggie nie była w stanie dalej słuchać, nie mogła skupić uwagi na niczym poza Gwen.

– Racine, masz rację. Nie potrafisz przekazywać złych wiadomości. Śmiertelnie mnie przeraziłaś.

– No to jesteśmy kwita, bo twoja przyjaciółka też napędziła mi cholernego strachu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY

Piątek, 9 lipca
Biuro Archidiecezji Omaha

Tommy Pakula miał świadomość, że nie powinien tak triumfować. Siedział w końcu na tym samym twardym krześle naprzeciw biurka arcybiskupa Armstronga i znowu na niego czekał. Ale tym razem czekał spokojnie. Zamykał kolejny rozdział najgorszej sprawy w swojej zawodowej karierze. No owszem, zostało jeszcze co nieco do wyjaśnienia, ale wszystko wskazywało na to, że to James Campion mordował księży. W ciągu kilku ostatnich tygodni podróżował zawodowo do Saint Louis i Tallahassee na Florydzie. Z Saint Louis mógł łatwo pojechać samochodem do Omaha i Columbii. A Pensacolę dzielą tylko trzy do czterech godzin drogi od Tallahassee.

Pakula tak bardzo chciał, żeby to był Campion, że chętnie zapominał o Minneapolis. Kazał Carmichael sprawdzić, czy coś łączy Campiona z bratem Sebastianem, czy ci dwaj się znają. Nie skreślił jeszcze przeczucia O'Dell, że mogło być dwóch morderców, pracujących razem. Brat Sebastian mógł bez trudu zająć się wielebnym O'Sullivanem w Omaha i Danielem Ellisonem w Minneapolis, podczas gdy Campion zabijał pozostałych.

Coś jednak wciąż nie dawało Pakuli spokoju. Agentka O'Dell, dowiedziawszy się, że ksiądz Conley zgwałcił Campiona, kiedy ten był jego ministrantem, przyznała, że James Campion może być mordercą. Jej zdaniem doświadczenie z przeszłości tłumaczyłoby jego furię podczas samego aktu zabijania. Niestety, Campion odebrał sobie życie i prawdopodobnie nigdy nie dowiedzą się wszystkiego.

Pakula dotąd nie wykreślił też spośród podejrzanych ojca Tony'ego Gallaghera, podobnie zresztą myślała Carmichael. Znowu mu przypomniała, zanim wyszedł z biura, że ojciec Tony, który bronił niegdyś ofiar innych księży, pasował jak ulał do portretu Pożeracza Grzechów, jaki przygotowała Maggie O'Dell. Tragicznego bohatera, który zabija i bierze na siebie grzechy chłopców. Carmichael wskazała również, że ojciec Tony miał dostęp zarówno do nazwisk ofiar, jak i molestujących księży.

Otworzyły się boczne drzwi, przerywając Pakuli rozmyślania. Arcybiskup wszedł sztywnym krokiem, skinął głową i zajął miejsce za biurkiem.

– Panie Pakula – zaczął, nadal mówiąc „panie” zamiast „detektywie”. – Rozumiem, że ma pan ważne informacje na temat wielebnego O'Sullivana. Czyżby już miał pan podejrzanego?

– Prawdopodobnie. – Pakula oparł się, niewygodne krzesło przyprawiało go o ból pleców, ale nie zwracał na to uwagi. Zerknął na zegarek. – Właśnie w tej chwili zabieramy jednego z podejrzanych na przesłuchanie. – Wyobraził sobie

Kasaba i Carmichael, którzy eskortują brata Sebastiana na komendę.

– Miło mi to słyszeć. – Arcybiskup położył ręce na biurku i nachylił się do przodu na swoim idiotycznie wielkim tronie. – Może wreszcie zakończymy tę sprawę.

– No cóż, nie sądzę, że stanie się to szybko.

– Oczywiście, rozumiem, że takie sprawy wymagają czasu, wszystkie te formalności i proces. Mówiłem tylko, że doczekamy kiedyś finału.

– Jestem pewien, że co najmniej kilka osób ucieszy się, słysząc, że ekscelencja chętnie dopomoże w tak niezbędnym zakończeniu tej sprawy.

– Słucham?

Pakula schylił się, podniósł skórzaną aktówkę opartą o nogę krzesła i rzucił ją na nieskazitelne biurko arcybiskupa.

– Znaleźliśmy to w końcu. – Patrzył, jak duchowny blednie.

– Cóż, mój Boże, czy to...

– Wielebny O'Sullivan schował tu mnóstwo ciekawych raportów, listów i analiz terapeutów. Bardzo interesujący materiał. Teraz wiem, dlaczego wasza ekscelencja nalegał, żeby dostarczyć to do Watykanu i ukryć w niedostępnych dla świata archiwach. Tak, zniszczenie tych dokumentów byłoby niezgodne z prawem, ale skoro Watykan jest suwerennym państwem, przechowanie ich tam jest rozsądnym rozwiązaniem. Czy nie tak, ekscelencjo?

– Panie Pakula, pojęcia nie mam, co znajduje się w tej teczce. – Arcybiskup wyprostował się, błyskawicznie

odzyskując panowanie nad sobą. – Sądziłem, że wie pan już, że lepiej zamknąć tę sprawę raz na zawsze, zwłaszcza teraz, kiedy biednego wielebnego O'Sullivana nie ma już wśród nas i nie może się bronić.

– Co do tego ma wasza ekscelencja rację. – Pakula wstał, gotowy do wyjścia. Arcybiskup patrzył zdziwiony, zerkał na aktówkę, jakby zamierzał ją porwać, gdyby Pakula chciał wziąć ją z sobą. – W sprawie nieszczęsnego wielebnego niewiele możemy zrobić. Niestety, nieprędko się to skończy. Nie zgadłby ekscelencja, kto znalazł tę aktówkę i przekazał mi ją. – Arcybiskup zadrżał lekko, a Pakula dokończył po chwili: – Akurat trafiła do rąk dziennikarki.

I oto dostał to, na co czekał. Arcybiskup wytrzeszczył oczy, szeroko otworzył usta, miał przerażone spojrzenie. Pakula odwrócił się do wyjścia, usatysfakcjonowany, ale przystanął jeszcze i obejrzał się.

– Aha, przy okazji, może to zainteresuje waszą ekscelencję, że dzwonili do nas z Creighton University i ogromnie przepraszali za wielki błąd, jaki popełnili w kwestii stypendium mojej córki. Wygląda na to, że tamto pismo wyszło bez ich wiedzy. – Potrząsnął głową i dodał: – Ciekawe, jak mogło do tego dojść.

Nie potrzebował odpowiedzi i nie oczekiwał jej. Dostał więcej, niż się spodziewał. Zostawił arcybiskupa ze skórzaną aktówką wypchaną kopiami obciążających dokumentów. Wszystkie oryginały były już w drodze do biura prokuratora okręgu Douglas.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Redakcja „Omaha World Herald”
Śródmieście Omaha

Nick Morrelli obserwował, jak jego siostra dyrygowała najlepszym fotoreporterem gazety i drobną blondynką, która wymyślała tytuły na pierwszą stronę. Kiedy Christine ruszyła ku niemu, zauważył uśmiech na jej twarzy. Była zdecydowanie w swoim żywiole albo, jak mówili Timmy i Gibson, w swojej zonie.

– Nie do wiary, naprawdę nie wymyślasz sama tytułów do swoich artykułów? – zauważył z udawaną wzgardą.

– Już ci to tłumaczyłam – odparła, klepiąc go w ramię. – Nie słuchasz, co do ciebie mówię.

– Może będę pilniej cię słuchał, jak dostaniesz nagrodę Pulitzera.

– Taa, akurat. – Znowu się uśmiechnęła, zadowolona, że tak powiedział, i świadoma zarazem, że to nie takie proste.

– O której zabieramy chłopców na lunch?

Christine spojrzała na zegarek.

– Dzisiaj wcześniej kończą zajęcia. Muszę jeszcze tylko coś załatwić i zaraz możemy wychodzić. – Wyjęła kilka kartek z teczki i zaczęła notować coś na marginesach.

– Może jednak nie powinniśmy ich nagradzać lunchem.

Christine podniosła na moment wzrok, nie przerywając pisania. Nie wzięła jego słów poważnie.

– Nie żartuję. – Nick poczekał, aż siostra spojrzy mu w oczy. – Najadłem się przez Timmy'ego strachu. – Wzdrygnął się. – Cholernie dużego strachu. Jak cztery lata temu.

– Ale nic mu się nie stało, a ja nie zamierzam rozpamiętywać, co by było, gdyby...

– Może powinienem spędzać z nim więcej czasu. No wiesz, częściej być z nim tutaj.

– Taa, racja. – Christine zaśmiała się i wróciła do notatek. – Nie przypuszczam, żeby Jill była zadowolona, gdybyś bez przerwy latał z Bostonu do Omaha, żeby zobaczyć się z Timmym.

– Gdybym tu został, nie musiałbym latać.

– Ona się tu nie przeprowadzi, Nicky. Znam Jill Campbell. Dobrze się bawi z przyjaciółkami ze szkolnych lat, ale to tylko przygotowania do ślubu. Później będzie chciała wrócić do swojego życia, a jej prawdziwe życie to wpływowa kancelaria w Bostonie, Foster, Campbell i ten trzeci znamienity prawnik, którego nazwiska nie pamiętam.

– McDermont – podpowiedział Nick.

Nagle Christine spojrzała na niego, jakby coś sobie uświadomiła.

– O Jezu, odwołujesz ślub?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale myślisz o tym?

– Tego też nie powiedziałem.

– Czy to z powodu Maggie?

– Christine, powiedziałem tylko – podniósł ręce – że może powinienem spędzać więcej czasu z moim jedynym siostrzeńcem.

Popatrzyła na niego z uśmiechem. Nie, nie uśmiechała się zwyczajnie, uśmiechała się bardzo szeroko.

– No cóż, skoro przekonałeś mnie, że nie ma znaczenia, czy ci to powiem, czy nie, no to ci powiem. – Podeszła do niego bliżej, rozglądając się po hałaśliwym pokoju redakcyjnym, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. – Maggie powiedziała mi, że wcale cię nie rzuciła. Szczerze mówiąc, braciszku, cały czas za nią tęskniłeś, marzyłeś i użalałeś się nad sobą. Maggie O'Dell myśli, że to ty ją rzuciłeś.

Nick poczuł się tak, jakby zrzuciła na niego tonę cegieł.

– Zresztą jakie to ma znaczenie, kto kogo rzucił, nie? – dodała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Lotnisko Eppley
Omaha, Nebraska

Cunningham powiedział Maggie, że nie musi odprowadzać Kellera, ale się uparła. Jeśli miała dotrzymać umowy i pozwolić mu odlecieć, chciała mieć pewność, że ojciec Michael Keller wsiądzie na pokład samolotu i poleci do Ameryki Południowej, by tym razem już nigdy stamtąd nie wrócić. Rozważała nawet, czy nie lecieć z nim do Chicago, sprawdzić, czy przesiądzie się do właściwego samolotu. W Chicago miał dwie godziny przerwy, a ona mu nie ufała. Kto by mu zabronił, spytała swojego szefa, opuścić lotnisko, wsiąść do taksówki i wymknąć się, zniknąć gdzieś na wsi w Ameryce Północnej, a nie Południowej.

Cunningham stwierdził, że to nie jej zmartwienie. Miała tylko dopilnować, żeby Keller wsiadł do samolotu w Omaha, i koniec. Koniec umowy, koniec zobowiązań. W jego ustach brzmiało to tak prosto.

Keller nie chciał nawet wsiąść do tego samego samochodu co Maggie, pojechał wozem policyjnym z funkcjonariuszem, którego wyznaczył Pakula. Był zadowolony z eskorty, w ogóle był zadowolony.

Maggie miała wielką ochotę zetrzeć mu z twarzy tę jego pełną ukontentowania minę. Na myśl, że musi wypuścić go wolno, rozbolał ją brzuch. Dotrwała jednak do końca. Trzymając się z tyłu, patrzyła, jak Keller szedł rampą i stanął w kolejce do kontroli.

Wykonała swoje zadanie. To już koniec. Nie może ciągle sobie tego wypominać. Czekały na nią inne sprawy, którymi powinna się zająć. Choćby Gwen. Tak, Gwen była teraz najważniejsza. Kiedy rozmawiała z nią tego ranka, była w niezłym nastroju, ale bardzo słaba i bezbronna. I ogromnie przejęta Harveyem, chociaż Julia Racine na pewno zapewniła mu odpowiednia opiekę. Gwen mówiła, że czuje się dobrze, ale Maggie wiedziała swoje. Chciała jak najprędzej zobaczyć przyjaciółkę, dlatego nazajutrz leciała do domu, mimo że nie wszystkie fragmenty układanki pasowały do siebie tak, jak by sobie tego życzyła.

Gdy skierowała się do wyjścia, wpadła na siostrę Kate Rosetti.

– Witam, Maggie. Wraca pani do domu?

– Jutro. A siostra dokąd się wybiera? – Ledwie ją poznała. Siostra miała na sobie niebieskie dżinsy i kolorowy T-shirt z napisem Pensacola Seafood Festival, a do tego tenisówki. Niosła na ramieniu worek marynarski. Jej krótkie włosy były przylepione do głowy, jakby nie miała czasu uczesać ich po wyjściu spod prysznica. Maggie musiała poczekać na odpowiedź, bo stały tuż pod głośnikiem, który właśnie wywrzaskiwał instrukcje dla pasażerów, przypominał, żeby nie zostawiali bagażu bez opieki.

– W ten weekend mam prezentację w Chicago – odparła w końcu siostra Kate, kiedy głośnik na moment ucichł.

– No tak, wspominała siostra o tym podczas kolacji.

– Jeszcze jedna i kończę z tym.

– Nie będzie siostrze tego brakowało?

– Nie. – Zakonnica uśmiechnęła się i położyła rękę na sercu, jakby zamierzała za chwilę złożyć harcerską przysięgę. – Na honor mojego dziadka, to moje ostatnie zadanie.

– Widać, że z siostry doświadczona podróżniczka. Tak niewielki bagaż...

– Och! – Z uśmiechem spojrzała na swój worek. – Już odprawiłam moje eksponaty, a jest tego całkiem sporo. Zresztą wolę nie ryzykować tych wszystkich pytań podczas kontroli, po co wnoszę na pokład samolotu sztylety z trzynastego wieku albo miecz krzyżowca. – Roześmiała się, a Maggie do niej dołączyła.

Znowu przerwał im głośnik:

– Lot numer 1270 do Denver, wyjście numer 29, lot United numer 1690 do Chicago, wyjście numer 14.

– To mój, muszę już iść. Bardzo się cieszę, że panią poznałam, Maggie.

– Mnie też było miło, no i wiem teraz o sztyletach więcej, niż bym chciała.

– Proszę na siebie uważać – powiedziała siostra Kate z powagą, żartobliwy ton gdzieś zniknął. Uścisnęła Maggie jedną ręką, żeby nie uderzyć jej workiem.

– Nawzajem, siostro.

Maggie odprowadzała ją wzrokiem. Siostra Kate okazała swoje dokumenty i szła dalej rampą do kolejnej kontroli. Zerknęła przez ramię i pomachała do Maggie, która odpowiedziała jej tym samym. Po chwili wyjęła z worka czapkę z daszkiem i włożyła ją na głowę. Maggie uśmiechnęła się – w niebieskich dżinsach, T-shircie, tenisówkach i czapce bejsbolówce siostra Kate przypominała swoich uczniów. I nagle uderzyło Maggie, że z tyłu siostra Kate faktycznie wyglądała jak nastoletni chłopak.

Nie od razu to do niej dotarło. Z początku napływały jakieś fragmenty, które same w sobie nic nie znaczyły, za to razem... Siostra Kate wszędzie podróżowała ze sztyletami. Maggie pamiętała, jak mówiła jej, że miała prezentację w Saint Louis w ten sam weekend, kiedy ojciec Kincaid został zamordowany w Columbii. Pamiętała mapę Pakuli z kolorowymi pinezkami. Columbia leży niedaleko Saint Louis. A czy tak trudno było zasztyletować wielebnego O'Sullivana w Omaha, w męskiej toalecie na lotnisku? A potem spokojnie wejść do damskiej toalety obok, umyć się, przebrać, schować sztylet do bagażu i oddać do odprawy?

Nie, to brzmiało zbyt prosto.

Maggie ciężko oparła się o ścianę, ledwie trzymała się na nogach. W głowie jej huczało. Kto byłby lepszym adwokatem molestowanych chłopców niż kobieta, do tego zakonnica, która była obok i wiedziała o wszystkich

nadużyciach? Może nawet przyłapała wielebnego O'Sullivana z jednym z uczniów.

Maggie pamiętała też opowieść siostry Kate o jej dzieciństwie i krzywdzie, której wówczas doznała. Tamten mężczyzna był kimś, komu ufali jej rodzice, tylko tyle o nim powiedziała. Czy mógł to być ksiądz?

Maggie przypomniała sobie T-shirt. Siostra Kate pochodziła z Pensacoli na Florydzie. Czyżby była tą jedenastoletnią dziewczynką, którą zgwałcił ojciec Rudy? Czy dlatego nie znalazł się na liście? Teraz to miało sens. Siostra Kate zrobiła to dla siebie. Dla własnego spokoju. Dlatego nie musiał być na liście.

Ale co w takim razie z Jamesem Campionem? Pakula miał nadzieję, że oskarży go o zabicie wszystkich księży. Maggie nigdy nie była przekonana, że James Campion to Pożeracz Grzechów. Uważała raczej, że brał udział w internetowej grze, aż wreszcie zniecierpliwił się, bo Pożeracz Grzechów wciąż pozostawiał przy życiu jego księdza. Gwen powiedziała jej, że Campion wykrzykiwał coś o jakiejś grze i złamaniu reguł.

Maggie przeczesała włosy palcami. Była zmęczona. Niewiele spała w ciągu ostatnich nocy, dlatego tak trudno jej się teraz myślało, mimo to wreszcie dochodziła do sedna sprawy. Rozwiązanie wydało się oczywiste. Podczas wspólnej kolacji siostra Kate strzepywała z bluzki sierść psa swojej współlokatorki. Na koszulce polo wielebnego O'Sullivana znaleziono psią sierść, prawdopodobnie przeniesioną z ubrania mordercy. Tak się złożyło, że druga

współlokatorka była komputerowym maniakiem, z pewnością nauczyła więc siostrę Kate tworzyć programy i skomplikowane gry internetowe, a także odpowiednie zabezpieczenia. Dlatego siostra wiedziała, co zrobić, by policja z Omaha czy FBI nie namierzyły komputera, z którego Pożeracz Grzechów wysyłał maile.

To wszystko brzmiało zbyt fantastycznie. Ale równocześnie układało się w spójną, logiczną całość.

Z głośnika popłynęło ostatnie wezwanie dla pasażerów lotu United Airlines numer 1690 do Chicago. Wówczas Maggie coś sobie uświadomiła. Lotem United numer 1690 do Chicago leciał ojciec Michael Keller.

O mój Boże!

Czy to o nim myślała siostra Kate, mówiąc o ostatnim zadaniu? W Chicago Keller miał czekać dwie godziny na połączenie z Wenezuelą. Prezentacja siostry Kate odbywała się w Chicago, więc tam właśnie odbierze swój bagaż, w tym również sztylety.

Maggie zerknęła na zegarek, poszukała wzrokiem najbliższej tablicy odlotów i podeszła do niej szybkim krokiem. Zostało piętnaście minut. Miała przy sobie odznakę i broń oraz telefon komórkowy. Mogła zatrzymać samolot. Powstałby straszny bałagan, ale nie było to niemożliwe.

Nagle przystanęła. Próbowała uspokoić roztrzęsione nerwy. Przypomniała sobie miniony wieczór. Tak bardzo chciała nacisnąć spust. Przypomniała sobie Kellera, który uciekł od niej wzrokiem, kiedy zauważyła, że mówił

o Arturze w czasie przeszłym. Jeśli instynkt jej nie mylił, Keller nie przestał zabijać małych chłopców, i nie przestanie tylko dlatego, że trochę mu pogroziła. W głębi duszy Maggie czuła także, że Keller nie zamierzał wracać do Ameryki Południowej.

Kiedy siostra Kate wspomniała o swoim ostatnim zadaniu, Maggie była pewna, że chodzi o prezentację. Teraz dopiero zrozumiała, że zakonnica miała na myśli swój ostatni cel. Stwierdziła, że będzie ostatni. Nie, przysięgła nawet na honor dziadka.

Maggie ponownie spojrzała na zegarek. Dziesięć minut. Nadal mogła jeszcze zatrzymać samolot. Stała oparta o ścianę ze wzrokiem wlepionym w pasażerów, którzy wchodzili i wychodzili. W końcu odsunęła się od ściany. Niezdecydowana patrzyła wciąż w stronę wejść dla pasażerów. Potem odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Pokład samolotu United Airlines, lot numer 1690

Ojciec Michael Keller czekał cierpliwie, aż starsza kobieta zrobi mu miejsce w przejściu między fotelami. W ostatniej chwili poszedł do toalety, a teraz wchodził na pokład jako jeden z ostatnich. Martwił się, że naparstnica nie będzie dość skuteczna i jego stan znowu się pogorszy. Z przerażeniem myślał o kolejnym koszmarnym locie, chociaż ten i tak miał być dużo krótszy niż poprzedni.

Żałował, że miał już Timmy'ego w swoich rękach, ale cóż, musiał zaniechać swojej misji. Jego nos był wciąż obolały i spuchnięty. Keller przyrzekł sobie, że w przyszłości zachowa większą ostrożność.

W końcu starsza kobieta zajęła miejsce, więc mógł iść dalej. Szukał swojego fotela, czytał kolejne numery: siedem, osiem, dziewięć, dziesięć... i wreszcie jedenaście B, miejsce środkowe. Powtarzał sobie dla uspokojenia, że leci tylko do Chicago. To krótki godzinny lot. Na szczęście siedział między dwiema szczupłymi kobietami, a nie potężnymi bykami, jak podczas poprzedniej podróży.

Położył swój bagaż podręczny na górną półkę.

– Przepraszam, jedenaście B to moje miejsce – powiedział do kobiety.

– Och, proszę. – Odsunęła z oczu długie jasne włosy i odpięła pas. Wstała energicznie i przepuściła go.

– Dziękuję.

Usiedli oboje. Keller ledwie zapiął pas, kiedy kobieta po jego drugiej stronie odwróciła głowę od okna i spytała:

– Leci pan do Chicago czy gdzieś dalej?

– Do Chicago – odparł bez wahania, nie musiał już kłamać. – A pani?

– Też do Chicago.

– W interesach czy dla przyjemności?

– Wyłącznie w interesach. Jestem Katherine Rosetti.

Tytuł oryginału:
A Necesary Evil

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2006

Redaktor:
Władysław Ordęga

Korekta:
Zofia Firek
Mira Weber

© 2006 by Alex Kava
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2006

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25
http://www.harlequin.pl/

ISBN 9788323896746

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.